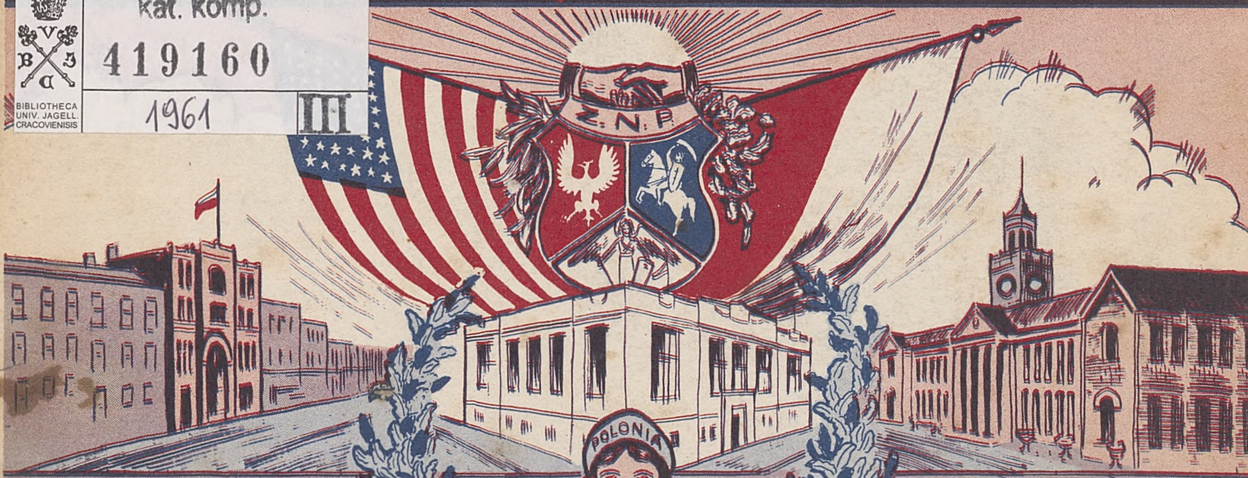
ILUSTROWANY KALENDARZ ZWIĄZKOWY

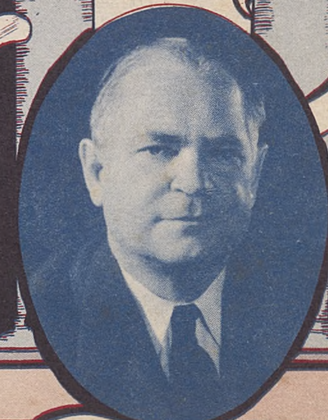




Na Rok 1961



EDW. KOŻMOR Cenzor Z.N.P.



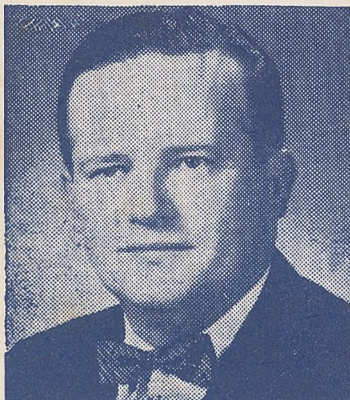
I. K. ROZMAREK Prezes Z.N.P.

CENA $1.50

Nowa Siedziba Spółki Liberty Savings

Przy Milwaukee Avenue i Fullerton





C. W. SMIGIEL, Prezes

62 Letnia Rocznica Spółki Liberty

Zauważcie Nowy Adres przy Milwaukee i Fullerton

40,000,000 Dolarów Majątku

Przynieście Wasze Pieniądze

i otwórzcie sobie konto w Liberty. Tu gdzie wasze pieniądze przyniosą znaczny dochód (4% bieżąca rata), z zapewnionym bezpieczeństwem. Wszystkie konta są ubezpieczone do $10,000.

W razie potrzeby możecie wycofać swoje oszczędności i gdzie otrzymacie najwyższą ratę Dywidendy.

OSZCZĘDZAJCIE PRZEZ POCZTĘ

Od swego założenia w roku 1898 Spółka LIBERTY przetrzymała wszystkie paniki i kryzysy i NIGDY nie była Zamknięta.

UDZIELAMY POŻYCZKI NA DOMY NA ŁATWE MIESIĘCZNE SPŁATY

LIBERTY SAVINGS and LOAN ASSOCIATION OF CHICAGO

LIBERTY BUILDING

MILWAUKEE AVE. PRZY FULLERTON AVE.

Chicago 47, Illinois **Phone EVerglade 4-4000**

C. W. SMIGIEL, Prezes i Zarządca
F. J. STERMER, Wiceprezes i Przewodniczący Dyrekcji
JAN R. GURBACKI, Sekretarz Skarbnik



Liberty Służy Swoim Akcjonariuszom Przez 62 Lat.

GODZINY BIUROWE:

Poniedziałki od 9-ej rano do 8-ej wieczorem. W piątki od 9-ej rano do 8-ej wieczorem
Wtorki i Czwartki od 9-ej do 4-ej po południu.
W Soboty od 9-ej do 12-ej w południe.
W Środy zamknięte cały dzień.

CAŁA DYREKCJA SKŁADA SIĘ Z POLAKÓW

BEZPŁATNE PARKOWANIE





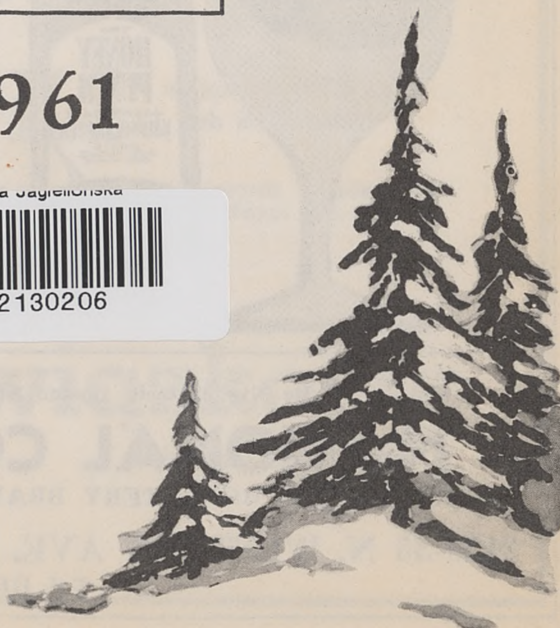
Kalendarz Związkowy

Na Rok

1961

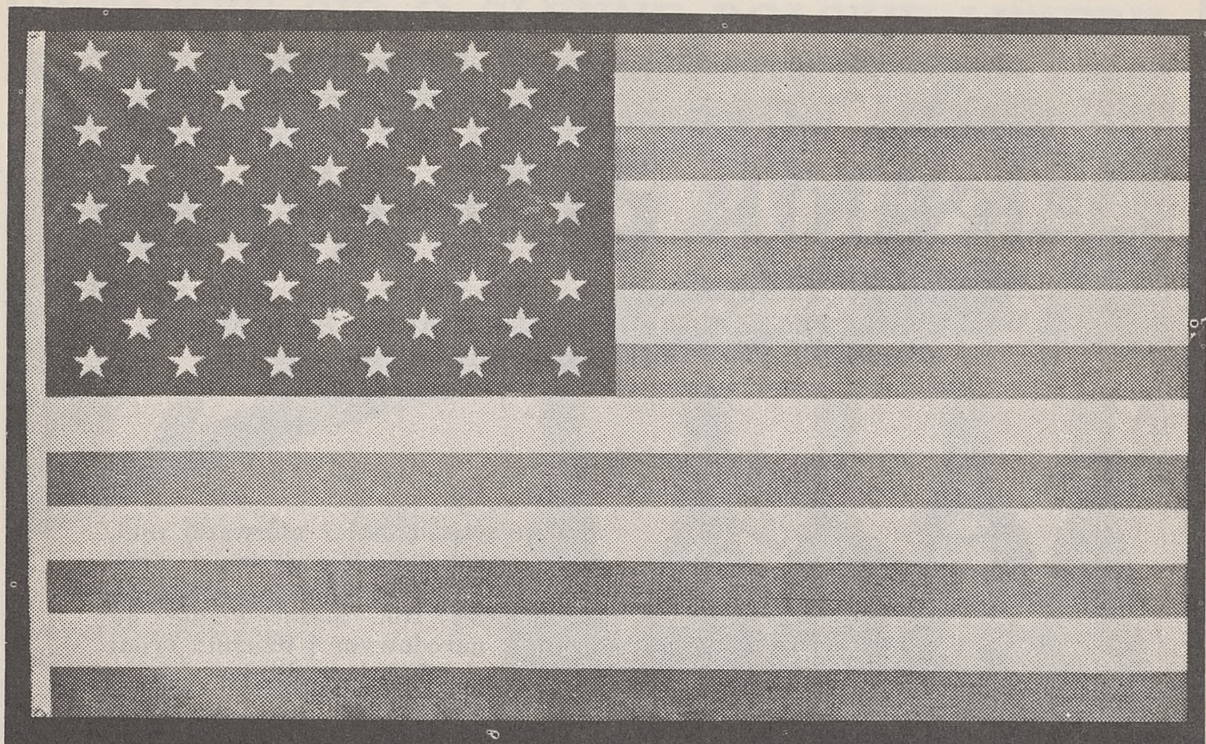






WYDANY NAKŁADEM WYDAWNICTW
ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO
CHICAGO, ILLINOIS

THE STAR SPANGLED BANNER



Nauczcie się słów pieśni—śpiewajcie je—gdy inni śpiewają. Czasami aż przykro, gdy Polacy na zebraniach nie wtórują, gdy hymn narodowy jest śpiewany. To hymn umiłowanej przez nas Ameryki—to hymn wolności—to wyznanie naszej wiary. Każdy Polak w Ameryce powinien znać te słowa—jak zna słowa "Jeszcze Polska nie zginęła—".

Oh, say can you see, by the dawn's early light,
What so proudly we hailed at the twilight's last gleaming;
Whose broad stripes and bright stars, through the perilous fight,
O'er the ramparts we watched, were so gallatnly streaming;
And the rocket's red glare, the bombs bursting in air,
Gave proof through the night that our flag was still there.

Oh, say does the star-spangled banner yet wave
O'er the land of the free and the home of the brave?
Oh! thus be it ever when free men shall stand
Between their loved home and the war's desolation.
Blest with vict'ry and peace, may the heav'n-rescued land
Praise the Pow'r that hath made and preserved us a Nation.

Then conquer we must, when our cause it is just,
And this be our motto, "In God is our trust."

And the star-spangled banner in triumph shall wave
O'er the land of the free and the home of the brave.

Star Spangled Banner w tłómaczeniu na polskie:

Oh, patrz jak dumnie w słońca wczesnym świcie
Powiewa sztandar nasz ze snu zbudzony nocy!
W czerwieni, bieli, błysku gwiazd na baszt obronnych szczycie
Łopotem swym grał w boju więzów kres, przemocy.
Gdy w krwawym blasku rakiet, pocisków tnie ulewa
Oh, patrz jak dumnie sztandar nasz nad nami wciąż powiewa!
I powiedz mi, że wiecznie już na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

Czy widzisz, hen na brzegu, gdzie chmury szarpie szkwał
Gdzie pełen pychy wróg w złowrogiej zapadł ciszy
Czy widzisz co na wietrze, na tle wyniosłych skał
Rozwija się i zwija i jak furkoce słyszysz?
Czy widzisz jak się mienią czerwono-białe końce
Jak w gwiazdach i szafirze poranne błyszczy słońce?
To sztandar nasz gwiaździsty! Na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

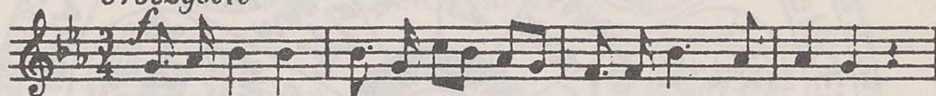
Gdzież chełpliwości pełna i wraża dziś nawała
Co ogniem i co mieczem i co najeźdźczym butem
Ojczystą naszą ziemię grabieżczo tratowała?
Już krwią jej myśmy zmyli te ślady jej zatrute!
Wróg krwawi się i pada tam w pobitewnym pyle
W proch zmienia się najeźdźca i rośnie stos w mogile.
A sztandar nasz gwiaździsty na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

I domostw naszych wolnym po wieki będzie próg!
Bo bronić my od wojny i ognia i od głodu
Będziemy zawsze kraju, by nigdy nie mógł wróg
Puklerza mocy przebić i serca zgnieść narodu.
I bronić naszych praw będziemy my przed wrogiem
Po prostych krocząc ścieżkach i zawsze krocząc z Bogiem.
A sztandar nasz gwiaździsty na straży będzie stać
Nas wolnych — co za wolność swe życie zdolni dać!

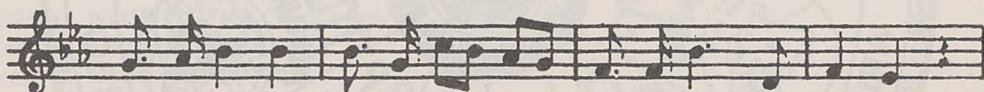


Słowa
Józef Wybicki

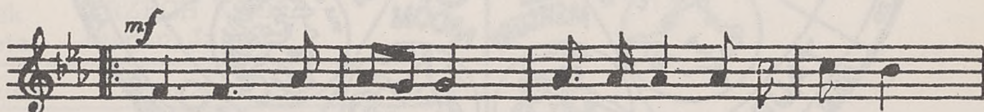
Uroczyście



Jeszcze Polska nie zgi-nę - ła -, kie-dy my ży - je - my,



co namob-ca przemoc wzię-ła -, szab-lą od - bie - rze-my.



Marsz, marsz, Dą-brow - ski, z zie-mi włoskiej do Pol - ski!



Za twoim prze-wo - dem złączym się z na-ro - em. -ro-dem.

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
będziem Polakami,
dał nam przykład Bonaparte,
jak zwyciężać mamy.

Marsz, marsz, Dąbrowski...

Jak Czarniecki do Poznania
po szwedzkim zaborze,
dla ojczyzny ratowania
wrócim się przez morze.

Marsz, marsz, Dąbrowski...

BOŻE COŚ POLSKĘ

Boże coś Polskę przez tak liczne wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały.
Coś Ją osłaniał tarczą Swej opieki
Od nieszczęść które przygnębić ją miały,

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie

ZWIERZYNIEC NIEBIESKI



(ZODIAK)

Dwanaście gwiazdozbiorów znajdujących po obu stronach ekliptyki (koła), wewnątrz której poruszają się słońce, księżyc i planety.—Koło to podzielone jest na 12 równych części i starożytni nadali poniżej wyrażone nazwy różnym gwiazdozbiorom, jakie się w tych przedziałach znajdują. Początek temu zwierzyńcowi niebieskiemu daje baran.

ARIES — THE RAM — BARAN
Nazwę swoją otrzymał od pierwszego miesiąca babilońskiego, w którym palono barany na ofiarę bogom.

TAURUS — THE BULL — BYK
Nazwany tak przez starożytnych, ponieważ wyrażali oni słońce w postaci byka, któremu oddawali cześć.

GEMINI — THE TWINS — BLIŹNIĘTA
Wywodzą się z legendy o bliźniętach, których wykarmiła wilczyca, którzy potem założyli Rzym.

CANCER — THE CRAB — RAK
Słońce zaczyna swój ruch wsteczny—stąd porównanie i nazwa rak.

LEO — THE LION — LEW
Starożytni używali lwa jako symbolu gorąca, to oznacza upalny miesiąc.

VIRGO — THE VIRGIN — PANNA
Szósty ten znak Zodiaku wzięty został od czci składanej bogini wojny Ishtar—przez babilończyków.

LIBRA — THE BALANCE — WAGA
Noce i dnie równają się prawie ze sobą co do długości—symbolizowane w wadze.

SCORPIO — THE SCORPION — SKORPION
Oznacza ciemność — ponieważ dzień staje się coraz krótszy po jesiennym porównaniu dnia z nocą.

SAGITTARIUS — STRZELEC
THE CENTAUR
Babiloński bóg wojny — wyobrażony w półczłowieku pół-koniu — z łużkiem w ręku.

CAPRICORN — KOZIOROŻEC
THE GOAT
Legenda mówi, że koziorożec był piastunem młodego bożka—skońce.

AQUARIUS — WODNIK
THE WATER BEARER
Bierze swój początek z legendy o deszczach jakie padały i powodowały rozlew Nilu w Egipcie.

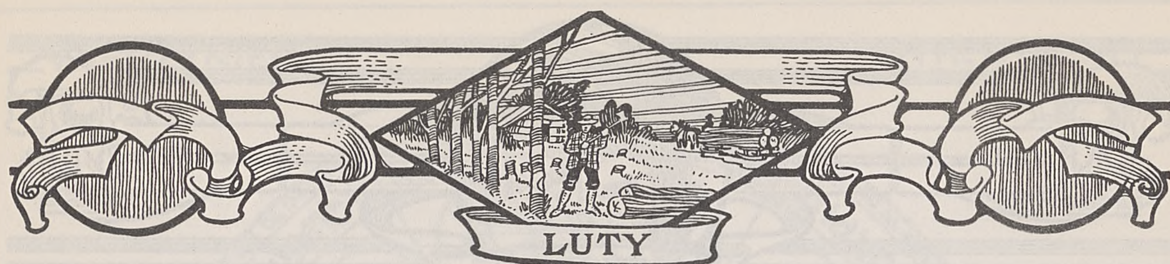
PISCES — THE FISHES — RYBY
Symbolizują wiarę starożytnych narodów w życie pozagrobowe.



31 DNI — Angielski JANUARY—Litewski—SAUSIS / Niemiecki JANUAR—Ruski SICZEŃ — 31 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy	ZAPISKI
1szy Tydzień			
1	**Niedziela**	**NOWY ROK**, Mieczysław	
2	**Poniedz.**	Makary, Bazyli	
3	Wtorek	Daniel, Genowefa	
4	Środa	Eugeniusz, Tytus, Aniela	
5	Czwartek	Telesfor, Emilian, Edward	
6	Piątek	TRZECH KRÓLI	
7	Sobota	Łucjan, Julian	
2gi Tydzień			
8	**Niedziela**	Seweryn, Mścisław	
9	Poniedz.	Julian, Bazyli, Marcjanna	
10	Wtorek	Agaton, Wilhelm	
11	Środa	Feliks, Honorata	
12	Czwartek	Arkadiusz, Ernest	
13	Piątek	Weronika	
14	Sobota	Hilary, Feliks	
3ci Tydzień			
15	**Niedziela**	Paweł, Marek	
16	Poniedz.	Marcel, Włodzimierz	
17	Wtorek	Antoni	
18	Środa	Kat. Św. Piotra w Rzymie	
19	Czwartek	Henryk, Mariusz, Marta	
20	Piątek	Fabian i Sebastian	
21	Sobota	Agnieszka, Jarosława	
4ty Tydzień			
22	**Niedziela**	Wincenty, Anastazy	
23	Poniedz.	Zaśl. N.M.P., Rajmund	
24	Wtorek	Tymoteusz, Felicjan	
25	Środa	Nawr. Św. Pawła	
26	Czwartek	Polikarp, Paulina	
27	Piątek	Jan Złotousty, Agnieszka	
28	Sobota	Karol, Walery, Piotr	
5ty Tydzień			
29	**Niedziela**	Franc. Salezy, Zdzisław	
30	Poniedz.	Felicjan, Martyna, Hiacynta	
31	Wtorek	Jan Bosko, Ludwik, Marcela	

Post obowiązuje: 6, 13, 20, 27



28 DNI | Angielski FEBRUARY—Litewski VASARIS
Niemiecki FEBRUAR—Ruski LUTYJ | 28 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy	ZAPISKI
1	Środa	Ignacy, Brygida	
2	Cwartek	M.B. Gromnicz., Mirosław	
3	Piątek	Błażej, Wawrzyniec	
4	Sobota	Andrzej, Weronika	
6ty Tydzień			
5	**Niedziela**	Izydor, Albin, Agata	
6	Poniedz.	Bogdan Tytus, Dorota	
7	Wtorek	Romuald, Ryszard	
8	Środa	Jan z Malty, Emilia	
9	Czwartek	Cyryl, Apolonia	
10	Piątek	Jacek, Scholastyka	
11	Sobota	Honorata, Adolf	
7my Tydzień			
12	**Niedziela**	**Ur. Lincolna i Kościuszki**	
13	Poniedz.	Grzegorz, Katarzyna	
14	Wtorek	Walenty, Zenon	
15	Środa	**Popielec**, Klaudiusz	
16	Czwartek	Bernard, Julianna	
17	Piątek	Donata, Julian	
18	Sobota	Szymona, Marianny	
8my Tydzień			
19	**Niedziela**	Konrad, Marceli	
20	Poniedz.	Leon, Zenobiusz, Eustachy	
21	Wtorek	Feliks, Robert, Eleonora	
22	Środa	**Ur. Washing. i Pułaskiego**	
23	Czwartek	Piotr, Roman, Marta	
24	Piątek	Maciej, Cezary	
25	Sobota	Wiktor, Izabela, Anastazja	
9ty Tydzień			
26	**Niedziela**	Aleksander, Mirosława	
27	Poniedz.	Gabriel, Nestor	
28	Wtorek	Teofil, Roman, Antonina	

Post obowiązuje: 3, 10, 15, 17, 22, 24, 25



Angielski MARCH—Litewski KOVAS
Niemiecki MAERZ—Ruski BEREZEŃ

31 DNI **31 DNI**

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
1	Środa	Albin, Antonina
2	Czwartek	Helena, Amelia
3	Piątek	Kunegunda, Teresa
4	Sobota	Kazimierz
10-ty Tydzień		
5	**Niedziela**	Wacław, Euzebiusz
6	Poniedz.	Jan B., Wiktor, Róża
7	Wtorek	Tomasz z Akw.
8	Środa	Jan B., Wincenty, Emil
9	Czwartek	Franciszka
10	Piątek	40 Męczenników, Cyprian
11	Sobota	Pelagii, Konstantyn
11-ty Tydzień		
12	**Niedziela**	Grzegorz
13	Poniedz.	Marek, Krystyna, Sabina
14	Wtorek	Leon, Matylda, Bożenna
15	Środa	Klemens, Longin
16	Czwartek	Hilary, Eufrozyna
17	Piątek	Jan, Patryk, Zbigniew
18	Sobota	Cyryl, Edward
12-ty Tydzień		
19	**Niedziela**	Józef, Bogdan
20	Poniedz.	Aleksander, Anatol, Teodozja
21	Wtorek	Benedykt
22	Środa	Oktawiana, Katarzyny
23	Czwartek	Feliks, Wiktor, Pelagia
24	Piątek	Marka i Gabriela
25	Sobota	ZWIASTOWANIE N. M. P.
13-ty Tydzień		
26	**Niedziela**	**Palmowa**, Emanuela
27	Poniedz.	Jana z Damaszku
28	Wtorek	Jana Kapistrana
29	Środa	Cyryla, Jonasza
30	Czwartek	WIELKI CZWARTEK
31	Piątek	WIELKI PIĄTEK

ZAPISKI

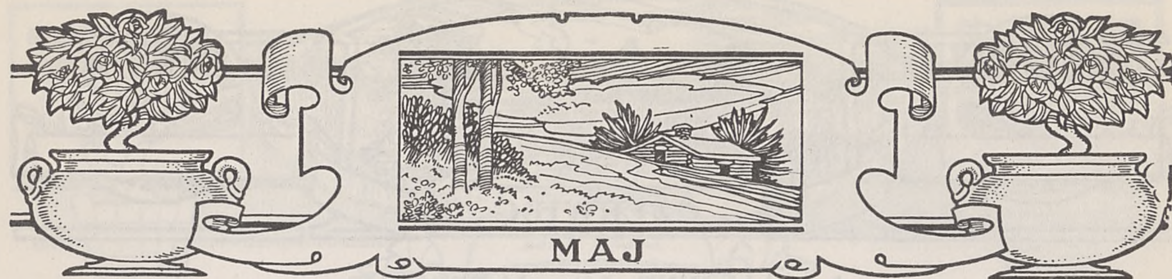
Post obowiązuje: 3, 10, 17, 24, 31



30 DNI | Angielski APRIL—Litewski BALANDIS / Niemiecki APRIL—Ruski KWITEŃ | 30 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy	ZAPISKI
1	Sobota	**WIELKA SOBOTA**	
14-ty Tydzień			
2	**Niedziela**	**WIELKANOC**, Franciszek	
3	Poniedz.	Ryszard, Pankracy	
4	Wtorek	Izydor, Benedykt, Ambroży	
5	Środa	Wincenty, Irena	
6	Czwartek	Celestyn, Julianna	
7	Piątek	Herman, Saturnin	
8	Sobota	Dionizy, January	
15-ty Tydzień			
9	**Niedziela**	Hugon, Maria	
10	Poniedz.	Michała	
11	Wtorek	Filip, Leon	
12	Środa	Juliusz, Wiktor, Zenon	
13	Czwartek	Hermenegilda, Krystyna	
14	Piątek	Walerian	
15	Sobota	Bazyli, Anastazja	
16-ty Tydzień			
16	**Niedziela**	Benedykt, Marcelian	
17	Poniedz.	Robert, Inocenty	
18	Wtorek	Bogumił, Rudolf	
19	Środa	Zenobiusz, Adolfa	
20	Czwartek	Teodor, Agnieszka	
21	Piątek	Konrada, Anzelm	
22	Sobota	Soter i Kajus, Leon, Łukasz	
17-ty Tydzień			
23	**Niedziela**	Wojciech, Jerzy	
24	Poniedz.	Fidelis, Grzegorz	
25	Wtorek	Marek, Jarosław, Grzegorz	
26	Środa	Marceli	
27	Czwartek	Teofil, Piotr, Zyta	
28	Piątek	Witalis, Paweł, Waleria	
29	Sobota	Piotr, Robert, Bogusław	
18-ty Tydzień			
30	**Niedziela**	Marian, Katarzyna	

Post obowiązuje: 7, 14, 21, 28



31 DNI — Angielski MAY—Litewski GEGUŽIS / Niemiecki MAI—Ruski TRAWEŃ — 31 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy	ZAPISKI
1	Poniedz.	Józefa Robotnika	
2	Wtorek	Zygmunt, Anastazy	
3	Środa	ROCZ. KONST. 3 MAJA	
4	Czwartek	Florian, Monika	
5	Piątek	Pius, Izydor, Irena	
6	Sobota	Jan w Oleju	
19-ty Tydzień			
7	**Niedziela**	Floriana, Benedykta	
8	Poniedz.	Stanisław, Michał	
9	Wtorek	Grzegorz	
10	Środa	Izydora, Antoniego	
11	Czwartek	**Wniebowstąp.**, Filip, Jakub	
12	Piątek	Pankracy	
13	Sobota	Robert, Serwacy	
20-ty Tydzień			
14	**Niedziela**	**Dzień Matek**, Bonifacy	
15	Poniedz.	Jan, Izydor, Zofia	
16	Wtorek	Jan Nep., Andrzej Bobola	
17	Środa	Paschalis, Brunon	
18	Czwartek	Feliks, Bogdan	
19	Piątek	Piotr, Mikołaj, Celestyn	
20	Sobota	Bernardyn, Zuzanna	
21-szy Tydzień			
21	**Niedziela**	**Zielone Św.**, Wiktor, Julia	
22	Poniedz.	Emil, Helena, Julia, Róża	
23	Wtorek	Dezydery, Jan	
24	Środa	Joanna, Estera, Zuzanna	
25	Czwartek	Grzegorz, Urban	
26	Piątek	Filip, Augustyn	
27	Sobota	Jan	
22-gi Tydzień			
28	**Niedziela**	Germana, Małgorzaty	
29	Poniedz.	Magdalena	
30	Wtorek	**MEMORIAL DAY**	
31	Środa	Aniela, Petronela	

Post obowiązuje: 5, 12, 19, 20, 24, 26, 27

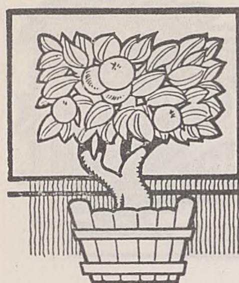


30 DNI | Angielski JUNE—Litewski BERŽELIS
Niemiecki JUNI—Ruski CZERWEŃ | 30 DNI

Dni Tygodnia	Święci Rzymsko-Katoliccy
1 Czwartek	**Boże Ciało,** Jakub, Konrad
2 Piątek	Erazm, Marcelina
3 Sobota	Leszek, Klotylda
23-ci Tydzień	
4 **Niedziela**	Franciszek, Teodora
5 Poniedz.	Bonifacy, Waleria
6 Wtorek	Norbert, Łucja
7 Środa	Robert, Wiesław
8 Czwartek	Medard, Elżbieta
9 Piątek	Felicjan
10 Sobota	Jan, Małgorzata
24-ty Tydzień	
11 Niedziela	Barnaba, Feliks
12 Poniedz.	Jan, Onufry
13 Wtorek	Antoni z Padwy, Łucjan
14 Środa	**DZIEŃ FLAGI,** Bazyli
15 Czwartek	Witold, Modest, Jolanta
16 Piątek	Benon, Justyn, Alina
17 Sobota	Adolf, Inocenty, Marian
25-ty Tydzień	
18 Niedziela	DZIEŃ OJCÓW, Marek
19 Poniedz.	Alojzy, Gerwazy, Protazy
20 Wtorek	Juliana, Florentyny
21 Środa	Janusza, Alojzego
22 Czwartek	Paulina
23 Piątek	Zenon, Wanda, Agrypina
24 Sobota	Jan Chrzciciel
26-ty Tydzień	
25 Niedziela	Wilhelm, Łucja
26 Poniedz.	Jan, Paweł
27 Wtorek	Władysław
28 Środa	Ireneusz, Leon
29 Czwartek	PIOTR i PAWEŁ
30 Piątek	Ernest, Lucyna, Emilia

ZAPISKI

Post obowiązuje 2, 9, 16, 23, 30





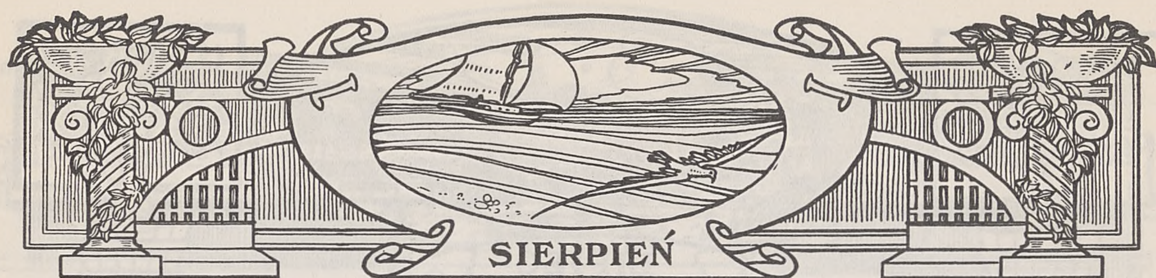
LIPIEC

31 DNI | Angielski JULY—Litewski LIEPOS
Niemiecki JULI—Ruski ŁYPIEŃ | 31 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
1	Sobota	Przem. Krwi P. J., Juliusz
27-my Tydzień		
2	**Niedziela**	Nawiedz. N.M.P., Urban
3	Poniedz.	Anatol, Leon, Alfred, Jacek
4	Wtorek	**DZIEŃ NIEPODLEGŁOŚCI**
5	Środa	Antoni, Filomena
6	Czwartek	Dominik, Romuald, Łucja
7	Piątek	Cyryl i Metody
8	Sobota	Prokop, Elżbieta
28-my Tydzień		
9	**Niedziela**	Tomasz, Weronika, Mikołaj
10	Poniedz.	7 Braci Męczen., Amelia
11	Wtorek	Pius, Olga, Pelagia
12	Środa	Jan, Gwalbert
13	Czwartek	Eugeniusz, Małgorzata
14	Piątek	Bonawentura, Marceli
15	Sobota	Henryk, Wit
30-ty Tydzień		
16	**Niedziela**	N.M.P. Szkapl., Andrzej
17	Poniedz.	Aleksy, Bogdan
18	Wtorek	Kamil, Szymon
19	Środa	Wincenty a Paulo
20	Czwartek	Czesław, Hieronim, Małg.
21	Piątek	Wiktor, Andrzej, Prakseda
22	Sobota	Maria Magdalena
29-ty Tydzień		
23	**Niedziela**	Apolinary
24	Poniedz.	Kunegunda, Kinga, Kryst.
25	Wtorek	Jakub, Krzysztof
26	Środa	Anna, Mierosława
27	Czwartek	Pantaleon, Natalia
28	Piątek	Innocenty, Wiktor
29	Sobota	Urban, Fel. Marta Beatr.
31-szy Tydzień		
30	**Niedziela**	Abdon, Donat, Rufin
31	Poniedz.	Ignacy L., Justyn, Helena

ZAPISKI

Post obowiązuje: 7, 14, 21, 28



31 DNI | Angielski AUGUST—Litewski RUGPIUTIS | 31 DNI
Niemiecki AUGUST—Ruski SERPEŃ

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy	ZAPISKI
1	Wtorek	Piotr w Okowach	
2	Środa	N.M.P. Anielska, Gustaw	
3	Czwartek	Znal. Relikwii św. Szczep.	
4	Piątek	Dominik	
5	Sobota	N.M.P. Śnieżna, Stanisława	
32-gi Tydzień			
6	**Niedziela**	Przemienienie Pańskie	
7	Poniedz.	Kajetan, Donat	
8	Wtorek	Cyriak, Emilian, Justyn	
9	Środa	Roman, Jan	
10	Czwartek	Wawrzyniec, Bogdan	
11	Piątek	Tybercjusz, Zuzanna	
12	Sobota	Hilary, Klara	
33-ci Tydzień			
13	**Niedziela**	Hipolit, Jan, Helena	
14	Poniedz.	Euzebiusz	
15	Wtorek	**WNIEBOWZIĘCIE N.M.P.**	
16	Środa	Roch, Joachim, Ambroży	
17	Czwartek	Jacek, Paweł, Julian	
18	Piątek	Klara, Włodzimierz	
19	Sobota	Bolesław, Ludwik, Marian	
34-ty Tydzień			
20	**Niedziela**	Bernard, Samuel	
21	Poniedz.	Daniel, Joanna	
22	Wtorek	Tymoteusz, Hipolit	
23	Środa	Filip, Apolinary, Wiktor	
24	Czwartek	Bartłomiej, Jerzy	
25	Piątek	Ludwik, Grzegorz	
26	Sobota	N.M.P. Częstochowskiej	
35-ty Tydzień			
27	**Niedziela**	Józef Kalasanty	
28	Poniedz.	Augustyn	
29	Wtorek	Ścięcie Św. Jana, Sabina	
30	Środa	Feliks, Róża z Limy	
31	Czwartek	Rajmund, Marek	

Post obowiązuje :4, 11, 18, 25



30 DNI — Angielski SEPTEMBER—Litewski RUGSEJAS / Niemiecki SEPTEMBER—Ruski WERESEŃ — 30 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
1	Piątek	Idzi, Bronisława
2	Sobota	Stefan
36ty Tydzień		
3	**Niedziela**	Szymon, Zenon, Izabela
4	Poniedz.	**Święto Pracy**, Rozalia, Róża
5	Wtorek	Wawrzyniec, Dorota
6	Środa	Zachariasz, Eugeniusz
7	Czwartek	Melchiora, Reginy
8	Piątek	Narodzenie N. M. P.
9	Sobota	Piotr, Sergiusz
37my Tydzień		
10	**Niedziela**	Mikołaj, Łukasz, Łucja
11	Poniedz.	Prot, Jacek, Pafnucy
12	Wtorek	Im. N.M.P., Gwidon, Klara
13	Środa	Filip, Eugenia
14	Czwartek	Podw. Św. Krzyża, Kalikst
15	Piątek	M.B. Bolesnej, Nikodem
16	Sobota	Kornel, Cyprian, Ludmiła
38my Tydzień		
17	**Niedziela**	Blizny Św. Fran. Jacek
18	Poniedz.	Józef, Tomasz, Irena
19	Wtorek	January, Gustaw, Teodor
20	Środa	Eustachy, Filipina
21	Czwartek	Mateusz,
22	Piątek	Tomasz, Maurycy
23	Sobota	Tekli, Boguchwała
39ty Tydzień		
24	**Niedziela**	N. M. P. od Wyk. Niewol.
25	Poniedz.	Władysław, Kleofas
26	Wtorek	Cyprian, Justyn
27	Środa	Władysław, Damian
28	Czwartek	Wacław, Marek
29	Piątek	Michał Archanioł
30	Sobota	Hieronim, Grzegorz

ZAPISKI

Post obowiązuje: 1, 8, 15, 20, 22, 23, 29



31 DNI — Angielski OCTOBER—Litewski SPALIUS / Niemiecki OKTOBER—Ruski ŻOWTEŃ — 31 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy	ZAPISKI
40ty Tydzień			
1	**Niedziela**	Jan z Dukli, Remigiusz	
2	Poniedz.	Aniołów Stróżów, Teofil	
3	Wtorek	Teresa od Dziec. Jezus	
4	Środa	Franciszek z Asyżu	
5	Czwartek	Placyd, Apolinary	
6	Piątek	Brunon, Artur, Emil	
7	Sobota	N.M.P. Różańcówa, Marek	
41szy Tydzień			
8	**Niedziela**	Brygida, Pelagia	
9	Poniedz.	Dionizy, Ludwik, Bogdan	
10	Wtorek	Franciszek Borg. Paula	
11	Środa	**DZIEŃ PUŁASKIEGO**	
12	Czwartek	**COLUMBUS DAY**, Serafin	
13	Piątek	M. B. z Fatima, Edward,	
14	Sobota	Kalikst	
42gi Tydzień			
15	**Niedziela**	Jadwiga, Teresa	
16	Poniedz.	Leopold, Gaweł, Florentyna	
17	Wtorek	Wiktor, Małgorzata, Maria	
18	Środa	Łukasz Ewangelista	
19	Czwartek	Piotr, Pelagia	
20	Piątek	Jan Kanty, Irena	
21	Sobota	Hilarion, Urszula	
43ci Tydzień			
22	**Niedziela**	Filip, Wojciech, Salomea	
23	Poniedz.	Seweryn, Ignacy, Roman	
24	Wtorek	Rafał Archanioł, Marcin	
25	Środa	Kryspin, Bonifacy	
26	Czwartek	Ewaryst	
27	Piątek	Sabina	
28	Sobota	Szymon, Tadeusz	
44ty Tydzień			
29	**Niedziela**	Abraham, Narcyz, Euzebia	
30	Poniedz.	Alfons, Edmund	
31	Wtorek	DZIEŃ WILKOŁAKÓW, Antoni, Lucylla	

Post obowiązuje: 6, 13, 20, 27



30 DNI — Angielski NOVEMBER—Litewski LAKPRITYS
Niemiecki NOVEMBER—Ruski PADOŁYST — 30 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy	ZAPISKI
1	Środa	**WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH**	
2	Czwartek	DZIEŃ ZADUSZNY	
3	Piątek	Hubert, Sylwia	
4	Sobota	Karol Borom., Witalis	
45ty Tydzień			
5	**Niedziela**	Zachariasz, Elżbieta	
6	Poniedz.	Leonard, Feliks	
7	Wtorek	Ernest, Antoni, Salomea	
8	Środa	Bogdan, Sewer, Ida	
9	Czwartek	Teodor, Orest	
10	Piątek	Andrzej, Lubomir	
11	Sobota	**Święto Niepodl. Polski**	
46ty Tydzień			
12	**Niedziela**	Mateusz, Witold	
13	Poniedz.	Stanisław Kostka	
14	Wtorek	Józefat	
15	Środa	Leopold, Wojciech	
16	Czwartek	M.B. Ostrobram., Edmund	
17	Piątek	Grzegorz, Salomea	
18	Sobota	Katedry Św. Piotra, Roman	
47my Tydzień			
19	**Niedziela**	Felicjan, Elżbieta	
20	Poniedz.	Feliks, Edmund, Anatol	
21	Wtorek	Ofiarowanie NMP., Janusz	
22	Środa	Marek, Cecylia	
23	Czwartek	**ŚWIĘTO DZIĘK.**, Klemens	
24	Piątek	Jan, Aleksander	
25	Sobota	Katarzyna, Erazm	
48my Tydzień			
26	**Niedziela**	Konrada, Jana	
27	Poniedz.	Walerian	
28	Wtorek	Grzegorz	
29	Środa	Błażeja, Saturnina	
30	Czwartek	Andrzej, Zbysława	

Post obowiązuje: 3, 10, 17, 24



31 DNI | Angielski DECEMBER—Litewski GRUODIS
Niemiecki DEZEMBER—Ruski HRUDEŃ | 31 DNI

Dni Tygodnia		Święci Rzymsko-Katoliccy
1	Piątek	Eligiusz, Natalia
2	Sobota	Hipolit, Paulina
49ty Tydzień		
3	**Niedziela**	**1 Niedz. Adwentu,** Franc.
4	Poniedz.	Piotr, Barbara
5	Wtorek	Anastazy, Saba, Krystyna
6	Środa	Mikołaj, Emil
7	Czwartek	Ambroży
8	Piątek	**NIEP. POCZ. N. M. P.**
9	Sobota	Piotr, Wiesław, Leokadia
50ty Tydzień		
10	**Niedziela**	N. M. P. Loret. Julia
11	Poniedz.	Damazy, Sabina
12	Wtorek	Aleksander, Konstanty
13	Środa	Władysław, Łucja, Otylia
14	Czwartek	Teodor, Alfred
15	Piątek	Walerian, Wiktor, Celina
16	Sobota	Zdzisław, Euzeb., Adela
51szy Tydzień		
17	**Niedziela**	Łazarz, Florian
18	Poniedz.	Gracjan, Bogusław
19	Wtorek	Grzegorz, Urban
20	Środa	Teofil, Juliusz, Bogumiła
21	Czwartek	Tomasz, Jan
22	Piątek	Zenon, Leon, Honorata
23	Sobota	Wiktoria, Sławomir
52gi Tydzień		
24	**Niedziela**	WIGILIA, Adam, Ewa
25	Poniedz.	**BOŻE NARODZENIE**
26	Wtorek	Szczepan
27	Środa	Jan Ewangelista
28	Czwartek	Ś.Ś. Młodziaków, Teofil
29	Piątek	Tomasz
30	Sobota	Eugeniusz, Sabina
Ostatni Tydzień Roku		
31	**Niedziela**	Sylwester, Melania

ZAPISKI

Post obowiązuje: 1, 15, 20, 22, 23, 29

ALFABETYCZNY WYKAZ IMION ŚWIĘTYCH

A

Abdona Męczennika 30 Lipca
Adama 24 Grudnia
Adelajdy 10 Grudnia
Adolfa Biskupa 17 Czerwca
Adryana Męczen. 9 Września
Agapita Męczen. 18 Sierpnia
Agatona Papieża 10 Sstycznia
Agnieszki P-ny Męcz. 21 Sty.
Agaty Panny Męcz. 5 Lutego
Agrypiny 23 Czerwca
Albina Biskupa 1 Marca
Albiny Panny 16 Grudnia
Alexandra M. w Rzymie 26 Lutego
Alexandra Męcz. 3 Maja
Alexandra M. w Alex 12 Grudnia
Alexego Wyznawcy 17 Lipca
Alfonsa 2 Sierp. i 22 Paźdz.
Alfreda 3 Lipca
Alodji P. M. 21 Października
Alojzego Gonzagi 21 Czerwca
Amelii księżnej 10 Lipca
Ambrożego Biskupa 7 Grud.
Amalii Panny 2 Marca
Anastazego M. 22 Stycznia
Anastazego Papieża 27 Lutego
Anastazego Wyznaw. 29 Mar.
Anastazji Panny 27 Lutego
Anastazji Rzymian. 26 Paźdz.
Anatoli Męczenniczki 9 Lipca
Anatoliusza Biskupa 3 Lipca
Andrzeja Apostoła 30 Listop.
Andrzeja Polaka Pust. 6 Maja
Andrzeja z Krety 7 Paźdz.
Angeli Mer. P. 31 Maja
Angeli 30 Marca
Anny Matki N.M.P. 26 Lipca
Aniołów Stróżów 2 Paźdz.
Ansgarego Biskupa 4 Lutego
Antoniego Opata 17 Stycznia
Antoniego Padew. 13 Czerw.
Antonina Arcybis. 10 Maja
Antoniny 16 Grudnia
Anzelma 23 Kwietnia
Apolinarego Biskupa 23 Lipca
Apolonii Pan. Męcz. 9 Lutego
Apoloniusza Męcz. 18 Kwiet.
Arkadyusza Męcz. 12 Stycz.
Arseniusza Biskupa 19 Lipca
Artura Biskupa 6 Październ.
Atanazego Biskupa 2 Maja
Augusta Wyznawcy 3 Sierp.
Augustyna Biskupa 28 Sierp.
Aurelii Panny 25 Września
Awita Męczennika 12 Stycznia

B

Balbiny Panny 31 Marca
Barlaama 27 Listopada
Barbary Panny 4 Grudnia
Barnaby Apostoła 11 Czerw.
Bartłomieja Apost. 14 Sierp.
Bazylego Biskupa 14 Czerw.
Beaty Panny 8 Marca
Bedy Kapłana 27 Maja
Benedykta Opata 21 Marca
Benigny Panny 19 Sierpnia
Benona Biskupa 16 Czerwca
Bernarda Opata 20 Sierpnia
Barnarda Seneńskiego 30 Maja
Bibianny Panny 2 Grudnia
Błażeja Biskupa 7 Lutego
Bogumiła 10 Czerwca
Bonawentury Kard. 14 Lipca
Bonifacego Męczen. 14 Maja
Bonifacego Biskupa 5 Czerw.
Bonifacego B. Forent. 30 Maja
Bony Panny 24 Kwietnia
Bronisławy 18 Sierpnia
Brunona Wyznawcy 6 Paźdz.
Brygidy Panny 1 Lutego
Brygidy Wdowy 8 Październ.

C

Cecylii Panny Męcz. 22 List.
Celestyna 6 Kwietnia
Celsa Męczennika 28 Lipca
Cezaryusza Biskupa 27 Sierp.
Cypriana Biskupa 16 Wrześ.
Cypriana Męcz. 26 Września
Cyrylla Biskupa 10 Marca
Cyrylla Biskupa 9 Lipca
Cyrylla Diakona 22 Marca
Cyriaka Kapłana 16 Marca
Cyriaka Męczennika 8 Sierp.
Czesława Wyznawcy 20 Lipca
Czterdziestu Męcz. 10 Marca
Czterech koronatów 8 Listop.

D

Damazego Papieża 11 Grudnia
Damiana Męcz. 27 Września
Daniela Męczennika 3 Stycz.
Daniela Proroka 21 Lipca
Dawida Króla 30 Grudnia
Dezyderiusza Biskup. 21 Maja
Domiceli Panny 7 Maja
Dominika Wyznaw. 4 Sierp.
Dominiki Panny 6 Lutego
Donata Pustelnika 17 Lutego
Doroteusza Męczen. 28 Marca
Doroty Panny 6 Lipca
Dydaka Wyzn. 12 Listopada
Dygny 11 Sierpnia
Dionizego Biskupa 8 Kwiet.
Dionizego Męczen. 9 paźdz.

E

Edmunda Biskupa 16 Listop.
Edyty Królewny 15 Grudnia
Edwarda Króla 13 Październ.
Eleonory Panny 21 Lutego
Eliasza Proroka 20 Lipca
Eligiusza Biskupa 1 Grudnia
Elizeusza Proroka 2 Paźdz.
Elżbiety Wdowy 8 Lipca
Elżbiety Panny 5 Listopada
Elżbiety Królow. 19 Listop.
Emeryka Królew. 5 Listop.
Emiliana Biskupa 11 Wrześ.
Emilianny 5 Stycznia
Emilii 30 Czerwca
Engielberta 7 Listopada
Epifaniusza Bisk. 7 Kwietnia
Erazma Biskupa 2 Czerwca
Estery Królowej 18 Listop.
Euchariusza Bisk. 20 Lutego
Eudoxiusza M. 5 Września
Eufenii Panny 16 Września
Eufrozyny Męcz. 3 Września
Eufrozyny Panny 11 Lutego
Eugenii P. M. 24 Grudnia
Eugeniusza 18 Listopada
Eugeniusza Bisk. 30 Grudnia
Eulalii Panny 10 Grudnia
Eustachiusza Męcz. 20 Wrześ.
Euzebii P. M. 29 Października
Euzebiusza W. 14 Sierpnia
Euzebiusza Bisk. 16 Grudnia
Ewarysta Papieża 26 Paźdz.
Ewy 24 Grudnia
Ezechiasza Króla 30 Paźdz.
Ezechiela Proroka 20 Kwiet.

F

Fabiana 20 Stycznia
Faustyny Męczen. 15 Lutego
Faustyny Wdowy 19 Grudnia
Felicjana Biskupa 24 Stycznia
Felicjana Męczen. 9 Czerwca
Feliksa Kapucyna 18 Maja
Feliksa Papieża 30 Maja
Feliksa z Noli 18 Stycznia
Feliksa Męczen. 30 Sierpnia
Feliksa Walezy 20 Listopada
Ferdynanda Króla 30 Maja
Filipa Apostoła 1 Maja
Filipa Neriusza 26 Maja
Filipa Benicjusza 23 Sierpnia
Filomeny P-ny Męcz. 5 Lipca
Flawiana Męcz. 25 Lutego
Flawii Panny 5 Października
Floriana Męczennika 4 Maja
Floriana Męcz. 17 Październ.
Florentyna Bisk. 16 Październ.
Fortunata Męcz. 26 Lutego
Franciszka Borg. 10 Paźdz.
Franciszka Salezego 29 Kwiet.
Franciszka a Paulo 2 Kwiet.
Franciszka Seraf 4 Październ.
Franciszka Ksaw. W. 3 Grud.
Franciszki Wdowy 9 Marca
Fryderyka Opata 5 Marca
Fulgentego Biskupa 1 Stycz.

G

Gabriela Archanioła 18 Marca
Gaudencji Panny 30 Sierpnia
Gaudentego Bisk. 12 Lutego
Gawła Opata 16 Października
Gedeona Sędziego 18 Czerw.
Genowefy Panny 3 Stycznia
Gerarda Biskupa 24 Września
Germana Biskupa 24 Wrześ.
Germana Biskupa 28 Maja
Gertrudy Panny 17 Marca
Gerwazego 19 Czerwca
Gotfreda (Bogumiła) 13 Sty.
Gotfreda Biskupa 8 Listop.
Graciana Biskupa 18 Grudnia
Grzegorza Biskupa 4 Stycznia
Grzegorza Papieża 12 Marca
Grzegorza Naziańskiego 9 Maja
Grzegorza Cudotwór. 18 List.
Gustawa 2 Sierpnia
Gwidona Wyznaw. 12 Wrześ.

H

Heleny Cesarzowej 2 Marca
Heleny Królowej 22 Maja
Heliodora 3 Lipca
Henryka Cesarza 15 Lipca
Henryka 19 Stycznia
Hermenegilda M. 13 Kwiet.
Hermogenesa 19 Kwietnia
Hiacynty Panny 30 Stycznia
Higina Papieża 11 Stycznia
Hilarego 14 Stycznia
Hieronima Dr. Kościoła 30 Września
Hipolita 13 Sierpnia
Honoraty Panny 12 Stycznia
Huberta Biskupa 3 Listopada
Hugonota 1 Kwietnia

I

Idy Panny 13 Kwietnia
Idziego Opata 1 Września
Ignacego Biskupa 1 Lutego
Ignacego Lojoli Wyznawcy 31 Lipca
Ildefonsa 23 Stycznia
Imienia Jezus 19 Stycznia
Imienia Marii 14 Września
Inocentego Papieża 28 Lipca
Ireneusza Smyrneńskiego 25 Marca
Ireneusza Męcz. 15 Grudnia
Ireny Panny 20 Października
Iwona Wyznawcy 19 Maja
Izabeli Panny 15 Marca
Izabeli Królowej 3 Września
Izajasza Proroka 6 Lipca
Izydora Biskupa 4 Kwietnia
Izydora Oracza 10 Maja

J

Jacka Wyznawcy 18 Sierpnia
Jadwigi Wdowy 16 Październ.
Jakóba Apostoła 1 Maja
Jakóba Apostoła 25 Lipca
Jakóba Patriarchy 21 Kwiet.
Jakóba z Nizybu 15 Lipca
Jakóba Pustelnika 17 Lutego
Jana Jałmużnika 23 Stycznia
Jana Chryzostoma 27 Stycz.
Jana Franciszka 16 Czerwca
Jana z Matty Wyzn. 8 Lutego
Jana Bożego 8 Marca
Jana w Oleju 6 Maja
Jana Nepomucena 16 Maja
Jana Papieża 27 Maja
Jana Chrzciciela 24 Czerwca
Jana Męczennika 26 Czerwca
Jana Gwalberta 12 Lipca
Jana z Dukli 7 Lipca
Jana Kantego 27 Października
Jana Kapistrana W. 23 Paźdz.
Jana od Krzyża 24 Listop.
Jana Ewangelisty 27 Grud.
Januariusza Bisk. 19 Wrześ.
Jerzego Męczen. 24 Kwietnia
Joachima Ojca NMP. 1 Wrześ.
Joanny Wdowy 24 Maja
Joanny Fremiot 21 Sierpnia
Jordana Wyznawcy 13 Lutego
Jowity Męczen. 15 Lutego
Józefa Obl. N.M.P. 19 Marca
Józefa Kalasant. W. 4 Lipca
Józefa z Kopertynu 18 Wrześ.
Judy Tadeusza Ap. 28 Paźdz.
Judyty Wdowy 16 Listopada
Juliana Męczen. 27 Stycznia
Juliana Męczen. 13 Lutego
Julianny Panny 16 Lutego
Julii Panny Męcz. 22 Maja
Juliusza Papieża 12 Kwietnia
Julity P. M. 30 Lipca
Justa Biskupa 2 Września
Justyna Męczen. 17 Września
Justyniana Bisk. 5 Września
Justyny Panny Męcz. 7 Paźdz.
Juwencjusza Męcz. 1 Czerw.

K

Kaja Męczen. 22 Kwietnia
Kajetana Wyznaw. 7 Sierp.
Kalixta Papieża 14 Paźdz.
Kamilla Wyznawcy 18 Lipca
Kandyda Męcz. 9 Październ.
Kanuta Króla 19 Stycznia
Karola W. Cesarza 28 Stycz.
Karola Boromeusza 4 Listop.
Karoliny 5 Lipca
Kassjana Męczen. 13 Sierpnia
Kasyldy 15 Kwietnia
Katarzyny Szwedzkiej 23 Mar.
Katarzyny Seneńskiej 30 Kw.
Katarzyny Panny M. 25 List.
Katedry św. Piotra w Rzymie 18 Stycznia
Kat. św. Pawła w Antiochii 22 Lutego
Kazimierza Królew. 4 Marca
Kiliana Biskupa 8 Lipca
Klary Panny 12 Sierpnia
Kleta Papieża 23 Listopada
Klemensa Bisk. Męcz. 13 Lut.
Klemensa Papieża 23 Listop.
Kleofona Męczen. 25 Wrześ.
Klotyldy Królowej 6 Czerw.
Kolety Panny 6 Marca
Konstancji Panny M. 18 Lut.
Konstantyna Wyzn. 11 Marca
Konstancji 12 Kwietnia
Konrada Wyznaw. 19 Lutego
Konrada Bisk. 26 Listopada
Korduli Panny 22 Październ.
Korneli Męczen. 31 Marca
Kozmy Męczennika 27 Wrześ.
Kryspina i Kryspianina 27 Października
Krystyny Panny 24 Lipca
Krzysztofa Męcz. 25 Lipca
Kunegundy Cesarz. 3 Marca
Kunegundy Królow. 28 Lipca
Kwiryna Męczen. 20 Marca

L

Lamberta 16 Kwietnia
Larga Męczennika 8 Sierpnia
Leandra Bisk. W. 27 Lutego
Leokadii Panny 9 Grudnia
Leona I Papieża 11 Kwietnia
Leona XI Papieża 8 Czerw.
Leonarda Wyznaw. 5 Listop.
Leonilii Panny M. 18 Stycz.
Leontyny Panny 15 Marca
Leopolda Margr. 15 Listopad.
Longina Męczen. 15 Marca
Lusjana Męczen. 7 Stycznia
Lucyny Panny 30 Czerwca
Lucyny Męcz. 17 Październ.
Ludgardy Panny M. 16 Czerw.
Lugdera Biskupa 26 Marca
Ludomira 3 Października
Ludwika Wyznaw. 12 Lutego
Ludwika Króla Syc. 19 Sierp.
Ludwika Króla 25 Sierpnia
Ludwiki Panny 15 Kwietnia

Ł

Ładysława z Gieln. 22 Wrześ.
Łazarza Biskupa 17 Grudnia
Łucji Panny 13 Grudnia
Łukasza Ewang. 18 Paźdz.

M

Macieja Apostoła 25 Lutego
Magdaleny 25 Maja i 22 Lipca
Makarego Opata 2 Stycznia
Makryny M. 21 Lipca
Małgorzaty Kr. Węgierskiej 13 Lipca
Małgorzaty Kr. Szw. 10 Czer.
Małgorzaty P. Męcz. 20 Lipca
Mamerta Biskupa 11 Maja
Mansweta Biskupa 28 Listop.
Marcella Papieża 16 Stycznia
Marcelli Wdowy 31 Stycznia
Marcellana Papieża 18 Czerw.
Marcellina Papieża 26 Kwiet.
Marcina Biskupa 11 Listop.
Marcina Papieża 12 List.
Marcjana Męcz. 17 Kwietnia
Marcjanny P. Męcz. 9 Stycz.
Marka Ewangelisty 25 Kwiet.
Marka Męczennika 24 Marca
Marka z Rzymu M. 18 Czerw.
Marty Panny 29 Lipca
Martyny Panny 30 Stycznia
Marty Męczen. 19 Stycznia
Marii Egipcjanki 10 Kwietnia
Marii z Engii 23 Czerwca
Marii Kleofy 9 Kwietnia
Marii Magdaleny we Fl. 31 Maja
Marii Magdaleny w Jeroz. 22 Lipca
Mariusza 19 Stycznia
Mateusza Apostoła 21 Wrześ.
Matyldy Królowej 14 Marca
Maurycjusza 22 Września

Maurycego 13 Września
Maksymiliana Bisk. 12 Paźdz.
Maxymina Bisk. 3 Czerwca
Medarda Bisk. 3 Czerwca
Melanii P. M. 18 Lutego
Metodego B. W. 10 Marca
Michała Arch. 29 Września
Mikołaja z Tolent. 10 Wrześ.
Mikołaja Biskupa 6 Grudnia
Mirona Męczen. 17 Sierpnia
Młodzianków 28 Grudnia
Modesty Panny 15 Czerwca
Moniki Wdowy 4 Maja

N

Narcyza Biskupa 20 Paźdz.
Narodzenie Chrystusa 25 Grudnia
Narodzenie N.P.M. 8 Wrześ.
Natalji Panny 27 Lipca
Nawróc. św. Pawła 25 Stycz.
Nazarjusza M. 12 Czerwca i 28 Lipca
N. M. Anielskiej 2 Sierpnia
N. M. P. Bolesnej 4 Kwiet.
N. M. P. od wyzw. niew. 24 Września
N.M.P. Loretańskiej 10 Grud.
N. M. P. Łaskawej 11 Maja
N. M. P. Różańcowej 6 Paźdz.
N. M. P. Śnieżnej 5 Sierpnia
N. M. P. Szkaplerz. 16 Lipca
Nawiedzenie N. M. P. 2 Lipca
Nemezjusza Męcz. 19 Grud.
Nicefora Męczen. 29 Lutego
Nicefora Biskupa 13 Marca
Niepok. Pocz. N.M.P. 8 Grud.
Nikodema Męcz. 15 Września
Norberta Biskupa 6 Czerwca

O

Oczyszczenie N.M.P. 2 Lutego
Ofiarowanie N.M.P. 21 List.
Oktawiana Męcz. 22 Marca
Olimpji 26 Marca
Onufrego Pustel. 12 Czerw.
Opieka św. Józefa 21 Kwiet.
Opieki N. M. P. 10 Listopada
Optata Biskupa 4 Czerwca
Ottona Biskupa 2 Lipca
Ottona Męczennika 16 Stycz.
Otylji Panny Męcz. 13 Grud.

P

Pafnucego Męcz. 19 Kwiet.
Pankracego 12 Maja
Pantaleona Męcz. 27 Lipca
Paschalisa 17 Maja
Paschazego Bisk. 22 Lutego
Patrycjusza Bisk. 17 Marca
Patrycji Męcz. 13 Marca
Paulina Biskupa 22 Czerwca
Pauliny Wdowy 26 Stycznia
Pawła Biskupa 22 Marca
Pawła Męcz. 26 Czerwca
Pawła I Pustel. 15 Stycznia
Pawła Apostoła 29 Czerwca
Pelagji Panny 11 Lipca
Pelagji Pokutnicy 12 Paźdz.
Petroneli 31 Maja
Pięciu ran. św. Franciszka 17 Września
Piotra Chryzologa 4 Grudnia
Piotra Egzorcysty 2 Kwietnia
Piotra Nolaski 31 Stycznia
Piotra Męczen. 29 Kwietnia
Piotra Celestyna 19 Maja
Piotra z Werony Męczen. 20 Kwietnia
Piotra i Pawła 29 Czerwca
Piotra w Okowach 1 Sierpnia
Piotra z Alkantary 19 Paźdz.
Piusa Papieża 5 Maja
Placydy Męcz. 5 Października
Placydy P. 11 Października
Podwyższenie św. Krzyża 14 Września
Polieukta Męczen. 21 Maja
Polikarpa Bisk. Męcz. 26 Sty.
Praxedy Panny 2 Lipca
Prokopa Męczennika 4 Lipca
Prokula Męczen. 1 Czerwca
Prospera Biskupa 25 Czerwca
Prota Męczen. 11 Września
Protazego 19 Czerwca
Pryma Męczen. 9 Czerwca
Pryski Panny 18 Stycznia
Przeniesienie św. Kazimierza 27 Sierpnia
Przeniesienie św. Wojciecha 20 Października
Pulcherji Męczennicy 7 Lipca
Pulcherji Panny 10 Września

R

Rafała Archanioła 24 Paźdz.
Rajmunda 23 Stycznia
Rajmunda Kard. 31 Sierp.
Reginy Panny 7 Września
Remigjusza Bisk. 1 Paźdz.
Roberta Opata 7 Czerwca
Rocha Wyznawcy 16 Sierpnia
Romana Opata 28 Lutego
Romana Męcz. 9 Sierpnia
Romany Panny 23 Lutego
Romualda Opata 7 Lutego
Rozalji Panny 4 Września
Rozesłanie Apost. 15 Lipca
Róży Panny 26 Sierpnia
Róży Limańskiej 30 Sierpnia
Rudolfa 17 Kwietnia
Rufy Męczenniczki 28 Listop.
Rufina Wyznawcy 19 Sierp.
Rufiny Panny 31 Sierpnia
Ruperta Biskupa 27 Marca
Ryszarda Biskupa 3 Kwietnia

S

Sabby Opata 5 Grudnia
Sabina Wyznawcy 11 Lipca
Sabiny Męcz. 27 Października
Salezego Męcz. 12 Sierpnia
Salomei Panny 17 Listopada
Salwiana 17 Marca
Saturnina Męcz. 29 Listopada
Saturniny Panny i Męczen. 4 Marca
Scholastyki Panny 10 Lutego
Ścięcie św. Jana Chrzciciela 29 Sierpnia
Serapiona Wyz. Męcz. 14 List.
Serca Pana Jezusa 7 Czerw.
Sergiusza Męcz. 24 Lutego
Serwacego Biskupa 13 Maja
Serwiliana Męcz. 20 Kwietnia
Seweryna Opata 8 Stycznia
Siedmiu Braci Śpiących 10 Maja
Sebastjana 20 Stycznia
Sennena Męcz. 30 Lipca
Sotera Papieża 22 Kwietnia
Spirydona Biskupa 14 Grud.
Stanisława Biskupa 8 Maja
Stanisława Kostki 13 Listop.
Stefana Kr. Węg. 2 Września
Sulpicjusza Męcz. 20 Kwiet.
Sygfryda B. M. 25 Lutego
Sylwerjusza 20 Czerwca
Sylwestra Papieża 31 Grud.
Sylwiana Biskupa 17 Lutego
Symforjana Męcz. 22 Sierp.
Synezjusza Męcz. 12 Grudnia
Syxta Papieża 28 Marca
Szczepana 1 Męcz. 26 Grud.
Szczepana Papieża 2 Sierpnia
Szymona z Lipnicy 28 Lipca
Szymona Apostoła 28 Paźdz.
Szymona z Edesy 5 Lipca

T

Tadeusza Apostoła 28 Paźdz.
Tarsylji Panny 24 Grudnia
Tekli Panny 23 Września
Telesfora Pap. Męcz. 5 Stycz.
Teobalda Pustelnika 1 Lipca
Teodora Męcz. 9 Listopada
Teodora Zakonnika 7 Stycz.
Teodory Męczen. 1 Kwietnia
Teodory Pokutnicy 11 Wrześ.
Teodezji Panny Męcz. 29 Maja
Teodozjusza Wyzn. 11 Stycz.
Teodoryka 1 Lipca
Teofila Biskupa 27 Kwietnia
Teofila Męczen. 20 Grudnia
Teresy Panny 15 Paździer.
Tomasza z Akwinu 7 Marca
Tomasza z Wilan. 18 Wrześ.
Tomasza Apostoła 21 Grud.
Tomasza Kantuar. 29 Grud.
Trzech Króli 6 Stycznia
Tyburcjusza 14 Kwietnia
Tymoteusza B. M. 24 Stycz.
Tytusa Biskupa 4 Stycznia

U

Ubalda Biskupa 16 Maja
Urbana 25 Maja
Urszuli Panny 21 Paździer

W

Wacława Króla 28 Września
Walentego Kapł. Męcz. 14 Lut.
Walerego Bisk. 12 Grudnia
Walerego Męcz. 12 Września
Walerji Męcz. 5 Czerwca
Walerji Panny 9 Grudnia
Walerjana Męcz. 14 Marca
Wawrzyńca Męcz. 10 Sierp.
Wenantego Męcz. 18 Maja
Wenefrydy Panny 3 Listop.
Weroniki Panny 13 Stycznia
Weroniki z Julianu 17 Maja
Wiktora 1 Września
Wiktorji Panny 23 Grudnia
Wiktoryna Męcz. 6 Marca
Wiktoryna Biskupa 5 Wrześ.
Wiktora Biskupa Męcz. 2 List.
Wilhelma Arcyb. 10 Stycz.
Wilhelma Opata 6 Kwietnia
Wilhelma księcia 28 Maja
Wilibalda Biskupa 7 Lipca
Wilibrarda Biskupa 7 List.
Wincentego Biskupa 20 Marca
Wincentego Męcz. 22 Stycz.
Wincentego Fer. W. 5 Kwiet.
Wincentego a Paulo 19 Lipca
Wincentego Kadłubka 9 Paź.
Wita 15 Czerwca
Witalisa Męcz. 28 Kwietnia
Władysława Króla 27 Czerw.
Wniebowz. N. M. P. 15 Sierp.
Wojciecha Biskupa 23 Kwiet.
Wolfganga Biskupa 31 Paźdz.
Wszystkich Św. 1 Listopada

Z

Zacharjasza Proroka 6 Wrześ.
Zacharjasza Papieża 5 List.
Zaślubienie N. M. P. 23 Stycz.
Zefiryna Papieża 26 Sierp.
Zenobji Panny 30 Paździer.
Zenobiusza 30 Października
Zenona Żołnierza 22 Grudnia
Znalezienie Św. Krzyża 3 Maja
Zofji z 3-ma córkami 15 Maja
Zuzanny P. Męcz. 11 Sierp.
Zwiastowanie NMP. 25 Marca
Zygmunta Króla 2 Maja

KALENDARZYK ŚWIĄT LEGALNYCH W STANACH ZJEDN.

Arbor Day. — Zwykle wyznaczany przez Gubernatora.
Armistice Day (Dzień Rozbrojenia) — 11 listopada.
Christmas Day (Boże Narodzenie) — 25 grudnia.
Columbus Day — 12 października.
Decoration Day, zobacz: Memorial Day.
Defense Day (Dzień Obrony) — 12 września.
Father's Day (Dzień Ojców) Druga Niedziela Czerwca
Flag Day — 14 lipca.
Independence Day (Dzień Niepodległości) — 4 lipca.
Indian Day. — Czwarty piątek we wrześniu.
Jeffersona urodziny — 13 kwietnia.
Labor Day (Dzień Pracy) — Pierwszy poniedziałek we wrześniu.
Lincolna urodziny — 12 lutego.
Memorial Day (Dzień Wieńczenia) — 30 maja we wszystkich stanach; w Alabama, Georgia, Florida i Mississippi 26 kwietnia; w North i South Carolina 10 maja.
Mother's Day (Dzień Matek) Druga niedziela w maju.
Nowy Rok — 1 stycznia.
Thanksgiving (Dzień Dziękczynienia) — Ostatni czwartek w listopadzie.
Washingtona urodziny — 22 lutego.

NARODOWE ŚWIĘTA RÓŻNYCH KRAJÓW

Argentyna — 25 maja.
Armenja — 28 maja.
Bałtyckie Kraje — 18 listopada.
Boliwja — 6 sierpnia.
Brazylja — 7 września.
Bułgarja — 5 października.
Chiny — 10 października.
Columbia — 20 lipca.
Costa Rica — 15 września.
Czechosłowacja — 28 października.
Ecuador — 10 sierpnia.
Finlandja — 6 grudnia.
Francja — 14 lipca.
Grecja — 7 kwietnia.
Guatemala — 15 września.
Haiti — 1 stycznia.
Honduras — 15 września.
Liberja — 26 lipca.
Meksyk — 16 września.
Nikaragua — 15 wrzesnia.
Niemcy — 9 listopada.
Norwegja — 17 maja.
Panama — 28 listopada.
Paragwaj — 14 i 15 maja.
Peru — 28—30 lipca.
Polska —3 maja.
Portugalja — 1 grudnia.
Rosja Sowiecka — 7-go listopada.
Salvador — 10 września.
Uruguaj — 28 lutego.
Wenezuela — 4 lipca.

ŚWIĘTA LEGALNE W KANADZIE

Nowy Rok — 1 stycznia.
Popielec.
Wielki Piątek.
Niedziela Wielkanocna.
Empire Day — 24 maja.
Dominion Day — 1 lipca.
Labor Day — Pierwszy poniedziałek we wrześniu.
Thanksgiving (Dzień Dziękczynienia) — Zwykle proklamowany na ostatni poniedziałek w październiku.
Christmas (Boże Narodzenie) — 25 grudnia.

TABELKA PORÓWNAWCZA TERMOMETRÓW

Fahrenheit	Celsius	Reaumur	Fahrenheit	Celsius	Reaumur	Fahrenheit	Celsius	Reaumur
212	100.	80.	122	50.	40.	32	0	0
210	98.9	79.1	120	48.9	39.1	30	— 1.1	— 0.9
208	97.8	78.2	118	47.8	38.2	28	— 2.2	— 1.8
206	96.7	77.3	116	46.7	37.3	26	— 3.3	— 2.7
204	95.6	76.4	114	45.6	36.4	24	— 4.4	— 3.6
202	94.4	75.6	112	44.4	35.6	22	— 5.6	— 4.4
200	93.3	74.7	110	43.3	34.7	20	— 6.7	— 5.3
198	92.2	73.8	108	42.2	33.8	18	— 7.8	— 6.2
196	91.1	72.9	106	41.1	32.9	16	— 8.9	— 7.1
194	90.	72.	104	40.	32.	14	—10.	— 8.
192	88.9	71.1	102	38.9	31.1	12	—11.1	— 8.9
190	87.8	70.2	100	37.8	30.2	10	—12.2	— 9.8
188	86.7	69.3	98	36.7	29.3	8	—13.3	—10.7
186	85.6	68.4	96	35.6	28.4	6	—14.4	—11.6
184	84.4	67.6	94	34.4	27.6	4	—15.6	—12.4
182	83.3	66.7	92	33.3	26.7	2	—16.7	—13.3
180	82.2	65.8	90	32.2	25.8	0	—17.8	—14.2
178	81.1	64.9	88	31.1	24.9	— 2	—18.9	—15.1
176	80.	64.	86	30.	24.	— 4	—20.	—16.
174	78.9	63.1	84	28.9	23.1	— 6	—21.1	—16.9
172	77.8	62.2	82	27.8	22.2	— 8	—22.2	—17.8
170	76.7	61.3	80	26.7	21.3	—10	—23.3	—18.7
168	75.6	60.4	78	25.6	20.4	—12	—24.4	—19.6
166	74.4	59.6	76	24.4	19.6	—14	—25.6	—20.4
164	73.3	58.7	74	23.3	18.7	—16	—26.7	—21.3
162	72.2	57.8	72	22.2	17.8	—18	—27.8	—22.2
160	71.1	56.9	70	21.1	16.9	—20	—28.9	—23.1
158	70.	56.	68	20.	15.	—22	—30.	—24.
156	68.9	55.1	66	18.9	15.1	—24	—31.1	—24.9
154	67.8	54.2	64	17.8	14.2	—26	—32.2	—25.8
152	66.7	53.3	62	16.7	13.3	—28	—33.3	—26.7
150	65.6	52.4	60	15.6	12.4	—30	—34.4	—27.6
148	64.4	51.6	58	14.4	11.6	—32	—35.6	—28.4
146	63.3	50.7	56	13.3	10.7	—34	—36.7	—29.3
144	62.2	49.8	54	12.2	9.8	—36	—37.8	—30.2
142	61.1	48.9	52	11.1	8.9	—38	—38.9	—31.1
140	60.	48.	50	10.	8.	—40	—40.	—32.
138	58.9	47.1	48	8.9	7.1	—42	—41.1	—32.9
136	57.8	46.2	46	7.8	6.2	—44	—42.2	—33.8
134	56.7	45.3	44	6.7	5.3	—46	—43.3	—34.7
132	55.6	44.4	42	5.6	4.4	—48	—44.4	—35.6
130	54.4	43.6	40	4.4	3.6	—50	—45.6	—36.4
128	53.3	42.7	38	3.3	2.7	—52	—46.7	—37.3
126	52.2	41.8	36	2.2	1.8	—54	—47.8	—38.2
124	51.1	40.	34	1.1	0.9	—56	—48.9	—39.1

PORÓWNANIE TERMOMETRÓW

Są trzy rodzaje termometrów czyli ciepłomierzy różniące się skalą stopni, a mianowicie: Najczęściej używany Fahrenheita, Reaumura i Celsiusa. Punkt marznięcia i punkt wrzenia wyrażone stopniami, w trzech wyż wspomnianych termometrach wykazują następującą różnicę:

Nazwa termometru	Punkt marznięcia wody	Punkt wrzenia wody
Fahrenheit	32	212
Reaumur	0	80
Celsius	0	100

Chcąc przemienić stopnie jednego na stopnie drugiego termometru postępuje się jak następuje:

Zamieniając Fahreinheita na Reaumura odciąga się od stopni Fahrenheita liczbę 32 a pozostałość mnoży przez 4/9 n.p. Termometr Fahrenheita wskazuje 68 stopni a chcemy się dowiedzieć ile jest stopni Reaumura więc od 68 odciągamy 32 pozostaje nam 36 te mnoży przez 4/9 i otrzymamy 16.

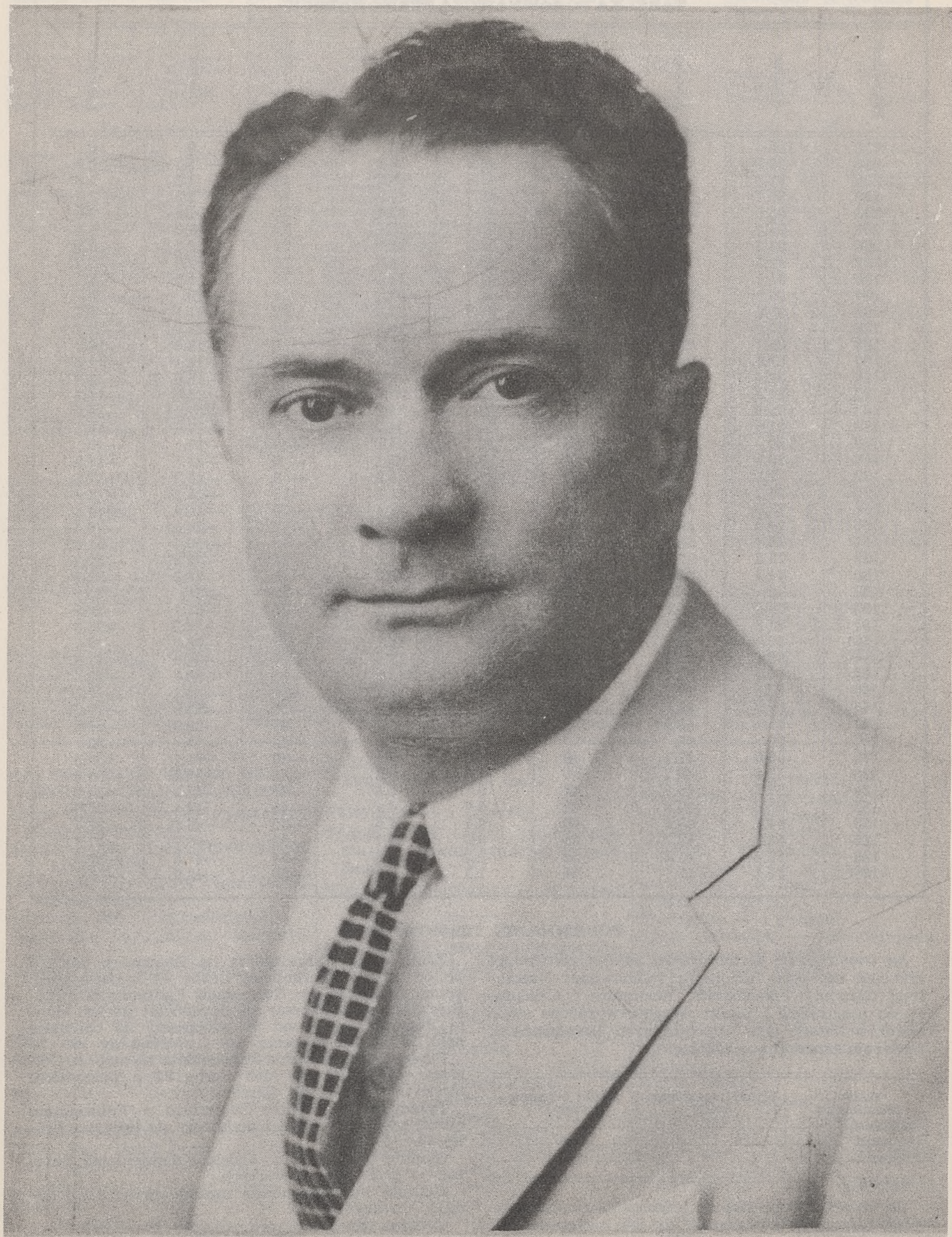
Przemieniając stopnie Fahrenheita na stopnie Celsiusa odciągamy od nich liczbę 32 a pozostałość mnożymy przez 5/9.

Przemieniając stopnie Reaumura w Fahrenheita mnożymy je przez 9/4 i dodajemy do iloczynu liczbę 32.

Stopnie Reaumura na Celsiusa zamieniamy mnożąc je przez pięć czwartych.

Celsiusa na Fahrenheita mnożąc przez 9/5 i dodając do iloczynu 32.

Celsiusa na Reaumura mnożąc przez 4/5.



EDWARD KOZMOR
Cenzor Z. N. P.



WŁADYSŁAW L. DWORAKOWSKI
Wicecenzor Z.N.P.



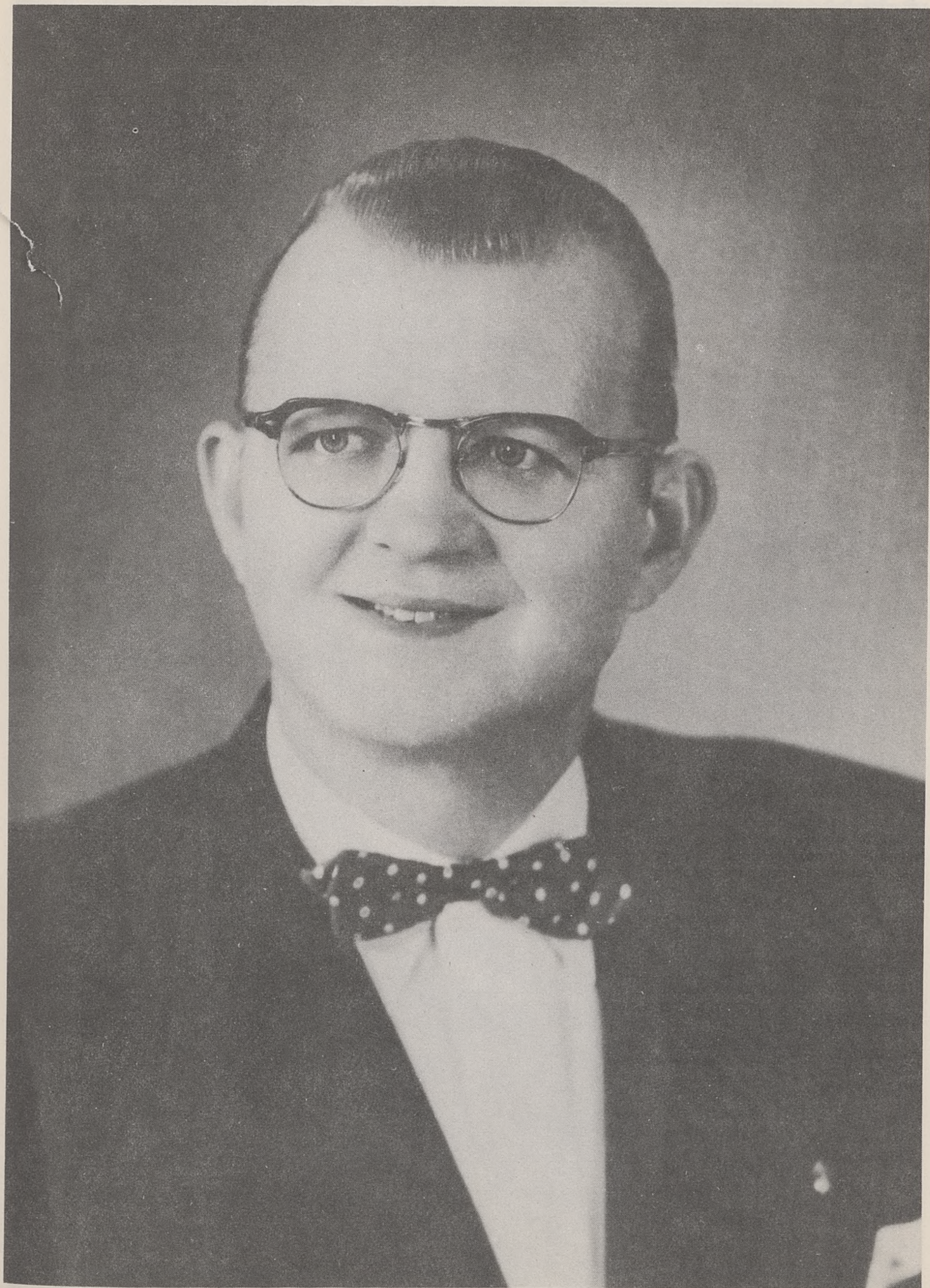
KAROL ROZMAREK,
Prezes Z. N. P.



FRANCISZKA DYMEK
Wiceprezeska Z.N.P.



FRANCISZEK PROCHOT
Wiceprezes Z.N.P.



JÓZEF F. FOSZCZ
Sekretarz Generalny Z.N.P.



JAN ULATOWSKI
Skarbnik Z.N.P.

DYREKTORZY I DYREKTORKI

Zarządu Centralnego Związku Narodowego Polskiego



Bron. Helkowska
Dyrektorka Z. N. P.



Kat. Ziemba-Dienes
Dyrektorka Z. N. P.



Bonawentura Migała
Dyrektor Z. N. P.



Karolina Spisak
Dyrektorka Z. N. P.



Michał Hołodnik
Dyrektor Obwodu "C"



Jan J. Ziemba
Dyrektor Z. N. P.

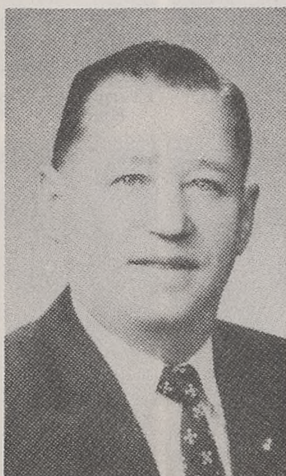


Irena Wallace
Dyrektorka Obwodu "D"



Adolf Pachucki
Dyrektor Obwodu "B"

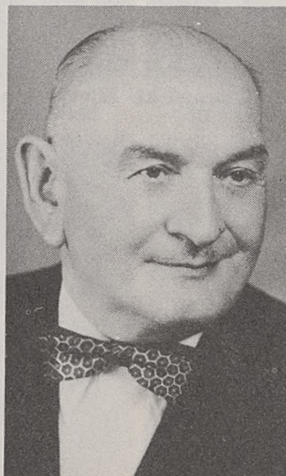




Henryk J. Spindor
Dyrektor Z. N. P.



Edward S. Gembara
Dyrektor Z. N. P.



Dr. Ant. Sampoliński
Lekarz Naczelny Z. N. P.



KOMISARZE OKRĘGÓW Z. N. P.

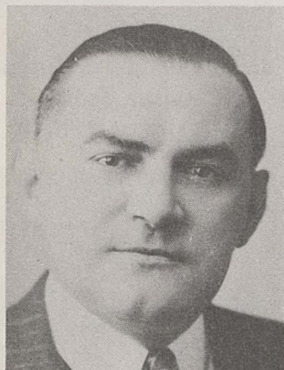
Członkowie Rady Nadzorczej Związku Narodowego Polskiego


Józef Dancewicz
Komisarz Okręgu I


Henryk Borowy
Komisarz Okręgu II


Leopold Babirecki
Komisarz Okręgu III


Jan F. Nowak
Komisarz Okręgu IV


Tadeusz Giergielewicz
Komisarz Okręgu V


Jan Jaje
Komisarz Okręgu VI


Ludwik Śliwiński
Komisarz Okręgu VII


Antoni Czeleń
Komisarz Okręgu VIII


Aleksander A. Kopczyński
Komisarz Okręgu IX


Mieczysław Odrobina
Komisarz Okręgu X

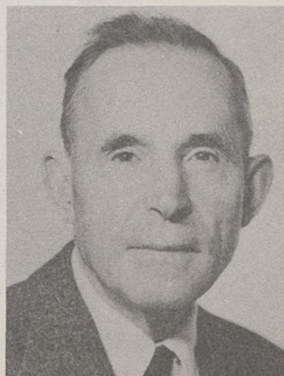

Dr. S. J. Sulkowski
Komisarz Okręgu XI


Franciszek Jendryaszek
Komisarz Okręgu XII


Walenty J. Kożuch
Komisarz Okręgu XIII


Jakób Fatla
Komisarz Okręgu XIV


Tadeusz Wachel
Komisarz Okręgu XV


Bolesław A. Wójcik
Komisarz Okręgu XVI

KOMISARKI OKRĘGÓW Z. N. P.

Członkinie Rady Nadzorczej Związku Narodowego Polskiego



Bronisława F. Niemyska
Komisarka Okręgu I



Ewelina Gavalis
Komisarka Okręgu II



Anna Tuman
Komisarka Okręgu III



Maria Tuchewicz
Komisarka Okręgu IV



Felicja J. Żochowska
Komisarka Okręgu V



Apolonia H. Danielewicz
Komisarka Okręgu VI



Zofia Wójcik
Komisarka Okręgu VII



Emilia Janowska
Komisarka Okręgu VIII



Genowefa Gratzko
Komisarka Okręgu IX



Józefa M. Wolas
Komisarka Okręgu X



Maria Godlewska
Komisarka Okręgu XI



Maria Gierut-Szeląg
Komisarka Okręgu XII



Adela Ćwik
Komisarka Okręgu XIII



Władysława Podkomorska
Komisarka Okręgu XIV



Wiktoria L. Basińska
Komisarka Okręgu XV



Ludwika Kobylak
Komisarka Okręgu XVI



ZE ZJAZDU RADY SZKOLNEJ ZNP, jaki odbył się w dniach 4-go i 5-go marca w Kolegium Związkowym w Cambridge Springs, Pa. Siedzą od lewej do prawej: Rudolf Zawierucha; skarbnik ZNP Jan Ulatowski; sekr. gen. ZNP Józef Foszcz; prezes Zw. Nar. Pol., prezes Kongresu Pol. Amer. i wiceprzewodniczący Rady Szkolnej mec. Karol Rozmarek; cenzor ZNP i przewodniczący Rady Szkolnej Edward Kozmor; Stanisław Borsa, Stanisław Samek, Edward Sitnik i dyrektor ZNP Michał Hołodnik. Stoją od lewej: dr. Artur Coleman, rektor Kolegium Związkowego; Józef Bronars, kontroler ZNP; J. Maynard, sekr. cenzora Kozmora; J. S. Świerczyński, zarządca Wydawnictw ZNP; Adam Wolanin, zarządca Kolegium Związkowego; Antoni Czeleń, komisarz Okr. 8-go ZNP, i Karol Piątkiewicz, redaktor naczelny Pism ZNP.

Historyczna Chwila w Dziejach Zw. Nar. Pol.



W DOMU ANDRZEJKOWICZÓW W FILADELFIA, PA.



Podajmy sobie bratnią dłoń! Takiemi słowy zakończyli swą pracę organizatorską Andrzejkiewicz, Białyński, Blachowski, Lipiński, Popieliński, Szajnert, pierwsi założyciele Związku Narodowego Polskiego, w roku 1880, w Philadelphia, Pa.

Te uściśnięte bratnie dłonie stały się i są dziś symbolem i godłem Związku Narodowego Polskiego.

Dzielni ci założyciele nie tracąc z oczu obowiązków względem nowoprzybranego kraju i narodu swego, zorganizowali Związek Narodowy Polski w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki w celach: doskonalszego zespolenia Ludu Polskiego na wychodźtwie; zapewnienia mu należytego rozwoju pod względem moralnym, umysłowym, ekonomicznym i społecznym; uchronienie języka ojczystego, oraz kultury i obyczajów narodowych od zaniku, i skuteczniejszego działania wszelkimi godziwymi środkami na korzyść przywrócenia i utrzymania niepodległości ziem polskich w Europie.

Od tego czasu Związek stopniowo wzrasta i rozszerza swą działalność na wszystkie stany, w których zamieszkuje ludność polska. Ze wzrostem liczbowym członkostwa, wzrasta również Związek finansowo,

Grupy Związku mają charakter bratniej pomocy, poza ubezpieczeniem, i wspólnym ideowym kierunkiem prowadzą autonomiczną działalność w dowolnym zakresie kulturalno-narodowym.

Ze wzrostem Związku rozszerza się również działalność w kierunku spelnienia ogólnych celów, mianowicie: Związek zakłada czytelnie, szkółki języka polskiego, a w roku 1912 zakłada Szkołę Związkową w Cambridge Springs, Pa., dziś akredytowane Kolegium koedukacyjne — Alliance College; pomaga również zdolnej, a uboższej młodzieży do osiągnięcia wykształcenia, udzielając jej stypendiów przez swój Wydział Oświaty. Dzięki tej działalności Związku, tysiące wykształconej młodzieży związkowej zajmuje stanowiska wyższe we wszystkich dziedzinach życia społecznego i ekonomicznego kraju.

Związek w czasie swego istnienia miał różną rolę do spełnienia. Akcja jego rozwijała się zawsze po linii niesienia wzajemnej pomocy swoim członkom i służby narodowej. Idąc po linii wskazań założycieli, Związek nigdy nie zbaczał z drogi i zawsze skutecznie pokonywał trudność i każdą przeszkodę stojącą na drodze do zrealizowania jego zamierzeń.

Przyjście pierwszej wojny światowej zastało nas już dobrze duchowo przygotowanych. Opatrzność dała nam duchowego wodza, Mistrza Paderewskiego, pod którego kierownictwem genialnego umysłu i wielkiego serca, wychodźtwo polskie w Ameryce zostało zjednoczone i zdobyło się na wysiłek wielki, moralnego, finansowego i zbrojnego czynu w pomnożeniu zdobycia Polsce niepodległości. Związek Narodowy Polski miał w tej zasłudze tym większy udział, bowiem poszedł na zew, stając na czele wszystkich innych organizacji polskich w Ameryce.

Uchwały wszystkich Sejmów były zawsze nowymi wskazaniami i zawsze potęgowały zapał do nowej pracy. Tam, gdzie chodziło o ogólne dobro organizacji i narodu, zdołano zawsze osiągnąć zgodność myśli, bo tak nakazywał obowiązek, bo taką była przewodnia myśl i idea tych, którzy kładli pierwsze podwaliny pod ten potężny już dzisiaj gmach organizacji, Związku Narodowego Polskiego, który jest dziś potęgą.

Związek, będąc organizacją bratniej pomocy, rozwijał system ubezpieczeniowy równolegle z innymi podobnymi organizacjami w Stanach Zjednoczonych. Dziś posiada najlepsze rodzaje ubezpieczenia dla pełnoletnich i małoletnich.

Jednym z głównych problemów Związku jest praca wśród młodzieży polsko-amerykańskiej. Związek, zaciągając młodzież w swe szeregi, nie chce stwarzać z tej młodzieży mniejszości polskiej w Stanach Zjednoczonych i nie chce seperować jej od reszty społeczeństwa amerykańskiego, lecz celem i zadaniem Związku jest, ażeby młodzież polsko-amerykańska stanowiła składową część społeczeństwa amerykańskiego, ażeby zdobyła wyższe wykształcenie, brała czynny udział w socjalnym, społecznym i politycznym życiu amerykańskim, i ażeby stopniowo wybijała się na jak najwyższy poziom życiowy.

Jaki udział Związek wziął w akcji ostatniej wojny? Oto: Przeszło dwadzieścia dwa tysiące Związkowców i Związkowczyń służyło w siłach zbrojnych Stanów Zjednoczonych. Z tych poległo na polu chwały 856.

Związek walczy przez Kongres Polonii Amerykańskiej o wolność narodu polskiego, o prawdziwą niepodległość Polski, o jej dawne, słuszne granice na wschodzie i zachodzie. Związek bierze czynny udział w socjalnym, społecznym i politycznym życiu amerykańskim.

Ma Związek wszelkie dane, jak zasługi na polu narodowym, potężną liczbę członkostwa, odpowiednie zasoby i ulepszony system ubezpieczenia, aby większa część Polonii znalazła się w jego szeregach. Wszyscy przeto Polacy lub pochodzenia polskiego Amerykanie nie powinni szukać opieki u obcych, gdy mają własną i lepszą organizację, jaką jest Związek Narodowy Polski.

ODMŁADZAJMY
ZWIĄZEK NARODOWY POLSKI

Związek Narodowy Polski założony w okresie ogólnego przygnębienia narodu polskiego, kiedy po przegranej z Rosją wojnie o niepodległość w roku 1863-im naród jęczał pod krwawą zemstą zwycięscy. Lecz nietylko zemsta ograniczała się do narodu polskiego pod zaborem rosyjskim, ale za ten poryw wolności zemsta objęła zabory pruski i austryjacki, w których nastał zdecydowany ucisk ekonomiczny, a który właśnie spowodował masowy odruch emigracyjny skierowany przeważnie do Stanów Zjednoczonych.

Emigracja przerzucana na grunt amerykański, w odmienne warunki kulturalne i obyczajowe, nowy tryb codziennego życia, zmuszona była skupiać się dla samopomocy w swoich dzielnicach, tworząc parafie, szkoły, towarzystwa o podłożu kulturalno narodowym. Obejmowały one jednak lokalne życie, dzielnicowe, bez sposobu objęcia szerszego koła. Odczuwano atoli ogólnie, że małe i luzem idące te towarzystwa nie przynoszą korzyści moralnych i materialnych, jakie możnaby było osiągnąć przez połączenie ich w jedną silną organizację, o programie działalności i wspólnej pracy całego wychodztwa ku jego pożytkowi i chwale imienia polskiego.

W następstwie tego, a z myślą zespolenia ludu polskiego powstał w dniu 10-go sierpnia 1880 roku Związek Narodowy Polski.

Od tego czasu Związek stale wzrasta liczbowo i materialnie. W pierwszych i w późniejszych latach opiera egzystencję swoją na osobach ze starego kraju przybyłych, lecz z biegiem lat gdy skutkiem tu już rodzonych Polaków, a stale zmniejszania się napływu osób z Polski, i gdy z tej natury rzeczy wychodztwo polskie w Ameryce przeistacza się w Polonię amerykańską, w szeregi Związku coraz więcej wstępuje osób tu zrodzonych, z pierwszego, drugiego, czy trzeciego pokolenia, i Związek chociaż wiekiem starszy to jednak przeciętny wiek członków nie jest wyższy jak był, natomiast stanie on się niższym, gdy zwiększy się napływ nowych członków o przeciętnym ich roku życia obecnie przystępujących.

Związek powstał w czasie gdy naród polski był gnębiony przez trzech zaborców. Wtedy tylko Polacy przybyli z Polski doń wstępowali. Dzisiaj w czasie gdy historia się powtarza, gdy ziemie polskie znajdują się pod okupacją najeźdzców, gdy napływ ludzi z Europy kompletnie zanikł, a starsi osadnicy od nas odchodzą w zaświaty, szukać musimy członków dla Związku z osób tu zrodzonych, naszych synów, cór i wnuków naszych.

Młodzież zrodzona w Ameryce winna masowo wstępować do Związku Narodowego Polskiego, bo Związek posiada najnowsze rodzaje ubezpieczenia, to jednak nie ogranicza swej działalności do samego interesu ubezpieczeniowego, ale prowadzi zdecydowanie rozwiniętą działalność społeczną, oświatową, patriotyczną i humanitarną.

Młodzież tu zrodzona powinna przystępować do Związku i budować w nim swą przyszłość, podstawę i oparcie zbiorowego działania, rozszerzać w nim, poza nim i przezeń swój warsztat pracy. Pracować nad utrzymaniem tego wszystkiego, co ojcowie zbudowali, podtrzymywać polskość w tym kraju, aby narodowość polska nie rozpłynęła się i nie zaginęła w tym kraju, na straży polskości trwać, życie polskie umacniać i rozszerzać. Oto zadania, które młodzież polska winna spełniać twardo, nieustępliwie, a spełniać je może przez Związek Narodowy Polski, który niedługo całkowicie przejdzie w jej ręce, gdyż już dziś najważniejsze i reprezentacyjne w nim urzędy są w rękach godnych przedstawicieli generacji tu zrodzonej, tu wychowanej, przygotowanej do steru sprawami Polonii amerykańskiej.

Obowiązkiem nas wszystkich jest organizować w szeregi Związku młodzież i przekazywać jej wzniosłe podstawy obywatelskie wobec ich kraju i kraju ich ojców, a zarazem przywiązanie do Związku Narodowego Polskiego, by tak jak Wy, synowie i córy Wasze podążały ku wzniosłym jego celom i w przyszłości objęły nad nim kierownictwo.

Odmładzajmy Związek Narodowy Polski.

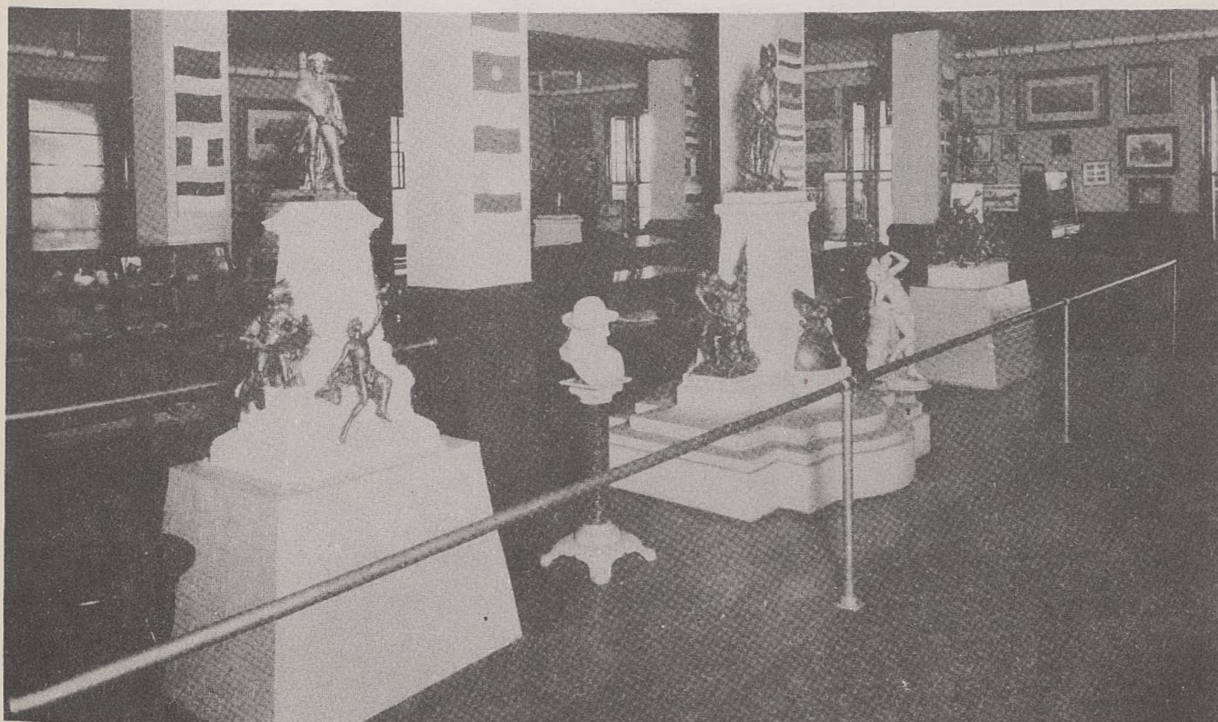
Zdjęcia z dawnego Gmachu Szkoły Związkowej w Cambridge Springs, Pa., przed pożarem.

FRONT GMACHU SZKOLNEGO.

CZĘŚĆ ZABUDOWAŃ KOLEGIALNYCH OD STRONY POŁUDNIOWEJ.

Zdjęcia z dawnego Gmachu Szkoły Związkowej w Cambridge Springs, Pa., przed pożarem.

ODDZIAŁ STUDENTÓW PRZED WYMARSZEM



MUZEUM Z. N. P. PRZY KOLEGIUM



Z uroczystości zakończenia roku szkolnego w Alliance College w Cambridge Springs, Pa. — Mowę wygłasza Prezes Z. N. P. Karol Rozmarek, siedzą na estradzie członkowie Rady Szkolnej Z. N. P. z Cenzorem E. Kozmorem na czele.

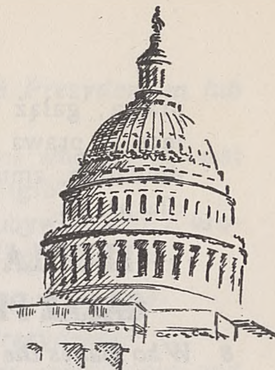


Z zakończenia roku szkolnego w Alliance College, grupa abiturientów i publiczność.



Gmach szkolny w Alliance College, w szkole związkowej.





Czy Starasz Się o Obywatelstwo?



Pytania i Odpowiedzi Najczęściej Zadawane Przy Egzaminie Obywatelskim

A. THE FORM OF OUR GOVERNMENT
A. FORMA NASZEGO RZĄDU

1. ***What is the form of our government?***
   Jaką jest forma naszego rządu?
   The United States is a republic.
   Stany Zjednoczone są republiką.

2. ***What is a republic?***
   Co to jest republika?
   It is a government in which the people rule through officers whom they elect.
   Jest to taki rząd, w którym rządzi lud przez obieranych przez ten lud urzędników.

3. ***What is the Constitution of the United States?***
   Co to jest Konstytucja Stanów Zjednoczonych.
   The Constitution is the supreme law of the United States.
   Konstytucja jest to najwyższe prawo Stanów Zjednoczonych.

4. ***What does the Constitution provide for?***
   Co ustanawia Konstytucja?
   The Constitution provides for the organization of our government and the rights and duties of the people.
   Konstytucja ustanawia organizację naszego rządu, oraz prawa i obowiązki ludu.

5. ***Can the Constitution be changed?***
   Czy Konstytucja może być zmieniona?
   Yes, by amending it. There are at present twenty-one amendments to the Constitution.
   Tak jest, przez wprowadzenie do niej poprawek. Obecnie jest takich poprawek do Konstytucji dwadzieścia jedna.

6. ***How many branches are there in our government?***
   Z ilu gałęzi składa się nasz rząd?
   There are three branches.
   Rząd nasz składa się z trzech gałęzi.

7. ***What are these three branches?***
   Jakie są te trzy gałęzie rządu?
   The legislative branch which makes the laws.
   The executive branch which carries out the laws.
   The judicial branch which enforces the laws.
   G a ł ą ź prawodawcza, ustanawiająca

prawa; gałąź wykonawcza, wprowadzająca te prawa w wykonanie, i gałąź sądownicza, zmuszającą do posłuszeństwa dla prawa.

LEGISLATIVE BRANCH
GAŁĄŹ PRAWODAWCZA

8 ***Who makes the laws of the United States?***
Kto ustanawia prawa w Stanach Zjedn.?
Congress makes the laws.
Kongres ustanawia prawa.

9. ***How many parts has Congress?***
Z ilu części składa się Kongres?
There are two parts, the Senate or the Upper House, and the House of Representatives or the Lower House.
Z dwuch części: Senatu czyli Izby Wyższej, i Izby Reprezentantów, czyli Izby Niższej.

10. ***How many members has the Senate?***
Z ilu członków składa się Senat?
There are 100 Senators. Two are elected by the voters of each state. (Find out and memorize the names of the senators from your state).
Jest stu Senatorów. Wyborcy każdego stanu obierają dwuch senatorów. (Dowiedźcie się, jak się nazywają senatorowie z waszego stanu, i zapamiętajcie ich nazwiska.

11. ***Who presides over the Senate?***
Kto przewodniczy w Senacie?
The Senate is presided over by the Vice-President of the United States.
Przewodniczącym Senatu jest Wice-Prezydent Stanów Zjednoczonych.

12. ***For what term is a Senator elected?***
Na jaki termin jest obierany Senator?
His term of office is six years.
Termin urzędowania Senatora wynosi sześć lat.

13. ***The House of Representatives consists of how many members?***
Z ilu członków składa się Izba Reprezentantów?
There are 437 members of the House of Representatives.
Izba Reprezentantów składa się z 437 członków.

14. ***How many Representatives are there from each state?***
Ilu jest Reprezentantów czyli kongresmanów z każdego stanu?
In according to the number of people in each state. Not more than one for every 30,000 people in the state. (Find out the name of the Congressman from your district.)
Zależy to od liczby ludności w tym stanie. Nie więcej, niż jeden na każde 30,000 ludności w tym stanie. (Dowiedźcie się nazwisko kongresmana z waszego okręgu zapamiętajcie je.)

15. ***For what term is a Representative elected?***
Na jaki termin obierany jest Reprezentant?
His term of office is two years.
Termin urzędowania kongresmana wynosi dwa lata.

16. ***Who presides over the House of Representatives?***
Kto przewodniczy w Izbie Reprezentantów?
The House of Representatives is presided over by the Speaker, who is selected by all the members of the House of Representatives.
Przewodniczącym Izby Reprezentantów jest tak zwany Speaker, obierany przez wszystkich członków Izby Reprezentantów.

17. ***How are the laws of the United States made?***
Jak są ustanawiane prawa Stanów Zjednoczonych?
The laws must be passed by a majority of both Houses of Congress with the approval of the President, or by a two-thirds vote of Congress after a veto by the President.
Prawa muszą być uchwalone przez większość obu Izb Kongresu i otrzymać aprobatę (zatwierdzenie) Prezydenta, albo też, po veto Prezydenta, to jest odmowie aprobaty uchwalonego przez Kongres prawa, większością dwuch trzecich części głosów.

18. ***What is the capitol of the United States?***
Jakie miasto jest stolicą Stanów Zjednoczonych?
Washington, D. C. (District of Columbia). This is where Congress meets, where the President stays and where the Supreme Court functions.
Washington, D. C. (District of Columbia). Tam zasiada Kongres, mieszka Prezydent i urzęduje Sąd Najwyższy.

EXECUTIVE BRANCH
GAŁĄŹ WYKONAWCZA

19. ***Who is our Chief Executive?***
Kto jest naszym naczelnym urzędnikiem wykonawczym?
The President.

Prezydent.

20. ***Who takes office if the President dies?***
Kto obejmuje urząd Prezydenta w razie jego śmierci?
The Vice-President,

Wice-Prezydent.

21. ***Who elects the President and Vice-President?***
Kto obiera Prezydenta i Wice-Prezydenta?
They are elected by the people.
Są obierani przez lud.

22. ***Do the people vote directly for the President and Vice-President?***
Czy lud głosuje bezpośrednio na Prezydenta i Wice-Prezydenta?
No. They vote for their electors.
Nie. Lud głosuje na ich elektorów.

23. ***For what term are the President and Vice-President elected?***
Na jaki termin obierany jest Prezydent i Wice-Prezydent?
Their term of office is four years.
Termin ich urzędowania wynosi cztery lata.

24. ***Is anyone eligible to be the President or Vice-President?***
Czy każdy może być Prezydentem lub Wice-Prezydentem?
All native-born citizens who are at least 35 years of age are eligible.
Nie. Muszą oni być obywatelami z urodzenia, w wieku conajmniej 35 lat.

25. ***What are the President's duties?***
Jakie są obowiązki Prezydenta?
He sees that laws are carried out and approves them before they become laws. He also appoints certain officials and he is the Commander-in-Chief of the Army and Navy.
Dogląda on wykonywania praw oraz aprobuje je, zanim staną się prawem. Prócz tego mianuje on niektórych urzędników oraz jest Naczelnym Wodzem Armii i Floty.

26. ***How does he carry out the laws?***
W jaki sposób Prezydent wykonuje prawa?
By appointing a cabinet and judges with the consent of the Senate.
Przez mianowanie Gabinetu oraz sędziów, za zgodą Senatu.

27. ***What is the Cabinet?***
Co to jest Gabinet?
The cabinet consists of ten secretaries appointed by the President to be the heads of the Executive departments. They advise the President and administer the laws.
Członkami Gabinetu jest dziesięciu Sekretarzy Departamentów Wykonawczych, mianowani przez Prezydenta na naczelników departamentów wykonawczych. Są oni doradcami Prezydenta i administratorami praw.

JUDICIAL BRANCH
GAŁĄŹ SĄDOWA

28. ***What is the highest court in the United States?***
Jaki jest najwyższy sąd w Stanach Zjednoczonych?
It is the Supreme Court, which has nine justices, appointed by the President for life.
Jest to Sąd Najwyższy, który składa

się z dziewięciu sędziów, mianowanych przez Prezydenta dożywotnio, to jest na całe życie.

29. *What is the function of the Courts?*
Jakie są czynności sądów?
They enforce the laws and interpret them.
Przymuszanie do posłuszeństwa prawom oraz ich interpretowanie, czyli tłumaczenie znaczenia praw.

STATE GOVERNMENT
RZĄD STANOWY

30. *Who makes the laws in the 48 states?*
Kto ustanawia prawa w 48 stanach poszczególnych?
The state legislatures.
Stanowe legislatury.

31. *What does the state legislature consist of?*
Z czego się składa legislatura stanowa?
Generally an upper house called the Senate, and a lower house called the Assembly or House of Representatives.
Legislatura stanowa składa się zazwyczaj z Izby Wyższej, zwanej Senatem stanowym, oraz z Izby Niższej, zwanej Zgromadzeniem lub Izbą Reprezentantów.

32. *Who is the chief executive of each state?*
Kto jest naczelnym urzędnikiem wykonawczym w każdym stanie?
The Governor. (Find out and memorize the name of your governor and for how long he is elected.)
Gubernator. (Dowiedzcie się, jak się nazywa gubernator waszego stanu oraz na jaki termin jest on obierany i zapamiętajcie to.)

33. *What is the highest state law?*
Co jest najwyższem prawem stanowem?
The State Constitution.
Konstytucja Stanowa.

MUNICIPAL GOVERNMENT
RZĄD MUNICYPALNY

34. *Outside of federal and state, what goverments have we?*
Prócz rządu federalnego i rządów stanowych jakie mamy jeszcze rządy?
Municipal government generally headed by a mayor. (Find out the name of your mayor and the term of his office.)
Rządy municypalne, na których czele stoi zazwyczaj major. (Dowiedzcie się, jak się nazywa wasz mayor i na jaki termin jest obierany i zapamiętajcie to.)

B. HISTORY OF THE UNITED STATES
B. HISTORIA STANÓW ZJEDN.

35. *Who discovered America?*
Kto odkrył Amerykę?
Christopher Columbus, an Italian explorer, discovered America in 1492.
Krzysztof Kolumb, żeglarz włoski, odkrył Amerykę w roku 1492.

36. *Who was George Washington?*
Kto był Jerzy Washington?
George Washington is known as the Father of Our Country. He was the first president of the United States. He was the leader of our army during the Revolutionary War, which was fought to free us from England.
Jerzy Washington znany jest, jakò Ojciec Kraju Naszego. Był on pierwszym Prezydentem Stanów Zjednoczonych. On to był wodzem armii naszej podczas Wojny Rewolucyjnej, stoczonej dla uwolnienia nas od panowania Anglii.

37. *What is the Declaration of Independence?*
Co to jest Deklaracja Niepodległości?
It is a document, written by Thomas Jefferson who later became President of the United States, which declared our independence from England and laid down the principles of liberty, equality and justice for our democratic government.
Jest to dokument, napisany przez Tomasza Jeffersona, który później został Prezydentem Stanów Zjednoczonych, obwieszczający naszą niepodległość od Anglii i wykładający zasady wolności, równości i sprawiedliwości dla naszego rządu demokratycznego.

38. ***When was the Declaration of Independence adopted?***
Kiedy została przyjęta Deklaracja Niepodległości?
The Declaration of Independence was adopted on July 4th, 1776 in Philadelphia. We therefore celebrate the Fourth of July as Independence Day.
Deklaracja Niepodległósci została przyjęta 4 Lipca, 1776 roku w Filadelfii. Dlatego obchodzimy 4 Lipca jako Dzień Niepodległości.

39. ***Who was Abraham Lincoln?***
Kto był Abraham Lincoln?
Abraham Lincoln was President during the Civil War, which was fought to preserve the United States from disruption and to free the slaves.
Abraham Lincoln był Prezydentem podczas Wojny Domowej, toczonej o zachowanie Stanów Zjednoczonych od rozbicia i o uwolnienie niewolników.

40. ***Who was Woodrow Wilson?***
Kto był Woodrow Wilson?
Woodrow Wilson was President during the World War I.
Woodrow Wilson był Prezydentem podczas I-ej Wojny Światowej.

41. ***The American flag has how many colors in it?***
Ile kolorów ma sztandar amerykański i jakie?
Three: Red, white and blue.
Trzy: czerwony, biały i niebieski.

42. ***How many stars and stripes are there in the American flag?***
Ile gwiazd i pasów jest na sztandarze amerykańskim?
50 stars, one for each of the 50 states, and 13 stripes, one for each of the 13 original states.
50 gwiazd, po jednej dla każdego z 50 stanów, i 13 pasów po jednym dla każdego z 13 stanów pierwotnych.

43. ***What are the names of the 13 original states?***
Które stany zaliczają się do 13 stanów pierwotnych?
New Hampshire, Massachusetts, Connecticut, New York, Rhode Island, Pennsylvania, New Jersey, Maryland, Delaware, Virginia, North Carolina, South Carolina and Georgia.
New Hampshire, Massachusetts, Connecticut, New York, Rhode Island, Pennsylvania, New Jersey, Maryland, Delaware, Virginia, North Carolina, South Carolina i Georgia.

C. RIGHTS AND DUTIES OF CITIZENS
C. PRAWA I OBOWIĄZKI OBYWATELI

44. ***What is the most important right of a citizen?***
Jakie jest najważniejsze prawo obywatela?
The right to vote.
Prawo głosowania.

45. ***What does the citizen do by voting?***
Czego dokonuje obywatel, głosując?
He participates in the government of the the United States by electing Senators and Representatives to Congress who make the laws, and by electing the President who administers the laws and appoints judges to enforce them.
Bierze on udział w rządzie Stanów Zjednoczonych przez obiór Senatorów i Reprezentantów do Kongresu, którzy ustanawiają prawa w Kongresie, i przez obiór Prezydenta, który zawiaduje administracją praw oraz mianuje sędziów dla ich przestrzegania.

46. ***Can the Constitution be changed?***
Czy Konstytucja może być zmieniona?
Yes. It may be changed by the will of the people, in a lawful way, prescribed in the Constitution itself.
Tak jest. Może ona być zmieniona wolą ludu w drodze praworządnej, przepisanej w samej Konstytucji.

47. ***What is the Bill of Rights?***
Co to jest Statut Praw?
The first ten amendments to the Constitution are called the Bill of Rights.
Pierwsze dziesięć poprawek do Konstytucji zwane jest Statutem Praw.

48. What rights are guaranteed by the Bill of Rights?

Jakie prawa zagwarantowane są Statutem Praw?

Freedom of religion, freedom of speech, freedom of the press, trial by jury. Also, the right to peaceably assemble. Life, liberty and property can be taken only after a trial in accordance with the law.

Wolność religii, wolność słowa, wolność prasy, sąd przez Ławę przysięgłych, jakoteż prawo spokojnego zgromadzania się. Życie, wolność i własność mogą zostać odebrane tylko po osądzeniu na mocy prawa.

49. What do other amendments to the Constitution provide?

Co ustanawiają inne poprawki do Konstytucji?

There shall be no slavery. That women shall have the right to vote. In other words, equal rights for all without regard to color, creed or sex.

Że nie może być niewolnictwa. Że kobiety posiadają prawo głosowania. Innemi słowy, równe prawa dla wszystkich bez różnicy koloru skóry, wyznania lub płci.

50. What are the duties of citizens?

Jakie są obowiązki obywateli?

To uphold the Constitution and the laws of the United States and to defend the country against outside and inside enemies.

Podtrzymywać Konstytucję i prawa Stanów Zjednoczonych oraz bronić kraju od wrogów zewnętrznych i wewnętrznych.



Tułacze Życie Kazimierza Pułaskiego

(1772-1777)

Po upadku Konfederacji Barskiej, Kazimierz Pułaski był zmuszony do opuszczenia Polski nazawsze.

Dnia 25-go czerwca 1772 roku wydał do swoich druhów i towarzyszów broni pożegnalną proklamację i cichaczem przedostał się zagranicę.

Pojechał przez Śląsk do Drezna, gdzie jakiś czas zabawił, a stąd w roku 1773 udał się do Frankfurtu nad Menem. W mieście tem zabawił Pułaski zgórą rok, utrzymując żywą korespondencję z przyjaciółmi w Polsce.

Z korespondencji tej tu we Frankfurcie dowiedział się, że w Turcji gromadzą się znowu resztki konfederatów barskich.

Na wiadomość o tem w grudniu 1774 pośpieszył do Turcji. Przedostał się do Sylistrji i tam znalazłszy 40 swoich ludzi, utworzył z nich oddział wojskowy.

Na wieść jednak o tem, że konfederaci w kraju poddali się królowi i powrócili do Polski, gdzie otrzymali amnestję, zachęcił i swoich towarzyszów do powrotu do kraju. Wierni żołnierze usluchali swego przyjaciela i powrócili do ojczyzny.

Sam jednak komendant nie powrócił.

Pozostał w Konstantynopolu.

Sam. Nic mu nie pozostało, ani nikt nie pozostał z nim.

Ojca stracił, obydwóch braci stracił, cały majątek zabrany przez Rosję, stracił.

Pozostał sam, ze smutnem sercem swojem i dolą swą. I honor ojczyzny pozostał z nim.

W Konstantynopolu dowiedział się Pułaski z gazet, iż w Ameryce wybuchła rewolucja przeciwko Anglji i że we Francji przebywa agent amerykański niejaki Franklin, który zaciąga żołnierzy na pomoc Amerykanom.

Nie myśląc wiele wyjechał do Francji, gdzie spotkał się z Franklinem i szczegółowych zasięgnął informacyj o rewolucji amerykańskiej.

Zdecydował się wyjechać do Ameryki i oddać swe cenne usługi wydobywającej się na wolność republice. Sam bowiem był republikaninem.

Kazimierz Pułaski i Benjamin Franklin

Po upadku konfederacji barskiej Pułaski, zagrzany opowiadaniami o wojnie kolonji amerykańskiej przeciw Anglikom, postanowił do onego kraju zamorskiego popłynąć i kolonistom swe usługi ofiarować.

Wtedy to przybył do Paryża pełnomocnik amerykański, Benjamin Franklin, człowiek uczony i zacny, który werbował ochotników i za morze wysyłał.

Pułaski zainteresował się tą osobistością, pośpieszył z Turcji, 4-go lutego 1776 roku do Paryża, aby się dowiedzieć więcej szczegółów, dotyczących rewolucji amerykańskiej.

Spotkanie się tych dwóch wybitnych osobistości nastąpiło w małej wiosce pod Paryżem, dnia 17-go października, 1776.

Franklin był to starzec poważny, siwowłosy, bardzo miłej i otwartej twarzy.

"Dowiedziawszy się — pisze Rogowski w pamiętnikach swoich — jakie są nasze zamiary uścisnął nam ręce i bardzo był nam rad. Spodziewam się, powiedział, że panowie Polacy, którzy w świecie mają sławę dzielnych wojowników, będą wielką pomocą dla mojej biednej ojczyzny". Na co Pułaski odparł: "W narodzie naszym obrzydzenie jest do wszelkiej tyranji, a zwłaszcza cudzoziemskiej, więc gdzie na kuli ziemskiej biją się o wolność, to jest jak gdyby nasza własna sprawa".

Zanim Pułaski wyjechał do Ameryki, często odwiedzał Franklina, informując się i rozmawiając dużo o stosunkach istniejących w Ameryce.

Wyjazd Kazimierza Pułaskiego do Ameryki

Zaopatrzony w listy polecające od Benjamina Franklina, wyjechał Kazimierz Pułaski do Ameryki z Havru dnia 4-go czerwca 1777 r.

Dnia 20-go sierpnia stanął na ziemi amerykańskiej tego samego roku 1777 — na tej ziemi, na której Pułaski miał się okryć nieśmiertelną sławą i gdzie miał zginąć bohaterską śmiercią w obronie wolności Ameryki.

Wylądował i natychmiast udał się z listem od Franklina do Jerzego Waszyngtona, który obozował naówczas w okolicach Filadelfji.

Obóz Waszyngtona koło Filadelfji

"Było może 10,000 wojska, obozującego w szałasach, wyplatanych z chróstu — pisze naoczny świadek Rogowski, towarzysz Pułaskiego — i zdaleka wyglądało to jakby wieś olbrzymia, otoczona wałami i rowem. Na pierwszy rzut oka nie podobała mi się ta armja amerykańska, nie mając bowiem jednakowych mundurów, nie robiła wrażenia wojska, ale zakrawała na pospolite ruszenie. Większa część żołnierzy ubrana była w szare kurty, niektórzy tylko w płócienne opończe, jedni w butach, drudzy w trzewikach, a inni zupełnie boso". W ogniu natomiast bili się odważnie, tak, że Pułaski, stary wojownik wyraził się tak o tych żołnierzach: "Nie mają butów, ale mają serce."

Spotkanie Pułaskiego z Waszyngtonem

Było to w roku 1777 przy końcu sierpnia w obozie Waszyngtona.

Od dwóch lat krążyła już po kraju deklaracja amerykańska, zwiastująca zrzucenie przemocy angielskiej i ogłaszająca w imię wolności i swobody obywatelskiej powstanie wolnych Stanów Zjednoczonych. Wojska angielskie nacierały z całą furją na bohaterskie oddziały amerykańskich powstańców, walczących w imię nowych haseł, nowej idei powstającego demokratyzmu.

W obozie ruch. Oto przybyły wiadomości, że nieprzyjaciel zachodzi od Brandywine. Gorączkowe przygotowania do wymarszu na krwawe spotkanie z nieprzyjacielem.

W tej chwili młody oficer polski stanął przed Waszyngtonem, ofiarując swe usługi na obronę wolności Ameryki.

Waszyngton przywitał Pułaskiego serdecznie bez miejsca zapytał go, czy chce służyć w piechocie, czy w kawalerji. Na odpowiedź Pułaskiego, że wyrósł na koniu i wolałby być przeznaczonym do jazdy, Waszyngton uradował się bardzo, albowiem kawalerja kolonistów nie miała dowódcy.

Przydzielił tedy zaraz Pułaskiego do swego sztabu i natychmiast napisał do kongresu prośbę, by Pułaskiemu oddano dowództwo nad całą jazdą amerykańską.

Kongres przyjął zaraz wniosek Waszyngtona, mianował Pułaskiego brygadjerem kawalerji amerykańskiej.

Bitwa pod Brandywine

Pułaski z armją Waszyngtona w charakterze sztabowca niedługo czekał na sposobność zdobycia imienia dzielnego oficera i dobrego Polaka.

Pod Brandywine dnia 11-go września 1777 roku nastręczyła się Pułaskiemu okazja. Tu był początek jego zasług w walce o wolność Ameryki, tu był pierwszy popis rycerza polskiego wśród wojsk kolonjalnych.

W tej walce Pułaski odznaczył się walecznością, gdy ze swymi dragonami przeleciał cały obóz angielski, obracając go w niwecz.

Tu też Pułaski z garstką tylko swych ludzi uratował armję Waszyngtona od rozbicia.

Przyznaje mu to pułkownik Paweł Bentalou, który z Pułaskim zapoznał się w dzień przed bitwą pod Brandywine. Odtąd też był nieodstępnym towarzyszem Pułaskiego aż do jego bohaterskiej śmierci pod Savannah.

W cztery dni po bitwie pod Brandywine Kongres mianował Pułaskiego generałem kawalerji wojsk powstańczych.

Zima w roku 1777-1778

Kawalerja amerykańska nie miała żadnej wprawy bojowej, dlatego też Pułaski poświęcił całą zimę na wyćwiczenie i zaprowadzenie w swoich szeregach karności całkowitej.

Na ciągłych ćwiczeniach i drobnych podjazdach płynęły tygodnie i miesiące.

Wigilja K. Pułaskiego i T. Kościuszki

Było to w roku 1777 w przededniu wigilji Bożego Narodzenia. Pułaski ze swym oddziałem stał naówczas w Trenton, N. J.

Nadchodzące dni świąteczne poddały myśl Karolowi, adjutantowi Pułaskiego, urządzenia polskiej wigilji...

"Taił się z tem, ale naostatek musiał zwierzyć się towarzyszowi Pułaskiego Maciejowi, bo bez jego pomocy wykonać tego nie mógł.

"Panie Macieju. Mam do was prośbę. Gdybyście mi pomóc chcieli, zrobilibyśmy coś miłego generałowi.

"Z duszy, z serca, wszak wiesz, że ja dla niego dałbym się w kawałki porąbać. Mów.

"Jutro wigilja Bożego Narodzenia. Ja wszystko urządzę. Mam już zamówione ryby morskie, jaja żółwie, murzyn nasz ugotuje. Zjemy na sianie po polsku i przy gwiazdach.

"A niech ci Bóg płaci, myśl złota. Ale skądże ty opłatka weźmiesz. A bez opłatka co to będzie za wilja. Niema wilji bez niego, to darmo.

"Na próżno łamali sobie głowę. Zgodzono się jednak zastawić wieczerzę z ryb na sianie, a w kącie snop polski.

"Snop. Miły Boże, skądże tu wziąć w Ameryce ów snop polskiego zboża? Gdzież żyto, pszenica, jęczmień, owies... wszystko aż do lnu i tatarki? Bo w snopie na wilję nic nie powinno brakować.

"A im tego wszystkiego potrzeba było, by polską macierz przypominało.

"Maciej Rogowski nie śmiał pytać skąd się wezmą pieniądze na ucztę, wiedział bowiem, że żaden ich nie miał.

"Karol miał od ojca zegarek złoty z łańcuszkiem, długo oszczędzał go, wahał się, żałował, ale dla wodza ukochanego można było poskąpić ofiary? Poszedł i sprzedał go po cichu.... Z tego grosza miała się wilja wyprawić.

"Szło tylko o opłatek.

"Już Karol pomyślał o upieczeniu opłatka, gdy dowiedział się, że w niedalekiej osadzie mieszka ksiądz Francuz. Karol siadł na konia, aby pojechać do tego księdza.

"Już minął ostatnie domki osadników, gdy na drodze zjechał się z obcym mężczyzną, widocznie podróżującym. Rysy jego nie piękne, ale miłe i łagodne, miały w sobie coś tak polskiego, że Karol uderzony i strojem i twarzą, natychmiast konia powstrzymał.

"Podróżny siedział na koniu objuczonym i miał przewodnika.

"Przyłożywszy rękę do czapeczki, podróżny odezwał się po angielsku.

"Czy znajdę w Trenton brygadjera Pułaskiego? Pan pewnie należysz do jego oddziału?

"Po wymowie pytającego Karol poznał cudzoziemca. Serce mu uderzyło i sam nie wiedział, jak wyrwało mu się słowo polskie.

"A Polak, brat, zawołał ochoczo podróżny i obaj skoczyli z koni, aby uściskać się jak bracia rodzeni.

"Jadę od granic Kanady, rzekł podróżny, umyślnie tu do Was, do Pułaskiego, którego poznać pragnąłem. Nazywam się Tadeusz Kościuszko.

"O słyszeliśmy już o Was. Jakże generał rad Wam będzie. Ja jestem adjutantem jego. Nazywam się Karol Pluta.

"Ach nie wiesz, przerwał rozrzewniony Kościuszko, co to jest po długim poście posłyszeć mowę swoją, zobaczyć brata.

"Wsiedli na konie i wrócili do Trenton. Pułaski był uszczęśliwiony z przybycia gościa.

"Tym sposobem wilja Bożego Narodzenia stała się podwójną uroczystością dla tych dwojga wielkich serc, rzuconych losem w daleki świat, zdala od swej najdroższej ojczyzny Polski.

"Słuchaj, mój Macieju, rzekł Pułaski wieczorem do Rogowskiego, nasz święty ojcowski obyczaj każe gościa serdecznie przyjmować, a jeszcze takiego gościa, naszego Polaka. Sprzedaj, co chcesz, zastaw, pożycz, a trzeba, żeby wiedział, żeśmy mu radzi.

"Panie Generale, rzekł Rogowski, proszę być spokojnym. Obmyślimy środki.

"Dzień wigilijny zeszedł prędko. Obydwaj wielcy ludzie poszli oglądać okolicę, rozmawiając po drodze o Bugu i Wiśle.

Nareszcie nadszedł wieczór wigilijny.

Karol oczekiwał już tylko ukazania się gwiazd...

Wszystko było gotowe...

A kiedy już pierwsza gwiazda się ukazała, wszedł do ogródka, gdzie przechadzali się dwaj wielcy bohaterowie i rzekł do Pułaskiego:

Panie Generale, wieczerza na stole.

A wieczerza. Tak. Żartuj zdrów. Co mi to za wieczerza w Ameryce.

Nie polska to nasza, owa wigilja braterska uczta święta.

Wtem murzyn otworzył drzwi.

Salka przedstawiała widok niezwyczajny i niespodziany.

Naga izba ubrała się świątecznie, ściany zawieszone były zielonemi gałęziami cedrów, stół świecił rzęsisto, okryty białym całym obrusem, pod którym znajdowało się siano. W kącie stał ogromny snop zboża, przypominający godło pracy naszego rolnika.

Pułaski stanął olśniony. A widząc opłatki na talerzu, odwrócił się do Karola i ze łzami prawie porwał go za szyję, całując: Poczciwy, kochany przyjacielu, chyba twoje złote serce dokazać tego mogło.

Drżącą ręką chwycił opłatek i podał go pierwszemu Kościuszce. Gdy w Polsce rozłamiemy go kiedyś z braćmi — przypomnij sobie Trenton — rzekł z cicha.

Milcząco i uroczyście jak w świątyni, łamali się tułacze opłatkiem, a myśli ich i serca biegły tam, skąd dla nich biły także serca stęsknionej rodziny, braci i przyjaciół.

Sztandar Pułaskiego

Sztandar Pułaskiego to drogocenny klejnot, to szacowny znak, bo pod nim walczył Kazimierz Pułaski i pod nim swe młode życie położył za wolność Ameryki.

Jedyna to istniejąca relikwia po Pułaskim i jego legjonie.

W Betlehem, Pa. mieszkali podówczas Bracia i Siostry Morawskie. Dom tych Sióstr często był napadany przez rabusiów. Pułaski, który w tych stronach z polecenia Waszyngtona prowadził walki przez całą zimę i wiosnę roku 1778, chronił ten dom Sióstr i opiekował się niemi.

Z wdzięczności za to Siostry wyhaftowały wspaniały sztandar i ofiarowały go dla Legji Pułaskiego.

Chorągiew zrobiona z jedwabiu z odznaką Oka Opatrzności, otoczona dokoła trzynastu gwiazdami i napisem: Non alius regit. Brzegi bramowane złotem a po rogach wyszyte cztery granaty. Na drugiej stronie znajdują się litery U. S. i znowu łaciński napis: Unita virtus fortior.

Po śmierci Pułaskiego, sztandarem opiekował się jego serdeczny przyjaciel Beltalou. Potem sztandar poszedł w poniewierkę. Od zupełnego zniszczenia uratował go Mayer, sekretarz Marylandzkiego Towarzystwa Historycznego, który w roku 1845 wydostał chorągiew z rąk właścicieli. Resztki chorągwi do dzisiaj znajdują się w Baltimore, Md. Każdy Polak może tę drogocenną pamiątkę oglądać w tem mieście.

Rok 1778

Rok 1778 był bardzo gorącym dla Pułaskiego i jego żołnierzy. Musiał prowadzić walkę podjazdową, zjawiać się nagle, cofać się, to znowu uderzał na nacierające siły angielskie.

On to uratował armję amerykańską od zagłady przed niespodziewanym napadem Anglików pod Warren, on to walczył pod Germantown, gdzie przez niespodziewany atak zabrał wielką ilość jeńców wojennych i zmusił Anglików do cofnięcia się z zajmowanych pozycyj.

Odznaczył się walecznością pod Tavern, White Marsh i w wielu innych potyczkach zwłaszcza w licznych potyczkach w stanie New Jersey.

W roku 1778 dnia 28-go marca zrezygnował z komendy nad całą kawalerją i zorganizował niezależny oddział wojskowy, znany pod nazwą Legjonu Pułaskiego.

Cudów waleczności dokazywał z tym oddanym sobie całkowicie oddziałem. Gdzie się go najmniej spodziewano, zjawiał się nagle, siejąc postrach i zamieszanie w wojsku i obozach nieprzyjacielskich.

W październiku 1778 otrzymał rozkaz udania się ze swoim oddziałem do miejscowości Little Egg Harbor, gdzie napotkał silną armję angielską i gdzie poniósł wielkie straty i mimo

ponawianych ataków, zmuszony był do opuszczenia terenu.

Rok 1779

Całą zimę przepędził Pułaski w miejscowości Minisink, N. J., skąd liczne czynił wycieczki przeciwko Anglikom, napadając ich znienacka i czyniąc wielkie szkody w obozie nieprzyjacielskim.

Z wiosną tego roku, w maju 1779 wysłany został do Charleston, gdzie 8-go maja 1779 uderzył na nadchodzącą armję brytyjską tak skutecznie, że trzymał ją w szachu aż do nadejścia pomocy w dniu 13-go maja tegoż roku.

Jako dowódca swego legjonu wspierał generała Greena, a walczył tak skutecznie, że w krótkim czasie przepędził Anglików z całej południowej Karoliny.

Ostatecznie w ciągłych utarczkach i podjazdach utracił Pułaski zdrowie, tak dalece, że przyjaciele radzili mu odpocząć. Zawziął się jednak Pułaski i ani słyszeć nie chciał o odpoczynku.

Śmierć bohatera

We wrześniu 1779 roku odesłany został wraz z wojskiem pod rozkazy generała McIntosh w Savannah, w stanie Georgia.

Tu zanim wojska angielskie zorjentowały się w położeniu, Pułaski przerwał ich linje i nawiązał komunikację z odciętą flotą francuską.

Dnia 9-go października 1779 roku Kazimierz Pułaski na czele dwustu kawalerzystów uderzył na obóz angielski z zamiarem przedostania się na tyły do obozu i zdobycie w ten sposób zwycięstwa. Będąc doskonałym kawalerzystą rzucił się naprzód w gorący bój. Tu jednak dostał się w krzyżowy ogień angielskich kartaczownic i śmiertelnie trafiony pociskiem w górną część prawego biodra, padł na ziemię.

Rannego bohatera przyniesiono do okrętu amerykańskiego Wasp, gdzie Pułaski skonał 11-go października 1779. Bohatera pochowano w morzu z wszelkimi honorami wojskowymi.

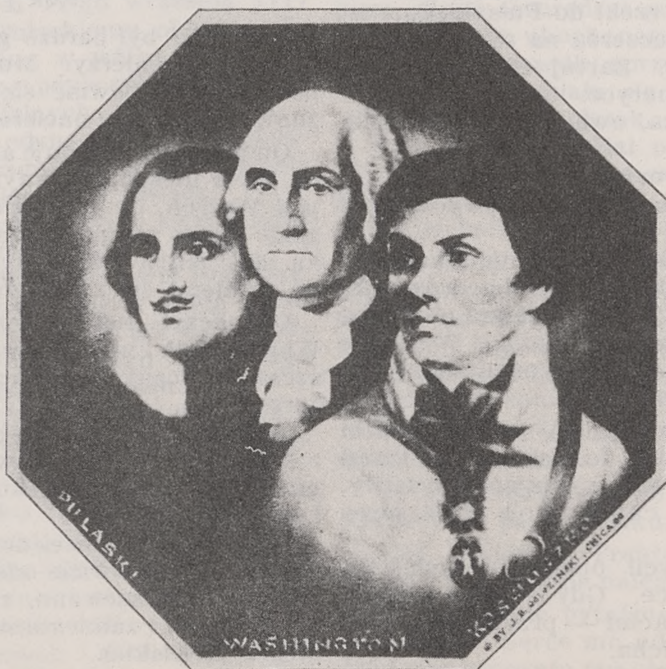
Niektórzy sądzą, że Pułaski nie był pochowany w morzu, lecz w Charleston, gdzie odbyła się wspaniała ceremonja pogrzebowa, lub też w Savannah, gdzie wdzięczne miasto postawiło bohaterowi pomnik, pod który pierwszy kamień położył przyjaciel zabitego, Lafayette, w roku 1825.

O złożeniu w łono morskie ciała bohatera pisze poeta.

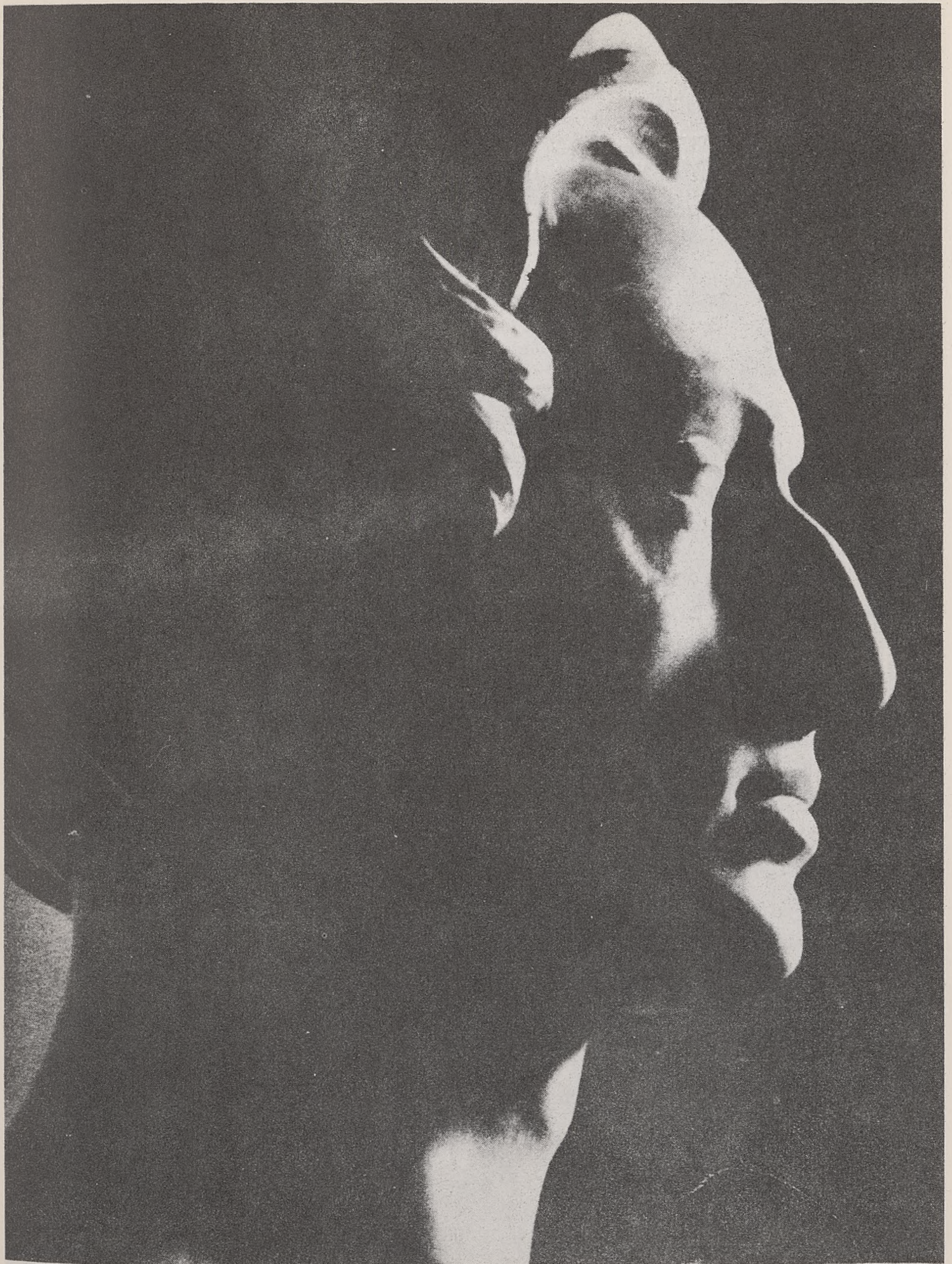
Po zwyczaju w białe żaglów płótna
Omotano bohatera zwłoki
I dźwignęła w wody nurt głęboki,
Jakby dla martwego jego ciała,
Ni piędź ziemi na grób nie została.

Tak zginął dziewiątego października roku tysiąc siedmset siedmdziesiątego dziewiątego ostatni konfederat barski, mając zaledwie trzydzieści sześć lat pełnego bohaterstwa życia.

W Savannah wystawiono mu pomnik a w galerji kongresowej wśród zasłużonych mężów Ameryki znajduje się popiersie Kazimierza Pułaskiego.



KOŚCIUSZKO WASHINGTON I PUŁASKI



Fryderyk Chopin


Tu
urodził się
Fryderyk Chopin
22 luty
1810

Rodem warszawianin,
sercem Polak, a talentem
świata obywatel.

CYPRIAN KAMIL NORWID

150 lat temu niedaleko Warszawy, we wsi Żelazowa Wola, wśród równin mazowieckich — przyszedł na świat genialny muzyk polski Fryderyk Chopin.

W małym skromnym domku, krytym gontem, przyszedł na świat ten, który tak gorąco ukochał swój kraj i temu płomiennemu uczuciu nadał tak doskonały kształt w muzyce.

Ojciec jego, Mikołaj Chopin, wywodził się z rodziny dworzanina króla Stanisława Leszczyńskiego, Mikołaja Szopy z Kalisza, który wywędrował do Francji i tam założył w Nancy handel win. Wnukiem owego Mikołaja Szopy, który przyjechał w 1787 roku do Polski — miał być ojciec Fryderyka.

Osiemnastoletni Mikołaj Chopin osiadł w Warszawie, trudniąc się udzielaniem lekcji francuskiego. Brał udział w walkach powstańczych pod wodzą Kilińskiego, a po upadku powstania kościuszkowskiego był przez wiele lat wychowawcą młodzieży na dworach w Czernijewie i w Żelazowej Woli u hrabiny Skarbek. Domem w Żelazowej Woli zarządzała Justyna Krzyżanowska, uboga szlachcianka, daleka krewna Skarbków. Pełna wdzięku, pracowita, wykształcona zdobyła serce młodego nauczyciela. Mieli podobne zainteresowania, z zamiłowaniem uprawiali muzykę — ona grając na fortepianie, on na skrzypcach i flecie. Ślub odbył się w 1806 roku.

Wkrótce po urodzeniu się Fryderyka pan Mikołaj otrzymał posadę nauczyciela języka francuskiego w Liceum Warszawskim, prowadzonym przez zasłużonego pana Linde, i przeniósł się wraz z rodziną do stolicy. W tym samym roku państwo Chopinowie założyli wzorowy pensjonat dla chłopców, co znacznie poprawiło ich sytuację materialną.

Dzieci, Fryderyk i o cztery lata starsza Ludwika, wzrastały w atmosferze ciepła rodzinnego i niezwykłej serdeczności. Fryderyk był bardzo delikatny, wątły i nader wrażliwy na muzykę. Usposobienie miał niezwykle żywe. Chętnie płatał figle, układał dowcipne wierszyki. A podczas wakacji spędzanych w Szafarni u Dziewanowskich wydawał tak zwany „Kurier Szafarski", zabawnie parodiując popularny „Kurier Warszawski".

Fenomenalne zdolności do muzyki Fryderyk ujawniał już jako 6-letnie dziecko. Pierwszym jego nauczycielem był Czech — Wojciech Żywny. Postępy w nauce, jakie od początku czynił mały uczeń, wprawiały w zdumienie i podziw sędziwego mistrza. Z łatwością opanowawszy klawiaturę, Fryderyk bardzo wcześnie próbował komponować, a pomysły miewał tak ciekawe, że Żywny zaczął je spisywać. Przeważnie były to marsze, walce, polonezy. Zachował się spośród nich Polonez B-dur, dedykowany Wiktorii Skarbkównie, a wydany w roku 1817 jako opus 1.

Po roku nauki kompozycje małego artysty cieszyły się już dużą popularnością wśród znawców.

Do 13 roku życia Fryderyk pobierał nauki w domu. Następnie przyjęty został do czwartej klasy Liceum Warszawskiego. W latach szkolnych do grona najbliższych przyjaciół Chopina należeli Julian Fontana, Tytus Wojciechowski, Jan Matuszyński, Dziewanowski. I tej serdecznej przyjaźni kompozytor pozostał wierny przez całe życie.

W roku 1822 Żywny, uznając, iż talent ucznia przerasta jego możliwości jako pedagoga, zrezygnował z lekcji z Fryderykiem. Chopin zaczyna szukać natchnienia w ludowej pieśni polskiej. Korzysta z każdej nadarzającej się sposobności, szczególnie w czasie pobytu na wsi, by przysłuchiwać się melodiom płynącym z chat, z karczm, na chłopskich świętach lub weselach i chłonąć je, chłonąć pełną piersią.

W 1826 roku wstąpił Fryderyk do Konserwatorium — do klasy kompozycji profesora Elsnera. W okresie studiów powstały w latach 1827 i 1828 Wariację B-dur „Là ci darem la mano" na tematy z „Don Juana" Mozarta, utwór na fortepian z orkiestrą, dedykowany Tytusowi Wojciechowskiemu. Następnie Trio g-moll, dedykowane księciu Radziwiłłowi, i świetne Rondo à la Krakowiak, dedykowane ks. Czartoryskiej. Wówczas też powstały niezrównane Wariacje „Souvenir de Paganini", napisane pod wrażeniem gry Paganiniego, który koncertował w Warszawie.

A trzeba tu zaznaczyć, że w ówczesnej Warszawie życie muzyczne rozkwitało bardzo bujnie. Warszawska opera, kierowana przez Karola Kurpińskiego, wystawiała najwybitniejsze dzieła mistrzów obcych, zwłaszcza włoskich i niemieckich. Często gościli tu najznakomitsi wykonawcy, dostarczając publiczności warszawskiej niezapomnianych i głębokich przeżyć artystycznych. Warszawskie wieczory muzyczne kształcą smak

Kościół Św. Krzyża w Warszawie, w którym spoczywa serce Chopina



Fryderyka, a stałe obcowanie z twórczością innych kompozytorów pozwala rozejrzeć się w problemach warsztatu twórczego.

W lipcu 1829 roku, po trzech latach studiów, Chopin kończy Konserwatorium z adnotacją: „Geniusz muzyczny". W tym samym roku za namową przyjaciół udaje się do Wiednia, jednej ze stolic muzycznych Europy. Tu na dwóch koncertach wykonał Wariacje „Là ci darem la mano" oraz Rondo à la Krakowiak, odnosząc ogromny sukces.

Wraca do Warszawy. Jest wówczas ogarnięty wielkim uczuciem do Konstancji Gładkowskiej, młodej śpiewaczki, uczennicy Konserwatorium. Pod wpływem tych przeżyć powstają niezrównane Koncerty Chopina — f-moll i e-moll, dzieła w pełni dojrzałe, zwiastujące geniusz kompozytorski nieprzeciętnej miary.

Dnia 17 marca 1830 roku odbyło się w Teatrze pierwsze publiczne wykonanie Koncertu f-moll. Powodzenie było nieopisane. Wtedy to przyjaciele zaczęli namawiać Fryderyka, by na dłużej wyruszył w świat,

spróbował swych sił za granicą, nawiązał stosunki ze środowiskiem muzycznym Paryża — ówczesnej stolicy świata.

W przeddzień wyjazdu, na uroczystym bankiecie trwającym do białego rana, grono serdecznych przyjaciół żegna Fryderyka. Uroczyście wręczają mu upominek — srebrny puchar z garścią ziemi rodzinnej. Nazajutrz, przy wyjeździe z bram miasta, czekała go jeszcze jedna niespodzianka. Chór męski, złożony z kolegów — na czele z Elsnerem — odśpiewał kantatę Elsnera „Choć opuszczasz nasze kraje, serce twe wśród nas zostaje". Wzruszony Chopin uściskał wszystkich i odjechał z bolesnym przeczuciem, że nie powróci tu nigdy.

Zaopatrzony w listy polecające do znakomitych muzyków jechał znów do Wiednia — miasta kompozytorów. Świeże tu były jeszcze tradycje i wspomnienia czasów Mozarta, Haydna, Beethovena, Schuberta. Żyli i działali Hummel, Czerny.

Osiem miesięcy przebywał Chopin w Wiedniu. Poznał wiele wybitnych osobistości ze świata muzycznego. Obracał się wśród polonii wiedeńskiej. Na wieść o wybuchu powstania listopadowego rwał się do kraju. Przeżywał głęboką tragedię na myśl, że w kraju młodzież zaciąga się do wojska, a on tkwi w Wiedniu, skazany na przymusową bezczynność. W smutne święta Bożego Narodzenia całą swą tęsknotę za krajem wypowie Chopin w przepięknej kolędzie „Lulajże, Jezuniu", włączonej do Scherza h-moll.

Sytuacja finansowa Chopina była wówczas bardzo trudna — utrzymywał się wyłącznie z pieniędzy przysyłanych z domu.

Z Wiednia wyrusza Chopin do Paryża. W drodze zatrzymał się w Salzburgu, Monachium i Stuttgarcie, gdzie dał szereg koncertów zdobywając zasłożne uznanie. W Stuttgarcie właśnie dotarła doń tragiczna wieść o upadku powstania i kapitulacji Warszawy. Z bólu i rozpaczy zrodzi się wielki hymn walki — Etiuda c-moll, zwana popularnie rewolucyjną, Ballada g-moll i Preludium d-moll.

Wrzesień 1831 roku zastaje Chopina w Paryżu. Chopin miał już wtedy za sobą poważny dorobek kompozytorski. Dzięki listom polecającym od razu wszedł w środowisko muzyczne, poznał znakomitych kompozytorów, między innymi Rossiniego i Cherubiniego. Spotkał znowu Liszta, Kalkbrennera, Mendelsona i Hillera. Styka się z wieloma wybitnymi ludźmi ze świata kultury i sztuki. Kontakty szybko zacieśniają się, stosunki stają się zażyłe. Chopin uczęszcza do opery na koncerty, doznaje nowych silnych wrażeń.

Kompozycjami Fryderyka interesują się już wybitni muzycy. W entuzjastycznym artykule poświęconym Chopinowi Schuman pisał: „Czołem bijcie, moi panowie. Oto geniusz". Lisztowi, ówczesnemu kró-

lowi fortepianu, brakło słów podziwu i zachwytu nad etiudami Chopina. Studiował je kilka miesięcy, po czym zabłysnął wspaniałym ich wykonaniem na koncercie. Serdecznie zaprzyjaźnił się Chopin z Kalkbrennerem, który bardzo ułatwił mu stosunki w Paryżu; dzięki jego staraniom odbył się pierwszy koncert Chopina w tym mieście.

Koncert stał się wielkim wydarzeniem w świecie artystycznym Paryża. Krytyka z zachwytem podkreśla wdzięk i oryginalność nowego stylu fortepianowego.

W ślad za tym zmienia się również sytuacja Chopina. Stał się teraz wybitną osobistością Paryża. Kompozycje jego są dosłownie rozchwytywane przez wydawców. Nadto dzięki ks. Radziwiłłowi, który wprowadził Fryderyka do domu barona Rotszylda, otrzymał Chopin masę świetnych lekcji, co ustabilizowało jego pozycję materialną. Zmienia też wkrótce mieszkanie na większe, wygodniejsze.

Utrzymywał Chopin ścisły kontakt z emigracją polską. Rodaków wspomagał hojnie. Żalił się jednak na ciągłe swary emigracyjne.

Latem 1835 roku w Karlsbadzie spotkał się Chopin z rodzicami, a w drodze powrotnej, w Dreźnie, odwiedził swoich znajomych z Warszawy, państwa Wodzińskich.

Z rodziną tą wiąże się drugi wielki dramat osobisty kompozytora. Zakochany w córce Wodzińskich, Marii, prosi o jej rękę. Jednakże po dwóch latach narzeczeństwa rodzice odmawiają zgody na ślub ze względu na zły stan zdrowia Fryderyka. Zerwanie bardzo boleśnie dotknęło Chopina.

Po powrocie do Paryża tworzy Chopin nową serię wielkich etiud. Wtedy to właśnie car Mikołaj chciał go obdarzyć tytułem nadwornego pianisty, co wiązało się z wielkimi zaszczytami i korzyściami materialnymi. Chopin odmawia ze względów patriotycznych, zamykając sobie w ten sposób drogę powrotną do kraju.

Sława Chopina wzrasta. Pracując intensywnie, wciąż nowe wydaje kompozycje, choć stan jego zdrowia ciągle się pogarsza. A cokolwiek pisze, nosi piętno polskości. Szczególnie mazurki — te perły prawdziwe jego twórczości. Każdy z nich w innym nastroju — to rzewny, to skoczny, a wszystkie tak malownicze w bogactwie barw muzycznych. Gdyby potężny car wiedział, jak niebezpiecznym wrogiem są mazurki Chopina, owe — mówiąc słowami Schumana — armaty ukryte wśród kwiecia, zakazałby tej muzyki.

Chopin podbijał swoimi kompozycjami cały świat. Wszędzie docierają jego melodie, a najznakomitsi pianiści z Lisztem na czele grają jego utwory, najwybitniejsi malarze i rzeźbiarze odtwarzają jego wizerunki.

Rok 1838 przynosi Chopinowi trzecią wielką miłość. Kobietą, która odtąd tyle znaczyć będzie w jego życiu, jest Aurora Dudevant, doskonała pisarka, znana pod pseudonimem „George Sand". Utalentowana, oryginalna zdobyła znaczną pozycję w świecie literackim Paryża. Romans z George Sand trwał osiem lat. W Paryżu mieszkali w sąsiedztwie, latem w dworku w Nohant. Panowała tam atmosfera wysoce intelektualna, tchnąca ciepłem rodzinnym, tak bardzo niezbędnym Chopinowi do pracy.

Zimę tego roku postanowiono ze względu na chorobę Chopina spędzić w łagodnym klimacie hiszpańskiej wyspy Majorki. Pobyt na Majorce był jednakże niefortunny — wskutek fatalnej pogody stan zdrowia Chopina znacznie się pogorszył, miewał krwotoki. Tu trawiony postępującą chorobą płuc i tęsknotą za ojczyzną kończy Preludia, Polonezy

Wołłejko w roli Fr. Chopina w filmie „Młodość Chopina"



A-dur i c-moll, Balladę F-dur, Scherzo cis-moll oraz pisze słynne Preludium d-dur, nazwane deszczowym.

Gdy czuje się już nieco lepiej, powraca do Francji. Tu, w Nohant, zdala od zgiełku paryskiego, zabrał się z zapałem do pracy. Wtedy w 1839 roku, powstaje jedno z najwybitniejszych dzieł jego — Sonata b-moll z marszem żałobnym.

Zimę spędza w Paryżu — zapraszany, rozrywany, stale otoczony przez wielbicieli. W towarzystwie był niezrównany. Posiadając talent aktorski, świetnie naśladował swoich przyjaciół ku uciesze obecnych. Słowem, był ozdobą salonów.

W tym czasie dostąpił Chopin nie lada zaszczytu — zaproszono go na dwór króla Ludwika Filipa. Grą swą wzbudził taki zachwyt, iż zapraszano go częściej, obdarowując wspaniałymi upominkami, na których był zawsze wyryty napis: „Filip — król Francji — Fryderykowi Chopinowi".

Przyjacielskie stosunki z Francuzami Chopin często wykorzystywał na rzecz wychodźstwa i sprawy polskiej. Szczególnie bliskie stosunki łączyły go z Matuszyńskim, Fontaną, Grzymałą i apostołem emigracji — Witwickim.

Na jesieni przyjechał do Paryża Mickiewicz. Chopin otaczał go uwielbieniem, Mickiewicz zaś był pełen zachwytu dla gry Chopina.

Lato 1841 roku było bardzo pracowite. Chopin, nadal otoczony czułą opieką pani Sand i jej córki, pisze dużo. Mimo powszechnej sympatii i uwielbienia nie czuje się jednak szczęśliwy. Gnębią go niedomagania fizyczne i tęsknota za krajem.

Rok 1844 przyniósł dlań dwie wielkie straty — stracił bowiem ojca i serdecznego przyjaciela, Matuszyńskiego. W związku ze śmiercią Mikołaja Chopina nawiązał się kontakt między panią Sand i rodziną Fryderyka. Serdeczne stosunki zacieśniły się jeszcze bardziej po wizycie siostry Chopina, Ludwiki Jędrzejowiczowej, z mężem w Nohant.

Po upływie trzech lat na tle spraw rodzinnych powstał konflikt między Chopinem a panią Sand. Doszło do zerwania. Chopin wyjechał bez pożegnania i nigdy nie wrócił do Nohant. Od tej pory, pozbawiony troskliwej kobiecej opieki, komponował coraz mniej, choroba szybko czyniła postępy. Koncert w sali Pleyela, na którym byli obecni król i królowa, był jego ostatnim występem w Paryżu. Następny już nie odbył się, wybuchła bowiem rewolucja lutowa.

Wówczas Jane Stirling, uczennica Chopina, Szkotka, zaproponowała mu wyjazd do Anglii. Chopin wyjechał i rozpoczął triumfalne tournée po Anglii i Szkocji. Jeden z występów Chopina uświetniła swoją obecnością królowa Wiktoria z małżonkiem.

Przez cały okres pobytu w Anglii niepokoiła Chopina sytuacja we Francji i w Polsce. Ponure wieści z kraju przeżywa bardzo ciężko. Zbyt częste koncerty wyczerpują go.

Dnia 16 listopada 1848 roku grał w Londynie na wielkim balu, z którego dochód przeznaczony był na rzecz emigrantów polskich. Był to ostatni występ Chopina na estradzie.

W styczniu powrócił do Paryża. Stamtąd wzywa do siebie siostrę Ludwikę. Teraz już stale czuwają nad nim przyjaciele: Franchomme, ulubiona uczennica Czartoryska, uczeń Gutman, serdeczna przyjaciółka Delfina Potocka, Delacroix i wielu, wielu innych. Jednakże wątłe siły odmawiają mu posłuszeństwa.

Przyjaciele dniem i nocą nie odstępują od łoża umierającego. Ks. Jełowiecki udziela ostatnich sakramentów.

17 października 1849 roku Chopin umiera.

Podczas gdy prasa całego świata obszernie rozpisywała się o przedwcześnie zgasłym Geniuszu Muzyki, w Paryżu odbywały się przygotowania do uroczystego pogrzebu. Uroczystości żałobne rozpoczęły się we wspaniale udekorowanym kościele św Magdaleny, wśród tłumów przedstawicieli świata dyplomatycznego, polityków, naukowców i artystów. Po marszu żałobnym Chopina i „Requiem" Mozarta wykonano dwa preludia Chopina na organach. Zgodnie z życzeniem Chopina ciało jego złożone zostało na cmentarzu Pére Lachaise obok Belliniego i Cherubiniego, wśród najbardziej zasłużonych. Na trumnę wysypano garść ziemi ojczystej, którą przed 20 laty ofiarowali mu w Warszawie żegnający go przyjaciele, a serce kompozytora przywieziono do Warszawy i wmurowano w filar Kościoła św. Krzyża.

W tragicznych dniach 1944 roku, kiedy rozpadły się w gruzy mury Warszawy, a jej mieszkańcy szli na tułaczkę, serce Chopina musiało również opuścić miasto. Przechowywane z pietyzmem, wróciło 17 października 1945 roku na swe dawne miejsce.

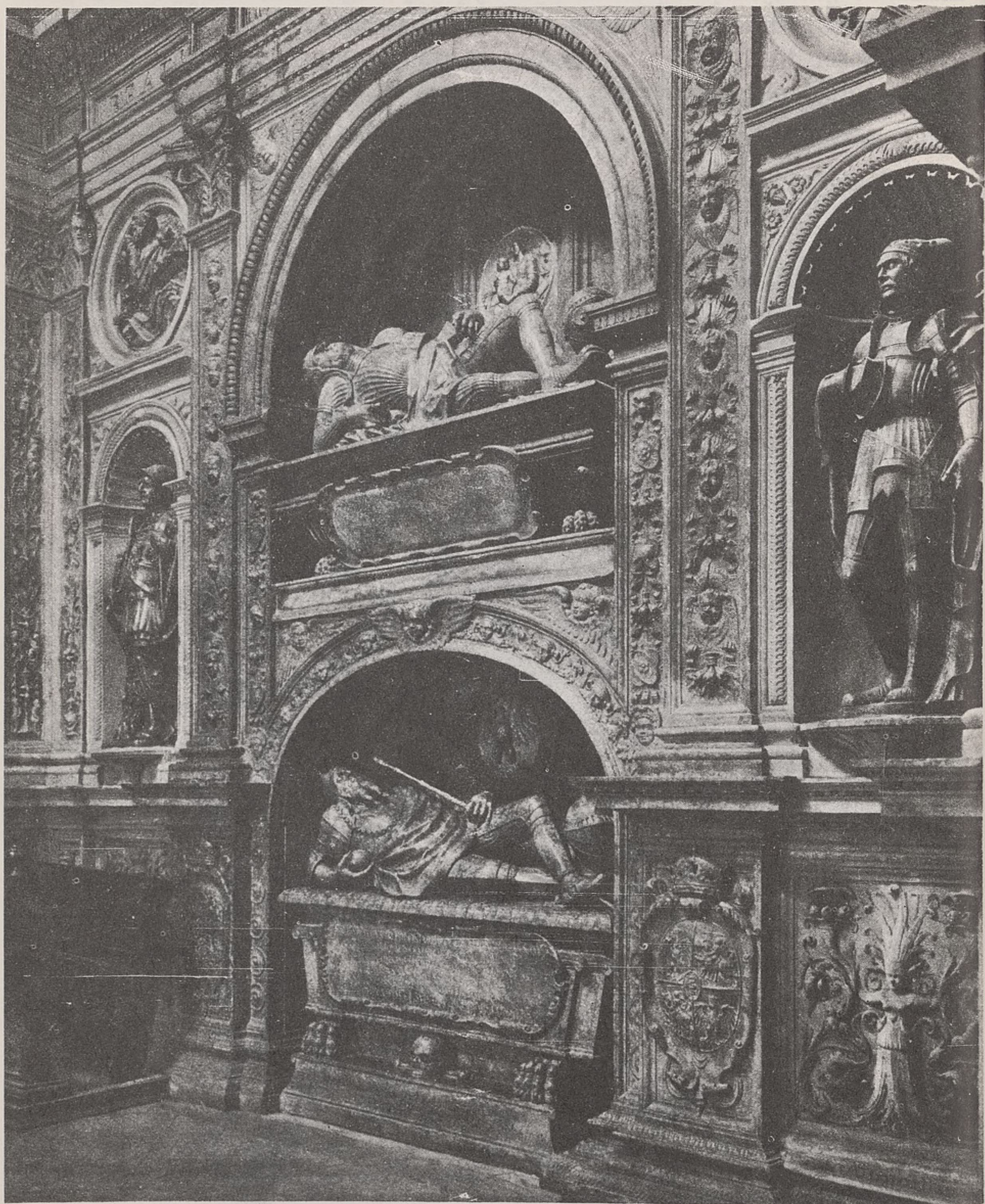
Barbarzyński okupant wywiózł i stopił piękny pomnik wystawiony Chopinowi w warszawskich Łazienkach. Najeźdźca, zdając sobie sprawę z wpływu muzyki Chopina na Polaków, zabronił wykonywania jej. Tak

gorzko potwierdziła historia słuszność wypowiedzianych ongiś słów Schumana, że „muzyka Chopina to armaty ukryte wśród kwiecia”.

Polska godnie czci pamięć genialnego twórcy. Jego muzyka, z wielkiej miłości do ojczyzny zrodzona, znajduje żywy oddźwięk w sercach tych, którzy tak samo czuć i myśleć potrafią.



Plakat Roku Chopinowskiego

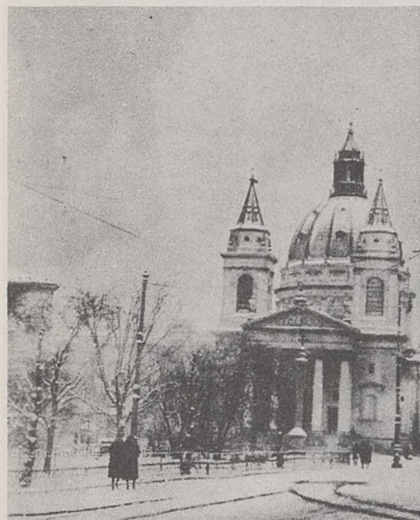


KAPLICA ZYGMUNTOWSKA NA WAWELU



Brama w zamku piastowskim w Brzegu nad Odrą

Wędrówki PO WARSZAWIE



Tak wyglądał kościół św. Aleksandra przed wojną.



Ruiny kościoła św. Aleksandra — dzieło militaryzmu niemieckiego

DROGA wiodąca z Placu Zamkowego ku południowi miasta, przez Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat, przecina plac Trzech Krzyży, by wpaść w najpiękniejszą z ulic Warszawy — Aleje Ujazdowskie.

Zatrzymajmy się na chwilę na tym placu. Musieli się tu zatrzymywać też i podróżni jadący przed wielu, wielu laty do Warszawy, bądź też z niej wracając. Trakt bowiem przerwany był wówczas w tym miejscu wartkim strumieniem, wyłaniającym się z dzisiejszej ulicy Żurawiej i płynącym dalej wąwozem obecnej ulicy Książęcej.

Między rokiem 1819 a 1820 wzniesiono na placu kościół pod wezwaniem św. Aleksandra, którego piękną klasycystyczną sylwetę zaprojektował wybitny architekt owych czasów Piotr Aigner.

W latach późniejszych dobudowano nową część z dwiema wysokimi dzwonnicami. Po barbarzyńskim zniszczeniu kościoła w roku 1944 został on odbudowany według pierwotnego projektu Aignera.

Na placu Trzech Krzyży wznosi się gmach Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych, który już w 1891 roku gromadził pod swą opieką ponad 300 głuchoniemych i ociemniałych. Tuż obok Instytutu przebiega szeroka aleja prowadząca do nadwiślańskiego Parku Kultury i Wypoczynku.

Tak wygląda plac Trzech Krzyży po odbudowie

Fot: CAF





Kościół parafialny z XVII stulecia w Jarosławiu.



Zamek w Krasiczynie.



GLIWICE — miasto pow. w woj. katowickim, duży ośrodek górniczo-przemysłowy i kulturalny (Politechnika Śląska, Instytut Onkologiczny, Główny Instytut Metalurgii i in.). We wrześniu 1939 r. miała tu miejsce hitlerowska prowokacja—"napad" na czynną w tym mieście rozgłośnię niemiecką. "Napad" zorganizowany przez Gestapo przy użyciu więźniów obozu koncentracyjnego miał posłużyć jako argument przeciwko "agresywnym" Polakom.

Na zdjęciu — Pomnik Adama Mickiewicza w Gliwicach w czasie składania wieńca przez Powstańców Śląskich.

Błękity wstrząsać będę mym protestem

w 50 rocznicę zgonu
MARII KONOPNICKIEJ

Któż z nas nie zna tych przedziwnie melodyjnych wierszy? Któż nie wzruszał się do głębi, kim nie wstrząsały strofy o niedoli ludzkiej, nieszczęściu i krzywdzie, nędzy i bólu, strofy rozdzierające w swej wymowie, jak właśnie ta:

Wsiałem ci ja czarną rolę
Na wiosnę
Dwie głowiny chłopiąt moich
Żałosne,
Co daremnie poglądały
Oczyma,
Czy w komorze kęsa chleba
Gdzie nie ma...

W iluż ciężkich chwilach naszej przeszłości krzepiły nas słowa „Roty", owej przysięgi, że „nie rzucim ziemi, skąd nasz ród", ileż razy powtarzać musieliśmy słowa, że „twierdzą nam będzie każdy próg".

Odczuwamy głęboką wdzięczność i w rocznicę zgonu wszyscy chylimy czoła w hołdzie ich autorce — Marii Konopnickiej. Wdzięczność nie tylko za piękno przekazanego nam przez nią słowa, za poezję pełną liryzmu i słodyczy, lecz głównie za owo żarliwe, współczujące serce, za pasję, z jaką poświęcała się służeniu człowiekowi, prostemu ludowi, jego doli — niedoli. Bo to głównie kierowało jej utalentowanym piórem. W jednym ze swych pierwszych wierszy takie wzięła na siebie posłannictwo:

Nisko nad ziemią, tą co w bólach kona,
By mogła objąć z miłością w ramiona
Smutnych miliony...
I choćby wszyscy milczeli, ja przecie
Błękity wstrząsać będę mym protestem.

Pisać zaczęła poetka późno, bo już jako dojrzała 33-letnia kobieta. Urodzona w 1842 roku w Suwałkach, wcześnie osierocona przez matkę, wychowywała się pod kierunkiem ojca — światłego, postępowego człowieka, z zawodu prawnika. Z domu rodzinnego w Kaliszu, dokąd przenieśli się rodzice, państwo Wasiłowscy, wyniosła Maria uczucia gorącej miłości do ojczyzny ciemiężonej przez trzech zaborców.

A był to okres niezwykle burzliwy, okres wielkiego napięcia patriotycznego, które doprowadziło do wybuchu powstania w 1863 roku. Klęska dotknęła bezpośrednio Marię, wówczas już zamężną: w walce zginął jej jedyny brat, sama zaś z mężem, Jarosławem Konopnickim, zmuszona była aż do ogłoszenia amnestii kryć się za granicą.

Po powrocie do kraju Konopniccy osiadają na niewielkim folwarku w Gusinie. Tu właśnie, w ścianach szlacheckiego dworku, w atmosferze dla Marii obcej, wręcz odpychającej, bo pozbawionej szerszej myśli, dusznej i beztreściwej, przemijają lata Konopnickiej.

Jednakże okres ten, w którym przyszła poetka ogranicza się do roli gospodyni i matki wychowującej sześcioro dzieci, nie pozostał bez wpływu na jej talent. Tu właśnie rodzą się w niej gorzkie spostrzeżenia wywołujące bunt. Wszak za ścianami dworu toczy się życie wsi, pełne chłopskiej krzywdy... Zrazu nieśmiało, sięga Konopnicka po pióro — debiutuje w prowincjonalnym piśmie „Kaliszanin" poezją tchnącą pięknem ojczystego kraju. Gdy jednak już i pisma stołeczne drukują jej wiersze, przenosi się natychmiast z dziećmi do Warszawy, by w ciężkich warunkach, często niedojadając — tworzyć dalej.

Na ten czas przypada właśnie wielki rozkwit literatury polskiej: znana już jest szeroko koleżanka Marii z ławy szkolnej — Orzeszkowa, piszą Asnyk, Bałucki, Prus, zaczynają się ukazywać pierwsze utwory Sienkiewicza „ku pokrzepieniu serc". Wkrótce wśród tych wielkich pisarzy zajmuje miejsce i Konopnicka. Po pierwszych utworach dochodzi w jej twórczości do głosu owe gorące, czułe serce, wybija się gwałtowny protest przeciw społecznej i narodowej przemocy, prowadzący ją na szczyty skrajnego nieraz radykalizmu. Rzuca poetka śmiało społeczeństwu gorzkie „dlaczego". Owo piekące, pełne oskarżenia „dlaczego" przewijać się będzie przez całą jej 35-letnią twórczość.



Maria Konopnicka

Czemu ta przepaść, która braci dzieli
Na pokrzywdzonych i krzywdzicieli,
Tak jest bezbrzeżna jako oceany
A taka straszna, jak rozdarte rany?

Staje Konopnicka po stronie „pokrzywdzonych", oddaje im w służbę swe najgorętsze uczucia, swoje utalentowane pióro, dni i noce twórczego trudu. Nic już nie będzie w stanie oderwać jej od szczytnego posłannictwa orędowniczki „bladych nędzarzy przy cudzym warsztacie". Ani choroba, zmuszająca ją do wielokrotnych wyjazdów w celach leczniczych za granicę — do Czech, Włoch, Szwajcarii, Niemiec i Francji — ani to, że wreszcie zmuszona jest w 1890 roku na stałe opuścić centrum umysłowe kraju, Warszawę, ani niezbyt szczęśliwe pożycie małżeńskie i stałe kłopoty finansowe.

Jej utwory niemal bez reszty poświęcone są jednemu celowi. Szturmuje w nich do sumień ludzkich, wstrząsa nimi, budzi z uśpienia i sobkostwa obrazami nędzy i poniżenia, niesprawiedliwości i nieszczęścia. Mistrzyni w stwarzaniu nastroju, nastroju grozy i bezmiernej rozpaczy — wstrząsa czytelnikiem aż do skurczu w gardle, do łez, do bezwiednego zaciśnięcia pięści. Ona, niedawna mieszkanka dworu, na takie zdobywa się słowa:

Przed dworskim gankiem stanęło ich czworo
Główki na mrozie odkrywszy z pokorą.
Zwyczajnie, dzieci z maleńka już karne
Wiedzą, że dwór jest rzecz pańska, wielmożna,
Nie to, co chaty ich, nędzne i czarne...

Gorzka jest „chłopska krzywda", bez osłonek przedstawia ją poetka:

Posępna rzecz jest ta siwa siermięga,
Przesiąkła potem i łzami zdarta,
Na zgiętym w pracy i niedoli grzbiecie
Nędzarza, który nigdy z ciemności nie sięga
Do światła żadną ożywczą nadzieją...
Jakby nie łachman, ale rana żywa
Na narodowym ciele się krwawiąca.

Na karty poezji polskiej wprowadza Konopnicka nowych bohaterów — ludzi pokrzywdzonych. Oto pojawia się tragiczna postać „wolne-

go najmity" — uwolnionego z pańszczyzny, ale również pozbawionego i zagona, osamotnionego i bezradnego.

Czegóż on stoi? Wszak wolny jak ptacy?
Chce — niechaj żyje, a chce — niech umiera.
Czy się utopi, czy chwyci się pracy,
Nikt się nie spiera...
I choćby garścią rwał włosy na głowie,
Nikt się, co robi, jak żyje, nie spyta...
Choćby padł trupem nikt słówka nie powie...
— Wolny najmita.

Jej bohaterem jest gruźlicze dziecko komornicy, Jaś, który nie doczekał wiosny, a którego los ciśnie na usta poetki powtarzające się pytania:

O bracie, czy w nas wcale nie ma winy,
Że słonka Jaś nie doczekał?

Jej bohaterami — to sierota przed sądem, to nędzarskie dziecko umierające w piwnicznych izbach lub zgoła bez dachu, to ów Stach na wojnie, gdzie „najdzielniej biją króle, a najgęściej giną chłopy." Pisze o ludziach prostych, znękanych, uciśnionych brzemieniem nieszczęść. Odnajduje w nich przeżycia godne najbaczniejszej uwagi, warte najwyższego szacunku — takie jak przywiązanie do ziemi ojców, patriotyzm najszczerszy, opierający się zaborcom.

Chodziły tu Niemce,
Chodziły odmieńce
Sprzedaj, chłopie rolę,
Będziesz miał czerwieńce...

Bogatyś ty, Niemcze,
I trzos twój chędogi,
Ale na tą ziemię
Jeszcześ za ubogi.

Nie odda chłop ziemi, bo ją miłuje, miłuje „ten dach słomiany", „ten krzyż pochyły", „fujarki granie", „cmentarz rozkwitły".

A toć by mi dzieci
Po nocach tęskniły,
Nie wiedząc, gdzie szukać
Ojcowej mogiły.

Patriotyzm pisarki wybucha nieśmiertelnymi słowami „Roty" — gorącym protestem po wypadkach we Wrześni, gdzie skatowano polskie dzieci — strofami pełnymi umiłowania ojczyzny:

Co mi nada, co pomoże
Cudza ziemia, cudze morze,
Kiedy moja dusza cała
Tam przyrosła, tam została
Gdzie mój stary próg.

Piękne są wiersze Marii Konopnickiej. Odznaczają się prostotą i niezwykłą melodyjnością pieśni ludowych, owych dumek i kołysanek, pieśni miłosnych i tanecznych, przyśpiewek i pieśni obrzędowych. „Ona ci czytelniku polski, i twoją ziemię i twoje uczucia wyrazi i wyśpiewa w twej cudnej mowie z taką mocą i ozdobą, że aż sam zadziwisz się bogactwem tej mowy" — napisał Sienkiewicz na 25-lecie twórczości poetki. Opowiadania przez nią pisane są dowodem jej mistrzostwa równie w prozie, należą do pereł literatury polskiej.

Tak jak i w jej poezji pełne tragizmu są postacie występujące w nowelach „Pod prawem" czy „Mendelu Gdańskim", „Dymie" i „Miłosierdziu gminy", niezapomniane są stronice „Naszej szkapy" czy „Winiarskiego fortu". „Moi znajomi" — zatytułowała Konopnicka swój zbiór nowel z 1890 roku. Jak najbardziej słusznie, wszak Urabowa i Józef Srokacz, Banasiowa i Wojciech Zapała, starowina z „Martwej natury", broniąca zwłok syna-nędzarza przed ostatnim upokorzeniem ludzi biednych — „Wspólnym pochowem", czy Żyd-zegarmistrz, Mendel, w którym po pogromie żydowskim „umarło serce do tego miasta" — wszyscy oni są bliskimi autorce, z wszystkimi w ich niedoli się solidaryzuje.

Widziała Konopnicka jeden jeszcze bolesny problem ludu polskiego. Szły w tych latach masowo w świat rodziny chłopskie, gnane z przeludnionych wsi nędzą nie do zniesienia. Szło chłopstwo za chlebem w dalekie kraje, płynęło za Ocean. Rwały się chłopskie serca przy pożegnaniu ojcowizny:

Już najgorsza taka droga,
Już najgorsze takie wrota,
Co wywodzą z twego proga,
Chato moja — moja złota.
Już najkrwawsza taka zorza
Najsmutniejsza taka dola,
Co wypędza het, za morza,
Z swojej ziemi, z swego pola.

Tęsknota za krajem zapiera dech w piersi dalekich wędrowców, na obczyźnie.

Choćby tobie dwoje żniwo,
Choćby w żniwie dwoje plonu,
Zawsze tęsknisz do zagonu
Coś go orał sochą krzywą.
Zawsze dusza ci ucieka
Za te góry, za te wody,
Zawsze chata ci daleka,
Jak chleb pachnie i jak miody.

Poświęciła poetka dalekim wędrowcom przepiękne strofy swej poezji, wypłakała wraz z nimi skargi i tęsknoty, oderwanie od ziemi ojców i ból wrastania w obce środowisko. Z emigracją związała wspaniały poemat epicki, szczytowe osiągnięcie swego talentu — „Pana Balcera w Brazylii".

Miał swoje eposy stan rycerski, były wspaniałe eposy szlacheckie, a z nich największy „Pan Tadeusz" — Mickiewicza. Maria Konopnicka stworzyła epos ludowy, epos chłopski, którego głównym bohaterem jest — jak sama określiła — „taki ot Beniowski od warsztatu". Przeróżne mają przygody chłopscy wędrowcy w dalekiej Brazylii, nie dane jest im zadomowić się tam na dobre, wynędzniali moralnie i fizycznie wracają do kraju. Wstrząsające są słowa końcowej pieśni z „Pana Balcera", poetycki testament Konopnickiej, przekazujący jej wiarę w triumf wyzwolonego ludu:

Idziem, do ciebie, ziemio, matko miła,
By upaść czołem na twoje zaproże...
Nie jeno liczba my — ale i siła.
Nie jeno pług my, co łany twe orze,
Ale i pieron, co Bóg go posyła,
By walił bory o spróchniałej korze...
Nie jeno proch my, co z wiatrem polata,
Ale i bary dźwigające pół świata.

Młotami walić będziem w twojej kuźni,
Sochą w rozświatach krajać twe zagony,
Aż ci się pęto u szyji rozluźni,
Aż buchnie z ciebie ogień zatajony...
Niechaj nas nie tknie nikt, niechaj nie bluźni,
Że nie masz synów, dla twojej obrony.

Minęło 50 lat od śmierci wielkiej poetki (zmarła 8.X.1910 r.). Zmieniło się wiele na „ojczystym zagonie", zmieniło się na lepsze. Zawsze jednak z wdzięcznością czytamy jej słowa serdeczne i piękne. A ową „siermięgę siwą" — tak jak tego pragnęła poetka —

...my, my sami
Wśród narodowych skarbów i pamiątek
Ten nędzny, zgrzebny, poszarpany szczątek
Chować będziemy — i oblewać łzami.

J. Gajewski

Pejzaż Suwalszczyzny



W O L N Y   N A J M I T A

Wąską ścieżyną, co wije się wstęgą
Między pólkami jęczmienia i żyta,
Szedł blady, nędzną odziany siermięgą,
Wolny najmita.

I nigdy wyraz nie był dalszym treści,
Jak w zestawieniu takim urągliwym!
Nigdy nie było tak głuchéj boleści
W jestestwie żywym!

Rok ten był ciężki: ulewa smagała
Srebrnym swym biczem wiosenne zasiewy
I ziemia we łzach zaledwie wydała
Słomę a plewy.

Z chaty, za którą zaległy podatki,
Wygnany nędzarz nie żegnał nikogo...
Tylko garść ziemi zawiązał do szmatki
I poszedł drogą.

W powietrzu ciche zawisły błękity,
Echo fujarki spod lasu wschód wita...
Stanął i otarł łzę połą swej świty,
Wolny najmita.

Wolny, bo z więzów, jakimi go przykuł
Rodzinny zagon, gdzie pot ronił krwawy,
Już go rozwiązał bezduszny artykuł
Twardej ustawy...

Wolny, bo nie miał dać już dzisiaj komu
Świeżego siana pokosu u żłoba;
Wolny, bo rzucić mógł dach swego domu,
Gdy się podoba...

Wolny, bo nic mu nie ciąży na świecie —
Kosa ta chyba, co zwisła z ramienia,
I nędzny łachman sukmany na grzbiecie,
I ból istnienia...

Wolny, bo jego ostatni sierota,
Co z głodu opuchł na wiosnę, nie żyje...
Pies nawet stary pozostał u płota
I z cicha wyje...

Wolny! — Wszak może iść albo spoczywać,
Albo kląć z zgrzytem tłumionej rozpaczy,
Może oszaleć i płakać, i śpiewać —
Bóg mu przebaczy...

Może zastygnąć, jak szrony, od chłodu,
Bić głową w ziemię, jak czynią szaleni...
Od wschodu słońca, do słońca zachodu
Nic się nie zmieni.

Ubogi zagon u nędznej twej chatki
I mokrą łączkę, i mszary, i wrzosy
Obsadzi urząd... podatki! podatki!
Ty idź do kosy!

Idź, idź! Opłatę do kasy wnieść trzeba,
Choć jedno ziarno wydadzą trzy kłosy
I choć nie zaznasz przez rok cały chleba...
Idź, idź do kosy!

Czegoż on stoi? Wszak wolny jak ptacy?
Chce — niechaj żyje, a chce — niech umiera!
Czy się utopi, czy chwyci się pracy,
Nikt się nie spiera...

I choćby garścią rwał włosy na głowie,
Nikt się, co robi, jak żyje, nie spyta...
Choćby padł trupem, nikt słówka nie powie,
— Wolny najmita!

Maria Konopnicka



MÓJ TESTAMENT

(J. Słowacki.)





Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami;
Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny,
Dziś was rzucam i dalej idę w cień — z duchami —
A jak gdyby tu szczęście było — idę smętny.

Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica,
Ani dla mojej lutni, ani dla imienia;
Imię moje tak przeszło, jako błyskawica,
I będzie jak dźwięk pusty, trwać przez pokolenia.

Lecz wy, coście mnie znali, w podaniach przekażcie,
Żem dla Ojczyzny sterał moje lata młode,
A póki okręt walczył, siedziałem na maszcie,
A gdy tonął — z okrętem poszedłem pod wodę.

...Ale kiedyś o smętnych losach zadumany
Mojej biednej Ojczyzny przyzna, kto szlachetny,
Że płaszcz na moim duchu nie był wyżebrany,
Lecz świetnościami moich dawnych przodków świetny.

Niech przyjaciele moi siedzą przy puharze
I zapiją mój pogrzeb — oraz własną biedę...
Jeżeli będę duchem, to im się pokażę,
Jeśli Bóg nie uwolni od męki — nie przyjdę...

Lecz zaklinam — niech żywi nie tracą nadziei,
I przed narodem niosą oświaty kaganiec;
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie, przez Boga rzucane na szaniec.

Co do mnie — ja zostawiam maleńką tu drużbę,
Tych, co mogli pokochać serce moje dumne;
Znać, że srogą spełniłem, twardą bożą służbę
I zgodziłem się tu mieć — niepłakaną trumnę.

Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
Iść?... Taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?
Być sternikiem duchami napełnionej łodzi,
I tak cicho odlecieć — jak duch, gdy odlata?

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mi żywemu na nic... tylko czoło zdobi;
Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna,
Aż was, zjadaczy chleba — w aniołów przerobi...



KATOWICE – stolica Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego. Na zdjęciu – jedna z katowickich ulic wieczorem.

Raciborski rynek.

Pamięci Adama Asnyka

W roku Pańskim 1894 zakotłowało się w Krakowie i we Lwowie. Działające od lat trzech Towarzystwo Szkoły Ludowej po ufundowaniu szkół w Lipnicy, Leszczynach, Hałenowie i w inych miejscowościach ówczesnej Galicji stanęło wobec braku pieniędzy na budowę szkoły w Białej. Znany i zasłużony prezes Towarzystwa oświadczył jednak: "Szkoła w Białej stanie".

Wytworny pan z bródką stał się postrachem tak zwanego "Wydziału Krajowego" we Lwowie — czyli c.k. urzędu, sprawującego władzę w Galicji. Prezes Towarzystwa Szkoły Ludowej nie tylko jednak domagał się dotacji na budowę szkoły w Białej. Na łamach czasopism krakowskich — "Nowej Reformy" i "Czasu", a nawet w "Dzienniku Poznańskim" kołatał do sumień i kieszeni tych, którzy pieniądze posiadali. W Krakowie zorganizował nawet na ten cel wielki bal, który otworzył wiodąc poloneza — wbrew swemu usposobieniu, wbrew skłonności do trzymania się z dala od rozgłosu...

I szkoła w Białej stanęła. Nie tylko energia, ale i popularność prezesa Towarzystwa Szkół Ludowych, ale i powszechna cześć, jaka go otaczała — miały swój udział w pomyślnym wyniku tej sprawy.

Owym podziwianym i szanowanym powszechnie człowiekiem był znakomity poeta, jeden z ostatnich członków Rządu Narodowego podczas Powstania Styczniowego — Adam Asnyk.

Urodził się 11 września 1838 roku w Kaliszu, gdzie ojciec jego — były oficer, wzięty do niewoli pod Grochowem w czasie Powstania Listopadowego i zesłany na Sybir — po powrocie do kraju otworzył pierwszą w tym mieście księgarnię. Po ukończeniu gimnazjum studiował w Warszawie — najpierw w Szkole Rolniczej na Marymoncie, później w Akademii Medyko-Chirurgicznej. Czas jakiś nielegalnie bawił za granicą, studiując w Niemczech, w Heidelbergu nauki społeczne i ekonomiczne.

Po powrocie do Warszawy wziął udział w organizowaniu Powstania Styczniowego, czas jakiś więziony w Cytadeli. Podczas Powstania był działaczem Stronnictwa Czerwonych, oraz — na krótko przed tragicznym końcem — członkiem Rządu Narodowego. Kiedy Powstanie upadło wyjechał znów do Heidelbergu i po ukończeniu studiów osiadł w Galicji — najpierw we Lwowie, później zaś w Krakowie. Tam właśnie dał się poznać jako ofiarny działacz oświatowy.

Był jednak Adam Asnyk przede wszystkim poetą i twórczości swej zawdzięcza trwałe miejsce w pamięci narodowej. Znany jest najbardziej ze swojej subtelnej poezji lirycznej, z wierszy poświęconych Tatrom, z erotyków. A przecież w jego twórczości pojawiały się nieraz głębokie tony patriotyczne i społeczne. To on atakował pisarzy, odcinających się od spraw społecznych, pisząc:

"Was nie obchodzą nic losy milionów,
Ani nędzarzów pospolite troski, —
Przeto w przepychu woni, braw i tonów
Do szczętu zagon trwonicie ojcowski".

To on w wierszach "Bez odpowiedzi", "Wśród przełomu" zapowiadał przyszłe zwycięstwo uciemiężonych, którzy

Nie znali nigdy, co to jest dostatek,
Lecz znali tylko — co trud i potrzeba...

Atakował także tych, którzy odżegnywali się od walki zbrojniej o wyzwolenie Ojczyzny. W wierszu "W dwudziestopięcioletnią rocznicę Powstania 1863 roku" wołał do nich:

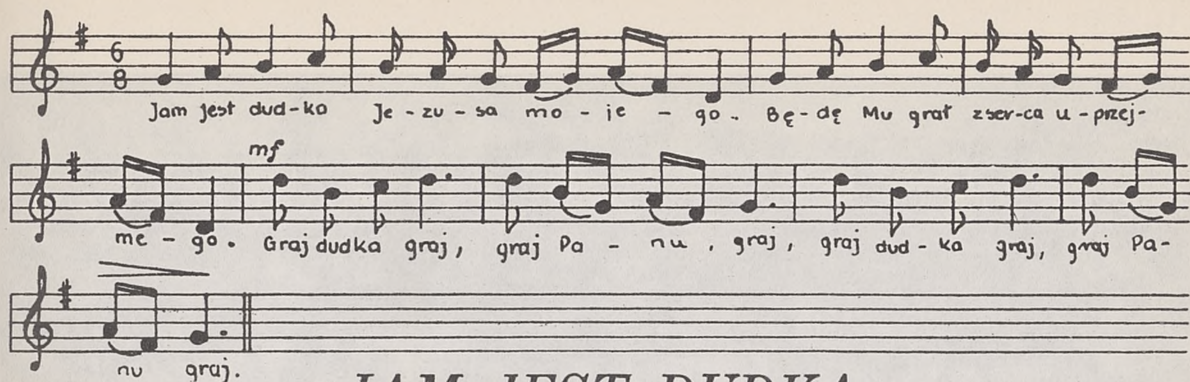
Za twoje grzechy Polskę z mieczem w
dłoni
Z szat obnażono jak jawnogrzesznice
I urągano, że praw swoich broni,
I z ran szydzono, i plwano w jej lice,
I z czci ją chciano odrzeć do ostatka,
Jakby to była nie ich własna matka!

Zmarł Adam Asnyk w Krakowie, w dniu 2 sierpnia 1897 roku. Pamięć o nim jest wśród Polaków wiecznie żywa. Wyrazem jej będzie pomnik poety, który stanie w Kaliszu, mieście jego rodzinnym, w roku przyszłym obchodzącym jubileusz 1800-lecia.

M. Krzyski.



Kolumna Zygmunta z powrotem na swoim miejscu. Odbudowane Krakowskie Przedmieście



JAM JEST DUDKA

Jam jest dudka Jezusa mojego,
Będę Mu grał z serca uprzejmego.
Graj, dudka, graj; graj Panu, graj.
Zagram ci Mu najpierw w dudeczki,
Wy z Nim chyżo skaczcie panieneczki.
Graj, dudka, graj; graj Panu, graj.
Na piszczałce i na multaneczkach,
Na bandurce oraz na skrzypeczkach.
Graj, dudka, graj; graj Panu, graj.
Na fujarze, arfie i cymbale,
Na organach i wdzięcznym regale,
Graj, dudka, graj; graj Panu, graj.
W szałamaje i w klawicymbały,
Aż Dzieciątku nóżki będą drgały
Graj, dudka, graj; graj Panu, graj.
Na puzonie, cytrze i wioli
Niech się Dziecię nacieszy do woli.
Graj, dudka, graj; graj Panu, graj.
Na klarnetach i do lutni zmierzę,
W trąby, kotły na wiwat uderzę,
Graj, dudka, graj; graj Panu, graj.
Jać będę grał, póki mi sił staje,
I sam Ci się za instrument daję,
Graj, dudka, graj; graj Panu, graj.
Jak tylko chcesz, do uciechy swojej,
Ciągnij struny z ciała, z duszy mojej.
Graj, dudka, graj; graj Panu, graj.
Bij jak w bęben, aż tubalne głosy
Serce wyda, niech idą w niebiosy.
Bij, Panie, bij; bij w serce, bij.
Pomnij, Jezu, żem ja Twój jest dudka,
Dusza moja — Twoja jest chałupka.
Żyj we mnie, żyj; żyj wiecznie, żyj!

KOŁOBRZEG — ogólny widok na odbudowujące się miasto.



SŁUPSK — miasto powiatowe w woj. koszalińskim; poważny procent mieszkańców miasta stanowią reemigranci z Niemiec, Francji i Belgii. Po wojnie w Słupsku rozbudowano zakłady przemysłu metalowego, maszynowego i budowlanego. Powstało tu też wiele szkół zawodowych, artystycznych i podstawowych.

Na zdjęciu — widok ogólny miasta.

FROMBORK — miasteczko w woj. olsztyńskim znane z pamiątek historycznych; Frombork wsławił się jako miejsce pobytu Mikołaja Kopernika, który napisał tu dzieło "O obrotach ciał niebieskich" i tu został pochowany. We Fromborku przebywali i inni sławni Polacy — Dantyszek, Kromer, Hozjusz i I. Krasicki.

Na zdjęciu — wnętrze gotyckiej katedry z XIV w., w której mieści się grobowiec Mikołaja Kopernika.

OLSZTYN — fragment Zamku mieszczącego obecnie Muzeum Mazursko-Warmińskie.

Klęska Krzyżaków Pod Elblągiem

W czasie układów toruńskich w sprawie zakończenia wojny Polski z Zakonem Krzyżackim, ówczesny mistrz Zakonu Albrecht postanowił, korzystając z zawieszenia broni, zdobyć Elbląg. Ze zdobyciem miasta łączył on nadzieje wywarcia wpływu na warunki pokoju. Przypuszczał również, iż kontrybucja jaką musieliby zapłacić mieszczanie, pozwoli mu na zapłacenie najemnym wojskom zaległego żołdu.

4 marca 1521 w wielkiej tajemnicy z Królewca wyruszył na Elbląg dwutysięczny oddział krzyżacki pod dowództwem Gaspara von Schwalbach i Maurycego von Knebel.

Ominąwszy Frombork, który posiadał silną polską załogę, 7 marca Krzyżacy dotarli do Milejowa, położonego w odległości 10 km. od Elbląga. Pierwszą wiadomość o zbliżaniu się wojsk krzyżackich przyniósł miastu karczmarz z Milejowa.

Wesoło bawiono się w tym dniu w elbląskim Dworze Artusa. Spodziewany pokój otwierał dalsze pomyślne perspektywy przed Elblągiem. Żartami i śmiechem przyjęto też wiadomość o zbliżających się wojskach krzyżackich.

— Zwariowałeś człowieku, czy też jesteś pijany — rzekł burmistrz drżącemu ze zdenerwowania i strachu karczmarzowi.

— Wracaj do domu spokojnie. Wojsko, które widziałeś, to konnica polska zdążąca z Fromborka do miasta.

W tym samym czasie w jednym z domów leżących na przedmieściach Elblągu odbywała się narada. Przy stole zasiedli Gaspar von Schwalbach, Knebel oraz mieszczanin elbląski Borchet. Ten ostatni zdradził obu dowódcom plan miasta i stan jego załogi. Borchet udzielał Krzyżakom ostatnich wskazówek. Zadźwięczał skórzany mieszek z talarami. Borchet wrócił do miasta. Miał on jeszcze dzisiaj przynieść wiadomość czy działa królewskie stoją jeszcze na rynku, czy też oddziały polskie opuściły już miasto. Korzystając z ciemności Krzyżacy podciągnęli pod same mury. Nad ranem po stwierdzeniu, że nie widać żadnych przygotowań do obrony — Schwalbach uderzył na bramę. Runęło do szturmu żołdactwo krzyżackie.

— Do broni! Na mury!

Pierwszy dojrzał krzyżackich knechtów przechodzący koło bramy kowal Andrzej Boran. Skrzyknąwszy kilku ludzi rzucił się do bramy usiłując podnieść do góry zwodzony most. Zawiasy mostu jednak zacięły się. Rozgorzała przy moście walka. Halabardy pachołków miejskich rąbały napastników. Długie kopie krzyżackie pruły gęstwinę obrońców. Szarpany przez obydwie strony most — runął do fosy. Krzyżacy sforsowali rów obronny. Teraz wejścia do miasta broniły jedynie źle zaryglowane drzwi wewnętrzne i mała niedomykająca się brama.

Na wieże! Na wieże! — rozległy się krzyki.

Kilkudziesięciu mieszczan wdarło się na wieżę. Grad kamieni, belek, stołków runął na Krzyżaków.

— Zatarasować przejście — wołano.

Gorący popiół i sypana z wieży sadza, zmusiły szturmujących do wycofania się. W bramie wytrwał jedynie wódz wyprawy krzyżackiej — Schwalbach. W tym samym momencie, stojący na górze czeladnik piekarski, trzymaną w ręku łopatą trzepnął w linę podtrzymującą ciężką bramę. Dębowa krata runęła w dół, odcinając Schwalbacha od knechtów. Pozbawione dowództwa żołdactwo cofnęło się spod murów. W międzyczasie na mury przybywa obrona. Z turkotem kół podjechały pod bramę polskie działa królewskie. Krzyżacy zaniechali natarcia, miasto nie dało się zaskoczyć.

Na drugi dzień po odejściu Krzyżaków — na rynku zawisło na szubienicy ciało zdrajcy — Borcheta. Wydała go własna żona.

Piekarczyka uczczona piosenką. Łopatę, którą przeciął linę zawieszono w bramie. Szczątki jej znajdowały się tam jeszcze w roku 1819. Na dole, na bramie wyrzeźbiono również znak łopaty, przypominający mieszkańcom dzień obrony miasta, obchodzony aż do czasów rozbiorowych jako święto miejskie.



KAMIEŃ POMORSKI — miasto pow. w woj. szczecińskim, bogate w liczne zabytki historyczne.
Na zdjęciu — katedra gotycka z XII w.

FELIKS RĄCZKOWSKI

PASTORAŁKI

Pastorałki nie są pieśniami kościelnymi. Ich świeckiego charakteru dowodzi tak melodia, jak i tekst. Te pastorałki, które zamieszczamy w Kalendarzu, są pochodzenia ludowego; powstały w XVIII i XIX wieku.

Wiele takich pastorałek znaleźć można na przykład w zbiorku opracowanym przez księdza Mioduszewskiego: „Pastorałki i Kolędy z Melodyjami, czyli Piosenki Wesołe ludu w czasie świąt Bożego Narodzenia po domach śpiewane", wydanym w 1843 roku w Krakowie przez Księży Misjonarzy.

Trudno byłoby doszukiwać się autorów tych melodii czy tekstów, są bowiem owocem anonimowej twórczości ludowej.

p.
Śli - czna Pa - nien - ka, jo - ko ju - trzen - ko, Zro - dzi - ła Sy - na,
W szop - ce u - bo - giej, f lu - bo mróz sro - gi, W żłó - bek zło - ży - ła
do - bra no - wi - na Wi - wat Pan Je - zus, wi - wat Ma - ry - ja,
Bo - skie - go Sy - na
Wi - wat i Jó - zef, ca - ła kom - pa - nija.

ŚLICZNA PANIENKA JAKO JUTRZENKA

Śliczna Panienka, jako jutrzenka,
Zrodziła Syna, dobra nowina!
W szopce ubogiej, lubo mróz srogi,
W żłóbek złożyła Boskiego Syna,
Wiwat Pan Jezus, wiwat Maryja,
Wiwat i Józef, cała kompanija!

Coraz to dalej szopka się wali,
Józef nieborak kijmi podpiera.
Wiatr zewsząd wieje, nikt nie zagrzeje,
Wicher do reszty strzechę obdziera.
Wiwat Pan Jezus, wiwat Maryja,
Wiwat i Józef, cała kompanija!

Śliczna Matula Dziecię utula,
Karmi piersiami, szuka posłania;
Józef staruszek, wziąwszy pieluszek,
Zewsząd od wiatru dziury zasłania,
Wiwat Pan Jezus, wiwat Maryja,
Wiwat i Józef, cała kompanija!



GDAŃSK — od wieków ośrodek morski Słowian, dziś miasto wojewódzkie o silnie rozwiniętym przemyśle stoczniowym, metalowym, chemicznym, drzewnym i spożywczym. Miasto zabytków historycznych i architektonicznych; duży ośrodek nauki i kultury.

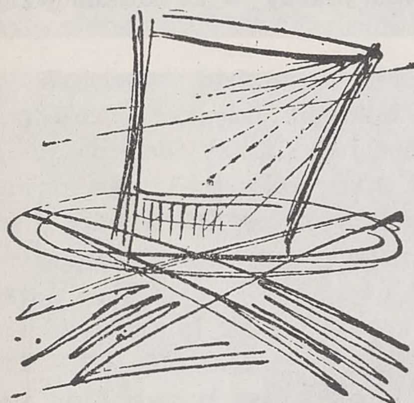
Na zdjęciu — widok na odbudowaną po wojnie część miasta, na pierwszym planie — Studnia Neptuna.

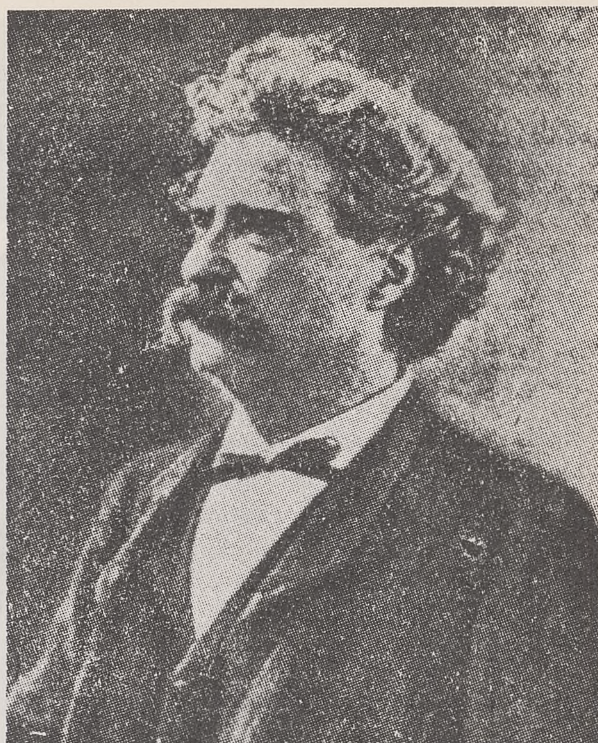


NYSA — jedno z najbardziej zniszczonych przez wojnę miast w woj. opolskim. W okresie 15-lecia odbudowano tu dzielnice mieszkaniowe i uruchomiono zakłady budowy maszyn, przemysłu garbarskiego i spożywczego. Zakłady w Nysie produkują mikrobusy, sanitarki, furgonetki motorowe oraz urządzenia dla cukrowni.

Na zdjęciu — fontanna na Placu Bohaterów Stalingradu, na drugim planie — odbudowane w starym stylu kamieniczki nyskie oraz fragment kościoła św. Jana.

MARK TWAIN





W 50-lecie śmierci

Znakomity pisarz amerykański Mark Twain (wym.: Tuen), czyli Samuel Langhorne Clemens, urodził się 30.XI. 1835 r. w osiedlu Floryda w stanie Missisipi. Ojciec jego był prawnikiem. Wcześnie traci ojca; od 12 roku życia zaczyna pracę zarobkową; początkowo jako terminator w drukarni, później jako zecer. Bujna natura nie pozwoli mu długo zagrzewać miejsca przy jednym zajęciu. Tuła się po miastach położonych nad Missisipi, aż wreszcie zostaje pilotem rzecznym. W tym czasie odzywa się w nim głos powołania — po raz pierwszy samorzutnie chwyta za pióro kreśląc korespondencje do gazet z życia na wielkiej rzece.

Jest to najradośniejszy okres jego życia, który wspominać będzie wielokrotnie ze łzą w oku. Właśnie z odmętów Missisipi pochodzi pseudonim pisarza, który przyjął dla upamiętnienia tych szczęśliwych dni. „Mark twain" oznaczało w gwarze marynarzy z wielkiej rzeki: „markuj dwa", czyli „dwa sążnie, bezpieczna woda".

Wybuch wojny domowej kładzie kres tym pięknym dniom. Twain zaciąga się do armii plantatorów z Południa. Ucieka z niej szybciej, niż się zgłosił — po dwóch tygodniach, gdy tylko zorientował się, że ma walczyć w obronie niewolnictwa. Ukrywa się w stanie Nevada i tu daje się opanować gorączce złota; zostaje poszukiwaczem. Przez cały ten czas współpracuje z czasopismami pisząc korespondencje z życia górników. Poszukiwania złota nie przynoszą rezultatów. Twain pozbawiony dobytku pieszo wraca do Virginii. I tu definitywnie przechodzi w szeregi rycerzy pióra — staje się dziennikarzem.

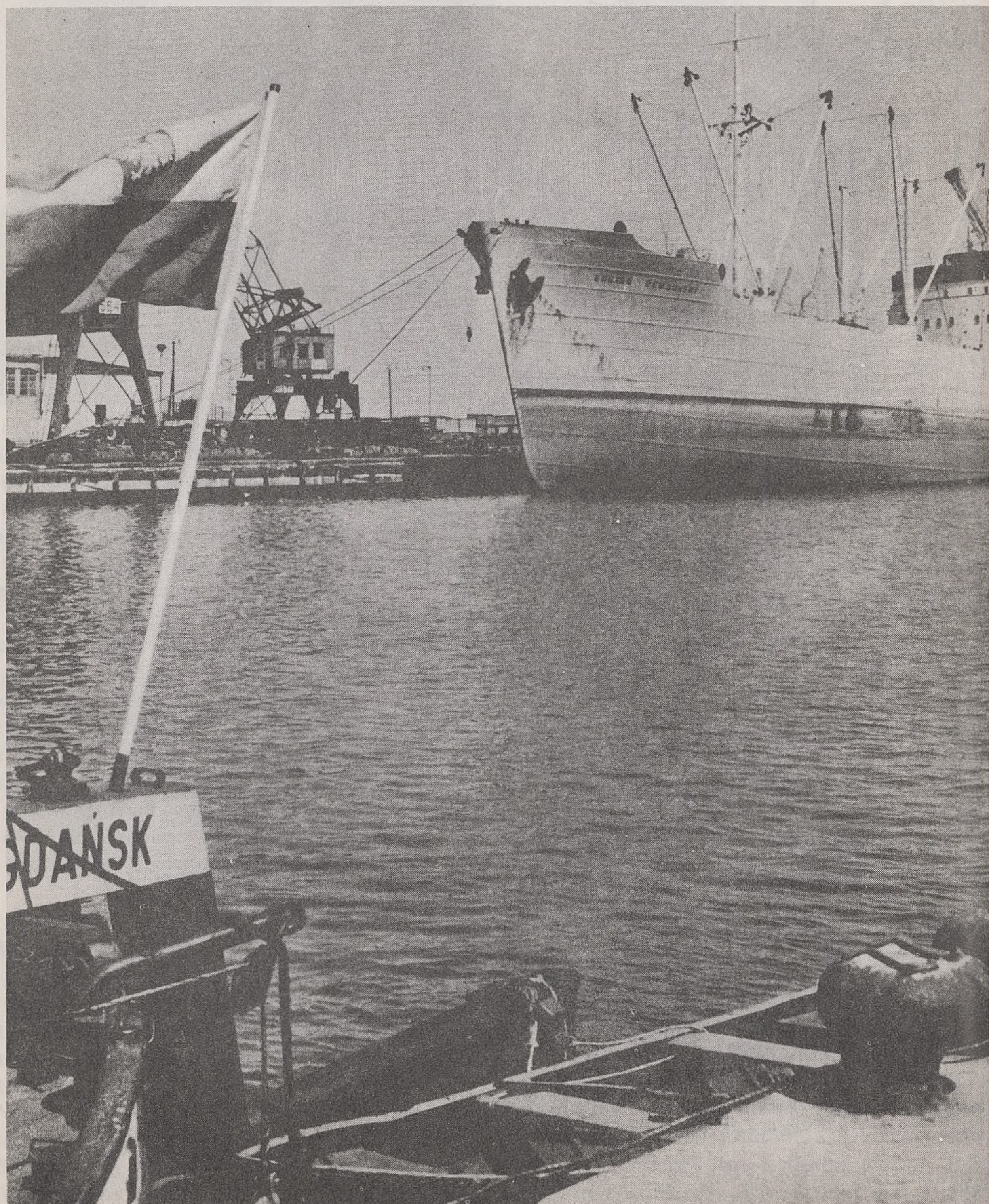
Pierwszy zbiór opowiadań pod dziwnym nieco tytułem: „Słynna skacząca żaba z Calaveras i inne opowiadania" ukazał się w 1867 r. W dwa lata później drukuje następną książkę: „Prostaczkowie za granicą", która już przynosi mu rozgłos. Odtąd w niewielkich odstępach czasu spod pióra Twaina wychodzą niezliczone humoreski, opowiadania, szkice, powieści i w końcu artykuły publicystyczne.

Pierwsza powieść, „Pozłacany wiek", ukazuje się w roku 1873; w roku 1876 słynna i do dziś popularna powieść „Przygody Tomka Sawyera". Następnie światło ujrzały: „Królewicz i żebrak" (1881), „Przygody Hucka" (1884), satyryczna powieść „Jankes na dworze króla Artura" (1889) i ostatnia powieść pt. „Pamiętnik o Joannie d'Arc" (1895). Mimo że od śmierci dzieli go 15 lat życia, już żaden większy utwór nie wyszedł spod pióra pisarza. Mark Twain zmarł 21.IV. 1910 r.

Na morze, na morze, na morskie odmęty
Spuszczamy ładowne, handlowe okręty.
Nie straszna nam głębia, nie straszne nam burze,
Gdy polska bandera nad nami lśni w górze.

„Pieśń marynarzy" – E. Szelburg-Zarębina

Fot. CAF



TADEUSZ DOBRZENIECKI

PATRON POLSKI — ŚWIĘTY WOJCIECH

Św. Wojciech, biskup i męczennik, patron Polski, urodził się około 956 r. w Libicach, na zamku należącym do czeskiego rodu Sławnikowiczów, władającego księstwem, które sąsiadowało z Polską. Przeznaczając syna do stanu kapłańskiego, rodzice oddali go na naukę do katedralnej szkoły w Magdeburgu (972—981). Po ukończeniu szkoły powrócił do Pragi w szeregi katedralnego kleru, któremu przewodził wówczas biskup Detmar. Po jego śmierci Wojciech został biskupem praskim, a konsekrował go 29 czerwca 983 r. arcybiskup Moguncji Willigis. Pełniąc urząd biskupa praskiego przez 5 lat, popadł w zatarg ze społeczeństwem czeskim, które tylko powierzchownie zachowywało przykazania religii chrześcijańskiej i przepisy Kościoła. W tej trudnej sytuacji postanowił zrezygnować ze sprawowanego urzędu i udał się do Rzymu, gdzie otrzymał od papieża Jana XV zwolnienie z obowiązków biskupich. Zdecydował się na życie zakonne w rzymskim klasztorze św. Bonifacego i Aleksego na Awentynie, w którym przebywał do jesieni 992 r. W Rzymie poznał cesarza Ottona III w czasie jego koronacji. W 996 r. opuścił Rzym odbywając pielgrzymkę do grobów świętych czczonych we Francji: św. Marcina w Tours i św. Dionizego w St. Denis pod Paryżem; następnie znalazł się w Moguncji, gdzie odnowił żywe kontakty z cesarzem Ottonem III.

Teraz Wojciech powziął decyzję zostania misjonarzem, nawracania pogan w imię religii Chrystusa. Udał się więc



Narodziny św. Wojciecha

na dwór Bolesława Chrobrego, gdzie został przyjęty niezwykle serdecznie. Już w 997 r. postanowił Wojciech nawracać pogański kraj Prusów. Dotarł tam wraz z towarzyszami, Benedyktem i bratem Radymem-Gaudentym, najpierw lądem przez Gdańsk, a następnie morzem. Działalność pełnych zapału misjonarzy napotkała od razu wielkie trudności — gwałtowny sprzeciw wyznawców wiary pogańskiej. 23 kwietnia, w dzień św. Jerzego, apostoł Wojciech, po odprawieniu Mszy św. poniósł śmierć męczeńską, zabity ciosami 7 włóczni. Spełniło się jego



Ofiarowanie w kościele w Libicach

gorące pragnienie przelania krwi za wiarę z ręki pogan, którym po przybyciu do ich kraju oznajmił: „Jestem z pochodzenia Słowianinem, imieniem Wojciech, podług stanu mnichem, ze stanowiska niegdyś biskupem, z posłannictwa teraz waszym apostołem. Powodem naszej podróży jest wasze zbawienie".

Bolesław Chrobry, doceniając w pełni doniosłe znaczenie dla spraw Polski męczeństwa św. Wojciecha, wykupił od Prusów jego zwłoki (według legendy za cenę złota); złożono je w gnieźnieńskim kościele Najświętszej Maryi Panny. Wieść o męczeńskiej śmierci Wojciecha szybko dotarła do innych krajów chrześcijańskich i już w 999 r. został on kanonizowany przez papieża Sylwestra II. Wtedy to właśnie zapadła na synodzie rzymskim decyzja utworzenia polskiej prowincji kościelnej ze stolicą arcybiskupią w Gnieźnie, u grobu św. Wojciecha. Nastąpiło teraz niezwykle doniosłe dla Polski wydarzenie o znaczeniu politycznym i kościelnym. W 1000 r. miał miejsce słynny zjazd gnieźnieński. Do grobu św. Wojciecha przybył z licznym orszakiem jako pielgrzym jego przyjaciel cesarz Otto III podejmowany przez Bolesława Chrobrego. Odbył się wówczas w Gnieźnie pierwszy w Polsce synod kościelny z arcybiskupem metropolii gnieźnieńskiej Gaudentym. Powstała polska organizacja kościelna ze stolicą w Gnieźnie i biskupstwami w Kołobrzegu, Wrocławiu i Krakowie, uniezależniona już od arcybiskupstwa niemieckiego w Magdeburgu, które niechętnym okiem patrzyło na działalność biskupstwa w Poznaniu powstałego w 966 r. w związku z chrztem Polski. Odtąd Polska zdobyła prawo prowadzenia akcji misyjnej i rywalizowała w niej z cesar-



W szkole katedralnej w Magdeburgu

stwem niemieckim. W tej nowej sytuacji politycznej i kościelnej doniosłą rolę odegrała akcja misyjna Wojciecha prowadzona z ramienia i przy poparciu polskiego władcy — Bolesława Chrobrego

Według ówczesnych zwyczajów dla założenia metropolii (a więc także i gnieźnieńskiej) konieczne było posiadanie relikwii jakiegoś męczennika.



Modlitwa przy grobie męczenników



Udzielenie inwestytury przez cesarza Ottona III w Weronie

Św. Wojciech stał się patronem narodowym Polski i Czech, a i w innych krajach Europy rozprzestrzenił się jego kult. Dużą rolę odegrały w tym pisane żywoty świętego, opisy jego męczeństwa (pasje).

Najwcześniejszy, z ok. 999 r., jest żywot napisany w Rzymie w związku z przeprowadzoną kanonizacją św. Wojciecha. Nie jest znany jego autor. Mógł być nim Gaudenty-Radym, świadek męczeńskiej



Uzdrowienie opętanego

śmierci, pierwszy arcybiskup gnieźnieński, a może papież Sylwester II lub też Kanapariusz, zakonnik z klasztoru świętych Aleksego i Bonifacego na Awentynie, gdzie Wojciech spędził kilka lat.

Następny żywot spisał w 1002—1004 r. św. Bruno z Kwerfurtu, który także śmiercią męczeńską zakończył swą akcję misyjną na terenie Prus. W opowieści o życiu Wojciecha znalazła się wiadomość o zjeździe gnieźnieńskim w 1000 r. i odktórego uważa się za autora opowieści rozpamiętującej heroiczne cnoty męczennika. Opowieść ta znalazła zastosowanie liturgiczne. W późniejszych utworach więcej uwagi zwracano na opis cudów zdziałanych przez św. Wojciecha i zasług jego jako apostoła głoszącego wiarę Chrystusową.

Wymienione wyżej i jeszcze inne także zabytki literackie stanowią wymowny dokument nieprzerwanej w Polsce średniowiecznej pamięci o świętym apostole. Otaczano go głębokim szacunkiem i dlatego to przypisano mu autorstwo najstarszej pieśni polskiej: „Bogurodzica dziewica, Bogiem sławiena Maryja", pieśni bojowej rycerstwa, pieśni błagalnej, a zarazem pierwszego katechizmu.



U księcia czeskiego Bolesława II w sprawie niewolnych

bytej wówczas pielgrzymce cesarza Ottona III do grobu męczennika-przyjaciela.

W tymże XI stuleciu spisano trzeci żywot naszego świętego, „pasję polską" Chociaż autor jej nie jest znany, to jednak przypuszcza się, że utwór ten powstał w Gnieźnie lub w benedyktyńskim opactwie w Międzyrzeczu i wywarł wpływ na późniejsze wielkopolskie utwory literackie poświęcone osobie św. Wojciecha.

W pierwszej połowie XII w. gorącym propagatorem kultu naszego świętego był arcybiskup gnieźnieński, Jakub ze Żnina,

Pierwszym przejawem kultu okazanego męczennikowi Wojciechowi jeszcze przed kanonizacją było wykupienie przez Bolesława Chrobrego jego zwłok, przewiezienie do Gniezna i złożenie ich w miejscowym kościele pod wezwaniem Naj-

świętszej Maryi Panny. Kościół ten, zbudowany na planie koła, ufundował Mieszko I. Bolesław Chrobry, przewidując niezwykłe dla Polski znaczenie męczeństwa św. Wojciecha, jeszcze w 997 r. wysłał do Rzymu Gaudentego-Radyma w sprawie kanonizacji apostoła Prus i polskiej organizacji kościelnej, a może i uzyskania korony królewskiej dla monarchy Polski. Rezultatem tego poselstwa była kanonizacja św. Wojciecha i kanoniczna erekcja metropolii polskiej u jego grobu w Gnieźnie jak również wybór ska głównym tego kultu ośrodkiem. Tutaj dokonała się także w Boże Narodzenie 1025 r. koronacja Bolesława Chrobrego, a później jego następców. Na Wielkanoc 1113 r. do grobu św. Wojciecha w Gnieźnie odbył Bolesław Krzywousty pokutną pielgrzymkę za stracenie swego brata Zbigniewa.

Wznoszone nieprzerwanie nowe kościoły na ziemiach polskich stanowiły nowe miejsca liturgicznego kultu św. Wojciecha. Nowo utworzone biskupstwo lubuskie zostało założone ku czci św. Wojcie-



W rzymskim klasztorze na Awentynie

Gaudentego-Radyma na pierwszego arcybiskupa. Celem wykonania postanowień papieskich wyruszyło z Rzymu do Polski grono dostojników z legatem, kardynałem Robertem. Towarzyszył im jako pielgrzym cesarz Otto III. Podczas tzw. zjazdu gnieźnieńskiego zawarty został układ między Bolesławem Chrobrym i cesarzem; układ ten miał bardzo doniosłe konsekwencje polityczne i kościelne.

Tym wydarzeniom towarzyszyło uroczyste „podniesienie" relikwii św. Wojciecha na ołtarz; stały się one odtąd przedmiotem kultu publicznego w kościele chrześcijańskim, a katedra gnieźnieńcha. Jego kult dotarł w XII w. na Pomorze Zachodnie poprzez akcję misyjną prowadzoną z poparcia Bolesława Krzywoustego przez Ottona, biskupa bamberskiego. Pierwszy kościół wzniesiony w Szczecinie otrzymał nazwę św. Wojciecha.

Z kultem św. Wojciecha w Polsce wiąże się wiele zabytków sztuki zdobiących wnętrza naszych kościołów. Wśród nich najwcześniejszym i najwspanialszym są odlane z brązu w XII stuleciu drzwi katedry gnieźnieńskiej. Składają się one z dwóch skrzydeł, na których przedstawiony został żywot św. Wojciecha. Na le-

Przybycie do Prusów

Chrzest Prusów

Nauczanie Prusów

Wystawienie zwłok



Wykupienie zwłok

wym skrzydle opowiedziane są wydarzenia poprzedzające jego przybycie do Gniezna: narodzenie i chrzest, ofiarowanie w świątyni, a więc okres jego dzieciństwa pod opieką rodziców. Następnie młodzieńcze lata spędzone na nauce w katedralnej szkole w Magdeburgu, działalność biskupia w Pradze i pobyt

Przenoszenie zwłok do Gniezna

w rzymskim klasztorze benedyktyńskim. Na prawym skrzydle w dziewięciu płaskorzeźbach (ta sama ilość scen znajduje się na lewym skrzydle) ujęte zostały dzieje akcji misyjnej. Cykl ten rozpoczyna się sceną przybycia Wojciecha wraz z towarzyszami do Prusów, których święty chrzci i naucza. Na następnych płaskorzeźbach widzimy ostatnią jego mszę, zabójstwo dokonane przez Prusów i zwłoki apostoła, a obok nich zatkniętą na pal głowę. Opowieść dziejów Wojciecha zamyka przedstawienie wydarzeń, które nastąpiły po jego męczeńskiej śmierci: wykupienie ciała Świętego przez Bolesława, uroczyste przeniesienie zwłok do Gniezna i złożenie ich w miejscowej katedrze.

Źródłem tej plastycznej opowieści gnieźnieńskiej były wcześniej napisane żywoty Wojciecha. Na szczególną naszą uwagę zasługują płaskorzeźby prawego skrzydła podwoi, ponieważ w nich artysta wymownie ukazał Wojciecha jako misjonarza działającego z poparciem polskiego władcy Bolesława Chrobrego i jego związek z metropolią gnieźnieńską.

Od XII stulecia Drzwi Gnieźnieńskie stanowią pomnik naszej przeszłości, sięgającej początków państwa polskiego. Są także najcenniejszym zabytkiem sztuki polskiego średniowiecza.



Złożenie zwłok w katedrze gnieźnieńskiej



KARKONOSZE — najwyższe pasmo górskie Sudetów na granicy z Czechosłowacją. Istnieją tu liczne ośrodki turystyczno-wczasowe, odwiedzane chętnie zarówno w lecie jak i zimą. Przyjażdżają tu liczni zwolennicy "białego szaleństwa" — narciarze.

Na zdjęciu — początkujący narciarze na stoku pod "Samotnią" w Karkonoszach.

ZGORZELEC, — miasto pow. w woj. wrocławskim, położone nad prawym brzegiem Nysy Łużyckiej. W 1950 r. podpisano tu historyczny układ pomiędzy Polską i Niemiecką Republiką Demokratyczną o granicy pokoju na Odrze i Nysie Łużyckiej.

W czasie ostatniej wojny miasto poniosło poważne straty. Odbudowane — stało się ośrodkiem przemysłu skórzanego, papierniczego i rolno-spożywczego.

Na zdjęciu — stara, odromontowana po wojnie, dzielnica Zgorzelca.

ŚWINOUJŚCIE — awanport Szczecina, baza rybołóstwa dalekomorskiego, stocznia łodzi i kutrów rybackich, ośrodek turystyczno-wczasowy.
Na zdjęciu — Plac Wolności w Świnoujściu.



WROCŁAW — stara osada słowiańska nad Odrą; w czasie II wojny światowej poniosło wielkie straty; dziś miasto wojewódzkie i uniwersyteckie. Po powrocie do Polski w 1945 r. systematycznie odbudowywane i rozbudowywane, jest ośrodkiem życia gospodarczego, społecznego i kulturalnego. Wrocław określany jest mianem miasta młodzieży i zieleni.
Na zdjęciu Plac Tadeusza Kościuszki. Otaczające Plac budowle zostały wzniesione z wojennych ruin.

JANINA RUSZCZYCÓWNA

O NIEKTÓRYCH OBRAZACH MATKI BOSKIEJ W POLSCE

Podobnie jak w innych krajach europejskich, także i w Polsce wierni otaczają Najświętszą Maryję Pannę szczególną czcią i nabożeństwem. Wielbimy Ją jako Tę, która wolna od wszelkiej zmazy grzechowej przyniosła światu zbawienie. Uciekamy się do Jej opieki we wszystkich troskach i niedolach naszego życia. Także w wiekach ubiegłych społeczeństwo nasze we wszystkich trudnych doświadczeniach życiowych szukało pomocy u Maryi. Stosunek wiernych do Niej był zawsze żywy i pełen ufności. Dowodzą tego m. in. licznie zachowane obrazy ukazujące bądź to wizerunek NMP, bądź sceny z Jej życia. Niektóre z nich obdarzone szczególną łaską są przedmiotem większego nabożeństwa i w nich odbiera Maryja cześć specjalną. Niejedno też z zachowanych dzieł wyszło z pracowni znakomitego artysty i ma po dziś dzień wartość wybitnego dzieła sztuki.



Franciszek z Sieradza — Wniebowzięcie NMP (ok. 1475). Warta.

W okresach ożywienia życia religijnego wzmagała się zwykle także cześć dla NMP a w związku z tym rosło wtedy zapotrzebowanie na Jej obrazy. Tak więc kult Matki Boskiej był szczególnie żywy w czasach średniowiecza, a gdy ucichła burza reformacji, rozkwitł na nowo po soborze trydenckim.

W polskim malarstwie średniowiecznym do najpiękniejszych ołtarzy poświęconych Matce Boskiej należy zaliczyć ołtarz w kościele bernardynów w Warcie ze sceną Wniebowzięcia w części środkowej oraz ołtarz Zaśnięcia Matki Boskiej w kościele w Bodzentynie (woj. Kieleckie). Oba te dużych rozmiarów ołtarze skrzydłowe powstały w końcowym okresie naszego średniowiecza na przełomie XV i XVI w. Starszy, pochodzący z ok. 1475 r., ołtarz w Warcie jest dziełem Franciszka z Sieradza zakonnika bernardyńskiego. Otacza go sława jednego z najwybitniejszych dzieł naszego wczesnego malarstwa sakralnego. Wyjątkowo zupełnie w naszych warunkach możemy związać ten ołtarz z konkretnym nazwiskiem artysty. Już wcześnie dostrzeżono jego wielką wartość artystyczną, gdyż naśladował go w początku XVI w. autor wielkiego ołtarza Wniebowzięcia zachowanego w tejże Warcie w kościele parafialnym. Ołtarz bodzentyński, dzieło artysty krakowskiego Marcina Czarnego, został ukończony w 1508 r.; w części środkowej ukazuje scenę Zaśnięcia w podobnym układzie, jak ją nieco wcześniej przedstawił Wit Stwosz w swym wielkim czteroskrzydłowym ołtarzu wykonanym na zlecenie



Zaśnięcie NMP (ok. 1508). Bodzentyn

królowę nieba i ziemi okrywa Ją wspaniały płaszcz z bogatej materii, a czoło Jej zdobi korona. Na prawym ręku trzyma zwykle Maryja Dzieciątko, a w lewym unosi kwiat lilii. Tłem dla tego przedstawienia jest najczęściej kwiecista łąka i zwarta ściana drzew tworzących jak gdyby „hortus conclusus" — ogród zamknięty, symbol Jej dziewictwa. Sztuka średniowieczna starała się w tych przedstawieniach ukazać przy pomocy wszystkich dostępnych sobie środków formalnych i emocjonalnych Matkę Bożą

mieszczan krakowskich. Szczególnie piękna w wyrazie jest w ołtarzu bodzentyńskim twarz Madonny omdlewającej na rękach apostołów.

Jednak obok tych kilku wyróżniających się swym wielkim założeniem dzieł na cześć NMP powstawały także licznie znacznie skromniejsze ołtarze dla kościołów parafialnych mniejszych miasteczek i wsi. W wielu średniowiecznych obrazach z XV w. widzimy, że malarz podkreślił ludzkie cechy Matki i Dzieciątka ukazując ich serdeczne zbliżenie, uśmiech lub nawet zabawę. W tych obrazach Matka Boża stała się szczególnie bliska sercom polskim.

Do najpiękniejszych średniowiecznych wizerunków malarskich NMP należy chyba zaliczyć te, w których ukazuje się ona jako tzw. Assunta w glorii niebiańskiej po Wniebowzięciu. Jak niewiastę apokaliptyczną odziewa Ją słońce, a złociste promienie tworzą królewskie tło dla Jej dziewczęcej postaci. Pod stopami Maryi widoczny jest sierp księżyca. Jako



Matka Boska jako Assunta Tarnów, Muz. Diecezjalne



Matka Boska z Dzieciątkiem (ok. 1440). Obecnie Muzeum Narodowe w Warszawie

jako uosobienie najczystszego piękna. W naszym malarstwie najciekawsze przykłady takich obrazów zachowały się wśród dzieł tzw. szkoły sądeckiej z XV w. Niegdyś zdobiły one wnętrza kościołów, dziś część ich znalazła się w muzeach, aby tam świadczyć o drogach rozwoju naszej sztuki.

Do bardzo wyjątkowo tylko środkami malarskimi przedstawianych tematów należy tzw. Pietà. Obraz boleści Maryi opłakującej spoczywające na Jej kolanach martwe ciało Syna był często przedstawiany przez rzeźbiarzy gotyckich około połowy XV w. Przykład obrazu o takim temacie znajduje się w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie Obraz ten pochodzi z jednego z prowincjonalnych naszych kościołów Polski centralnej i powstał zapewne w drugiej ćwierci XV w. Wstrząsający jest wyraz głębokiej boleści na twarzy Matki i wielkiej słodyczy młodych Jej rysów. Również zbolała twarz Chrystusa odznacza się niesłychaną delikatnością i szlachetnością wyrazu. Maryi towarzyszą w Jej żałobie dwaj aniołowie.

Po soborze trydenckim życie religijne w Polsce zostało silniej niż to miało



Pietà (ok. 1430). Muzeum Narodowe w Warszawie

miejsce w okresach poprzednich związane z ogólną akcją Kościoła. Postanowienia soboru wyraźnie zakazywały wszelkiej dowolności także w interpretacji wizerunku NMP. Synod diecezjalny krakowski w 1621 r. zalecił wręcz, aby malując wizerunki Matki Boskiej wzorowano się na obrazie częstochowskim, w którym stara legenda chciała widziec dzieło św. Łukasza. Wielkie wydarzenie w świecie chrześcijańskim, jakim było zwycięstwo nad Turkami pod Lepanto w 1571 r. zwróciło uwagę także Kościoła polskiego na wizerunek Maryi z kościoła Santa Maria Maggiore w Rzymie. W dniu, w którym starły się ze sobą siły Ligi Chrześcijańskiej z armią turecką,



Matka Boska Różańcowa (koniec XVI w.). Kraków



Matka Boska Różańcowa (koniec XVI w.). Kraków

ulicami wiecznego miasta szła śpiewając różaniec procesja z obrazem Matki Boskiej Śnieżnej z tego kościoła. Interwencji NMP przypisali chrześcijanie swe zwycięstwo i odtąd wizerunek Matki Boskiej z Santa Maria Maggiore rozszedł się w niezliczonych kopiach po wszystkich krajach katolickich. W Polsce można go spotkać w wielu kościołach. Należy on obok obrazu częstochowskiego do najczęstszego typu ikonograficznego w naszej sztuce maryjnej XVII i XVIII w. i jest określany jako typ Matki Boskiej Śnieżnej, Zwycięskiej lub Różańcowej. Warto sobie uprzytomnić, że w Polsce narażonej na ciągłe wojny z muzułmanami wizerunek ten mógł liczyć na szczególną popularność. Propagatorami kultu tego obrazu byli przede wszystkim domi-

nikanie, którzy szerzyli nabożeństwo różańca. Jedną z najstarszych u nas kopii obrazu Matki Boskiej Śnieżnej jest obraz w kościele dominikanów w Krakowie, rzekomo przywieziony z Rzymu wraz z obrazem znajdującym się obecnie w katedrze na Wawelu przez biskupa Maciejowskiego.

Ciekawą historię ma też w Polsce typ ikonograficzny przedstawienia Matki Boskiej Łaskawej. Wywodzi się on z obrazu, jaki zasłynął cudami podczas zarazy w Faenzy we Włoszech. Do Polski kopię tego obrazu przywiózł nuncjusz papieski Jan de Torres i ofiarował go w 1651 r. jezuitom w Warszawie. Podczas zarazy, która wybuchła w stolicy w 1664 r. wizerunek ten obnoszono w procesji po ulicach miasta. Gdy zaraza wkrótce ustała, wdzięczny lud warszawski uznał Matkę Boską Faenzką za swą szczególną patronkę. Matkę Boską Łaskawą przedstawia się zazwyczaj z pogiętymi strzałami w obu rękach. Są to wyobrażenia strzał gniewu bożego, które Maryja opiekunka ludzkości kruszy litościwie w swych dłoniach. Takie przedstawienia NMP występują w naszej sztuce jeszcze w XVIII w. ulegając różnym modyfikacjom zależnie od ogólnych przemian stylowych. Ciekawą wersją tego tematu jest zachowany w Krakowie w prezbiterium kościoła mariackiego XVIII-wieczny obraz Matki Boskiej Łaskawej, opiekunki tego miasta.

W polskiej sztuce religijnej XVII w. występują też obrazy Matki Boskiej bez Dzieciątka z pokornie pochyloną głową jak gdyby pogrążonej w modlitwie. Najpiękniejszym przykładem takiej kompozycji jest obraz ostrobramski prawdopodobnie dzieło malarza krakowskiego. Postawa Maryi w tym obrazie jak i w bliskim stylistycznie wizerunku NMP w kościele Bożego Ciała w Krakowie tłumaczy się chyba najbardziej jako przedstawienie Maryi Orędowniczki wstawiającej się za nami do swego Syna.

Wyrazem czci dla Matki Bożej były liczne koronacje Jej słynących łaskami wizerunków, a w połowie XVII w. podczas najazdu szwedzkiego — uroczyste oddanie się całego narodu w opiekę Królowej Korony Polskiej.

Pietà (XVII w.). Chełmno



W setną rocznicę śmierci Adama Mickiewicza odsłonięto w Krakowie odbudowany pomnik poety, zniszczony przez okupantów hitlerowskich

Góra Chełmska, osiedle wypoczynkowe pod Koszalinem. Prowadzone są tu prace wykopaliskowe.
Na zdjęciu — park.



Piękny jest prastary Wawel — siedziba królów polskich

W czas śnieżnej burzy...

Ledwie się drzwi zamknęły i dwaj Olbromscy — Rafał i syn jego Hubert — stanęli na ganku, wichura poczęła ich szarpać na wsze strony. Ciemność, choć oko wykol, niezgłębiona była wokoło...

Namacali obadwaj z ojcem saneczki, dwa w nich siedzenia ze snopków kłoci okrytych kilimkami. Wszystko było śniegiem grubo zadęte.

Łyska chrapała, biła kopytami...

Pomknęli z miejsca.

Podmuchy wiatru ciskały na sanki istne fale. Sypało jak z worka miękkimi płatami, albo ciął w oczy i uszy grad ziarnisty, zacinający aż do krwi. Sanie już to chyliły się na bok, już uderzały o jakoweś twarde przedmioty podśnieżne. Międzyleśna pustkowiana burza stawała się coraz dzikszą.

W nieprzejrzanej dali ryczały przeraźliwe głosy, istne wycia leśnych diabłów. Las—li to huczał, czy się waliły wody z upustów na Mostku? Łyska chrapała niecierpliwie. To się zrywała do biegu susami, to znowu z trwożnym prychaniem stawała w miejscu.

Podróżni spostrzegli, że mają wiatr za plecami. Jechali w złym kierunku.

— — — — — — — — — — — — — —

— Pole, do stu diabłów! — unosił się Rafał Olbromski. — Jesteśmy na jakimś polu... Cóż to za rola? Zleź no synku, i popatrz, w którą stronę idą zagony... Może co z tego wymiarkuję...

Po długim zastanowieniu zdecydowano, że skoro wiatr ciągnie stąd, a zagony idą tak, więc trzeba jechać w takim to kierunku. Pojechali. Trafili w jakieś krzaki zupełnie nieznajome, w miejsca najzupełniej obce, nie istniejące w jakimkolwiek wspomnieniu.

W trakcie pochodu przez zaspy Hub posłyszał przed sobą szczególny szum. Zrozumiał, że to huczy w wichurze wielkie drzewo. Skierował natychmiast ku niemu Łyskę i wnet mokre, grubo śniegiem obwalone gałęzie jodły jak łapy potworne ogarnęły go z prawej i z lewej strony. Przystanął.

— Nasłuchujmy, synku, szczekania psów!... — rzekł ojciec.

Słuchali tedy pilnie — pilnie. Obijały się o uszy z dala lecące poświsty i przyziemny huk, gdy wicher głuchymi polami gnał w międzyleśne szyje.

Aczkolwiek jodła osłaniała od wiatru, zimno się wzmagało. Stojących bez ruchu wicher przejmował w ramionach i plecach do szpiku kości. Nogi od wielkich palców poczynało kłuć szpilkami. Śnieg stawał się coraz bardziej gęsty, sypki, zaciekły.

Pan Rafał okrył plecy chłopca kilimkiem, obiedwie jego nogi obrócił w jedną stronę z końskiego boku, sam przytulił się do tego boku i grzał dziecko sobą. Stopy swe w śniegu otulił drugim kilimem i tak objąwszy się, grzejąc konia i nawzajem przezeń ogrzewany, pod osłoną drzewa przetrwać postanowił burzę.

Tymczasem zadymka wciąż potężniała, a wiatr się do istotnego szału rozpętał. Ojciec raz wraz upominał synka, żeby zaś nie drzemał. Ale malcowi, właśnie jakby na przekór, śnić się poczynały różności, głowa jak kowadło ciężyła, a oczy zlepiały się niby pod nawałą lotnych płatków śniegu. Hub coś sennie gwarzył. Głowinę oparł na ojcowskim ramieniu. Wszyscy troje, nie wyłączając Łyski, cierpliwie nasłuchiwali, raz wraz podnosząc głowy i nastawiając uszy. Gdy wiatr się z nagła wzmagał... pan Rafał otulał szczelniej derą dziecko, sam się doń przyciskał i czekał z bijącym sercem.

I oto z nagła, jak gdyby wyczarowane z nicości przez niepojęte uczucie — kędyś w nocy, daleko — daleko błysły i zgasły dwa światełka. Wnet znowu błysły — i przygasły.

„Wilcze ślepia... Czy sen?" — zmagał się w sobie Olbromski.

Wlepił w próżną noc oczy... Oto znowu: — zabłysło — przygasło!... Porwał dziecko w ramiona — przekonany, że to nie złuda — nie mówiąc ani słowa otulił je w derę i chwilę jeszcze czekał... Głucha wewnętrzna modlitwa snuła się mu po wargach.

Dwa światełka znowu zaświeciły i zgasły. Lecz razem w podmuchu wiatru dopadł ucha tęskny, błogi dźwięk.

— Tatuś! Dzwonek!... — porwał się mały.

— Tak jakby prawda... Dzwonek... — wyszeptał ojciec.

Wpatrzyli się w przestrzeń... Wsłuchali w wicher. Dojrzeli przeciągle błyszczące dwa światła. Ujrzeli wyraźnie ich kołysanie miarowe. Sanki! Usłyszeli daleki — daleki pogłos... Serca uderzyły z radości. Zaszeptali do siebie bez sensu i związku. Połysk i głos zbliżały się bardzo powoli. Czekali cierpliwie, w milczeniu. Nareszcie gdy w ciągu kilku chwil obaj widzieli wyraźne migotanie i słyszeli daleki klangor jednotonnej melodii dzwonka, rzucili się do sanek i pojechali co tchu na spotkanie światła. Łyska, skostniała z zimna, w cwał pobiegła.

Urywki z opowiadania „Wszystko i nic" („Popiołów" sprawa druga) Stefana Żeromskiego



rys. M. Kościel...



Rysował Franciszek Kostrzewski (1826-1911),
znany malarz i wybitny karykaturzysta.



W stoczni szczecińskiej spuszczono na wodę drugi rudowęglowiec o nośności 3200 ton zbudowany na zamówienie Egiptu i noszący nazwę „Sena". Na zdjęciu statek ten spływa na wodę.

Karol Adwentowicz, mistrz sceny polskiej, obchodzi 85 rocznicę urodzin. Ten znakomity, wszechstronnie utalentowany artysta już przeszło pół wieku czaruje swą sztuką publiczność teatralną. Jako aktor, reżyser i dyrektor teatru broni na scenie polskiej najsłuszniejszych spraw ludzkich, uwydatnia z wielkim talentem sens ich wartości, którymi się szczycimy. Na zdjęciu jubilat w roli doktora ze sztuki T. Rittnera „W małym domku".



JAK POLSKA DŁUGA I SZEROKA



Do Stanów Zjednoczonych udał się na roczny pobyt wybitny historyk literatury polskiej, członek zwyczajny Polskiej Akademii Nauk — prof. dr Julian Krzyżanowski. Został on zaproszony przez Uniwersytet Columbia w New Yorku do objęcia po zmarłym profesorze Manfredzie Kridlu katedry literatury polskiej.

Koło Łęczycy odkryto przed trzema laty znaczne pokłady rudy żelaznej. W tym roku wybudowano tu już pierwszą kopalnię. Dostarczyła ona 50.000 ton rudy żelaznej. W przyszłym roku wydobycie rudy wzrośnie do 110.000 ton. Przewiduje się uruchomienie jeszcze około 8 nowych kopalni.



GENERAŁ WŁODZIMIERZ KRZYŻANOWSKI

GDY w 1861 roku Stany Południowe podniosły rokosz w obronie niewolnictwa dając początek wojnie domowej, prezydent Abraham Lincoln ogłosił zaciąg do armii przeciw rebeliantom. Pośród masowo napływających ochotników, obok robotników i farmerów amerykańskich znaleźli się również emigranci demokraci — w tym około 4 tysięcy Polaków, którzy podjęli organizowanie własnej formacji wojskowej.

W owym czasie w Stanach Zjednoczonych mieszkało już około 30 tysięcy Polaków. Olbrzymia ich większość zwalczała niewolnictwo. Założone w 1852 roku w Nowym Jorku Towarzystwo Demokratyczne Wygnańców Polskich prowadziło przeciw niewolnictwu energiczną kampanię. Świadczą o tym liczne dokumenty przechowywane w Muzeum Raperswilskim w Szwajcarii i w zbiorach Związku Narodowego Polskiego w Chicago.

W wojnie domowej wyróżnili się Polacy: gen. Józef Karge, syn chłopa z Oleandrów w Poznańskiem, płk. Ludwik Żychliński, płk. Władysław Żuławski i inni.

Najwybitniejszą jednak rolę zarówno w walkach, jak i w organizowaniu Polskiego Legionu odegrał inż. Włodzimierz Krzyżanowski rodem z Rożnowa, z Poznańskiego. On to stanął na czele Polskiego Legionu liczącego 5 tysięcy żołnierzy. Służyli w nim wraz z Polakami Niemcy, Francuzi, Włosi, Węgrzy, Czesi, Duńczycy i inni. Legion chwalebnie zapisał się na karcie walk o jedność USA i o zniesienie niewolnictwa. Krzyżanowski w następujący sposób scharakteryzował tę wojnę w swych wspomnieniach:

— Północ walczyła o byt całego państwa zachwianego tak silnie w swych podstawach, iż lada chwila runąć mogło. Murzyni bili się o byt własny, materialny i społeczny, o zrzucenie kajdan, które skuwając im ręce i ducha wyzuwały ich z przynależnych każdemu praw człowieczeństwa.

Pierwszą wielką bitwą, w której wziął udział Polski Legion, było starcie z wojskami Południa pod Cross Keys (8 czerwca 1862 r.), a potem okrył się chwałą w wielu bitwach łącznie z decydującą pod Gettysburgiem. Szeroką sławę na całą Amerykę zdobył Krzyżanowski bohaterską postawą w dwudniowej bitwie nad rzeką Bull Run (29 i 30 sierpnia 1862 r.), gdzie na czele brygady osłaniał odwrót północnej armii Potomaku. W walce tej został ranny. Prezydent Lincoln zwrócił się do senatu USA o przyznanie mu rangi generała brygady. Wniosek nie został uwzględniony dla zabawnej przyczyny: oto nikt w senacie nie potrafił wymówić nazwiska — Krzyżanowski. Dopiero w dwa lata później przyznano mu tę rangę generalską.

Włodzimierz Krzyżanowski po zakończeniu wojny był kolejno wojennym gubernatorem stanów Alabamy, Florydy, Georgii i Wirginii. Był też pierwszym gubernatorem Alaski (kupionej przez rząd USA od Rosji carskiej).

Zmarł 27 grudnia 1892 roku. Żołnierze i przyjaciele oddali nad jego mogiłą salut: „Za wolność waszą i naszą".



Włodzimierz Krzyżanowski w pierwszej wielkiej bitwie pod Cross Keys

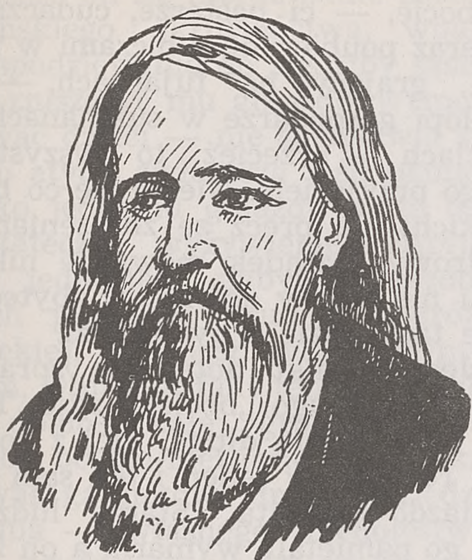
mal. A. Szyk



Polonia amerykańska szczyci się znakomitym pianistą polsko-amerykańskim, Tadeuszem Kożuchem, z Chicago, który na wiosnę ub. roku odbył turę koncertową we Francji Włoszech i przyjmowany był serdecznie i z entuzjazmem na koncertach w większych miastach państw zachodnio-europejskich. Tadeusz Kożuch ponadto jest profesorem gry na fortepianie na Uniwersytecie DePaul i w Mary Crest College. Jest on synem wybitnego związkowca Walentego Kożucha, komisarza Okręgu 13-go Z. N. P.

SZCZECIN — jedna z najstarszych osad słowiańskich nad Bałtykiem; obecnie miasto wojewódzkie. Po wojnie odbudowano port, sztocznię, wybudowano zakłady metalurgiczne i budowy maszyn, włókien sztucznych i hutę żelaza. Szczecin stanowi obecnie ważny ośrodek naukowy i kulturalny, istnieją tu: Politechnika, Pomorska Akademia Medyczna, Wyższa szkoła Rolnicza, kilka teatrów, filharmonia, muzeum Pomorza Zachodniego.
Na zdjęciu — Wały Chrobrego.

Adolf Dygasiński



Urodzony w r. 1839, a zmarły w r. 1902 — brał A. Dygasiński czynny udział w Powstaniu Styczniowym. Wróciwszy do Warszawy poświęca się pracy pedagogicznej i pisarskiej. Pisze szereg powieści i nowel, a ukochanym jego tematem to przyroda polska i zwierzęta. Dla poznania doli wychodztwa naszego wyjeżdża rezultatem czego są jego „Listy do Brazylii, A. Dygasiński należy do wybitniejszych pisarzy polskich o wszechstronnym umyśle. Poniżej podajemy jego opowiadanie na tle życia ptaków.

Polskie Ptaki

Bocian

Kiedy on to tam od nas odleciał, a teraz oto na święty Józef, w przedniej straży bocianów przybył i bez żadnej ceremonii, z całą poufałością, zajął stare gniazdo na grzbiecie chłopskiej chałupy. Wyglądał tak, jak gdyby stąd wcale nie odlatywał.

Igrające na podwórku dzieci pierwsze go spostrzegły, co tchu pędzą do chaty i oznajmiają:

— Bociek przyleciał! Matusiu, widzicie wy, bociek przyleciał!

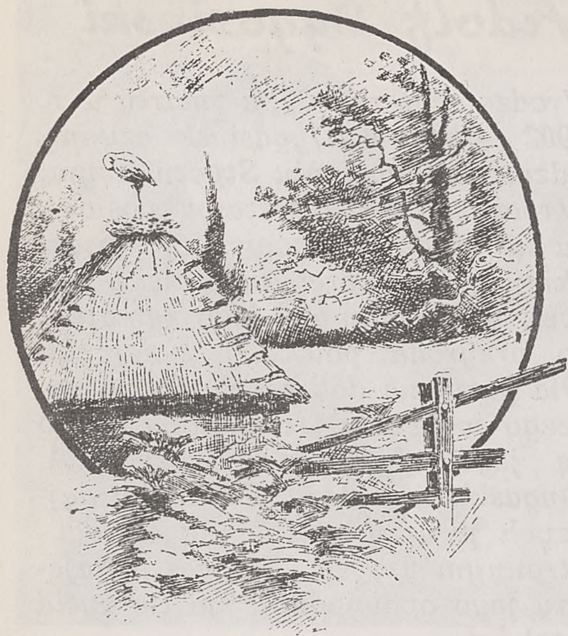
Gospodyni z zakasanymi po łokcie rękawy wyszła, patrzy:

— A prawda, toć rychtyk nasz bociek, nikaj nie zginął, jeno wrócił!

— Dlaczego, matusiu, bociek ma zawdy gniazdo w ludzkim obejściu, a nie w polu, albo w lesie?— Bo się człowieka trzyma, — źle mu to z nami? Drugi odludek zakłada sobie w lesie gniazdo; ale to tam już nieswojski, nieprawdziwy bociek.

Gdy usiadł na tym dawnym gnieździe, zaraz zaklekotał radośnie, witał się ze starymi śmieciami. Bo ileż on tu już lat przebył na tej wieży, corocznie dorzucając do niej nową warstwę chróstu i chwastu !

— Ten bociek — powiada gospodarz chaty — dawniejszy od nas wszystkich, mnie jeszcze na świecie nie było, kiej mu pan ojciec położyli na strzesze stare koło od wozu, żeby osiadł. Wiedzie się przy nim na polu i w przy-

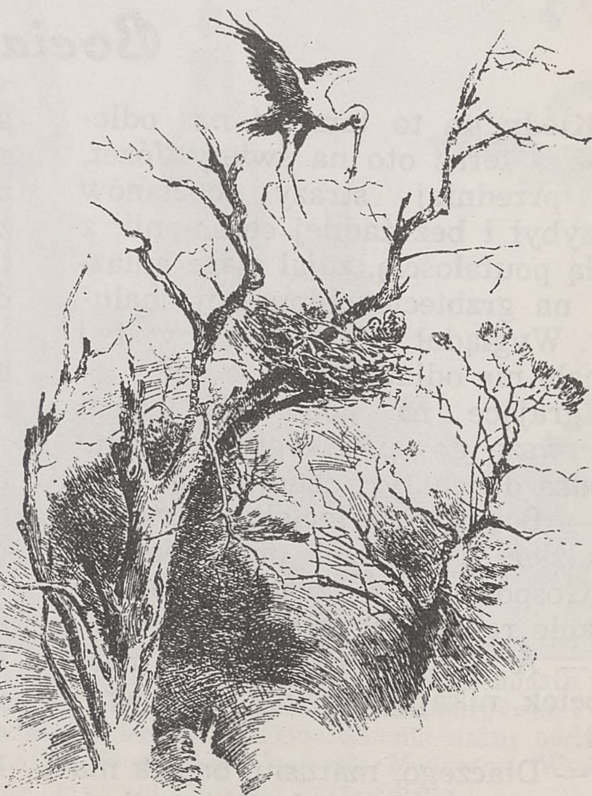


chówku: ognia, gradu, pomorku ani uświadczy...

Bocian na chłopskiej chałupie sam jak chłop żyje. Rano po rosie śpieszy do pracy, w południe przybywa odpocząć, a po południu, kiedy ludzie idą do roboty, on — także. Na noc też razem z nimi powraca. Dopiero gdy się dochowa dzieci, wtedy zmienia tak samo sposób życia, jak każdy człowiek: — „Ptak, a ma rozum lepszy nieraz od drugiego chłopa". Istotnie, wzór to surowych obyczajów, jednożeństwa, zapobiegliwości i gorliwości rodzicielskiej, a przytym —niepospolitego, praktycznego rozumu. Stojąc na gnieździe, bocian zda się obserwować okolicę, czynności różnych ludzi swego otoczenia, i stosownie do tego urządza swoje życie, okazuje względem współmieszkańców ufność lub niedowierzanie. Wnioski, wyprowadzone z tego. co widzi, nigdy go nie mylą. Te dzieci, „smarkate małe", bose, w koszulinach tylko, — te baby zapracowane, „w kieckach", chustkach na głowie, ciągle pośpiewujące przy robocie, — ci pasterze, cudacznie nieraz poubierani, z biczami w ręku, grający na fujarkach, — ci chłopi gospodarze w sukmanach i kitlach — przecież to wszystko jego przyjaciele. Niema się co bać takich; ale precz ze złudzeniami! Zdrowy rozsądek mówi, że nikomu nie należy dowierzać zbytecznie tam, gdzie o byt chodzi.

Jeszcze nikt dotąd nie sprawdził, jak długo „bociek" żyje. Tyla musi setnie długo, kiej z roku na rok zawdy jeden i ten sam na gniazdo przylata. Starzy ludzie, co go pamiętali, wymarli, a on żyje. Byłby grzech wielki zabić takiego starucha!...

Nie można powiedzieć o bocianie, że jest gołębiem dobroci, ptakiem „bez żółci"; przede wszystkim żaby miały by najzupełniej-



sze prawo protestować. Atoli i względem własnego gatunku dopuszcza on się nieraz istnie barbarzyńskiego okrucieństwa: wpaść niespodziewanie do siedziby sąsiada, zniszczyć mu gniazdo, wymordować dzieci — nie sprzeciwia się jego etyce, zwłaszcza jeśli okolica tylko jednemu gniazdu może dać dostateczne wyżywienie. Zabijanie jednostek słabych, niezdolnych przenieść trudów podróży dalekiej, nie jest wcale wymysłem. Objaśnia fakt ten powszechną dbałość całej gromady, o to ażeby bocian-niezdara nie przekażywał gatunkowi drogą odziedziczania — własnego niedołęstwa. Ha, trudno — niema na świecie bezwzględnej doskonałości i każdemu stworzeniu żywemu musimy coś wybaczyć, jeżeli się poczuwamy do obowiązku miłości! Nawet i kwiaty nie są tak niewinne, jak się na oko wydaje.

Rodzicielską tkliwość i pieszczotę, małżeńską miłość, szczęście triumfu, nadzieję, smutek i niezadowolenie wyraża bocian głosem suchym, przypominającym tak zwane „klapacze“, albo „trajkotki“, którymi chłopcy wiejscy robią dużo hałasu, biegając w Wielki Piątek około kościoła. To „klekotanie“ lub klektanie“ bociana ma coś obrzędowego a towarzyszą mu dziwaczne ruchy



głowy, przechylanie szyi ku tyłowi. Każdą ważniejszą chwilę w życiu obchodzi „bociek“ przez taką ceremonię.

Jakiż jest poważny kiedy na łące odbywa łowy na żaby! Istny profesor, zatopiony w studiach botanicznych. Ale nietylko w tej postawie jest on charakterystyczny. Nieraz oto szalony wicher dmie; człowiek zaledwie może ustać na nogach, a bocian się trzyma na jednej, nastawiwszy pierś wiatrom, które go nadaremnie usiłują strącić z grzbietu stodoły. To znowu w powietrzu zatacza wielkie koła, jak gdyby chciał doświadczyć dzielności swych skrzydeł; wówczas cień jego pada na ziemię, a domowe ptactwo pierzcha w popłochu, mniemając, że to wielki łupieżnik — jastrząb.





Przysięga Kościuszki na rynku w Krakowie.

W Chłopskiej Sukmanie Wszedł Do Historii

W dniu 4 lutego 1746 roku, a więc 205 lata temu, w cichym dworku litewskim w Mroczowszczyźnie przyszedł na świat — Naczelnik, Wódz w sukmanie — Tadeusz Kościuszko. Nazwisko jego stało się dla następnych pokoleń narodu polskiego sztandarem ideałów Wolności, bohaterstwa, szlachetności i miłości Ojczyzny.

Kościuszko przez życie swe i czyny jako wzór wielkości uznany i podziwiany nawet przez obce narody. Nazwisko jego zostało związane z historią Stanów Zjednoczonych i Francji, zostało wplecione do historii Rosji i Szwajcarii, a we własnej, polskiej, ojczystej historii zajaśniało blaskiem niezwykłym i najczystszym.

Znał wartość słowa wypowiedzianego i napisanego. Znał też cały naród wartość słów swego Naczelnika.

Kiedy stanął na Rynku Krakowskim, by złożyć przysięgę, wiedziano, że słów tych dotrzyma, choćby miał za nie życiem zapłacić.

"Ja, Tadeusz Kościuszko, przysięgam w obliczu Boga całemu Narodowi Polskiemu, że powierzonej mi władzy na niczyj prywatny ucisk nie użyję, lecz jedynie dla obrony całości granic, odzyskania samowładności Narodu i ugruntowania powszechnej wolności używać będę. Tak mi Panie Boże dopomóż i niewinna Męka Syna Jego".

Kiedy w dniu 7 maja 1794 roku wydaje słynny Uniwersał Połaniecki, jakżeż wielką wartość i wówczas i później, w każdym okresie naszego życia narodowego mają poniższe słowa:

"Nigdy Polakom broń ich nieprzyjaciół straszna nie była, gdyby sami pomiędzy sobą zgodnie znali swą siłę".

Słowo — wolność — nie było frazesem, ale treścią życia Naczelnika.

On pierwszy w okresie ogólnego ucisku stwierdził, że nie może jeden człowiek gnębić drugiego, że nie może jeden naród zabierać drugiemu wolności.

Jednakowo potępił rasowe niewolnictwo Murzynów w Ameryce, jak i klasowe niewolnictwo chłopów w Polsce.

Nie zatrzymywały go w drodze do prawdy ani trudy, ani walki z obozem przeciwnym. Z jednakowym uśmiechem znosił trudy podróży do Ameryki i trudy wojenne w walkach o wolność narodu amerykańskiego, z tym samym uśmiechem przyjmował zacięte ataki skierowane przez szlachtę przeciwko niemu za oświadczenie, że chłop jest takim samym pełnowartościowym obywatelem, co i szlachcic.

Nie w mundurze generalskim, ale w chłopskiej sukmanie wszedł do historii, i dlatego też stał się symbolem postępu, wolności i demokracji. Nadto stał się symbolem odwagi cywilnej.

Napoleon i Aleksander I, dwie ówczesne potęgi militarne potrzebowały współpracy Kościuszki. Miał odwagę cywilną i nie ugiął się przed tymi władcami. Wiedział, że polityka ich w stosunku do Polski nie jest szczerą i nie zwracając uwagi na konsekwencje, jakie mogą wypływać, odrzuca propozycje współpracy.

Prosty i skromny mimo dostojeństw posiadanych. W testamencie swym z dnia 2 kwietnia 1817 roku obdarował wolnością włościan swej rodzinnej wioski — Siechnowice.

Marszałek Francji, Lafayette na żałobnym obchodzie ku czci Kościuszki powiedział:

'Był to mąż nieustraszony, którego nawet nieszczęście pokonać nie mogło. Imię jego należy do całego ucywilizowanego świata, a jego cnoty są całej ludzkości własnością".

W ostatnich latach życia Naczelnika wrogowie jego szerzyli wiadomość o tym, że padając na polu walki pod Maciejowicami miał powiedzieć słowa: "Finis Poloniae". Chciano w ten sposób poderwać jego autorytet w Narodzie, chciano z Wielkości uczynić Małostkowość.

Dobitnie po polsku i po żołniersku odpowiada na ten zarzut w liście do hr. de Segur:

"Najpierw, przed końcem batalii byłem niemal śmiertelnie ranny i nie odzyskałem przytomności aż w dwa dni potem, kiedy już byłem w rękach nieprzyjaciela. Potem, jeżeli podobne słowa są nielogiczne i zbrodnicze w ustach każdego Polaka, byłyby tym więcej takimi w moich ustach.

Naród polski, powołując mnie do obrony całości, niepodległości, godności, sławy i wolności ojczyzny, wiedział o tym, że nie byłem ja ostatni między Polakami, oraz, że moja śmierć na polu bitwy lub gdziekolwiek, nie miała i nie mogła być końcem Polski.

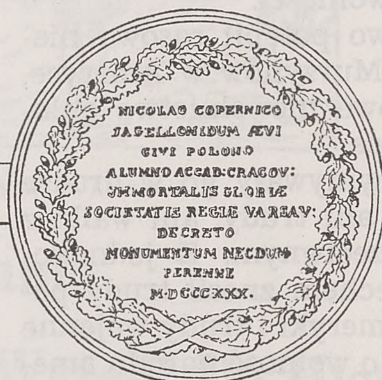
Wszystko, co następnie Polacy czynili, w sławnych legionach polskich, i wszystko, co czynić będą w przyszłości, ażeby odzyskać ojczyznę, dowodzi dostatecznie, że

my, żołnierze oddani tej ojczyźnie, my jesteśmy śmiertelnymi — a Polska jest nieśmiertelna i nie wolno nikomu odezwać się, ani powtarzać uwłaczającego okrzyku: Koniec Polski”.

W imię tej prawdy pierwsze oddziały polskie, tworzone w ZSSR obrały sobie za patrona Tadeusza Kościuszkę i z jego imieniem na ustach przeszli swój pierwszy bojowy chrzest pod Lenino, a następnie przebyli tryumfalną drogę aż po Berlin, pamiętając o tym, że Polska jest nieśmiertelna.

Kościuszko w chłopskiej sukmanie wszedł do historii.





MIKOŁAJ KOPERNIK

W auli Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie wisi duży obraz pędzla Jana Matejki przedstawiający Mikołaja Kopernika na balkonie domu podczas obserwacji nieba. Postać wielkiego astronoma owietlona blaskiem k s i ę ż y c a, twarz uduchowiona podnosi się ku nocnemu niebu ku gwiazdom, wielbiąc Boga Stwórcę wszech świata. U nóg Kopernika stoi zapalona latarnia w blasku której widać leżące na ziemi przyrządy astronomiczne i książki, zaś w głębi wyłania się wieża katedry frauenburskiej. Mikołaj Kopernik astronom o światowej sławie był Polakiem mimo, że Niemcy udowodnić chcieli i chcą, że był Niemcem.

Wielki uczony urodził się dnia 19 lutego 1473 roku w Toruniu, jako syn kupca Mikołaja Kopernika i matki Barbary z Watzelrode, córki obywatela toruńskiego. Mając lat dziesięć umiera mu ojciec. Opiekunem rodziny staje się brat matki kanonik Kujawski Łukasz Watzelrode, który zostaje po jakimś czasie biskupem warmińskim w Elsburgu. Lata młodzieńcze spędza więc młody Kopernik u swego wuja we Włocławku. Tam uczęszcza też do szkoły katedralnej. W tym czasie żył we Włocławku dr. Mikołaj z Kwidzynia, astrolog, matematyk i astronom. On też pierwszy uczył Mikołaja Kopernika matematyki, geometrii i astronomii. Młody Kopernik umiłował sobie przede wszystkim astronomię, naukę o gwiazdach.

Z Włocławka, ukończywszy szkołę katedralną, udaje się Miko-

łaj Kopernik z końcem roku 1491 do Krakowa, aby tam na Akademii kształcić się dalej. Akademię tę założył w roku 1364 król Kazimierz Wielki, uczelnia ta była więc znana w całym świecie. Uposażyła wszechnicę tę bogato królowa Jadwiga, żona króla Władysława Jagiełły, stąd nazwa Akademii Jagiellońskiej.

Na tej Akademii kształcił się Mikołaj Kopernik, pobierając naukę u ówczesnych uczonych jak słynnego, ze swej wiedzy mistrza Wojciecha z Brudzewa. Po czterech latach pobytu w Krakowie wraca do Torunia. Końcem roku 1496 udaje się w podróż do Włoch do Bolonii, aby studiować prawo. Oczywiście oddaje się z zapałem dalej astronomii i dokonuje szeregu obserwacyj astronomicznych.

W roku 1498 zostaje kanonikiem warmińskim. Na skutek zezwolenia Kapituły warmińskiej przebywa w dalszym ciągu we Włoszech oddając się naukom. Sława uczonego Polaka wnet rozeszła się po Włoszech.

Po pewnym czasie wraca Kopernik do kraju, aby zamieszkać we Frauenburgu, siedzibie Kapituły warmińskiej. Tu spędzi lat 30. Tu pisze olbrzymie, słynne dzieło swoje "O obrotach ciał niebieskich", twierdząc w nim, że ziemia krąży koło słońca, a nie jak dotychczas mniemano, że słońce krąży naokoło ziemi.

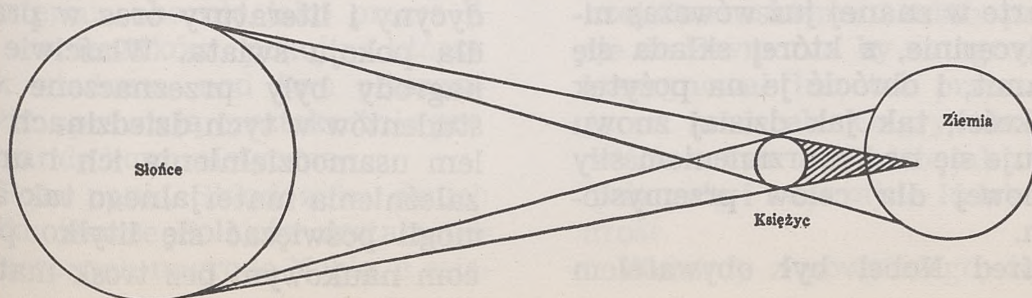
Panoszący się wtedy Zakon Krzyżacki chciał biskupstwo warmińskie oderwać od Polski. Ale Kopernik temu się przeciwstawił i Warmia pozostała przy Polsce.

Kopernik jest autorem poematu religijnego pt. "Siedem gwiazd". Utwór ten pisany jest w języku łacińskim. Również w latach 1508—1509 wydaje pisemko pt. "Zarys nowego mechanizmu świata", które jest publiczną zapowiedzią olbrzymiego dzieła.

Wiemy, iż śmiałe twierdzenie wielkiego astronoma naszego, że ziemia krąży koło słońca, zyskało i grono przyjaciół, wielbicieli i ludzi odnoszących się do tego nieufnie, jak do każdej nowej zasady nauki, nowej prawdy naukowej. Dopiero pod koniec życia swego Mikołaj Kopernik po ostatnich poprawkach oddaje dzieło swe do druku. W przedmowie poświęcił książkę swoją "O obrotach ciał niebieskich" papieżowi Pawłowi III.

Wielki astronom nie doczekał się sławy, rozpowszechnienia swego dzieła, umarł 24 maja 1543 roku.

Dopiero po śmierci sława jego rozeszła się po całym świecie. Pomniki stawiane w Polsce, a zwłaszcza wspaniały pomnik w rodzinnym jego mieście Toruniu, świadczą o hołdzie jaki cały Naród polski oddaje wielkiemu astronomowi.



Koło Nagrody Nobla


Henryk Sienkiewicz

W miesiącu grudniu zeszłego roku odbyło się wśród wielkich uroczystości coroczne rozdawanie tak zwanych nagród Nobla, ustanowionych, jak wiadomo, testamentem pana Alfreda Nobla, zmarłego w San Remo we Włoszech 10. grudnia 1896. Alfred Nobel był człowiekiem, który dorobił się olbrzymiej jak na owe czasy fortuny, na dynamicie, to znaczy nie na odkryciu dynamitu lecz na praktycznem zastosowaniu go, bo dopiero Noblowi udało się okiełznąć te olbrzymie niszczycielskie siły zawarte w znanej już wówczas nitroglycerinie, z której składa się dynamit, i obrócić je na pożytek ludzkości, tak jak dzisiaj znowu pracuje się nad ujarzmieniem siły atomowej dla celów przemysłowych.

Alfred Nobel był obywatelem szwedzkim i pochodził z rodziny duńskiej, która w drugiej połowie szesnastego stulecia razem z połacią kraju, w której się urodził, dostała się pod panowanie szwedzkie. Jeden z pra-pradziadków jego, Peter Nobelius (nazwisko złacinizowane wedle ówczesnego zwyczaju), ożenił się z córką rektora uniwersytetu Upsala i od tego czasu rodzina Noblów zaczyna się wybijać. Co do samego Alfreda Nobla, to jego wykształcenie było raczej powierzchowne i właściwie nigdy nie zdobył tak zwanego wyższego wykształcenia mimo swych wielkich zdolności technicznych. Przyczynił się do tego chaotyczny nieco sposób jego wychowania przez ojca, częsta zmiana miejsca zamieszkania i inne okoliczności. Dość długi okres młodych lat spędził w Rosji do której i później jeszcze powrócił i gdzie wraz z braćmi swoimi wprowadził innowacje w przemyśle naftowym w Baku i położył podwaliny pod swą wielką fortunę. Gdy zmarł głowną część swojej fortuny obliczona wówczas na przeszło dziesięć miljonów dolarów zapisał na ustanowienie pięciu nagród za zasługi na polu fizyki, chemji, medycyny i literatury oraz w pracy dla pokoju świata. Właściwie te nagrody były przeznaczone dla studentów w tych dziedzinach celem usamodzielnienia ich i uniezależnienia materjalnego tak aby mogli poświęcać się litylko pracom naukowym bez trosk mater-

jalnych. W praktyce jednak wybór takich studentów okazał się niemożliwym wobec czego ciało, które dla zarządu i rozdania tych nagród zostało ustanowione, przyjęło jako zasadę przyznanie tych nagród wybitnym i zasłużonym już naukowcom i osobom w tych dziedzinach.

Dzięki umiejętnej administracji funduszu oraz kilkakrotnemu zatrzymaniu nagród wobec niemożności znalezienia w danym roku odpowiedniego kandydata w jednej z tych dziedzin to znaczy kandydata na którego sędziowie mogliby się zgodzić, co się zdarzało niejednokrotnie w dziedzinie literatury, oraz podczas wojny wogóle, fundusz ten z biegiem lat nietylko nie został uszczuplony, lecz nawet się pomnożył. Zasadniczo jeden ten sam kandydat może być i dwukrotnie odznaczony względnie w dwuch dziedzinach, ale jak dotąd, wyróżnienie to spotkało tylko jedną osobę, a mianowicie panią Curie-Skłodowską, która otrzymała nagrodę Nobla tak w dziedzinie fizyki jak i chemji. Jest to niewątpliwie źródłem dumy dla Polaków i wszystkich polskiego pochodzenia, ale równocześnie ubolewać trzeba nad tem, że to słynne nazwisko jest teraz nadużywane przez zięcia pani Curie pana Joliot-Curie (francuskiego żyda) który przybrawszy nazwisko Curie do swego nazwiska Joliot występuie obecnie jako prezes ligi zwolenników pokoju, którzy jak wiadomo, pod tym płaszczykiem uprawiają częstokrotnie propagandę komunistyczna.

Poza panią Skłodowska dwuch tylko jeszcze Polaków zostało odznaczonych nagrodą Nobla, a mianowicie Sienkiewicz i Reymont, obaj w dziedzinie literatury. Co do Sienkiewicza, to nagroda została mu bezspornie przyznana; Reymont natomiast, mimo że był niewątpliwie pisarzem wielkiego kalibru i na nagrodę Nobla ze wszech miar zasługiwał, o mało co nie został pominięty i otrzymał ją tylko szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Jest to bowiem otwartą dziś tajemnicą, ze kandydatura Reymonta została dopiero wysunięta, gdy przynanie nagrody wybranemu przez jury kandydatowi stało sie dla jakichś względów politycznych niemożliwem. Wówczas, jak to Krzywoszewski w swojej książce "Długie Życie" tak zabawnie opisuje, ówczesny poseł polski w Stockholmie, zwrócił uwagę sędziów na Reymonta, którego nieśmiertelne dzieło "Chłopi" okazało się wówczas w przekładzie niemieckim, i dla użytku dzieło to odrazu sprowadził. Niewiadomo nawet, jak Krzywoszewski twierdzi, czy sędziowie dzieło to w braku czasu zdążyli przeczytać, w każdym razie sława którą Reymont już wówczas posiadał, skłoniła ich do ostatecznego przynania mu nagrody Nobla w danym roku. Niemniej ciekawem jest, że społeczeństwo polskie przyieło wiadomość o odznaczeniu Reymonta również nie bezspornie. Pewne jego sfery uważały bowiem że nagroda ta należałaby się raczej Żeromskiemu i miały pretensje do Reymonta by z nagrody tej zrezygnował lub też przeznaczył ja na inne cele. Odgrywała oczywiście w tym wzgledzie jak zwykle duża rolę i zwyczajna ludzka zazdrość.

Widzimy z powyższego, że mo-

tywy, którymi się sędziowie przy wyborze kandydatów kierują, nie są koniecznie bezsporne, i z pewnością jest sporo pisarzy na świecie, którzy mimo wszelkich kwalifikacji nigdy tego zaszczytu nie dostąpili, chociaż byli i może kandydatami w pewnym roku. Zwykle jest bowiem tak, że, o ile kandydatura jakiegoś pisarza w danym roku przepada, to z reguły w następnych latach już nie wypływa, bo już przeszła zenit swego powodzenia i pojawiły się jakieś nowe gwiazdy. Zdarza się też, że, o ile sędziowie nie mogą wybrnąć z sytuacji i zgodzić się na jakiegoś kandydata, to wstrzymują wogóle nagrodę z tej dziedziny i dopiero w następnym roku lub nawet później innemu kandydatowi ją przyznają. Taki właśnie wypadek miał miejsce w roku 1949 w dziedzinie literatury i to z powodów dla nas katolików bardzo ciekawych. Podobno w roku 1949 aż roiło się od możliwych kandydatur pisarzy katolickich, począwszy od sędziwego Mauriaca, Francuza, do Johannes Jorgensona Duńczyka, i Graham Greena, Anglika, nie mówiąc o innych słynnych pisarzach katolickich. Wobec takiej powodzi katolickich talentów światowej sławy jury okazała się bezradna i wybrała najwygodniejsze dla siebie wyjście to jest zignorowanie wszystkich katolickich kandydatów. W roku zaś zeszłym tych kandatur już nie wznowiono, lecz wybrano na laureatów, amerykańskiego pisarza, Faulkner, oraz angielskiego "filozofa", Bertram Russel, rozdzielając temsamem i zaległą z roku 1949 nagrodę za literaturę.

Co do Faulknera, to z punktu widzenia katolickiego, zdaje się, nie ma żadnego zastrzeżenia. Tak jako pisarz jak i jako człowiek zajmuje on poziom wysoki i całe jego zresztą zachowanie w związku z przyznaniem mu nagrody Nobla cechowane jest ujmującą wprost skromnością, taką właśnie, którą odnaczają się naprawdę wartościowi ludzie. — Co zaś do p. Bertrama Russella, to jest to nazwisko już od dawna sławne i zasłużone, ale bynajmniej nie w filozofji lub literaturze lecz w matematyce. Dzieła jego w matematyce należą wprost do rewelacyjnych i przedstawiają wielką pozycję w dorobku ludzkości, ale we filozofji lub literaturze to trudno jest mówić o "dorobku" pana Russella. Pomijając że pan Russel jest ateuszem lub skeptykiem jak się te ładniej nazywa, to pan Russel w filozoficznych dziełach nawet nie jest oryginalnym, bo właściwie ogranicza się do popierania opinji innych skeptyków, więc nawet jego skeptycyzm jest poniekąd nie jego własnym dorobkiem. wiadomo też, że pan Russel był swego czasu zwolennikiem komunizmu, przynajmniej z nim kokietował, tak jak to i czynił i Bernhard Shaw, i dopiero po zwiedzeniu Rosji "przejrzał". W ostatnich latach pan Russel kilkakrotnie dał wyraz wiekiemu rozczarowaniu, którego doznał w stosunku do komunizmu i odwołał to co poprzednio napisał i to szczere wyznanie swego błędu niewątpliwie bardzo mu się chwali. Ale doprawdy trudno dopatrzeć się w tem związku z przynaniem mu nagrody za literaturę i w świetle wyżej przedstawionych danych wyglądać to musi w oczach każdego myślącego

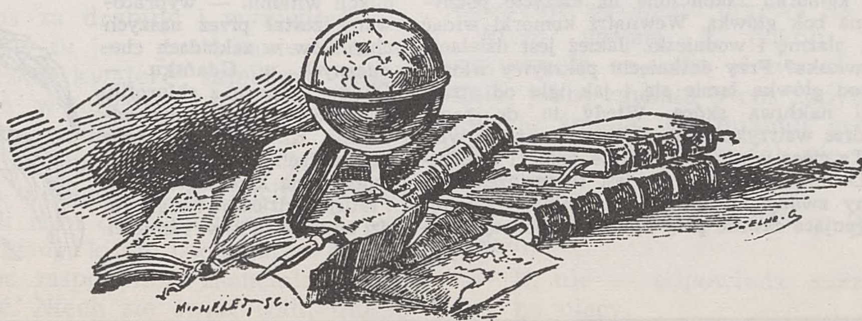
człowieka przynajmniej na pomyłkę. Za matematykę tak, ale za literaturę?

Czem kierowali się sędziowie w sprawie nagrody za literaturę? Chyba przecież intencją samego twórcy funduszu. Ale w tem sęk.-O Noblu mówią, że on wynalazca dynamitu względnie praktycznego zastosowania jego, był zwolennikiem pokoju, o czem świadczyłoby chociaż ustanowienie przez niego nagrody dla pracy pokojowej oraz jego wynurzenia w tej dziedzinie. Znany jest też list Nobla do jednego ze swoich przyjaciół, w którym on wyraża przekonanie, że jego wynalazek, to znaczy dynamit, przyczyni się do unicestwienia wojny, bo z chwilą gdy armje walczące ze sobą będą w stanie zniszczyć się w ciągu kilku sekund (przy pomocy jego wynalazku, jak mu się wówczas zdawało) wszystkie narody będą się wzdrygały przed wojną i armje swoje dobrowolnie rowiążą. Czy to nie przypomina dzisiejszego proroctwa odnośnie do siły atomowej?

Ale nas katolików odnośnie do osobistości Nobla jeszcze coś innego ciekawi. Trzeba bowiem wiedzieć, że ten człowiek był zajadłym antyklerykałem i wrogiem papiestwa, zacietrzewiony wprost pod tym względem, i na tym tle można decyzję sędziów ociągających się przed przyznaniem nagrody katolickim pisarzom może lepiej zrozumieć. — Alfred Nobel był pozatem wybitnym antysemitą, potępiał żydów w czambul, a nie cierpiał fizycznie wprost reporterów, o których się bardzo szpetnie wyrażał. Był on wogóle dziwak. Natura jego miała wiele sprzeczności tak jak i natura Bernarda Shawa który też Boga znaleźć nie mógł, bo własnymi argumentami zawsze zbijał to co twierdził, że wierzy.

Pozostaje jeszcze pytanie, czy czytelnicy katoliccy mają się przy wyborze książek, kierować nagrodami przyznanymi przez tę lub inną instytucję. Trzeba to oczywiście brać "cum grano salis" i wymaga to jeszcze kryterjum katolickięgo. Nie wszystkie książki rozpowszechnione przez znane nawet bardzo instytucje, jak n.p. Monthly Club, lub nagrodzone "Pulitzer Price" etc., można przyjąć bez zastrzeżeń z punktu widzenia katolilickiego. Trzeba używać w ocenie własnego krytycznego umysłu lub radzić się prawdziwych swoich przyjaciół, ludzi wartościowych na opinji których można polegać.

M. J.



ANNA JUNOSZA

NASZE WITAMINY

POKRZYWA



Pachnie nagrzana wiosennym słońcem wilgotna ziemia. Spośród zeschłych, zeszłorocznych badyli, zszarzałych od jesiennych słot i zimowych chłodów, wysuwają się młode, jasno zielone pokrzywy. Czujemy w powietrzu ich ostry zapach zmieszany z delikatnym, pachnącym oparem ziemi.

W pobliżu domostw, pod płotem, w sadach, w zaroślach, na pobliskich pustkowiach, nad rzekami i strumieniami, w gąszczu wilgotnych lasów, obudzone promieniami słońca i ciepłym wiosennym powiewem, wyrastają miliony młodych, soczystych i bujnych pokrzyw. Niechętnie spoglądają na pokrzywy rolnicy i ogrodnicy, wiedzą oni bowiem, że czeka ich twarda, uparta walka z tym chwastem, zwłaszcza wtedy, gdy wzejdzie na grzędach przeznaczonych dla roślin uprawnych. A pokrzywy szybko rosną, wyciągają się ich łodygi ku górze, mnożą się korzenie w ziemi, rozpościerają się ich młode liście okryte niezliczonymi, cienkimi, parzącymi włoskami. Odstrasza nas od nich samo wspomnienie bolesnych ukłuć i swędzących bąbli na skórze. A jednak sięgają po młode pokrzywy ręce kobiet wiejskich, o zgrubiałej od pracy skórze. Zebrane pokrzywy służą na karmę dla młodych indycząt i kurcząt. Posiekane drobne liście pokrzyw to także doskonały pokarm dla trzody chlewnej. Wyrastające na grzędach warzywnika pokrzywy — żegawki wykorzystywano czasem na jarzynę podobnie jak szpinak.

Przy badaniu składu chemicznego pokrzywy stwierdzono, że posiada ona 22% ciał białkowych. Parzący chwast spod płotu znalazł się w pracowni przyrodniczej pod mikroskopem. Ostrą brzytwą odcięto maleńki skrawek liścia wraz z włoskami. Na oglądanych skrawkach pokrzywy każdy parzący włosek, to wydłużona żywa komórka zakończona na szczycie pochyloną na bok główką. Wewnątrz komórki widać jądro, plazmę i wodniczki. Jakież jest działanie tego włoska? Przy dotknięciu pokrzywy włosek tuż pod główką łamie się i jak igła od strzykawki nakłuwa skórę. Wtedy to do ranki w skórze wstrzykuje się płynna zawartość włoska. Ta ciecz właśnie wywołuje bąble i swędzenie. Ostatnio wykryto, że jest to związek chemiczny zwany histaminą. Histamina wywołuje występujące zawsze przy oparzeniu pokrzywą — swędzenie, zaczerwienienie i bąble. Natomiast wrażenie parzenia powoduje drugi składnik parzącej cieczy we włoskach zwany acetycholiną. Mamy już więc wyjaśnione przyczyny bólu, tworzenia się bąbli i swędzenia po oparzeniu pokrzywą. Raz rozpoczęte badania pokrzywy trwają dalej. Przy dokładnym rozpatrywaniu przez mikroskop budowy łodyg pokrzywy stwierdzono, że posiada ona włókna. Spróbowano używać ich na wyrób tkanin, podobnie jak używamy włókien lnu. Próba powiodła się dobrze. Wprawdzie tkanina była gruba, ale któż może twierdzić, że nie wyhodujemy kiedyś pokrzyw o delikatnych, jedwabistych włóknach, nadających się do wyrobu cienkich tkanin. Jest to zapewne tylko kwestia czasu.

Medycyna ludowa stosuje chłostanie pokrzywą jako jeden ze skutecznych leków na reumatyzm. Przytaczamy w dosłownym brzmieniu to, co na ten temat podaje „Historia roślin" Ludwika Fiquiera z 1871 roku. Czytamy w niej: „Nasze pokrzywy (zwyczajna i żegawka), najeżone jak wiadomo, palącymi włosami, były często używane przez dawniejszych lekarzy do chłostania chorych, a operacja ta, drażniąc skórę, sprawiała nieraz zbawienne oddziaływanie. Ten środek terapeutyczny, nazywany notykacją, praktykuje się pomyślnie i za dni naszych nie tylko w Europie i w krajach ucywilizowanych, lecz nawet u dzikich ludów różnych okolic, a szczególnie u Malajczyków, którzy uznali jego skuteczność i w codzienne użycie wprowadzili."

Pokrzywa dostarcza medycynie współczesnej powszechnie używanych witamin. Zaczęło się to 250 lat temu, kiedy po raz pierwszy udało się wydobyć z roślin zielony barwik nazwany chlorofilem.

Sposób otrzymywania z pokrzywy chlorofilu — tego wyjściowego surowca do produkcji witamin — wypracowany został przez naszych chemików w zakładach chemicznych w Gdańsku — Oliwie. Obecnie z chlorofilu pokrzywy otrzymujemy witaminę K. Stosowana przy krwotokach witamina K wpływa na krzepnięcie krwi i ratuje codziennie tysiące ludzi od upływu krwi i śmierci.





Powrót

STANISŁAW GĄSIOROWSKI

Wachmistrz opowiadał:

— Nareszcie po długich mozołach dotarliśmy do Warszawy. Nad Wisłą hulała śnieżna zawierucha. Chude konie robiły bokami i ledwie się wlokły. Jechałem na czele tego żałosnego pochodu, w półszwadronie, o jakie sto kroków przed saniami cesarza.

Budził się szary, zimowy dzień. Gdzieś na Pradze zapachniało z piekarni świeżym chlebem. Aż mnie zemdliło, taki byłem głodny i zziębnięty. Pod kopytami koni dudnił drewniany most, w dole płynęła kra na Wiśle, dął mroźny wiatr i chłostał po twarzy mokrym śniegiem.

Zatrzymaliśmy się pod górką na ulicy Karowej. W zimowej ciszy uśpionej stolicy zadzwoniła sygnaturka u św. Jana na Prymarię. Zdjęliśmy czapy i zmówiliśmy pacierz. Od sań cesarza pocwałowało dwóch jeźdźców do miasta. Pewnie kwatermistrze. Pałaców w Warszawie jest dosyć — pomyślałem. W tej chwili rotmistrz dał rozkaz: naprzód! Zajechaliśmy przed jakiś pałac na Wierzbowej. Naraz patrzę, a rotmistrz zamiast do pałacu skręca do bramy przeciwległej, starej, piętrowej kamienicy. Wjechaliśmy na obszerne podwórze. Padł rozkaz: zsiadać! Konie do stajni! Okazało się, że jesteśmy w znanym zajeździe obywatela Slepowrona. Nogi mi tak ścierpły, że ledwie się mogłem ruszać. Rozsiodłałem konia, wytarłem go wiechciem, dałem mu obroku, zarzuciłem siana za drabinę i wyszedłem na podwórze. Stały tu jeno puste sanie cesarza.

Na żołnierską kwaterę zajęliśmy jakąś obszerną izbę w oficynie. Kazałem przynieść słomy na posłanie, drzewa do pieca i wody do mycia. Oporządziłem się jako tako i pomyślałem o śniadaniu. W kuchni gospody nagotowali nam dobrego barszczu z wędzonką, kupiliśmy kilka bochenków chleba i gdy już głód zaspokoiłem zachciało mi się strasznie spać. Niech się świat wali, muszę się zdrzemnąć — pomyślałem. Zzułem buty i rzuciłem się na legowisko. Chrapnąłem sobie niezgorzej, ale zbudził mnie porucznik.

— Wachmistrzu — mówi — wstawajcie. Odpowiedzialna służba.

— Wedle rozkazu. Odpowiedzialna to ona każda — mruczę i idę za nim. Wyznaczył mnie na szyldwacha przy jakichś drzwiach w sieni gospody.

Pewnie sztab — pomyślałem — bo chodzili na palcach i rozmawiali szeptem, ale nie dopytywałem kto i co tam za drzwiami. Nie moja rzecz. W pewnej chwili wyszedł z pokoju blady, wynędzniały gen. Caulaincourt i zostawił uchylone drzwi. Trzasnąłem obcasami, sprezentowałem broń, kiwnął głową i poszedł w głąb korytarza, dzwoniąc ostrogami.

Patrzę przez szparę do pokoju i widzę: kilkunastoletnia, zgrabna dziewczyna z naręczem drew stoi przy kominie, dokłada polan do ognia, czerwony blask płomienia oblewa jej rumianą twarz, a w tym blasku, w głębi pokoju, przy stole widzę, mówię wam jak dziś, siedzi cesarz w swojej podróżnej szubie i w futrzanej czapie jak jaki woźnica w karczmie. Przed nim omszała butelka wina. Nalewa sobie do kielicha i chciwie pije. Pije i duma, sumituje, nic go dokoła nie obchodzi, głowa pochylona, brwi zmarszczone, oczu mu nie widać. Za oknem huczy śnieżna wichura. W ciszy słychać trzaskanie smolnego drzewa na kominie.

Wtem wyszła z pokoju dziewczyna, przymknęła za sobą drzwi i spojrzała na mnie, jakby chciała o coś zapytać, ale pewnie nie śmiała, bo miałem groźne, czarne wąsy i marsową minę. Jak nie, to ja pierwszy zacznę:

— Panienka na posłudze — pytam miłym głosem.

— E, nie — odpowiada, zarzucając warkocz na plecy.

— A jak?

— Jestem u siebie w domu.

— Acha, rozumiem, pewnie krewna gospodarza?

— Nawet jego rodzona córka — śmieje się szelma i błyska białymi zębami, a mnie aż ciarki chodzą po grzbiecie.

— Acha, acha! Kiepska pogoda — mówię by coś powiedzieć.

— Śnieżyca szaleje, ale napaliłam galancie, będzie mu ciepło. Kto to zacz? — zagadnęła mnie znienacka.

— A bo czego? — robię służbistę, a myślę — jak cię złapię, to cię pocałuję. Ze mną nie ma żartów.

— Niczego — ona powiada — tylko tak pytam.

— Siedzi w czapie i taki jakiś ponury, aż strach.

—A niech siedzi, jak mu dobrze.

— Nie podoba mi się on.

— Kto? — udaję głupka.

— Ten tam — pokazuje palcem na drzwi.

— On? A czemu?

— Wygląda, jakby siedem wsi spalił.

— Siedem tylko?

— No tak.

— Ach panienko — rzekłem — on więcej niż sto razy po siedem spalił.

— Jezusie Maryjo! Naprawdę?

— Żołnierskie słowo.

— To może on Napolion?

— No, a któżby? Przecie przy byle kim nie dają wachmistrza na szyldwacha — wyprężyłem dumnie pierś.

— NAPOLION tu u nas w Warszawie? — Patrzy na mnie dziwnym wzrokiem.

— Tak, — odpowiadam i czuję, że pod jej spojrzeniem rumienię się ze wstydu, sam nie wiem czemu.

— On tu, w takim stanie...

— Co robić, wojna — bełkocę.

— A przecie szedł na Rosję po carów koronę...

— Szedł, szedł — urywam, bo służba.

— Mówcie — szarpie mnie za guzik płaszcza.

— Cóż ja powiem? No szedł i doszedł.

— Był w Moskwie?

— Owszem, był. Byliśmy... ten... tego... hm — chrząkam, bo mi groza klęski znowu podeszła pod gardło.

— Co dalej — przypiera mnie do muru.

— Nic, wiadomo co, wraca—nie pytaj.

— A wojsko?

— Wojsko?

— Gdzie wojsko? Mówcie! — Trzęsie mnie za ramię.

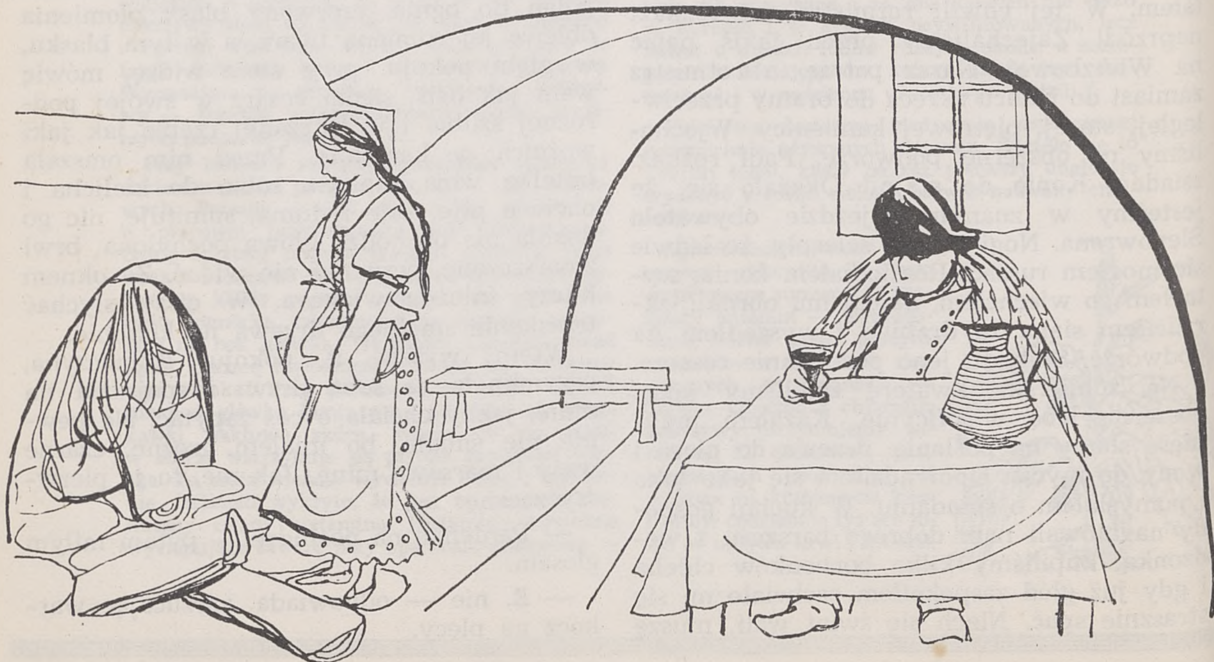
— Hm... Wojsko... Gdzie wojsko?... No, tego... prawie bez wojska... Niedobitki... — szepcę.

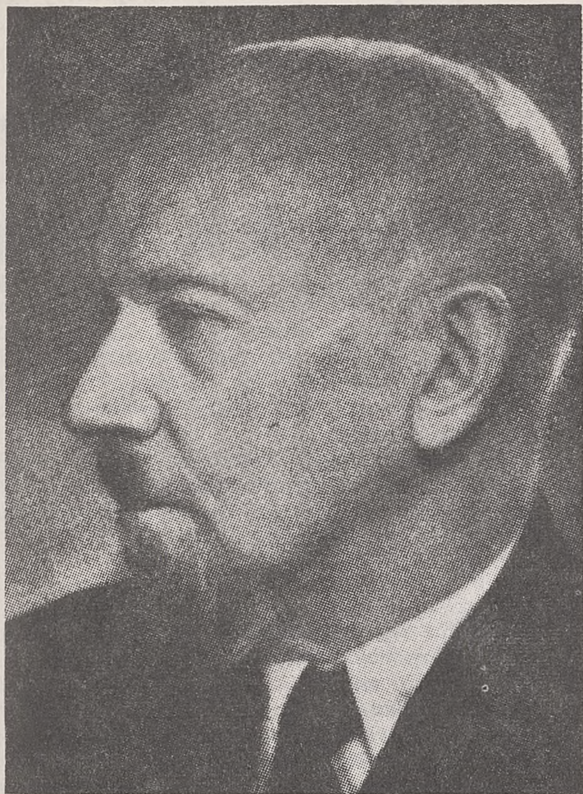
— Gdzie ono? Powiedzcie!

— Nad Berezyną, pod Borodinem i hen tam pod Moskwą, z mrozu i głodu w szponach śmierci, w śniegach zostało na wieki. Odejdź dziewczyno, nie mogę. Jestem przecie na służbie przy cesarzu.

— Ach, Boże, Boże! biedni moi bracia — rozpłakała się żałośnie i odeszła w głąb gospody, a mnie łzy zasłoniły oczy.

Już jej nigdy potem nie widziałem.





ANDRZEJ WITEK

POETA SPOKOJU I POWAGI ŻYCIA

(O LEOPOLDZIE STAFFIE)

Czciciel gwiazd i mądrości, miłośnik ogrodów,
Wyznawca snów i piękna i uczestnik godów,
Na które swych wybrańców sprasza Sztuka boska:
Znam gorycz i zawody, wiem, co ból i troska,
Złuda miłości, zwątpień mrok, tęsknot rozbicia,
A jednak śpiewać będę wam Pochwałę Życia.

— — —

Kochałem i wiem teraz, skąd się rodzą pieśni;
Widziałem konających w nadziejnej otusze
I kobiety przy studniach brzemienne jak grusze;
Szedłem przez pola żniwne i mogilne kopce,
Żyłem i z rzeczy ludzkich nic mi nie jest obce.

— — —

(„Przedśpiew")

Wiersz ten można by nazwać wyznaniem poety lub poetycką próbą podsumowania swojego dorobku literackiego. Wiersz ten kreśli portret poety wiernie z jego rzeczywistą podobizną.

Staff jest poetą, którego interesują wszystkie zjawiska świata. Nie ma dla niego rzeczy nieatrakcyjnych, spraw nieważnych i nie zasługujących na uwagę. Do ludzi, roślin, zwierząt podchodzi z miłością i podziwem. Poeta wielki od małego różni się tym, że nie przestaje się nigdy dziwić i zdumiewać bogactwem świata, wielością form życia.

Świat widzi w jego prostocie i skomplikowaniu.

Postawa poetycka Jego wobec życia — to postawa człowieka dobrego, współczującego nędzy, biedzie, wrażliwego na każdy przejaw niedoli ludzkiej. I w tej humanistycznej stronie jego poezji mieszczą się nieprzemijające jej wartości.

Filozofia w wierszach Staffa jest połączeniem łagodnego sceptycyzmu ze stoicką wiarą. Poeta wie, że wszystko to, co się dzieje na świecie kierowane jest Bożym rozumem. Można by powiedzieć, że jest to filozofia trudnego optymizmu.

Nie danym było Leopoldowi Staffowi dożyć 80 letniej rocznicy urodzin, od której dzieliło go zaledwie parę miesięcy. Zmarł w maju br. w miesiąc po śmierci swojej ukochanej żony.

Od roku 1893 pisze nieustannie. Wydał kilkadziesiąt książek. Wśród nich największą ilość stanowiły tomiki poetyckie. Reszta to utwory dramatyczne i przekłady z literatur obcych: łacińskiej, niemieckiej.

Pierwsze zbiorki wierszy Staffa „Sny o potędze", „Dzień duszy" były znamienne przez włączenie się poety do ogólnie obowiązującego w owym okresie kierunku literackiego znanego pod nazwą Młoda Polska.

Poeci spod znaku „Młodej Polski" (należeli tu Przybyszewski, Tetmajer, częściowo Kasprowicz, Lange) pojmowali sztukę jako najwyższą wartość, która stoi poza życiem i poza moralnością. Twórca w społeczeństwie spełnia funkcję maga, wieszcza, kapłana, wskazującego drogi rozwoju ludzkości.

Zainteresowania poetów z tego okresu kierują się do wnętrza ludzkiego. Życie psychiczne, uczuciowe, podświadome jest materiałem, z którego buduje się wiersz. Dominującym tonem tej liryki był nastrój smutku, zniechęcenia, melancholii i bezradności wobec życia.

Staff szybko wyłamał się z tego kierunku. Jego poezja była od pierwszych utworów bojowa, zdrowa i silna. Następne tomiki są coraz

dalsze od poezji okresu Młodej Polski. Tony osobiste, subiektywne, ustępują miejsca sprawom ogólnym. Pojawiają się elementy kontemplacji tajemnicy świata, bytu ludzkiego, przeznaczenia tomik („Pył z szat pielgrzyma").

W okresie międzywojennego dwudziestolecia Staff zbliża się do szkoły poetyckiej „Skamandra" (zwłaszcza zbiorem wierszy „Ścieżki polne").

Najwybitniejszymi przedstawicielami „Skamandra" byli: Tuwim, Słonimski, Wierzyński, Iwaszkiewicz. Poeci ci propagowali w swej twórczości kult dla codzienności. Wprowadzali do swych wierszy tematy błahe, zwykłe; wyznawali maksymę, że nie ma rzeczy, które nie miałyby prawa obywatelstwa w poezji.

W tym okresie tworzy Staff wiele wierszy, w których rzuca obrazy z życia powszedniego. Są to przeważnie niewielkie miniatury w formie opisu pejzażu, notatnika z wycieczki poza miasto lub na wieś.

Przed II wojną światową powstają również wiersze o tematyce religijnej, (cykl „Ucho igielne"), które mogą stanowić ważny przyczynek do poznania filozofującego poety. Ukazuje się w nich Staff jako poeta mądrości życiowej, który zgłębił tajemnicę istnienia, który zna grozę życia i jego łagodność, który przede wszystkim wierzy, że istnieje logika dziejów, bo nic się nie dzieje bez zgody Dobrego Boga.

Wiersze powojenne Staffa wprowadzają nowe motywy: motyw pokoju, współżycia między narodami, motyw wiary w lepszość nadchodzącego jutra.

Staff wydaje w roku 1954 nowy tomik poetycki „Wiklina", którym się włącza do szkoły poetów najmłodszych, awangardowych. Wyraz artystyczny tych wierszy zdumiewa swoją świeżością i prostotą. Sędziwy autor zadokumentował tu jeszcze raz, że jest poetą wiecznie młodym, bo się wiecznie odradza, zmienia, i poszukuje coraz to nowego wyrazu dla wyrażenia niepokojów współczesności.

Klasyczny umiar, harmonia, ład, i rozsądek, który panuje w tych wierszach dobitnie świadczą o tym, że Staff jest przede wszystkim poetą spokoju i powagi życia.

LEOPOLD STAFF

*
* *

Kto szuka Cię, już znalazł Ciebie;
Już Cię ma, komu Ciebie trzeba;
Kto tęskni w niebo Twe, jest w niebie;
Kto głodny go, je z Twego chleba.
Nie widzą Ciebie moje oczy,
Nie słyszą Ciebie moje uszy;
A jesteś światłem w mej pomroczy,
A jesteś śpiewem w mojej duszy.

RZĘSA

Janowi Parandowskiemu

W starym, zapuszczonym parku
Stałem nad stawem
Pokrytym grubym kożuchem rzęsy.
Myśląc.
Że woda była tu niegdyś przejrzysta
I dziś by być taką powinna,
Podjętą z ziemi suchą gałęzią
Zacząłem zgarniać zieloną patynę
I odprowadzać do odpływu.
Zastał mnie przy tym zajęciu
Mędrzec spokojny
O czole myślą rozciętym
I rzekł z łagodnym uśmiechem
Pobłażliwego wyrzutu:
„Nie żal ci czasu?
Każda chwila jest kroplą wieczności,
Życie mgnieniem jej oka.
Tyle jest spraw arcyważnych."
Odszedłem zawstydzony
I przez dzień cały myślałem
O życiu i o śmierci,
O Sokratesie
I nieśmiertelności duszy,
O piramidach i pszenicy egipskiej,
O rzymskim Forum i księżycu.
O mamucie i wieży Eiffla...

Ale nic z tego nie wyszło.
Wróciwszy nazajutrz
Na to samo miejsce,
Ujrzałem nad stawem,
Pokrytym grubym zielonym kożuchem,
Mędrca z czołem wygładzonym,
Który spokojnie,
Porzuconą przeze mnie gałęzią,
Zgarniał z powierzchni wody rzęsę
I odprowadzał do odpływu.
Wkoło szumiały cicho drzewa,
W gałęziach śpiewały ptaki.

BOCIAN

Syty żab i lazuru, w którym na stodole
Na jednej nodze stoi, na piastowym kole,
Zdziwiony i ciekawy, w gładkim spłynął locie
Na dziedziniec zagrody, ujrzawszy na płocie
Jakieś postacie, barwą pokrewne i bliźnie,
Lecz z głowami Murzynów, choć w śnieżnej bieliźnie.
A pocieszna czereda owa nieznajoma
Kłóciła się z powiewem, machając rękoma,
Podrygując i łamiąc się wiotkimi ciały,
Jak gdyby w niedorzecznym tańcu poszalały.
I wydziwiały coraz butniejsze i śmielsze,
Że jużci od bociana są czystsze i bielsze
Który stąpa z powagą gminnego pisarza,
Zmaczawszy końce skrzydeł w czerni kałamarza
I jak ów pióro w zębach, dziób nosi zbyt długi,
Z góry stawiając kroki, wzdęty od zasługi.
Bociana pogardliwe zdjęło miłosierdzie,
Gdy poznał w samochwałach stare płotu żerdzie,
Którym na łby wetknięto makutry gliniane
I gdzie suszą się w słońcu chust płachty poprane.
I z uśmiechem tajemnym spojrzał na obwiesie,
Na myśl, co to niebawem do chaty przyniesie,
A gaździna, nadziei pełna i otuchy,
Zuchwałe wrogi jego podrze na pieluchy.

DR WOJCIECH KOWALSKI

ILE KOSZTOWAŁ OŁTARZ WITA STWOSZA W KOŚCIELE MARIACKIM W KRAKOWIE

Ołtarz Wita Stwosza w kościele mariackim w Krakowie należy do najpiękniejszych dzieł sztuki nie tylko w Polsce, ale na całym świecie. Pisano bardzo wiele o jego stronie artystycznej, zużyto także niemało czarnego atramentu i równie czarnej żółci w sporach na temat narodowości mistrza Stwosza. Aż nareszcie znalazł się uczony, który potrafił zerwać z tematyką od lat dziesiątków w kółko na nowo rozpatrywaną i zajął się sprawą bardzo prozaiczną ale zarazem bardzo ważną: ile kosztował ołtarz? kto ponosił koszta związane z jego budową? ile zarobił mistrz Wit Stwosz na swym wspaniałym arcydziele? Takie oto pytania postawił sobie przed kilku laty historyk i archiwista krakowski, prof. dr Marian Friedberg. Nie łatwo przyszło mu dać odpowiedź; musiał przewertować niemało ksiąg i dokumentów, musiał niemało natrudzić się nad ich odczytaniem, nad rozwikłaniem niejasności, pomyłek, błędów

Fragment aktu erekcyjnego

a nawet celowych fałszerstw, nad uzupełnieniem danych, które zaginęły, zanim dnia 21 II 1951 na posiedzeniu Wydziału Filologicznego Polskiej Akademii Umiejętności, mógł przedstawić wyniki swej żmudnej pracy; ogłosił je nieco później w całości w czasopiśmie PRZEGLĄD ZACHODNI (rocznik 1952, str. 673—706).

Powód zbudowania wspaniałego ołtarza wielkiego w kościele mariackim w Krakowie był całkiem nie wspaniały: w roku 1442 wydarzyła się przykra katastrofa, a mianowicie zawaliło się sklepienie nad prezbiterium kościoła. Spadające części sklepienia zrujnowały i rozbiły wielki ołtarz Wniebowzięcia N. Panny Maryi, pochodzący jeszcze z wieku XIV, fundowany przez słynnego mieszczanina krakowskiego Mikołaja Wierzynka. Wyznaczeni przez króla urzędnicy oraz rada miejska krakowska pomyśleć musieli przede wszystkim o odbudowie sklepienia. Powierzyli ją mistrzowi murarskiemu z Kazimierza pod Krakowem, Czipserowi. Po odbudowaniu sklepienia urządzono prowizoryczny wielki ołtarz, równocześnie jednak zaczęto myśleć nad budową nowego, który powinien być godnym stołecznego Krakowa i jego najpiękniejszej świątyni. W drugiej połowie XV stulecia bardzo rozpowszechnione były ołtarze szafowe, tryptyki czy nawet poliptyki, misternie rzeźbione, malowane i złocone. I w Krakowie więc pomyślano o zbudowaniu ołtarza tego rodzaju. Dbający o splendor swego miasta krakowianie pospieszyli z ofiarami pieniężnymi. Listę ofiarodawców otworzył Maciek Opoczko, ławnik krakowski, Polak, przeznaczając w swym testamencie spisanym 5 III 1473 poważną sumę na budowę ołtarza. W trzy lata później poważniejszą sumę wpłaciła Dorota świeczniczka czyli trudniąca się wyrabianiem świec. Ofiary napływały, ale kłopot był z brakiem na miejscu snycerza, który byłby zdolny podjąć się wyrzeźbienia ołtarza.

W takim to momencie zjawił się w Krakowie nieznany nikomu snycerz Wit Stwosz, przybyły z Norymbergi. Tajemnica okrywa powód jego przeniesienia się do Krakowa. Nie wiadomo dlaczego nie przywiózł z sobą — jak był powinien — zaświadczenia z Norymbergi o prawym pochodzeniu i uczciwym życiu, skutkiem czego nie mógł uzyskać urzędowego wpisania na listę obywateli miasta Krakowa, pełnoprawnych mieszczan. Wiadomo natomiast, że był w biedzie i w długach, a także i w domu nie miał zdaje się spokoju, skoro musiał chodzić po sądach z powodu sporów swej żony z sąsiadką o odmówienie służącej. Snycerz Wit posiadał jednak nie tylko biegłość w sztuce snycerskiej, ale i wyraźny talent. Nie trudno więc było radzie miejskiej krakowskiej wpaść na pomysł, że może oto przy pomocy nieznanego przybysza tanim kosztem sprawić dobry ołtarz do parafialnego kościoła.

Mistrz Wit podjął się chętnie pracy. Po zasięgnięciu opinii archiprezbitera kościoła mariackiego co do poprawności pomysłu od strony teologicznej, przedstawił radzie miejskiej wyrysowany projekt ołtarza. Śmiałość i ogrom zaprojektowanego dzieła zaskoczyły radnych: myśleli o czymś wspaniałym, ale to, co projektował mistrz Wit, przechodziło wszystko, co widzieli i o czym słyszeli. Na posie-

dzeniach rady rozpoczęły się zacięte spory. Jedni, zachwyceni projektem, chcieli jego wykonania, inni, nieufni wobec obcego i nieznanego snycerza, nie wierzyli w możność realizacji takiego arcydzieła, obawiali się daremnego wyłożenia olbrzymich kosztów. Do uzgodnienia zdań nie doszło. Większość rady opowiedziała się za powierzeniem mistrzowi Witowi wykonania ołtarza, przeciwnicy pracy stanowczo jednak sprzeciwili się finansowaniu dzieła przez radę i skarb miejski. Koszta pracy miało się pokrywać z dobrowolnych zapisów i ze składek parafian. Zbieraniem funduszów i nadzorem nad budową ołtarza miał się zająć specjalny komitet czyli jak wówczas mówiono prowizorzy, wyznaczeni przez radę miejską.

Niewesoło zapowiadały się więc widoki zarobkowe przy wielkiej i uciążliwej pracy nad budową ołtarza. Niejeden znany i sławny mistrz wycofałby się z kiepskiego interesu. Ale mistrz Wit miał to, co jest oznaką prawdziwego artysty: chęć realizacji swej wizji artystycznej za wszelką cenę. Warunki rady przyjął, jak podaje jedno ze źródeł, dnia 25 maja 1477 roku. Rozpoczął objeżdżanie okolicznych lasów, by odszukać odpowiednio wielkie drzewa lipowe: każda bowiem olbrzymia figura będzie wystrugana z jednego pnia lipowego! Wolno szła robota nad ścinaniem lip, zwożeniem ich do pracowni, suszeniem kloców. Trzeba było pomyśleć o urządzeniu większego warsztatu, który mógłby pomieścić coraz większą ilość olbrzymich pni lipowych. Na ten cel kupił mistrz Wit w r. 1481 na wpół zrujnowane domostwo przy ulicy Poselskiej, odbudował je i urządził tam pracownię. Niedowiarkowie pokpiwali ze stojących niezdarnych kloców i przepowiadali nieudanie się roboty. A mistrz, nieczuły na wszystko, czekał aż drzewo wyschnie.

W odpowiednim momencie, po paru latach, kiedy jedni o nim zapomnieli, a drudzy zaczęli również ulegać zwątpieniu, mistrz wraz z paru czeladnikami przystąpił do pracy rzeźbiarskiej. Spod dłuta posypały się stosy wiór, z nieforemnych zaś pniaków zaczęły się wyłaniać postacie jakby żywych ludzi, tyle że olbrzymie, nadludzkie. Jeszcze pociągnąć je farbą — bo nasz mistrz był także malarzem — jeszcze pozłocić tu i ówdzie, i grupa głównych figur tj. Matka Boska i kilku otaczających Ją Apostołów, była gotowa. Z początkiem października, a może już na św. Michała (29 IX) 1483 roku, mistrz Wit poprosił radnych miejskich do swej pracowni i pokazał im główną część swego dzieła gotową. Nawet najwięksi niedowiarkowie i przeciwnicy budowy stanęli olśnieni i zdumieni. W najbliższy piątek (3 X 1483) rada miejska uchwaliła zwolnić mistrza Wita od wszelkich miejskich podatków. Przymknięto oczy na nieformalności z wpisem na listę mieszczan. Cech malarzy wybrał go na starszego cechowego. Robota szybko szła naprzód. Gotowe i pomalowane części ołtarza złocili pozłotnicy (przy czym jeden z nich, Bernard Opitczer z Wrocławia, zdążył sprzeniewierzyć pół kilograma złota, o co miał później proces!). Stolarz, jak przyjmują badacze Wojtek Sosna, wykonał olbrzymią szafę na figury ołtarzowe. W latach więc 1481—1486 główne prace były wykonane i zakończone, ale jeśli je weźmiemy razem z robotami przygotowawczymi i dodatkowymi, praca trwała około lat dwanaście.

Zbadane przez prof. Mariana Friedberga księgi i dokumenty podają koszt wykonania całego ołtarza na sumę 2.808 florenów. Suma to bardzo wielka, gdyż równa prawie dokładnie ówczesnemu całorocznemu budżetowi miasta Krakowa. Ówczesne zaś tryptyki, wykonywane dla innych kościołów były tańsze dziesięć a nawet kilkanaście razy (np. mały tryptyk dla rady miasta Krakowa kosztował 150 florenów, tryptyk dla miasta Olkusza 220 florenów). Floren ówczesny, moneta złota, węgierska, przeliczał się na 30 groszy polskich. Przykładowo zaś podajemy, że w owych czasach za 1 grosz można było kupić 30 jaj, lub koguta; gęś kosztowała nieco więcej; za 5 groszy kupowało się łokieć prostego sukna wrocławskiego; baran kosztował około 10 groszy, wieprzak 30 groszy, wół około 100 groszy; płaca zaś dzienna niekwalifikowanego robotnika wynosiła nieco więcej niż grosz.

Dość liczne były wpływy z zapisów i testamentów, zapoczątkowane przez Maćka Opoczkę i Dorotę Świeczniczkę, o których już wspominaliśmy. Wszystkie zapisy przyniosły sumę około 1.250 florenów, a więc nie osiągnęły nawet połowy wydatkowanej na budowę ołtarza kwoty. Resztę zebrano z drobnych składek i datków parafian, czyli mieszczan krakowskich a także wieśniaków z wsi Bronowice pod Krakowem, należącej, jak wiadomo, od dawna do mariackiej parafii. Badania uczonego historyka nie pozostawiają żadnej wątpliwości co do tego, że olbrzymi koszt wspaniałego ołtarza w kościele mariackim pokryty został z ofiarności szerokich rzesz ludności miejskiej Krakowa oraz wsi podmiejskich; na drugim dopiero miejscu stoją zapisy bogatszych mieszczan. Oficjalne zaś czynniki, jak rada miejska, dwór królewski, nie wzięły udziału w finansowaniu arcydzieła mistrza Wita, a przynajmniej nie zostawiły żadnych śladów w księgach i rachunkach po swym udziale.

Pozostaje nam jeszcze zaspokoić ciekawość czytelnika i odpowiedzieć na pytanie, ile też mistrz Wit zarobił na ołtarzu? Zacznijmy od sprawy czeladników, których zarobek wynosił 8—10 groszy tygodniowo; do tego należy wliczyć koszta ich utrzymania obciążające mistrza; razem oblicza prof. Friedberg koszt jednego czeladnika w ciągu lat sześciu na około 200 florenów. Jeśli mistrz Wit miał 4—5 czeladników, kosztowali go oni 800—1.000 florenów w ciągu lat sześciu. Jeśli zaś zastanowimy się nad kosztami materiału, farb, złota do złocenia, opłaty pozłotników i stolarza, to okaże się nam jasno jak na dłoni, że zarobek mistrza Wita, o ile w ogóle był, musiał być minimalny. Mistrz żył i utrzymywał rodzinę i warsztat głównie z bieżących prac drobniejszych; natomiast praca nad ołtarzem Wniebowzięcia Panny Marii była jego wielką ambicją artystyczną; dla wykonania arcydzieła nie szczędził starań, nie brał pod uwagę korzyści, nie liczył się z trudem ani stratami.

Wielkie dzieło mistrza Wita, jakie po dziś dzień mamy możność oglądać, jest więc nie tylko pomnikiem jego wspaniałego talentu, ale i jego wielkiej bezinteresowności, jest pomnikiem jego wytrwałości i energii, popartej zrozumieniem i szeroką ofiarnością ogółu ówczesnych krakowskich mieszczan i podkrakowskich chłopów, zwłaszcza chłopów z Bronowic.

ZOFJA FINDEISENÓWNA

JAN KOCHANOWSKI



CZTERECHSETNĄ rocznicę przyjścia na świat Jana Kochanowskiego czci kraj cały. Był to bowiem największy poeta przedrozbiorowej Polski, pierwszy, który zostawił ojczyźnie w spadku poezję, podczas, gdy przed nim były tylko wiersze.

Syn ziemi radomskiej, urodził się w roku 1530 we wsi Sycynie pod Zwoleniem. Ojciec jego, Piotr, sędzia ziemski, był człowiekiem zamożnym, posiadał pięć wiosek. Mógł zatem dać licznemu potomstwu staranne wykształcenie. Matka, Anna z Białaczowskich, kobieta dobra, rozumna, przytem obdarzona dowcipem, była pierwszą nauczycielką Jana. Postać jej zarysowała się silnie w duszy dziecka. Przyszły poeta miał lat 14 zaledwie, kiedy udał się na studja do akademji krakowskiej. Wiedzę, tam zdobytą, uzupełnił na najsławniejszym wówczas uniwersytecie w Padwie. Tam rozmiłował się w języku łacińskim, poznał go tak świetnie, że pisywał w nim wiele poezyj aż do ostatnich lat życia. Do doskonałości doprowadził również znajomość greczyzny. Literaturę starożytną stawiał bardzo wysoko. Wpływ jej przebija się w wielu dziełach jego. Nie był jednak mimo to ślepym jej naśladowcą. Duch twórczości jego był zawsze polski i chrześcijański. Z Włoch udał się Kochanowski do Francji, gdzie badał znów jej język i literaturę. Wykształcenie miał więc bardzo rozległe.

W Paryżu powstał podobno (wiadomość ta nie jest zupełnie stwierdzona) jeden z najcelniejszych wierszy jego: hymn, zaczynający się od słów:

"Czego chcesz od nas, Panie, za twe hojne dary?
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?
Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie!
I w otchłaniach, i w morzu, na ziemi, na niebie."



Jan Kochanowski

Urodził się w roku 1530 Umarł w roku 1585

Nastrój tej pieśni jest podniosły, język piękny, pełen porównań obrazowych, np.

Tyś Pan wszystkiego świata, Tyś niebo zbudował
I złotemi gwiazdami ślicznieś uhaftował."

Hymn dotarł z Paryża do Polski i wzbudził zachwyt. Rej po przeczytaniu go miał uznać Kochanowskiego za swego następcę i tak się o nim odezwać: "Temu w nauce dank przed sobą dawam i pieśń bogini słowieńskiej oddawam."

W roku 1557 wrócił Jan do kraju i bawił przez lata długie na dworach możnych panów, potem króla Zygmunta Augusta. Były one wtedy u szczytu rozwoju obyczajowego i umysłowego. Złoty wiek zygmuntowski lśnił pełnym blaskiem. Popierający sztukę i naukę król mianował Kochanowskiego swoim sekretarzem.

Znany już wówczas w Polsce poeta brał udział w bujnem życiu dworskiem i odzwierciedlił je w swoich "Fraszkach." Są to krótkie wierszyki ulotne, o treści bardzo różnorodnej; podobały się nadzwyczajnie, krążyły w rękopisie przed wydrukowaniem jeszcze. W nich zabłysł dowcip poety, z jakim opisywał i wydrwiwał zabawy, miłostki, figle, uczty, mody, ludzi. Przytaczamy kilka "Fraszek":

"Nie dbają moje karty, papiery o przeważne
bohatery,
Nic u nich Mars, chociaż srogi, i Achilles
prędkonogi,
Ale śmiechy, ale żarty zwykły zbierać moje
karty,
Pieśni, tańce i biesiady schadzają się w nich
do rady."

"Milczycie nieprzepłacone wdzięczne fraszki
moje,
W które ja wszystkie kładę tajemnice swoje...

"Szlachetne zdrowie!
Nikt się nie dowie,
Jako smakujesz,
Aż się zepsujesz."

Poważniejsze fraszki, o głębszym podkładzie, pisane były później, po osiedleniu się poety na wsi.

Kochanowski, bawiąc się i żartując, interesował się jednocześnie i sprawami kraju. To zainteresowanie widzimy w utworze: "Satyr albo dziki mąż." W barwnej satyrze zarzuca rodakom upadek ducha, brak miłości ojczyzny, upodobanie w zbytkach, rozrzutność, myśl jedynie o własnem zbogaceniu się, niezgodę religijną, swarliwość. Jako prawy obywatel, boleje nad temi wadami. Z niepokojem patrzy w przyszłość kraju. Zaleca przedewszystkiem czujność na kresy i przestrzega przed ościennym nieprzyjacielem.

Kochanowski, dziecię wsi, zatęsknił do spokojnego życia w jej ciszy. W roku 1571 opuścił dwór i osiadł w Czarnolesie, majątku, po rodzicach odziedziczonym. W kilka lat później ożenił się z Dorotą Podlodowską, stolnikówną sandomierską. W zgodzie i miłości wzajemnej żyli z sobą szczęśliwie, dopóki śmierć przedwczesna nie zabrała poety. W Czarnolesie, jak sam pisze:

"Wiodłem swój żywot tak skromnie,
Że ledwie kto wiedział o mnie."

Zajmował się gospodarstwem, ale nie zaniedbywał przytem poezji. Pozostał jej zawsze wierny. Oddalony od zgiełku wielkomiejskiego, stworzył w spokoju wsi i otoczeniu przyrody najznakomitsze dzieła swoje: "Pieśń o Sobótce," "Odprawę posłów greckich," "Psałterz" i "Treny."

"Pieśń świętojańska o Sobótce," należąca do licznego szeregu pieśni, jest zarazem pierwszą sielanką w literaturze polskiej. Pieśni Kochanowskiego — to liryki religijne, patrjotyczne, miłosne i refleksyjne, czyli rozważające. Wśród religijnych króluje znany nam "Hymn do Boga." Z patrjotycznych zwrócimy uwagę na "Pieśń o spustoszeniu Podola." Autor ze smutkiem wyrzuca obojętność narodowi, który w czasie bezkrólewia, pogrążony w zabawach, nie bronił kraju przed napadem Tatarów. Wiersz ten zaczyna się od słów:

"Wieczna sromota i nienagrodzona
Szkoda, Polaku! Ziemia spustoszona
Podolska leży, a pohaniec sprosny,
Nad Dniestrem siedząc, dzieli łup żałosny."

W "Pieśni o dobrej sławie" woła autor:

"Służmy poczciwej sprawie, a jako kto
może,
Niech ku pożytku dobra spólnego pomo-
że,"

dalej mówi:

"Prostak to, który wojsko z wielkości szacuje:
Zwycięstwo liczby nie chce, — męstwa potrzebuje!

Dużo pięknych, zdrowych myśli znajdziemy w pieśniach refleksyjnych. Poeta zaleca w nich trzymanie się złotego środka, zachowanie równowagi duchowej, cenienie jedynie trwałych wartości, jak cnota, czyste sumienie, dobra sława. Widzimy to z następujących wierszy:

"Nie porzucaj nadzieje,
Jakoś się kolwiek dzieje:
Bo nie już słońce ostatnie zachodzi,
A po złej chwili piękny dzień przychodzi."

"Ale człowiek shardzieje,
Gdy mu się dobrze dzieje,
Wnet głowę zwiesi i powagę schyli,
Więc też kiedy go fortuna omyli."

"Cnota skarb wielki, cnota klejnot drogi,
Tegoć nie wydrze nieprzyjaciel srogi,
Nie spali ogień, nie zabierze woda.
Nad wszystkiem innem panuje przygoda."

"Siła Bóg może wywrócić w godzinie:
A kto mu kolwiek ufa — nie zaginie."

W pieśniach miłosnych wielbi poeta nietylko piękność ciała, którą cenił wysoko, ale i piękność duszy, "święte obyczaje." Zamkniętym cyklem liryk jest "Pieśń świętojańska o Sobótce." Opiewa ona obrzędy, zabawy, w noc świętojańską urządzane, a należy do najpiękniejszych pieśni Kochanowskiego, świadczy, że poeta umiał wmyślić się w cudzą duszę i wypowiedzieć jej uczucia.

Są one bardzo różnorodne. "Dwanaście dziewek, jednako ubranych i bylicą przepasanych" tańczy i przy ognisku śpiewa. Jedna tęskni za ukochanym, druga pragnie tylko tańczyć, trzecia cieszy się życiem, czwarta jest niepewna wzajemności i t. d. Ostatnia pieśń głosi chwałę wsi, tyle szczęścia poecie dającej. Oto początek znanej pieśni:

"Wsi spokojna, wsi wesoła!
Który głos twej chwale zdoła?
Kto twe wczasy, kto pożytki
Może wspomnieć zaraz wszystki?
Człowiek w twej pieczy uczciwie
Bez wszelakiej lichwy żywie:
Pobożne jego staranie
I bezpieczne nabywanie."

Raz tylko spróbował Kochanowski pióra swego w tragedji. Jest nią "Odprawa posłów greckich", napisana na wesele kanclerza Jana Zamoyskiego z Krystyną Radziwiłłówną. Wysokie poczucie piękna, doniosłość przedmiotu (losy państwa), wyjątkowo jasny, barwny język, układ prosty, szlachetność myśli i uczuć czynią zeń dzieło wybitne w literaturze polskiej, a nawet europejskiej. Treść jej zaczerpnięta jest z dziejów starożytnych, forma — wzorowana na tragedjach klasycznych, mimo to jest "Odprawa" utworem narodowym. Wiele myśli, w niej wygłoszonych, odnosi się do stosunków w Polsce ówczesnej. Przewodnią myślą tragedji jest wykazanie, że źle dzieje się w tym kraju, w którym prywata nad miłością ojczyzny górę bierze. Niejedno zwiastowało już nadejście takiej chwili w Polsce. Widział to poeta, kiedy w usta Ulissesa kładł słowa: "O, nierządne królestwo i zginienia bliskie". Pełne grozy jest przemówienie Kassandry, poczynające się słowami: "Po co mnie próżno, srogi Apollo, trapisz?" Kłótliwość podczas obrad, rozbudzanie patrjotyzmu, aby go wyzyskać dla celów prywatnych, można odnieść do naszych stosunków. Autor, pisząc tragedję, chciał rozbudzić w szlachcie ducha rycerskiego, zachęcić ją do wojny z Moskwą.

Najwznioślejszą struną zabrzmiał talent Kochanowskiego w "Psałterzu" i "Trenach". Na psałterzu modlili się Polacy od czterech wieków. Kochanowski, który miał zdawna pociąg do poezji religijnej, stworzył z niego arcydzieło. Pracował nad niem lat ośm. Nie tłumaczył psalmów dosłownie. Zaczerpnął nieraz tylko myśl zasadniczą, ale oddał ją własnemi słowami, i to niezwykle pięknemi. Zamiast dawnego tłumaczenia: "Będziesz je rządził laską żelazną, a, jako naczynie garncarskie, pokruszysz je", pisze:

Laskę żelazną będziesz miał nad niemi,
A który Twego głosu nie posłucha,
Jako skorupa, jako ziemia sucha,
Będzie się padał przed sękami Twemi."

"Chmury — Twój wóz, Twe konie — wiatry
nieścignione;
Duchy — posłańcy; słudzy gromy zapalone."

"Kiedy rękę otworzysz — wszyscy nasyceni,
A kiedy twarz odwrócisz — wszyscy zasmuceni.
Jeśli im ducha weźmiesz — w proch wnet
się obrócą,
Jeśli im ducha natchniesz — na świat się zaś
wrócą."

Dotąd modlimy się słowami Kochanowskiego: "Kto się w opiekę poda Panu swemu"...

Znaczenie "Psałterza" w literaturze polskiej jest ogromne, dlatego, że wypowiedziane są w nim tak pięknie, jak nigdzie u nas dotąd, uczucia radości, smutku, żalu, pogody ducha, zniechęcenia do ludzi, rozpaczy, dumy, skruchy, nadziei w Boga i uwielbienia dla Stwórcy. Po raz pierwszy prawdziwy artysta polski przetłumaczył w sposób pię-

kny dzieło poety obcego. Społeczeństwo wieku XVI oceniło je. Kapelmistrz krakowski ułożył muzykę do "Psalmów". Śpiewali je wszyscy, zarówno katolicy, jak i protestanci. W ciągu lat ośmiu wydano je dziesięć razy.

Wielkie nieszczęście, śmierć najdroższej córeczki Urszulki, pobudziła Kochanowskiego do napisania "Trenów". Nikt w literaturze naszej nie wyśpiewał tak rzewnie, a zarazem pięknie, bólu po stracie dziecka. Kochał je wyjątkowo.

"Żaden ojciec podobno bardziej nie miłował
Dziecięcia, żaden bardziej nad mię nie żałował."

Widział w niej dziedziczkę lutni swojej, gdyż pół-trzecia roku zaledwie liczące dziecko już wierszem często mówiło. Wzrusza nas i zachwyca pieszczotliwy język "Trenów", pełen wyrazów zdrobniałych i tkliwych nazw, jak: szczebiotka, kochanie, śpiewaczka, wdzięczna, ucieszna, najmilsza. Wspomina ją w każdym drobiazgu, jak się ubierała, jak mówiła pacierz, jak biegała za matką po gospodarstwie, jak witała powracającego z podróży ojca. Rozdzierająco smutny jest opis pożegnania Urszulki z rodzicami:

"Już ja tobie, moja matko, służyć nie będę,
Ani za twym wdzięcznym stołem miejsca nie zasiędę.
Przyjdzie mi klucze położyć, samej precz jechać,
Domu rodziców swych miłych wiecznie zaniechać.
To i czego żal ojcowski nie da serdeczny
Przypominać więcej, był jej głos ostateczny;
A matce, słysząc żegnanie tak żałośliwe,
Dobre serce, że od żalu zostało żywe."

"Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim,
Moja droga Orszulo, tem zniknieniem swojem.
Pełno nas, a jakoby nikogo nie było;
Jedną malutką duszą tak wiele ubyło".

Kochanowski przeszedł w "Trenach" wszystkie szczeble bólu, od tęsknoty przez smutek i rozpacz bezgraniczną, aż do pogodzenia się z losem i ukorzenia przed wolą Boga. Wiara, którą miał zawsze, odezwała się w nim teraz o wiele silniej, bo pewność istnienia duszy i jej nieśmiertelności przynosiła mu ukojenie w nieszczęściu. To ogólnoludzkie zagadnienie, poruszone w "Trenach", podnosi je z zakresu poezji osobistej do rzędu wielkiego dzieła literackiego. Ocenili je już współcześni. Dla potomnych pozostało zawsze jednakowo piękne.

W kilka lat po śmierci dziecka umarł ojciec. Zakończył życie nie w domu umiłowanym, lecz w Lublinie, dokąd podążył na sejm w r. 1584. Pochowano go w kościele parafjalnym w Zwoleniu. Dotąd istnieje w nim tablica z czerwonego marmuru, a na niej płaskorzeźba z wizerunkiem poety.

Trwalszym pomnikiem są zasługi, jakie położył dla piśmiennictwa polskiego. Wprowadził do niego nową treść: właśne uczucie, "świat duszy ludzkiej". Wzbogacił literaturę językiem tak pięknym, jakiego dotąd nie miała, a który pozostał niezrównanym przez dwa wieki, aż do najświetniejszego rozkwitu poezji polskiej pod piórem jej nieśmiertelnych wieszczów.

RÓŻNE AFORYZMY.

—Idealna kobieta może być szczytem pragnień przeciętnego mężczyzny, ale dobrze sporządzony obiad zwykle dalej go zaprowadzi.

—To, co dla narzeczonego wydaje się anielską naiwnością, dla żonatego wygląda na najordynarniejszą głupotę.

—Człowiek zarozumiały albo zbyt rzadko spogląda do lustra, albo jest strasznym krótkowidzem, gdyż inaczej nawróciłby z błędnej drogi.

—Niejeden, który gwałtem pcha się do raju małżeńskiego, przekonuje się, że upragniony owoc dawno już jest przejrzały.

—Na szczęście większość tych rzeczy, które nam dziś wydają się ogromnie ważnemi, przestaną zwracać naszą uwagę w roku przyszłym.

—Nie doprowadzi to do niczego, jeżeli spotykając twardą rzeczywistość, staramy się ją odmalować w miękkich kolorach.

—Połowa 1930 roku już minęła, a wraz z nią przepadła i połowa owych złotych przepowiedni na ten rok.

Jerzy Sosnkowski NOWELA

PIJANA KABINA

CZARNY, polerowany, wyświechtany miljonami stalowych guziczków opon samochodowych asfalt ulicy falował jak burzliwe morze. Śmiesznie wyglądały automobile niknące za wznoszącemi się bałwanami, nurkujące raz po raz w rozkołysanych błyskach latarń i odbić ich w czarnem lustrze ulicy.

Belowi przypominało to bardzo "jazdę po falach" w Lunaparku, i tak bawiło, że musiał przystawać od czasu do czasu, by dać ujście niepohamowanej, gwałtownej potrzebie wesołości.

Ze środka ulicy wywinęła się wgórę spiralna sprężyna, ujmująca w jędrny swój uścisk gmach, który bielił się w dalekiej perspektywie. W tej chwili zawrotnym pędem wpadły na nią samochody i piędy się wgórę, prychając i sapiąc... Deszcz pomarańczowych i złotych serpentyn spowinął wszystko błyszczącym gwintem.

Tak. Bel był pijany. Pijany jak bela.

Kapelusz miał nabakier, potrącał przechodniów, irytował się, gdy w błędnych jego oczach wirowały ich sylwety, grubiejąc, to wypuklając się dziwacznie, niby odbitki we wklęsłych zwierciadłach.

Potrącał ludzi. Ktoś go oburknął niecierpliwie, ktoś uśmiechał się pobłażliwie, a tłok był za duży, by zawołać policmena i kazać odstawić "urzniętego" gdzieś, gdzieby nie przeszkadzał ruchowi. Zwarta rzeka ludzka płynęła i wartki prąd unosił z sobą Bela, niby bezwładną kłodę drzewa, zagarniętą podczas powodzi.

Wybory nowego prezydenta, gorące bardziej niż zwykle, wywabiły całą prawie ludność miljonowego miasta na ulice, a partyjne roznamiętnienie upajało ludzi tak samo, jak upiły Bela te niesłychane ilości alkholu, które dziś wchłonął. Co parę kroków twardemi kantami wyrastała nad poziom głów trybuna, lub srożyła się brutalna karoserja ciężarowego samochodu, grzmiąc przez olbrzymie resonatory ognistemi mowami agitatorów.

Spoceni krasomówcy wrzeszczeli w swoje dalekonośne aparaty z opętaną pasją, gestykulując jak semafory lub wiatraki. Ochrypłe ich głosy wielbiły na każdy możliwy sposób wielkość i potęgę kandydatów partji, utrzymujących ich.

Świstki odezw i proklamacyj wirowały w powietrzu, niby stubarwny śnieg.

Skłębiony, pomotany dnia tego, gruby sznur samochodów sunął ulicami, z trudem przeciskając się przez rozegzaltowane masy ludzkie. Policja zrezygnowała z utrzymania jakiegokolwiek porządku. Przez te dni wyborów miasto było wydane na łup wyborców. A trzeci i ostatni dzień odznaczał się niezwykłem rozgorączkowaniem.

Belowi głowa wirowała jak fajerwerk, przedstawiający koło, rozsypujące wokół rozpędzone iskry.

To znów widział siebie na przeraźliwie wysokim tronie, z berłem i jabłkiem królewskiem w ręku. Obłoki opływały stopy, jak pląsające delfiny, gdzieś wdole szarzały miljonowe rzesze, zadzierając ku niemu wielbiące fizjonomje. Błysk względnej przytomności przerywał od czasu do czasu pijackie fantasmagorje. Wówczas Bel sięgał ręką do kieszonki od kamizelki o brzegu wystrzępionym przez metalową dewizkę, wyciągał stalowy zegarek z wytartą kopertą, sprawdzał godzinę i grzebał pracowicie łokciami w tłumie, usiłując się śpieszyć.

Bał się spóźnić. Wieczór już zapadł, a urzędowanie jego zaczynało się w momencie, gdy pierwsze latarnie zapalano w mieście.

Tam, na zbiegu 5-tej i 16-ej Alei w centrum stolicy, na narożnym drapaczu nieba całą przestrzeń od czwartego do dwunastego piętra zajmowała, wystając aż na środek szerokiej ulicy, olbrzymia tarcza świetlnej reklamy.

Tam Bel, niby zaklęty gnom, uwięziony w ciasnej stalowej kabinie, wybijał na metalowych guzikach reklamy płonące jaskrawym napisem na tarczy.

Zawód to nie był zbyt zaszczytny, jednak sąsiedztwo Bela z zaułka, gdzie mieszkał na jednej z peryferyj, szanowało w nim dziwnego czarodzieja, który "wypisuje" na niebie co chce. Rzeczywiście, w nocy kontury tarczy gubiły się na ciemnem tle, a kolosalne litery wyskakiwały jak z czeluści, potęgując jeszcze otaczającą czerń.

Było to piękne, fascynujące, imponowało, ale jako zjawisko. Specjalnie wybitnej pozycji socjalnej nie dawało — i płaca była licha.

Belowi niejednokrotnie cichy bunt darł pierś, gdy pomyślał, że pomaga, pracuje nad tem, by jeszcze większe dochody, jeszcze większe sumy napędzać do kieszeni grubych fabrykantów, których wyroby reklamował.

Tutaj widzenie: nalana, czerwona twarz, niby dno miedzianego kotła, nad okrągłym brzuchem, unoszona przez stukonną limuzynę. Na

widok aroganckich postaci Bel dyskretnie zgrzytał zębami.

Kimże jest on dla nich? "Człowiekiem niższej sfery".

Rozwielmożniona religja kapitału nie zniosłaby prawdopodobnie takiego świętokradztwa, by zasiadł z nimi przy jednym stole. A ileż zawdzięczali mu oni? Nie wszystko, co prawda, ale dużo. Czy czyściłby ktokolwiek, powiedzmy, buty pastą "Żaba", gdyby nie to, że on, Bel, co wieczór wyczarowywał na swojej tarczy potworną zieloną ropuchę w koronie i butach z ostrogami?

Żaba łypała krwawemi ślepiami, nadymała się i z otwartej paszczęki wypromieniały się nagle słowa:

"Lustrzany połysk buta decyduje o wyglądzie gentlemana. Używajcie tylko pasty "Żaba z koroną". Cena pudełka... i tak dalej.

Albo: "Oregon", płyn do metali.

Ha, co?

Był synem drobnego urzędnika pocztowego. Źle tam było u nich w domu, ale bądźcobądź mógł był chodzić do szkoły, skończyć ją. Zostać inżynierem, doktorem, może takim fabrykantem?

Jednem słowem, kimś o "określonej" pozycji towarzyskiej i społecznej.

Ale mu się jakoś uczyć nie chciało. Wolał dni całe spędzać nad brzegiem rzeki i patrzeć na loty jaskółek. Nazywano go niedołęgą. Był nim.

Zniecierpliwiony ojciec odebrał go ze szkół.

Zmarnował się.

Nie mógł pwiedzieć nawet, że winien jest sam sobie.

Nie... Posiadał bystrość i spryt niemały. Dużo czytał. Był to raczej dziwny bezwład, który jestestwo jego ujął tępemi pazurami i trzymał mocno, jak w klamrach — zupełna niezdolność, do wysiłku, świadomego swego celu. Mógł trwać — nie mógł żyć.

Naogół się orjentował. W kawiarence, gdzie codzień przed zmierzchem pozwalał sobie na partyjkę bilardu, uchodził za wyrocznię. Miał, jeżeli się tak o nim wyrazić można, przebłyski twórcze.

I z tem wszystkiem nie pozował bynajmniej na zapoznanego genjusza, utyskującego na los i świat. Bogatym, możnym zazdrościł — dolę swoją znosił nietyle cierpliwie, ile zawsze z tym, cechującym go bezwładem.

Och, w Indjach stałby się napewno świętym prorokiem lub fakirem z paznokciami, wyrosłemi do kolan, ze wzrokiem wieszczo utkwionym w nieokreśloną przestrzeń...

Tutaj — nie miał siły uczynić nic, coby życie jego zmieniło, poprawiło, pchnęło na inne tory.

Od czasu do czasu jednak przychodziły nań chwile jakiegoś ocknienia się, sprowokowane zwykle nic nie znaczącą błahostką, i wtedy Bel, naogół dość spokojny i zrezygnowany, stawał się niezmiernie przedsiębiorczy i zdecydowany.

Były to zresztą chwile rzadkie, a nazywały się: "Zalaniem sobie pały".

Były przyjemne.

Niemożliwości nie istniały, świat przedstawiał się uprzejmie, w barwach jasnych, akwarelowych, jakiemi malowana jest ziemia w święta Wielkiejnocy, w kształtach tak okrągłych, miłych i kuszących, jak biodra pięknej baletnicy.

Bel nie był pijakiem, broń Boże. Ale się miało przecie przyjaciół, więc i okazyjkę niejedną. No i owe momenty... Tak, bywał wówczas bogaty, potężny i otoczony niebywałym blaskiem. Migotliwe, błyskotliwe i genjalne koncepcje rozszerzały mózg, a myśli szybowały zwinnie we wszystkich kierunkach, niby owe jaskółki nad brzegiem rzeki.

Ach — nie pamiętał wówczas o tem, że wieczorem, równo w pięciominutowych odstępach będzie musiał wyświetlać swoją znienawidzoną żabę i Oregon, płyn do metali.

To były momenty prawdziwie królewskie.

Wiąc i dziś Bel miał tęgo w czubie.

II

— OBYWATELE, GŁOSUJCIE NA ALWAREZA! TYLKO RZĄDY PIĘTNASTKI MOGĄ WAM ZAPEWNIĆ PEWNE SWOBODY OBYWATELSKIE!

Tuby agitatorów grzmiały. Kolorowe skrzydła odezw z cichym szmerem spadały na ramiona jak rajskie ptaki.

— BOROZ — TO WZÓR CNÓT OBYWATELSKICH! TEN WIELKI MĄŻ POŁOŻY TAMĘ BEZCZELNOSCI BURŻUJÓW!

Znów dalej, z piętrowego autobusu:

— POCZUCIE ŚWIĘTOŚCI OJCZYZNY WPAJANO W WAS OD DZIECKA. KOMU DROGA JEST PAMIĘĆ RODZICÓW, NIECH ODDA SWÓJ GŁOS NA RODILA! ON MIŁOŚĆ WAS WYSSAŁ Z MLEKIEM MATKI!

Rechot śmiechu tysięcy gardzieli witał to wezwanie.

— RÓWNOWAGA! CENTRUM! BERILO! CENTRUM! RÓWNOWAGA! SKŁADAJCIE GŁOSY NA BERILA!

Gdzieś wiwatowano zajadle, ale wraz podniósł się wrzak przekleństw i głuchy odgłos bójki. Wołano o ratunek. Ulica się miotała w zbożnych wysiłkach obywatelskich, niby w zbiorowych torsjach. Kiełbie — wyborców — setkami nawlekano na wymyślne wędki rybaków-agitatorów.

Skłębiony "lud" obficie zlewały jaśnią wielkomiejskie światła.

* * *

Cudem jakimś Bel dobrnął do swojego drapacza.

Z wielkopańskim gestem wsunął szczerzącemu zębami w bezczelnym i nieskrywanym uśmiechu, windziarzowi, napiwek do naoliwionej łapy, wysiadł i długim kurytarzem, podpie-

rając co krok ściany, potoczył się do swego stalowego gabinetu. Kabina, ze względów publicznego bezpieczeństwa, była jak pancernik z grubych płyt i zaopatrzona drzwiami, niby kasa ogniotrwała, szczelnie się zamykającemi.

Długo manipulował kluczami, nim wreszcie otworzył. Przekręcił kontakt. Potężny reflektor, zwisający nisko ze sklepienia, oblał go potokiem rażącego światła. W głębi stało pod splotem grubych lin miedzianych, kotłów, zegarów i setki mechanizmów — niby duże pianino, naszpikowane sterczącemi prętami o płaskich krążkach, znaczonych literami. Było tego dużo, bo aż kilkanaście alfabetów. Maszynerja mogła wypisywać całe zdania.

Bel zatoczył się na krzesło. Przewrócił je. Zaklął, podniósł. Usiadł, próbując ostrożnie jego statyczności.

Machinalnie przeglądać zaczął przygotowane na dzisiejszy wieczór do wyświetlania kartki z napisami.

Zwykł był robić tak co wieczór. Wybierał na pierwszy ogień te, które mu się zdawały najsympatyczniejszemi.

Czasem trafiały się wiersze, bowiem firmy często używały do swych reklamowych celów znanych pisarzy i poetów.

Zbierał je troskliwie i miał w domu kolekcję jedyną w swoim rodzaju.

Nosił się z cichą a złośliwą myślą wydania kiedyś tego oryginalnego zbiorku w oddzielnej książce i marł ze śmiechu na myśl, co za kolosalny efekt wywarłaby ona na publiczność. Te pięknoduchy, ci genjusze, chodzący na codzień w purpurze, z głowami w obłokach, z aureolą nad czołem, ci mieszkańcy nieba!

I nagle deszcz sonetów, ody i hymny na cześć "Kawy palonki", "Ubrania na raty" lub "Smarów i olejów"! Niezmożona potęga pieniądza!

Bel oparł spierzchnięty z pijaństwa policzek o kant stołu i łkał cichym śmiechem. Podrygiwał z uciechy, aż sterczące pręty stalowe wibrowały i brzęczały leciutko. Niby rój pszczół. Oto jest!

Reklama pióra znakomitego Owena. "Wielki" opiewa skuteczność i doskonałość "Proszku na robactwo".

A oto druga. Co? Agitacja? "Dwójka" chce tą drogą lansować swego kandydata.

Bel z wściekłością zdeptał papier nogami. Do tego się nie przyczyni. Nie i nie.

Kręcił się wkółko, jak postrzelony.

Nowa fala zamroczenia ogarnęła mu głowę czarnym welonem.

Przyszedł moment.

Bel stanął nieruchomo, nasłuchując.

Niby snop wszechwiedzących promieni z mrocznych dali, które ukazały ściany kabiny rozsunięte nakształt kotary — szły głosy... Głosy magów... głosy mistrzów — tak wnikające, przekonywujące, a proste, że strugą wlewały się w jego czaszkę pojęcia śmiałe i piękne. Grube, fioletowe kręgi z nieskończonej perspektywy, zrodzone tam, jako małe krążki, biegły ku niemu bezszelestnie, zwiększając się i grubiejąc, a środkiem tego kolistego kurytarza biły raz wraz żółte strzały.

Wnet, podobne do gęstych obłoków trujących gazów, podstępnie, pełzając zwolna i zdradliwie — nadchodzić go jęły opary pijackie.

W gryzącym dymie Bel opędzał się rękami, wytężał oślepłe oczy i spojrzenia pełne tęsknoty słał naprzeciw fioletowych kręgów...

Wściekły podmuch wiatru zakręcił kabiną, spiętrzył przedmioty w jeden stos, uniósł je i rozplątał w spiralnego węża...

Z reflektora powstało dziesięć reflektorów, światełka kabiny jakby odbiły się w setce luster, w kabinie stało się ciasno od świateł...

A każde wyciągało się w żądło, w szpadę, w gwóźdź ostry i wszystkie razem mierzyły w jego głowę.

Bel zasłonił się ramionami. Lecz wiatr spiralny porwał i ramiona. Bel czuł przerażony, jak otwierają się niewolne, wydając głowę na łup wściekłej spirali...

Raptem zgaszony wiatr zginął.

Zmęczone powieki Bela przymknął spokój.

Był doskonale, precyzyjnie pijany!

Wyczuwał w kabinie obecność czegoś wielkiego, istoty potężnej, która objęła nad nim bezwzględną władzę.

Przypominał lunatyka, gdy szerokim gestem zmiótł wszystkie kartki, aż zasłały podłogę, świecąc blademi plamami w świetle reflektora.

Wyprostował się, odetchnął głęboko i położył palce na klawiszach...

Wytrzymał chwilę.

Takie bezwątpienia musiały być uczucia wielkiego artysty, gdy jeszcze, zanim pierwszy akord weźmie, wsłuchuje się z lubością w ciszę, zalegającą audytorjum.

W tysiąc serc uderzą za chwilę jego pieśni, tysiąc par oczu stęsknionych wpija się weń w oczekiwaniu cudu.

Czuje się wielkim...

Wytrzymuje moment...

Wie — że za chwilę zagra pieśń, której słuchać będą tysiące i miljony. Jest większy niż największy artysta — jest wirtuozem duszy.

I w chwili, gdy reflektor i cała kabina puszcza się znów w opętany, spiralny, pomarańczowy tan — Bel pewnemi dłońmi naciska znaki...

III

Tłum na ulicy zawahał się, jeszcze niepewny, ale już zachwycony.

— Patrzcie! Patrzcie!

Zemocjonowane głowy porzucały agitatorskie auta i pędziły na złamanie karku.

— Racja, święta racja!

— To ci gada!

— Tak, tak, prawda!

Reklamowa tarcza na zbiegu 5-ej i 16-ej Alei zdało się, oszalała. Błyskawicznie wykwitały i gasły słowa mocy...

Niby piorunowe zygzaki zdania goniły zdania, zmieniając się z potworną szybkością...

Tłum, rosnący ciągle, nie tracił już teraz czasu na domysły. Wszyscy z zadartemi głowami, z otworzonemi szeroko ustami, chwytali w lot migocące słowa, które na tle czarnej nocy błyszczały jak objawienie.

Zdumienie targało tłumami. Lecz powoli zdumienie przechodziło w sympatję, w potakiwanie, w aprobatę, w zachłyśnięcie podziwu...

To była mowa istotnie natchniona. Człowiek, który ją wygłaszał, wart był być wodzem narodu!

Mierzył celnie. Wybierał najohydniejsze bolączki — w ropiejące wrzody ustroju wymierzał ciosy takie, że zgromadzonym tłumom od czasu do czasu wyrywał się ciężki jęk z głębi poruszonych dusz.

To brało tłum jak narkotyk — pełną garścią — za gardło.

— ALWAREZ? ŁOTR! ZAPROWADZIŁBY NAS DO ZGUBY!

— NIE WIERZCIE RADYKAŁOM. RADYKALIZM TO ZGNIŁA ROZPACZ. TO POLITYKA ZWIERZA, ZAPĘDZONEGO PRZEZ PRZEŚLADOWCÓW W CIEMNY ODSTĘP BEZ WYJŚCIA! TO KRZYK BEZNADZIEJNOŚCI!

— BOROZ? CNOTA JEGO — LEP. CZYŻ NIC MĄDRZEJSZEGO NA WAS, OBYWATELE, PODZIAŁAĆ NIE JEST W STANIE NAD WYSZARZAŁY, ZBLADŁY, KONWENCJONALNY SZTANDAR CNOTY? TO NIE CNOTA, TO NIEZDARSTWO, TO NIEDOŁĘSTWO. BROŃ I ARGUMENT SŁABYCH. NIE MOŻNA CNOTĄ WOJOWAĆ JAK ARGUMENTEM. TO JEST ŚMIESZNE I NIEZRĘCZNE!

Tłum rósł co chwila. Pojedyńcze grupy ludzi obrastały w nowych, niby toczone śnieżne kule.

RODYL — SZARLATAN! CENTRUM — KUPA TCHÓRZÓW, MACHAJĄCYCH WDZIĘCZNIE ŁASZĄCEMI SIĘ OGONAMI NAPRAWO I LEWO W OBLEŚNYCH UKŁONACH. OBYWATELE! ONI WAS OSZUKUJĄ, OSZUKUJĄ HANIEBNIE WSZYSCY RAZEM. ZBAWIENIA NIEMA W PARTJACH — W PARTJACH JEST ZGUBA! ZERWIJCIE Z PARTYJNICTWEM. RZĄD ROBI Z WAS TRZODĘ ROBOCZYCH WOŁÓW, TROCHĘ DLA SWOICH CELÓW, WIĘCEJ NIE WIEDZĄC DLACZEGO. WASZA PRACA, WASZA CIĘŻKA PRACA IDZIE NA MARNE!

Uhu... u... u!

Nie było o czem mówić. Ktoś wygłaszał programową mowę.

Ale jaką!

Tłum przebiegały iskry elektryczne. Tłum był podminowany. Wiadomość o fascynującej reklamie w lot obiegła miasto. Porzucano wrzeszczących agitatorów, ludzkie masy parły tam, gdzie niebo przerzynały płomieniste słowa. Ale kto to był? Stronnictwo? Partja? Człowiek? Gorączkowano się. Podniecenie rosło.

Cichy i zdało się daleki poszum, jakby idących zdali fal morza, nabierał mocy.

Ścisk na ulicach się wzmagał.

Elektryczna mowa potężniała. Entuzjazm mówił błyskami. Ogniste bicze raz wraz przemierzały ogromne pole tarczy.

Ogniste bicze smagały ludzi, zapalały im w umysłach te same ognie, co na tarczy wrzynały się w serca jak ostre kliny, mówiły o tem, o czem nie ośmielił się mówić żaden agitator, — czegoby nie wygrała żadna z partyj, — a co rząd metodycznie usypiał kojącemi obietnicami.

— KAŻCIE OTWORZYĆ GRANICE. BROŃCIE ICH PRZECIW WROGOM. TAK, BROŃCIE ICH! ALE NIE BROŃCIE PRZED PODWÓJNYM KURSEM ZŁOTA. PRZY TYM RUCHU WY ZAROBICIE! WASZE ZŁOTO KRĄŻY TYLKO PO KRAJU. NABIJACIE NIEM KIESZENIE HIEN. ONI MUSZĄ MIEĆ WIELE, ONI MUSZĄ MIEĆ ZACO NAPAŚĆ SWE WIELKIE BRZUCHY. SKĄD TE ZYSKI WYPRUJĄ? Z WASZYCH ŻYŁ! NIE BROŃCIE OBCEMU ZŁOTU, OBCEJ PRACY, OBCYM PRZEMYSŁOM WSTĘPU, STARAJCIE SIĘ NATOMIAST ROBIĆ LEPIEJ. NIE ZAKAZAMI, NIE SZTUCZNEMI ŚRODKAMI ZDOBĘDZIECIE RYNKI — ZDOBĘDZIECIE JE KONKURENCJĄ!

Nikt już nie słuchał mowców. Samochody z krzykaczami przewracano. Głuche wrzenie targało stłumionemi głosami ludzi. Tu i ówdzie wzniósł się okrzyk. Masy napływały zewsząd.

— WYRZUĆCIE PARTJE. ONE JAK GROMADA WILKÓW GRYZĄ SIĘ O WASZEGO TRUPA, NA WASZYM TRUPIE! ZRÓŻNICZKOWALIŚCIE WASZE ŻYCIE, WASZE INTERESY. WIĘCEJ SYNTEZY, WIĘCEJ PROSTOTY! WIĘCEJ ZDROWIA. WYGOŃCIE TYSIĄCE URZĘDNIKÓW, W KTÓRYCH RĘKU WŁADZA ZMIENIA SIĘ W TYSIĄCE BATÓW O RÓŻNEJ FORMIE. ZŁÓŻCIE WŁADZĘ W JEDNE RĘCE. CZŁOWIEKA WAM POTRZEBA, CZŁOWIEKA WASZEGO, MĄDREGO I DOBREGO, W TEM CAŁA RZECZ. A WY DAJECIE PROWADZIĆ SIĘ JAK STADO HISZPAŃSKICH BYKÓW... NA RZEŹ, POD NÓŻ TORREADORÓW — NAJEMNIKÓW, HIENOM NA ŻER.

Ze zbitego bruku ludzkich głów podniósł się ryk. Nikłe kordony policji rozerwano. Rzucano za policjantami czem kto miał. Czerń rozkołysała się jak pszeniczne pole pod uderzeniem orkanu.

— To nasz!

— Kto to jest?

— Nazwisko! Nazwisko!

— Precz z Rodilem! Precz z Borozem!

— Tam nasz prezydent! Jego chcemy!

— Głupcy, przecież to mechanik tylko!

Groźne pięści wznosiły się dokoła. Pasje tętniały.

— Mechanik, nie mechanik, wszystko jedno. Wiwat! Niech żyje prezydent! Na niego głosujemy!

— Dać go tu! Niech żyje!

Ludzki mur pękł. Falangi gnały w miasto w szale entuzjazmu. Ich miejsce zajmowali nowi, patrzyli, słuchali i znów wiwatowali. Na władze padł strach.

Biedni agitatorzy zmykali chyłkiem, bo tłum brał się do nich nie na żarty. I w wielkiem mieście między wzgardliwemi, białemi, wyniośle regularnemi blokami murów rozpętała się rewolta.

Ktoś wyskakiwał z tłumu, przypominał to i owo z praktyk rządu, łechtał pobudzoną wrażliwość mas, drażnił wielogłowego byka — aż zerwał się z łańcucha rozumu. Niby potworna meduza na zwarjowane miasto padła psychoza, przygniatając mózgi bezkształtnem, galaretowatem, ciężkiem ciałem. Kolor i odor buntu działał jak widok krwi.

Rozbito kilka sklepów z alkoholem. Cywilizowany, nowoczesny tłum zachowywał się jak banda Indjan w zdobytej osadzie. Karmanjola dygotała w zmieszanych kłębowiskach.

A małe, kosmate demonki, wierne służki bogini złośliwości, kozły przewracały z uciechy po pomoście z żywych ramion. Wypełniły wszystkie kąty, każdemu szeptały coś do ucha, obejmując włochatem ramieniem szyję i w nikłych tych, podniecających do szaleństwa uściskach, ludzie szaleli. Pomarańczowy spiralny tan przeniósł się z kabiny na miasto i wziął je w swój zawrotny wir...

IV.

Czyż więc nie był genjalnym nasz skromny mechanik?

A może był genjalnym tan pomarańczowy?

To "coś", co stało przy boku Bela, kolosalnym swym kształtem opierając się zwycięsko wirowi?

Duch, przebiegły, mądry duch?

Duch, zrodzony w oparach alkoholu? Twórczy duch?

Pod rozkazującym jego naciskiem Bel zsiniał z wysiłku. Drewnianemi palcami wystukiwał literę za literą, słowa za słowami, miotając się na krześle jak przygwożdżony wąż.

Do drzwi, ach do drzwi dobijano się wielokrotnie.

Rozentuzjazmowani obywatele próbowali je wyważyć.

Ale mocna stal nie puszczała.

Próżne też były wysiłki policji.

Wkońcu chciano je wysadzić ręcznemi granatami.

Namyślano się jednak.

A tymczasem pomarańczowy demon zmógł Bela.

"Coś" wielkiego odeszło.

Ciężka głowa opadła na piersi, bezwładne ręce osunęły się wzdłuż ciała. Bel zasnął kamiennym snem po godzinie swojej "mowy".

Mojżeszowa tablica zgasła.

Na ulicy domagano się dalszego ciągu, krzyczano, grożono. Ciemna tarcza milczała, milczała jak czarny grób...

Uspokajała się zwolna spieniona fala rewolty. Pomarańczowy tan, ulatując z kabiny, uleciał i z miasta. Kosmate demonki wtopiły się w noc.

* * *

Policja odetchnęła.

Powoli spychano odrętwiałe po poprzednim wybuchu masy. Nieśmiało wyłazili z kryjówek agitatorzy, niby senne kajmany. Zaskrzeczała gdzieś, jak obudzona raptem małpa, tuba mówcy.

Zawirowały wyborcze kartki.

Katastrofa została zeżegnana, wybory potoczyły się dalej, już beznamiętne, spokojne.

A Bel spał.

Oglądano się jeszcze na tarczę — milczała uporczywie. Jej szarość wyglądała teraz jak porzucony całun.

Twarze "ludu" zwracały się coraz częściej w stronę agitujących automobilów.

V.

Popielatym rankiem, przez zaśmiecone, puste ulice wlókł się Bel ze spuszczoną nisko głową. Twarz miał barwy poranku popielatą, w ustach obrzydliwy niesmak.

Nogami zamiatał całe sterty kartek, zaścielających bruk, jak jesienne liście. Raził go sączący się leniwie przez mgłę brzask, złościł wilgotny i chłodny oddech wstającego dnia.

Niby ścigany w kniei jeleń, chyłkiem pomykał przez swój zaułek. W bety zakopał się po uszy.

Bał się przeraźliwie następstw swojego wczorajszego stanu. Nie pamiętał co robił — wiedział tylko, że przepisanych reklam nie wyświetlił.

Co zrobi, jak straci posadę?

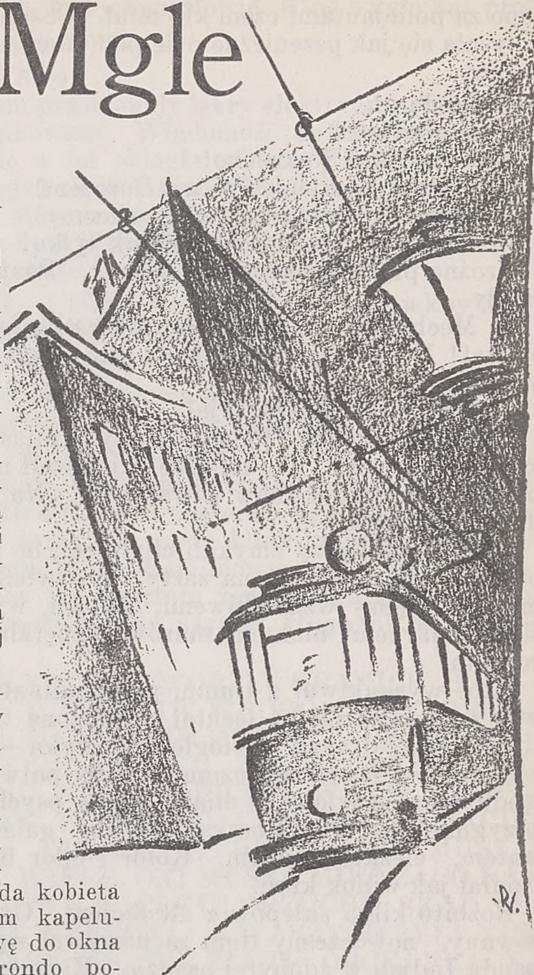
Przez myśl mu nawet nie przeszło, że wczoraj był wybrany prezydentem pięćdziesięciomiljonowego państwa.

Więc — czy był on genjalnym?

Malwina Szczepkowska

Tramwaj we Mgle

NOWELA

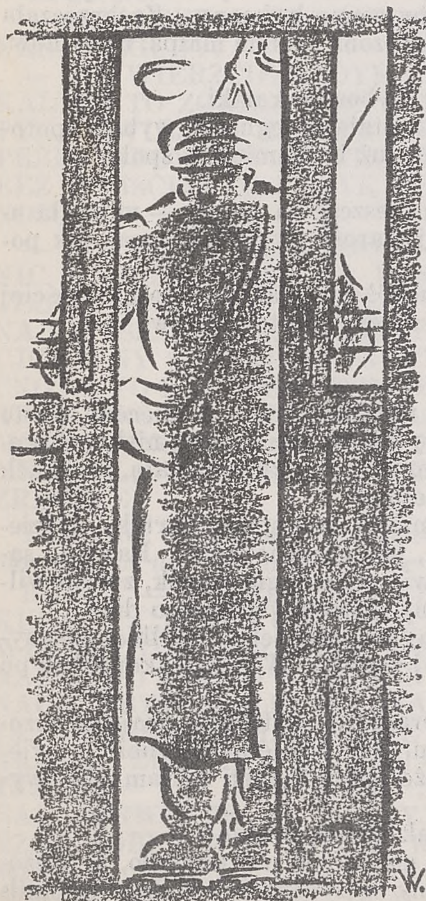


NABRZMIAŁE światłem pudło tramwaju wpadło w ciemny wąwóz ulicy. Świecące oknami domy urywały się nagle. Ciemna, pusta ulica, wiążąca linjami szyn i pętlami drutów miasto z odległem przedmieściem, ujęta była po obu stronach czarnemi konturami płotów.

Gęsta mgła jęła osiadać połyskiem wilgoci na kamieniach bruku i metalowej powierzchni szyn. Daleka perspektywa lamp elektrycznych wyglądała jak sznur ogromnych, mleczno-żółtych, rozświetlonych od wewnątrz pereł.

Konduktor wyjrzał na platformę i wnet cofnął się, zasuwając drzwi. Tramwaj drżał, pobrzękując zlekka szybami.

W wagonie oprócz konduktora jechało jeszcze sześć osób.



Konduktor wyjrzał na platformę i wnet cofnął się...

Blisko wejścia, pod o k n e m, rozmawiały dwie panie powracające z miasta ze sprawunkami. Jedna starsza, ubrana ciemno, ale z wyszukaną elegancją, mówiąc oblizywała ustawicznie mocno nakarmione wargi. Trzymała w ręku papierową torbę z kapeluszem i obracała ją tak, by każdy mógł na niej przeczytać wydrukowaną nazwę drogiej i modnej firmy.

Za niemi siedział pośrodku ławki poważny pan w meloniku i przeglądał wyjmowane w kieszeni gazety. Na lewo od niego, na pojedyńczej ławeczce siedziała młoda kobieta w dużym czarnym kapeluszu. Zwróciła głowę do okna tak, że szerokie rondo pozwalało dojrzeć tylko blade, rozchylone nieco usta i zaokrągloną brodę. Naprzeciw niej zgarbił się wysoki mężczyzna, trzymający na kolanach ciemną skórzaną teczkę. On także wyglądał oknem.

W głębi wagonu wciśnięty w kąt ławki siedział człowiek w wystrzępionej cyklistówce i zatłuszczonem ubraniu. Ręce miał duże i sczerniałe, głowę odrzucił wtył, daszek czapki nasunął mu się na oczy, broda opadła, pozwalając otworzyć się ustom.

Zębate cienie płotów utonęły zupełnie we mgle. Blade kule lamp zdawały się dogasać. Nagle połyskliwa i brzęcząca bańka wagonu zgasła. Ciemny blok zarył się w mgłę.

Tramwaj stanął.

Pan w meloniku złożył gazetę. Panie pod oknem przerwały rozmowę o płaszczu, którego stanowczo nie warto już przerabiać. Dama w czarnym kapeluszu i mężczyzna z teką odwrócili się od okna.

Konduktor wyszedł na platformę. Motorniczy obojętnie zapalał papierosa. Pomruk ich głosów zaczął niepokoić podróżnych.

Pan z teką wstał i wyszedł na platformę.

— Zabrakło prądu — objaśniły go zgodnym duetem majaczące w mroku bryły konduktora i motorniczego. Rozejrzał się naokoło.

— Gdzie jesteśmy? — spytał, nie mogąc przeniknąć wzrokiem mgły. Ale nie otrzymał odpowiedzi. Pochylił się nad stopniem, ale noga jego zawisła przez chwilę w próżni. Musiał w duchu przyznać, że zabrakło mu odwagi, by zanurzyć się w tę nieprzejrzystą, matową gęstość. Cofnął się do wnętrza. Pan w meloniku wyrażał swe niezadowolenie chrzęstem gazet i

pomrukiem. Panie pod oknem pytały się wzajemnie, czy długo tak mają stać i czy nigdy nie zapali się światło.

Pan z teką siadł na swojem miejscu i zgarbił się. Uczuł, że wypadało mu niejako wziąć udział w niezadowoleniu małego zbiorowiska, którego był częścią. Rzekł wyjaśniająco:

— Zabrakło prądu.

Obie panie przyjęły to do wiadomości i zaczęły nową serję pytań, tym razem zwróconych do mężczyzny z teką. Pan w meloniku wtłoczył wszystkie gazety do kieszeni i wstał ruchem zdecydowanym, ale rozmyślił się i usiadł spowrotem.

— Żeby choć jaka taksówka — westchnęła głośno dama piastująca torbę z kapeluszem.

Ulica była pusta i ciemna.

Nastała chwila milczenia.

Wtedy kobieta w dużym, czarnym kapeluszu odezwała się po raz pierwszy.

Głos miała niski i mówiła wolno i cicho:

— Dziwne to — rzekła, nie patrząc na nikogo z obecnych — dziwne to, że iskra skacząca po drucie łączy nas z całym światem, z całem naszem życiem. Gdy tej iskry zabraknie, stajemy nagle bezradni i obcy samym sobie.

Pan z teką podniósł głowę.

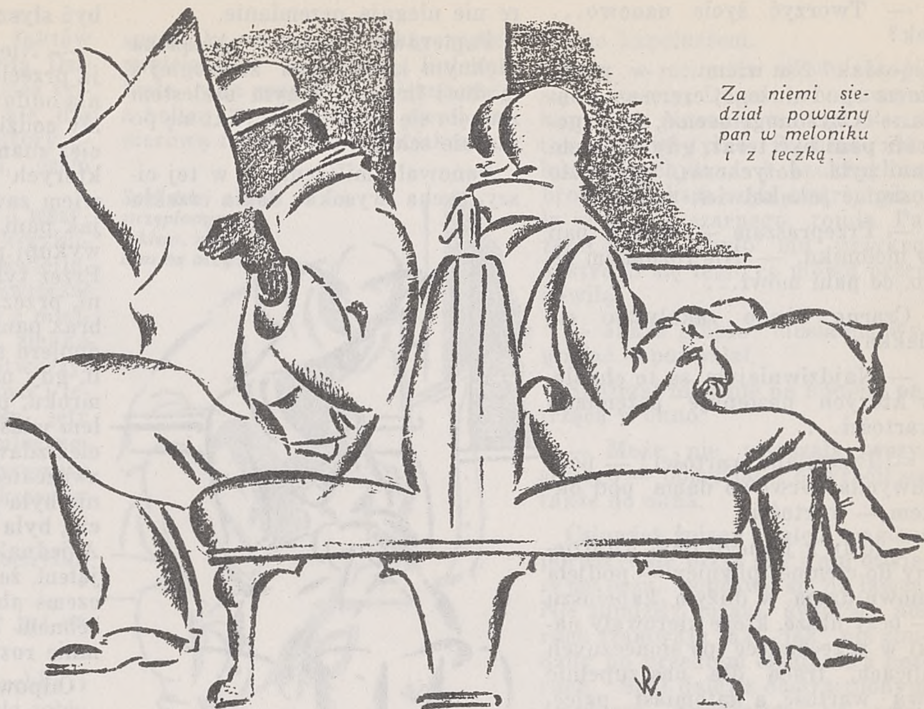
Nastała chwila przykrej, niepokojącej ciszy. Wreszcie właściciel gazet i melonika z ruchu kobiety wnioskując, że do niego mówi, rzekł niepewnie:

— Pani mówi o... o prądzie?

— Tak — odparła kobieta ze spokojem — mówię o prądzie, a raczej o braku prądu.

— Mam nadzieję, że nie potrwa to zbyt długo — wymamrotał pan w meloniku.

— Kto wie — mówiła kobieta. Zdawaćby się mogło, że uśmiecha się w mroku. — Kto wie, czy wogóle będziemy mieli jeszcze ten prąd... bo cóż my teraz wiemy, cóż my możemy wiedzieć!... A jeśli przyczyny, które spowodowały przerwanie się prądu, są tego rodzaju, że uniemożliwią nam wogóle dalszą komunikację... Cóż my możemy wiedzieć, co się teraz



Za niemi siedział poważny pan w meloniku i z teczką

dzieje w mieście?...

— Jakże można tak mówić! — oburzyła się sucha i wysoka pani.

— Ba — rzekł pan w meloniku — gdyby nawet tramwaj nie miał ruszyć z miejsca, to nie znaczy, żebyśmy tu mieli już nazawsze pozostać. Nie musimy przecież być daleko od celu naszej podróży.

— Skądże pan wie o tem? — rzekła znów kobieta w czarnym kapeluszu. — Jest tak ciemno, że nikt nie potrafi poznać, gdzie jesteśmy, kto wie nawet, czy jesteśmy na drodze, którą przebywamy w dzień...

— Panią to bawi? — zauważyła kwaśno właścicielka urużowanych ust.

— Przeciwnie — rzekła kobieta cichym, pełnym powagi głosem. — Przeciwnie, mnie to przeraża... Bo przecież nigdy nie wiemy co nas czeka, czy drobny przypadek nie stanie się dla nas doniosłym, przełomowym faktem. Znamy siebie i wiemy czem możemy być w zwykłym trybie życia, ale czyż wiemy czem się stać możemy w jakiejś nieznanej nam dzisiaj sytuacji?

— Oh — westchnął pan w meloniku, który obawiał się, by znów nie nastąpiło milczenie. — Chwała Bogu, że nowa sytuacja nie jest ani dziwna, ani nieznana.

— A skąd pan wie o tem? — rzuciła ostro kobieta w czarnym kapeluszu. — Skąd pan wie, czy życie, które dotychczas było naszym udziałem, nie zostało dla nas stracone nazawsze, czy nie przyjdzie nam teraz tworzyć go nanowo, w innych zgoła warunkach... Ta mgła... Któż mi przysięgnie, że za tą mgłą wszystko jest tak, jak było!

Ostatnie jej słowa zadźwięczały jak metal i załopotały, obijając się o ciemne szyby wagonu.

Jedna z kobiet siedzących blisko wyjścia, zwróciła się ku mówiącej. Była to dama, która wiozła kapelusz z drogiej i modnej firmy. Gdy odezwała się, w głosie jej nurtował niepokój.

— Mgła... Cóż może być za tą mgłą innego, niż... — urwała, jakby przestraszona własnemi słowami, a potem rzuciła nagle w rozdrażnieniu:

— Dlaczego pani nie mówi, dlaczego pani nic nie odpowiada?!

Jej okrzyk zabrzmiał dziwnie we wnętrzu ciemnego wozu. Sucha, wysoka dama schwyciła swą towarzyszkę za rękę, jakby chcąc jej nakazać milczenie. Pan w meloniku poruszył się niespokojnie na ławce.

Po chwili kobieta w czarnym kapeluszu odezwała się:

— Cóż ja mam mówić? Przecież ja nic nie wiem.

Kobieta z torbą roześmiała się suchym, zgrzytliwym uśmiechem. Rzekła:

— Tworzyć życie nanowo... jak?

—Jak? Nie wiem... — padły słowa spod dużego, czarnego ronda. — Czyż mogę ocenić, czem potrafi pani być teraz, gdy to, czem pani była dotychczas, przestało posiadać jakąkolwiek wartość?

— Przepraszam — wtrącił pan w meloniku. — Nie rozumiem tego, co pani mówi...

Czarne rondo zakołysało się zlekka:

— Najdziwniejsze są te chwile, w których następuje przemiana wartości...

— Przemiana wartości? — podchwyciła nerwowo dama pod oknem — wartości?

— Gdy z jasnego dnia wejdziemy do ciemnej piwnicy — podjęła znowu dama w dużym kapeluszu — oczy nasze, które kierowały nami w przechadzce po słonecznych ulicach, tracą dla nas zupełnie swą wartość, a natomiast palce, bezczynne przy oglądaniu pięknych widoków, nabierają dla nas wartości przewodników. To jest właśnie przemiana wartości.

— Tak, tak — mruknął pan w meloniku — ale cóż ma do tego mgła?

— Mgła? — powtórzyła kobieta w czarnym kapeluszu. Milczała przez chwilę, a potem rzekła, pochylając się zlekka ku przodowi: — Przypuszczam, że w tej chwili, ten piękny zapewne kapelusz, który wiezie pani do domu, oddałaby pani za zwykłą lampkę elektryczną!

Zagadnięta wstrząsnęła się i wybuchnęła znów krótkim, suchym śmiechem.

— Pani mnie nie zna — rzekła zuchowato — pięknego kapelusza nie oddałabym za...

W głosie damy w czarnym kapeluszu zabrzmiała jakby nutka szydercza:

— Pani ciągle tak myśli, jakby za tą mgłą wszystko miało być tak samo, jak było...

Powiedziała to swobodnie, żartobliwie niemal, ale chłód powiał od tych słów i zimnem dotknięciem trwogi prześlizgnął się po plecach siedzących.

Sucha, wysoka dama odezwała się cicho, jakby kończąc jakąś myśl:

— Ale są przecież wartości, które nie ulegają przemianie.

Papierowa torba, obciążona pięknym kapeluszem z drogiej i modnej firmy z cichym szelestem zsunęła się na podłogę. Nikt się po nią nie schylił.

Panowało milczenie i w tej ciszy sucha wysoka dama rzekła



...młoda kobieta w dużym czarnym kapeluszu...

znów jakby odpowiadając komuś:

— Więc są chwile, w obliczu których wszystko zostaje przewartościowane?

Znów odpowiedziało jej milczenie. Pan w meloniku odchrząknął i rzekł zakłopotany:

— Przecież nie moglibyśmy tak zniknąć... Każdy z nas jest czemś mniej lub więcej znąnem i ważnem w swojem małem, maleńkiem kółeczku...

— A poza niem? — podjęła kobieta w czarnym kapeluszu — czyż nie jesteśmy już niczem?

— Więc teraz...

— We mgle — odpowiedziała.

— Właśnie, we mgle — szepnął.

Odwrócił głowę i patrzał w ciemność kłębiącą się za szybami.

Dama w czarnym kapeluszu patrzała przed siebie, nieruchoma. Zdawaćby się mogło, że się uśmiecha.

Wtedy pan z teką pochylił się ku niej i rzekł szeptem, nie chcąc być słyszanym przez innych:

— Niech mi pani wybaczy, ale ja przecież panią znam. Znam panią oddawna. Tak, przecież jeździmy codzień tym tramwajem, przecież znam dobrze przystanki, przy których pani wsiada i wysiada, wiem zawsze, gdzie pani siądzie, jak pani spojrzy i jakim ruchem wykupi pani bilet od konduktora. Przez tyle dni jeździłem obok pani, przez tyle dni zapadał mi obraz pani wgłąb duszy, a przecież dopiero teraz, dopiero w tej chwili, gdy usłyszałem pani głos w mroku, poznałem panią... poznałem właśnie że to pani... A przecież zdawaćby się mogło, że nie zwracałem na panią żadnej uwagi, nie była pani niczem w mojem życiu, była pani poza mojem życiem. A jednak teraz, teraz właśnie pojąłem, że życie moje bez pani jest czemś absurdalnem, czemś niemożebnem poprostu... Czy pani mnie rozumie?

Odpowiedziała spokojnie:

— Tak.

— Gdy pani powiedziała — ciągnął dalej, — że życie, które było naszym udziałem, mogło zostać dla nas stracone nazawsze, że poza tą mgłą nieprzeniknioną może wszystko już jest inaczej niż myślimy... Wtedy zrozumiałem, że nie straciłem nic, nic zupełnie, bo przecież jestem tu wśród mgły razem z panią... Niech mi pani wybaczy to, co mówię i, że mówię to wszystko dziś, dziś właśnie, kiedy zobaczyłem panią po raz pierwszy. Bo przecież zobaczyłem panią dziś dopiero, choć znałem panią oddawna. Pani rozumie co chcę przez to powiedzieć?

Pochylił się ku niej jeszcze bardziej a słowa rwały mu się na ustach.

— Chciałbym pani wypowiedzieć wszystko, wszystko, co czuję... Ale nie umiem, nie potrafię tego powiedzieć... Zresztą pani i tak zrozumie. Chciałbym, żeby ta mgła była wieczna i abyśmy stąd nigdy nie ruszyli... Czy myśli pani tak samo, jak ja? Proszę, niech mi pani odpowie. Nie, pani napewno jest wszystko jedno, czy wszystko jest tak jak było, czy też zupełnie inaczej. Pani jest zawsze sobą, zawsze niezmienna... Chcę być takim jak pani, przecież znam panią dobrze, jeździłem z panią przez tyle, tyle dni... i nie wiedziałem nic... Pani mówiła, że czasem drobne przypadki mogą

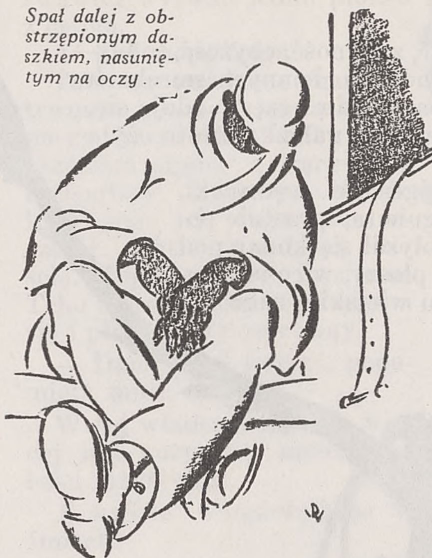
mieć dla nas znaczenie faktów przełomowych... To prawda. Dzisiejszy brak prądu to przecież tylko drobny przypadek, ale dla mnie, dla mnie to fakt, który uświadomił mi czem jestem, czem pani jest dla mnie!...

Nagle zabłysło światło i wszystko wdarło się w oczy z krzykliwą rzeczywistością jasno oświetlonych przedmiotów. Zadźwięczał dzwonek. Tramwaj ruszył z miejsca, drżąc i pobrzękując zlekka szybami. Konduktor otworzył drzwi do wnętrza. Na prawo i lewo zębate kontury płotów jęły wypełzywać ze mgły. W mleczno-żółtych kulach świateł rysowały się ostremi konturami kształty lamp.

Sucha, wysoka dama pochyliła się do swej towarzyszki.

— Czy zdecydowałaś się już na kostjum? — spytała.

Towarzyszka otwarła torebkę i szybkim ruchem upudrowała sobie koniec nosa. Poczem obie wszczęły sprzeczkę na temat praktyczności angielskiego kostjumu. Pulchna biała ręka zsunęła się nieznacznie z kolan i pochwyciła z ziemi papierową torbę z pięknym i kosztownym kapeluszem.


Spał dalej z obstrzępionym daszkiem, nasuniętym na oczy...

Pan w meloniku znowu zatopił się w gazety. Dama w czarnym kapeluszu patrzała w okno. Pan z teką widział tylko jej blade usta lekko rozchylone i zaokrągloną brodę. Większa część twarzy ginęła w cieniu czarnego ronda. Patrzał na nią i było mu przykro. Wstydził się tego, co mówił przed chwilą.

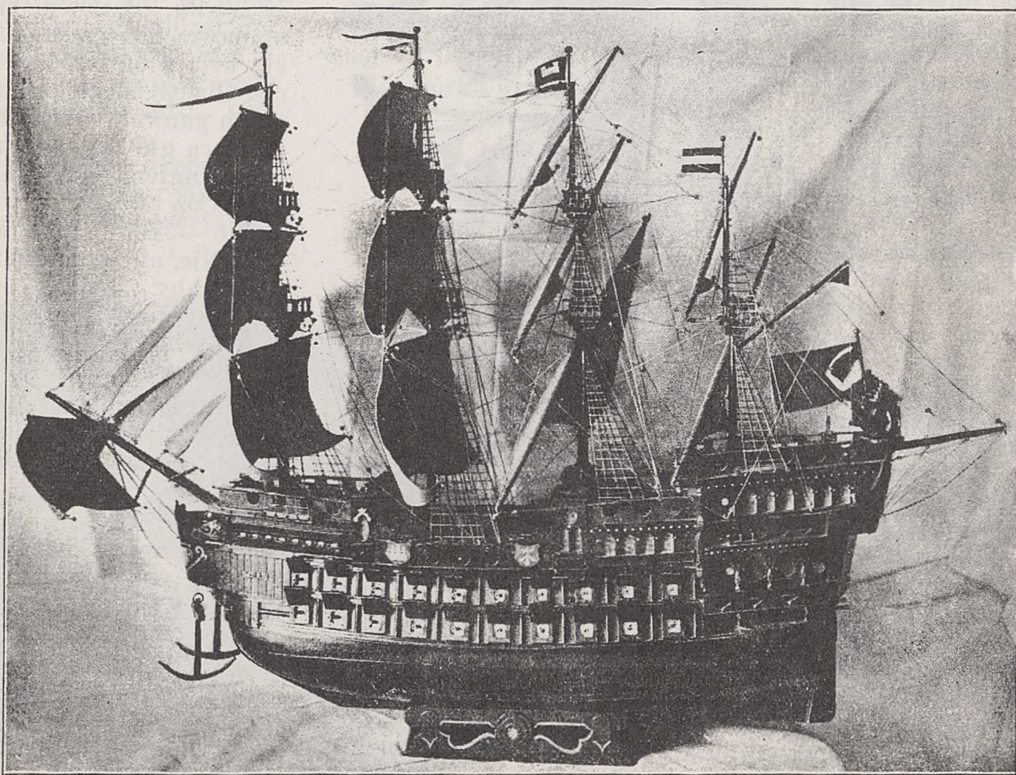
— Jakże głupio musiałem wyglądać —pomyślał.

Spojrzał nieufnie na kobietę patrzącą w okno.

— Może nie usłyszała wszystkiego — pomyślał. I odwrócił się także do okna.

Człowiek śpiący w głębi wagonu poruszył się przez sen i nie otwierając oczu, poprawił się na ławce. Nie zbudziły go ani światło, ani ruch tramwaju tak, jak nie zbudziły go przedtem ciemność i bezruch. Spał dalej z obstrzępionym daszkiem zesuniętym na oczy. Spał tak aż do ostatniej stacji.

MODEL OKRĘTU Z PRZED TRZYSTU LAT



W kaplicy Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni znajduje się wspaniały dar pracowników Komitetu Floty Narodowej w postaci minjaturowego modelu polskiego admiralskiego okrętu "Święty Jerzy" z pamiętnej bitwy pod Oliwą (w roku 1627-ym). Model ten, wykonany w najdrobniejszych szczegółach, jest dziełem sztuki w swoim rodzaju. Łatwo sobie wyobrazić jakiej cierpliwości i pracy trzeba było, żeby odtworzyć wierną podobiznę statku sprzed kilku stuleci.

A. N.

WIEWIÓRKA

Wiewiórka, to zgrabność, zwinność, chyżość, to błyskawica, która w skokach po ciemnych smrekach wykradła swe ciemne ubarwienie i często zdaje się, że przywarta siedzi nie ona, ale gałązka, która ożyła i pomyka po konarach.

Godzinami można śledzić jej igraszki, wędrówki, zabawy, polowania, skoki. Mignie tu, przetnie powietrze tam i już daleko zakołysał się konar pod ciężarem jej skoku. Nikt jej nie płoszy, więc najspokojniej gospodarzy po podwórzu wiejskiej zagrody. Wszędzie zajrzy. Jesienią pełno jej na drzewach owocowych. Gryzie miąższ, chcąc dostać się do ziarn, swego przysmaku. Kiedy człowiek się zbliża, staje, trzymając się gałązki jedną łapką. Tylko bieli się jej podbrzusze.

— To ty hultaju, owoce kradniesz!

A ona czuk-czuk, kic na łodygę, chwyta jabłuszko i rozigrana rzuca wdół. Przechylona patrzy z roześmianą miną. A potem najspokojniej wspina się na wierzchołek, gdzie rumiane jabłka uśmiechają się do niej.

Uśmiecha się też człowiek.

— Ach, ty miły trzpiocie!

Innego zdania jest pies Wobo. Walczy z nią zawzięcie. Nic dziwnego. Drwi ona z niego. I to z kogo? Z tak poważnego psa... Nie do darowania. Czasem Wobo leży w cieniu, wypoczywa, a tu nagle szyszka.... pać! W sam nos! Co to? Zrywa się, biega w kółko. Kiż to licho? Strachy, czy co? Ani nawet zdrzemnąć się nie można. Naraz wrzask, piekło! Ach to ty? czekaj: przyjdziesz pod moje zęby. Zawsze jej przysięga zemstę, zawsze wypowiada walki, ściga, pędzi, kiedy ona buja po wierzchołkach.



Jest to walka podwórzowego Don Kiszota, który nie zdoła nawet na gałąź wyskoczyć.

Wiewiórka nic sobie nie robi z głupich szczekań, obelg, pomstowań. Można rzec, gwizda na nie, siedząc na szczycie smreka.

Znudził ją sad. Jednym susem przesadziła przestrzeń wolną i już jej płomyk na smreku. Przyczepiona do szczytu buja, kołysana łagodnym wiatrem. Może chciała łapką sięgnąć chmury, a może ku wronom skoczyć, które na pobliskim modrzewiu siedziały zadumane, od czasu do czasu kracząc. Niedługo tutaj zabawiła. Po gałęzi zbiegła na dach, jak po kładce. Na wolnej przestrzeni hasa, biega, ściga muchę, chce chwycić nić pajęczą.

— Aha... a co to? Lśni kałuża... hi, hi, hi. Woda deszczowa w rynnie.

Opiera się łapkami o krawędź rynny i pije, niby chłop ze źródła. A potem staje, zastanawia się, machnęła puszystą kitą z ogromnego zdziwienia. Obaczyła człowieka, leżącego na ganku. Przechyla mądrą, myślącą główkę, jednem, a potem drugiem okiem zerka.

— Cóż to leży?

Kic — kic — i czeka.

— Nic, ale to nic się nie boję.

Niechby jednak drgnąć. Merd ogonem. Już jej niema.

A tylko zachwiana gałąź wskazuje, którędy umknęła.

Teraz jednak spokojnie bawi się. Naraz ciarki ją przeszły. Widać, że zadrżała. Parsknęła śmiechem.

— Ech, to ciu-ciu-ciu-cipcip... kurom chcą dać jeść. Miałam się też czego przerazić?!

Jakże to byłoby, żeby nie zbadała. Kic, kic, na gałąź, po pniu, tylko pysznym ogonem zamiata. Hop! i w sam środek stada zajętego dziobaniem spada. Kury rozleciały się, jakby w nie piorun z jasnego nieba trzasnął. Na całem podwórzu gdakanie, wołanie o pomstę.

A wiewiórka najspokojniej do korytka.

Po brzegu naczynia, naokoło—naokoło!

— A cóż tam w środku? Ehe, niezłe.

Chwyta ziarno i łuszczy, trzymając w dwóch łapkach, tylko jej kosmyki uszu ostro sterczących trzęsą się.

Pierwszy kogut oprzytomniał. Mruknął lekceważąco:

— To ino wiewiórka, myślałem fras wie co. Dam ja ci!

Rozsierdzony, z zadzierżystą miną, sunie.

— Co tu mi będziesz moje baby strachała i od jedzenia odpędzała. Jeszcze kto? ale taki szkut... fora ze dwora—zamachnął się dziobem ostro, groźnie.

Wiewiórka w mgnieniu oka pod napastnika.

— Kij djabli nadali? Kaj się podziała?

Kogut rozgląda się, patrzy, gdzie mu ta ćma zginęła.

Zaklął pod dziobem:

— Czary chyba!

Nagle rozdarł się w niebogłosy. Wiewiórka chlast go z dołu pazurami. Zanim zdał sobie sprawę, już był podrapany.

— Chodźmy tu stąd... pódźcie!

Sam pierwszy kroczy pyszny, wspaniały, aby jaknajdalej od miejsca niezaszczytnego. Wziął ogon za pas i w nogi. Zziajany pędzi. Wiewiórka za nim. Ściga go ot tak, dla zabawy. Czuka, śmieje się, podskakuje, jakby nic innego nie chciała zrobić, tylko tak dla swawoli wyrwać jedno piórko z ogona.

Aż pod szopę ściga.

Tam zgromadzone kury w trwodze gdaczą, łamią z rozpaczy skrzydła niby baby przerażeniem zdjęte, a drące się w niebogłosy. Zgorszone są, że ktoś śmie ich wojownika zaczepić. Patrzą z miłosną litością. Kogucisko ledwie zipnie. Tchu złapać nie może. Nadyma się i płonie, cały czerwony.

— Dam ja jej jeszcze, popamięta mnie...

W tej władczej groźbie więcej jest goryczy i zarozumiałości niż odwagi.

A wróble wszędobylskie w śmiech!

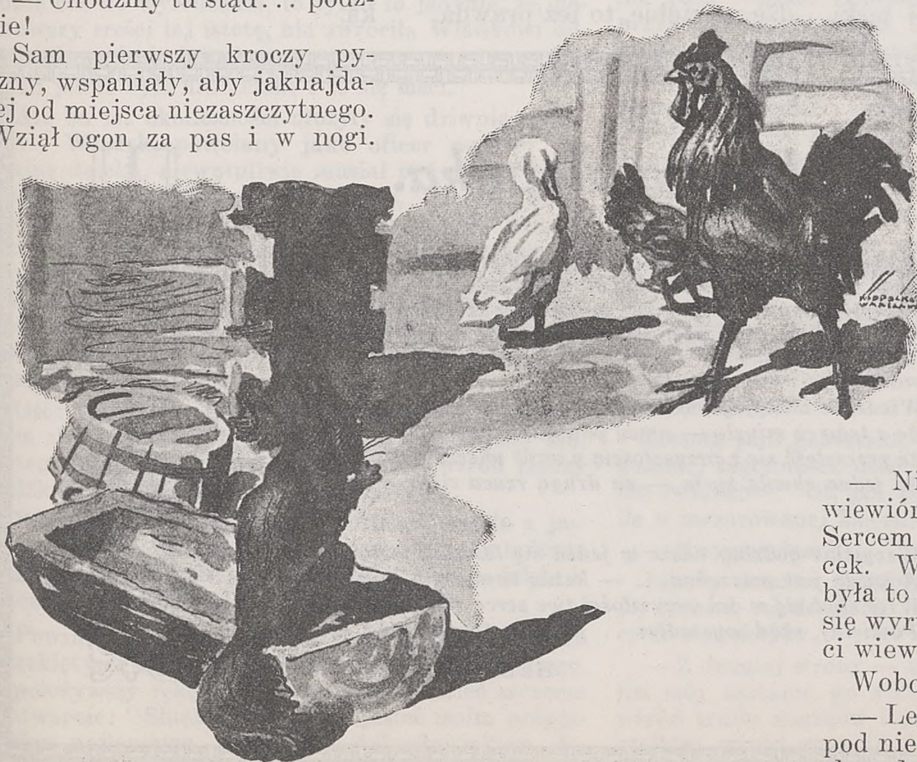
Kogut zwołuje, nie chcąc słuchać drwin wobec wielbicielek.

Kury oniemiałe z podziwu do siebie szepcą:

— On zawsze piekny, kieby z ognia, jaże w ocach i nawnątrzu pali...

Wiewiórka stoi, śledzi. Pyszczek ma rozbawiony, widać mało nie pęknie ze śmiechu.





Nagle trzask, prask. Burza szczekania z ganku wypada. Błyskawiczny skok, gwałtowny stukot po pñiu. W powietrzu wióra kory od pazurów. W mgnieniu oka już w połowie smreka. Nie może sobie zdać sprawy... rety... co to?

Zatrzymuje się, głowę odchyla, zapuszcza wzrok w gęstwinę.

Pod nią biały rząd kłów, jęzor wywieszony, pysk rozdziawiony niby ognista czeluść dysząca gniewem. Któżby jak nie pies Wobo.

Podrapała się po pyszczku, jakby mu zagrała na nosie.

— Chytoj, com ci ze strachu w powietrzu zostawiła. Może ci wystarczy, a będziesz mioł mało, to ci docynię...

Powoli na szczyt. Drży cała. Niemal słychać w małej piersi stukot przerażenia. Bije serce na alarm. Nic dziwnego, z takiej paszczęki się wyrwać.

— Niechze będzie chwała wiewiórce na wysokościach. Sercem jesce zmówie paciorecek. Warcys? Sama widzę, że była to sztuka... z takiej kufy się wyrwać nikiej z paści. Uf... ci wiewórko nad wiewiórkami!

Wobo zupełnie zbaraniał.

— Ledwo na ziemi, a już tam pod niebem. Przecie nie ptak, skrzydeł nie ma.

Wspina się. Usiłuje wleźć na drzewo. Drapie pień. Ani mowy. Zadziera łeb, wącha ślad ucieczki, drogę skoku, wstydem go przejmującą. Wywala ślepia, drepce w miejscu, oblatuje dokoła, szczeka, pyskiem i ogonem grozi. Szczekaniem zemsty nie wywrze i nie ugryzie.

Wie o tem wiewiórka. Z wierzchołka odpowiada mu czukanie szydercze.

— Głupiś! Nie rozdzieraj pyska, bo cię gospodyni kijem uspokoi.

Wobo zaś niemal od zmysłów odchodzi. Z oczu strzelają błyski, z rozdziawionej paszczęki lawina szczekania, gróźb, przekleństw, jakby to pioruny spadające z chmury serca.

A ona niewzruszona i nieczuła. W pewnej chwili stanęła słupka, nakryła się ogonem niby baba spódnicą, głowę ochraniająca w czasie deszczu. Przybrała zgoła nieprzyzwoitą postawę i czuknęła, czego nie można, jako żywo, przetłumaczyć bez obrazy i bez narażenia się na gniew takiego psa, jak Wobo. Gryzie najspokojniej szyszkę, trzymaną w przednich łapkach, roni łuski, jakby niemi pluła na psa.

Wobo sterczy bez ruchu, wściekły, do szału doprowadzony swoją bezsilnością. Już zupełnie zachrypł od szczekania... Nijak mu odejść z pola tak sromotnej hańby. Chciałby wycofać się z jakim takim honorem ale żaden pomysł, żaden ratunek, żaden wybieg nie przychodzi mu na myśl. Głowa pusta, niby miska po obiedzie. Jak może nadrabia miną, macha ogonem. Zdaje sobie sprawę ze swej kompromitacji. Nie śmie nawet oczu podnieść na gromadę wróbli, rzucających grudki szyderczych ćwierkań.

Znudziło się już wiewiórce stać w jednem miejscu. Dalej w drogę! Skoczyła nisko, udając że spada. Wobo jednym susem w górę. Ona mignęła mu przed oczami i zginęła w gęstwinie.

— Głupiś, głupiś...

Wobo zły wraca. Z zawstydzeniem obziera się dokoła. Ukradkiem spojrzał na ganek. Spotkał wzrok człowieka. Chce się usprawiedliwić przed panem.

— Eh, z taką zadawać się...

— To prawda — powiada pan.—Ale że wiewiórka gwiżdże na ciebie, to też prawda.

Podyrdał żwawiej, nie chcąc patrzeć panu w oczy. Ogon spuszczony znamionuje zły humor, jak to mówią, pod psem. Pod nos wlazła mu kura.

Chwycił ledwo za ogon, a tu służąca otwarła gębę jak wrota:

— Idziesz, ty psie mięso! Kury będziesz strachał...

Wobo stękając upadł na podłogę ganku. Kręci się, wierci, jakby na paździerzach leżał. Wciąż gryzą go wspomnienia. Warczy groźnie.

— Jeszcze mi wpadnie w zęby... żywą nie wypuszczę. Takie małe, a takie chybkie — myśli z pewnym podziwem. — Machnie w nos ogonem i chwytaj, coś nie zgubił... psiakrew!

Ale wiewiórka tego nie słyszy. Już daleko, daleko. Wyłoni się z zieleni i ginie. Pełna życia, radości i ruchu, skacze. Gdzieś staje niby ciemna figurka. Czuka zadowolona, łuszcząc szyszkę i znów w drogę.

Biega... biega i szuka tego ziarna życia, które gdzieś na nią czeka.

Od rana do nocy niezmordowanie żywa, zadowolona, wesoła.

Podkarpacka nasza wiewiórka.

Do Pamiętnika.

Chociaż cię nowe jutro swą niespodzianką mami,
Choć woła cię ku sobie daleki, obcy świat —
Pomnij o dniach minionych, przeszłości skrytych mgłami,
Nie wymaż z swej pamięci wspomnienia dawnych lat.

Wiedz, że z twojego wczoraj — twoje się jutro rodzi,
Że z tego co minęło — nowy powstaje dzień,
Że przeszłość się z przyszłością u wrót wieczności schodzi,
Że jedna chwila życia — na drugą rzuca cień.

Wszystkie godziny nasze w jeden się łańcuch plotą,
A każda jest potrzebna... — każdą nam zsyła Bóg —
Więc choć się w dal przyszłości twe serce rwie z tęsknotą
Pamiętaj, skąd wyszedłeś... jaki cię żegnał próg...

HELENA DUNINÓWNA.

TADEUSZ JAROSZYŃSKI

LISTY Z ZA GROBU

STARA, ODWIECZNA HISTORJA...

DOBRZY są sobie ci nasi poczciwi starzy. Skoro tylko wejdą w rolę rodziców, natychmiast zapominają o tem, że sami niegdyś wobec rodziców własnych bronili zawzięcie praw serca...

A może ich nigdy nie bronili, tych praw fantastycznych, nieskodyfikowanych przez nikogo na świecie w sposób dość stanowczy; może zacne moje matczysko, posłuszne opiece, oddając mądrze wybranemu panu rękę, nie zastanawiało się, że za ręką serce oddać musi, że musi je zniewolić — serce dziewczyny, które zapala się nagle bez wiedzy i zezwolenia zwierzchności... najbardziej nawet kochanej i poważanej.

Mila ciężką miała przeprawę z sumieniem. Zapewne Władka lubiła bardzo, ale lubiła go jak... brata, jak towarzysza zabaw dziecięcych, jak przyjaciela... Nie rozumiała poprostu, że "takie lubienie to nie to", że to zgoła w treści swej co innego i całkiem odmiennego.

Zaręczono ich.

Ha, trudno. Była dzieckiem. Jeżeli jednak ma sobie coś do wyrzucenia, to tylko to jedynie, że, poznawszy treści tej istotę, nie zwróciła Władkowi odrazu słowa i pierścionka.

To jedno było nikczemne i to się mści.

Ale bo też okoliczności ułożyły się dziwnie fatalnie. Władek, powołany jako oficer rezerwy na wojnę daleką, niewątpliwie musiał być mocno zgnębiony. Nadrabiał wprawdzie miną, udawał zucha, gwizdał, podśpiewywał, w gruncie rzeczy jednak, już jeżeli nie niebezpieczeństwa samej wojny, to nieunikniona konieczność długiej rozłąki z matką i z narzeczoną nie mogła chłopca usposabiać różowo. Toż doprawdy może nieco zbyt bolesna operacja... zerwania byłaby w podobnej chwili okrucieństwem bezlitosnem.

Otóż ta właśnie litość niemądra, ten sentymentalizm zbyteczny, ten brak odwagi czynu jedynie słusznego, sprawiły, że się spełnia rzecz wśród rzeczy ludzkich najobrzydliwsza — kłamstwo.

Właściwie należało sprawę postawić śmiało a jasno i wyraźnie już wtedy na wieczorze, kiedy tańcząc z Karolem, zrozumiała, że inaczej... Boże, jakże inaczej czuła się w jego ramionach.

Powinna była wtedy zaraz, tam, na tym wieczorze przeklętym, czy błogosławionym, przyjść do niego, a położywszy rękę na ramieniu, powiedzieć szczerze i otwarcie: "Słuchaj, ty, który jesteś moim przyjacielem najlepszym, ty, który jesteś człowiekiem dobrym, mądrym i subtelnym, pojmiesz i uwzględnisz, jako zjawisko najbanalniejsze, najpospolitsze pod słońcem, a mianowicie: "Tańcząc z Karolem, przekonałam się i uświadomiłam to sobie najkategoryczniej, że ciebie kocham jak brata, jak przyjaciela, że tem samem małżeństwo między nami byłoby niezgodne z prawami przyrodzonemi i innemi. Karol, zbliżając się do mnie, zapalił w sercu mojem cudną, wspaniałą lampę, która rozświetliła mi duszę, żem jasno ujrzała właściwe swe drogi".

Nie powiedziała mu jednak tego ani wtedy, ani później w ciągu kilku następnych miesięcy, ani zwłaszcza w owej chwili, kiedy wybierał się w podróż pełną przygód i niebezpieczeństw — kiedy go wysyłano na drugi koniec świata.

I to było błędem nie do darowania.

Teraz, kiedy cudna lampa w sercu rozgorzała w straszliwy, ogarniający duszę potęgą nieposkromioną, pożar, kiedy ogromne jego płomienie z szaloną bezwzględnością niszczącego żywiołu strawiły doszczętnie wątłą konstrukcję względów rodzinnych, towarzyskich, przyjacielskich, kiedy pękły ostatecznie pęta więzów konwencjonalnych i wszelkiego przymusu zewnętrznego, dalsze okłamywanie zacnego człowieka byłoby zbrodnią.

To jest tylko nad wyraz przykre, że musi gorzką prawdę powiedzieć biednemu chłopcu teraz, w tej chwili, kiedy on zdala od kraju, rodziny, przyjaciół, w opuszczeniu, mękach tęsknoty, wśród okropności wojny i w ustawicznem niebezpieczeństwie utraty życia, zasługiwałby istotnie na pewną względność.

Mila kończyła list do narzeczonego, a silne wypieki wystąpiły jej na policzki i oczy gorączkowo pałały.

Trapiła ją bowiem ustawicznie myśl jedna: że przecież Władysława do zaręczyn nie popchnęło bynajmniej jakieś wyrachowanie, wynikające z układów rodzinnych.

Zresztą pani Zabrzeska, matka jego, pomimo całej gołębiej łagodności, dość stanowczo opierała się temu związkowi. Ot, jak każda matka zaślepiona, roiła o zaczarowanej księżniczce z baśni.

— Zwyciężyłam!

Jakoby uczucie przypływającej dumy skrzepiło jej piękne, młode ciało. Otrząsnęła się z drażniących niepokojów.

— Z drugiej strony — uspokajała się — lepiej, że list mój zastanie go wśród zawieruchy wojennej, wśród trudu marszów i przemarszów, wśród znoju ataków, wśród grzmotu dział, jęku rannych, wśród

twardej okropności śmierci, kiedy nie będzie miał czasu ani humoru na tkliwe rozrzewnianie się z powodu zerwania z jedną panną.

Zapieczętowała list, opakowała pierścionek i wyszła, ażeby osobiście oddać to na pocztę.

. . . .

Niezupełnie przecież pewna była siebie i, choć krok swój stanowczy uważała za słuszny i konieczny, trwożyły ją jednak jakieś przeczucia złowieszcze.

— Sentymentalizm!

Nastrój uprzykrzała nieznośnie jeszcze ta okoliczność, że do owych krajów odległych listy wędrowały tygodniami, toż na odpowiedź w denerwującej niepewności zbyt długo wypadnie czekać. Z korespondencji, którą pani Zabrzeska z synem utrzymywała, wypadało, że listy z terenu wojny idą dwa tygodnie — tam zaś nieco nawet dłużej. Matka codzień regularnie wysyła do syna obszerne pismo, w którem podawała mu najszczegółowsze wiadomości o wszystkiem, co mogło go choć trochę obchodzić, wzamian też regularnie codzień Władysław słał do matki bodaj słów kilka, gdzieś w marszu lub z szańców, na świstku papieru ołówkiem nakreślonych.

Co prawda nie nazbyt znowu dokładnie posłania owe z placu boju do kraju nadchodziły i nieraz stęskniona i zrozpaczona kobieta z tygodnia całego wieści otrzymywała odrazu. Niemniej przez ciągłość owej korespondencji nawiązał się między matką a synem jakby nieprzerwany prąd uczuciowy, który, zda się, ową przestrzeń niezmierzoną, ów długi, dzielący ich miesiąc czasu, unicestwiał i znosił.

Tak oto opanowali oni uczuciem czas i przestrzeń.

Niekiedy pisał Władysław list dłuższy, pełen tęsknoty i wynurzeń, pełen żalu do Mili za to, że tak mało o nim pamięta.

Aż dnia pewnego pani Zabrzeska otrzymała urzędowy telegram z pułku, że syn jej nie żyje. Padł rozdarty na strzępy przez szrapnel nieprzyjacielski.

O żałobie nieszczęsnej kobiety nazajutrz wiedziano powszechnie. Władysław, jako przyrodnik zgoła nieprzeciętnych zdolności, miał już pewne stanowisko w świecie naukowym, to też pisma poświęciły młodemu uczonemu obszerniejsze wspomnienia pozgonne.

Mila o śmierci narzeczonego dowiedziała się z dzienników porannych. Pierwszy okrzyk zgrozy przyszło nagle uciszyć, jakoby uczucie pewnej ulgi. Zbadawszy datę telegramu, wywnioskowała, że posyłka jej fatalna nie mogła dojść rąk nieszczęśliwego, że umarł, nie poznawszy złej prawdy...

Pobiegła do biednej, tonącej we łzach nieutulonego żalu, matki i wraz z nią szczerze płakała narzeczonego.

. . . .

A potem z dziwną, niesłychaną, nieznaną dotychczas, tragiczną akuratnością dzień w dzień, o jednej stale porze przychodził list z placu boju. Władysław, snadź wolniejszym rozporządzając czasem, pisał obszernie o sobie, o warunkach, w jakich żyje, o osobliwościach kraju, gdzie przebywa, o zaletach nieprzyjaciela, z którym walczy. Widocznie w dobrym był nastroju, zdobywał się nawet na żart wesoły, a liryczną jedynie nutą dźwięczały ustępy, kiedy się żalił na pewną dziewczynę niedobrą, co zapomniała z kretesem o biednym żołnierzu, walczącym daleko, za siódmą górą, za siódmą rzeką.

Listy z za grobu!

Strasznie było patrzeć na biedną utrapioną matkę, która, w rozpacznem poddaniu się tej tragicznej okropności, co wieczór oczekiwała listu od syna nieżyjącego.

Dni mijały. W mózgu nieszczęśliwej kobiety wytworzyło się jakieś dziwne, niepojęte splątanie pojęć i wyobrażeń. Przestała wierzyć, że syn jej umarł, nie mogła uwierzyć, że żyje. Wszakże pisuje do niej listy, wszak ma codziennie przed sobą jego świeżą myśl żywą, tęsknotę jego ducha, ślad łzy gorącej, która spadła na papier przy pisaniu.

Cóż znaczą czas i przestrzeń, które siłą miłości macierzyńskiej wykreśliła z kategorji swego myślenia?

On żyje dla niej, bo z nią rozmawia, swoim miłym, nizkim głosem, który tak doskonale słyszy w formie charakterystycznych, żartobliwych zwrotów listu.

— Jakbym go widziała tu, na tem krześle przy stole... Wieczorem pijaliśmy razem herbatę... Właśnie żartował sobie z moich obaw, moich przesądów... Jakże chcecie, ażebym wierzyła w śmierć chłopca mojego, skoro tu siedzi i żartuje, jak zawsze...

A jednak ktoś umarł... rozdarty na strzępy przez szrapnel nieprzyjacielski.

Ubiegło dni czternaście. Mila liczyła skrupulatnie dni, godziny, minuty i niepokój jej wzrastał stopniowo, jak zbliżała się data fatalna — data telegramu.

Dotychczas nic. Kiedyż się nareszcie skończą te listy tragiczne?

Podniecona straszliwie, zgorączkowana niecierpliwem wyczekiwaniem, przybiegała wieczorami do pani Zabrzeskiej i z nią razem nasłuchiwała dzwonka. Nauczyła się rozpoznawać stąpanie roznosiciela pocztowego po schodach.

Terkocze dzwonek u drzwi wchodowych.

— To on — piętnasty.

Tak, ten znany, znamienny stempel na kopercie.

— Szesnasty!

— Rachunek Mili wskazuje niezawodnie, że te tragiczne, okropne listy z za grobu powinny się już były skończyć stanowczo.

Wszakże przyszedł jeszcze jeden.

— Siedemnasty!

Dnia tego Mila wybiegła otworzyć pocztarzowi. List przyjęła ze drżeniem i, jakby z wahaniem, wręczyła pani Zabrzeskiej, która go chwyciła, jak zwykle teraz, z radosną skwapliwością.

— Poczciwy mój chłopak!

Przetarła okulary i czytała, a potem bez słowa jednego podała list Mili:

"Droga mateczko — pisał Władysław. — Nudno tu djabelnie. Siedzimy w aproszach, ryjemy ziemię, jak krety, i choć armatki kichają tęgo bez ustanku, przecież bez skutku dobrego, bo pociski niosą się nam po nad głowami. Jeden tylko jakiś zwarjowany, idjotyczny szrapnel zaawanturował się do naszej dziury i narobił trochę bigosu z poczciwych chłopów mazurskich. Zresztą wszystko dobrze, o

ile nie należy brać zbyt tragicznie posyłki, jaką otrzymałem dziś zrana od panny Emilji. Zwraca mi słowo i pierścionek. Zerwanie to, umotywowane niesłychanie rozsądnie, trzeźwo i przekonywująco, ma pewne dobre strony, bo przestanę nareszcie, siedząc bezczynnie w kreciej jamie, nudzić się wyczekiwaniem na jej listy i dziś jeszcze, dla rozrywki, wyjdę sobie na ochotnika z rekonesansem...

Ha, skoro nie udało mi się w miłości, może przynajmniej zdobędę sławę wojenną''.

Mila przerwała czytanie i zalękniona podniosła wzrok na panią Zabrzeską.

Nieszczęsna siedziała martwo, nieruchomo, wpatrzona uparcie w Milę.

Zapanowało długie, przygnębiające milczenie.

Nagle pani Zabrzeska zaczęła się śmiać nieprzytomnie, dziko, strasznie.

Ha, ha, ha... to zabawne...

WIELKIE MYŚLI WIELKICH LUDZI

Pierzchliwy to ptak jest szczęście. Utrzymać go łatwo, lecz gdy raz leci, nie zawsze powraca raz drugi.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

Wielkie umysły kierują światem, ale tylko wielkie serca zbawiają świat.

ELIZA ORZESZKOWA.

Gdy się jest szczęśliwym, przestaje się wierzyć w zło, nie przypuszcza się wcale, żeby mogło istnieć cierpienie i niedola.

LEON TOŁSTOJ.

Człowiek nie żyje dla siebie tylko, ale dobro jego bliźnich stanowi również cel życia. Każdy człowiek, najbogatszy czy najuboższy, musi spełniać pewne obowiązki. Dla jednych życie jest przyjemnością, dla drugich jest ono gorzkie. Ale wybrana część społeczeństwa nie żyje bynajmniej poto, aby używać lub żeby się wsławić. Najpotężniejszą dźwignią działania ludzkiego jest pełne nadziei przyłożenie dłoni do dobrej sprawy.

SAMUEL SMILES.

Istnieją prawdy, do których można się dostać sercem tylko.

DE MAESTRO.

Nie porzucaj nigdy drogi cnoty i honoru — jest to jedyny sposób być szczęśliwym.

BUFFON.

Kłamstwo jest to szpetna sadza, po której należy serce swoje oczyścić zanim ono zczernieje.

RUSKIN.

Połowa naszych cnót ginie, kiedy człowiek staje się niewolnikiem.

HOMER.

Pożyteczniej jest przecież pomóc człowiekowi aniżeli odkryć gwiazdę; owóż łatwiej jest odkryć gwiazdę niż pomóc człowiekowi.

FLAMMARION.





Napisał F. Barr

RYS nieopisanego wprost cierpienia leżał wkrąg fiołkowo - błękitnych warg pana Paphosa, a łzawiące oczy spoglądały boleśnie z pośród skrzelowatych obwódek w twarzy o barwie dojrzałej śliwy. O tem, że kolorowość owa jest cechą szczególną jego oblicza, nie pomyślałby może nigdy, gdyby nie zwróciła na nią uwagi w sposób bynajmniej nie dwuznaczny kobieta, którą był poślubił. Pani ta w dążeniu swem do zmiany więzów małżeńskich na życie nieskrępowane posunęła się tak daleko, iż nazwała go flegmatycznym kretem, przez co osiągnęła swój cel.

Pan Paphos pędził tedy życie odludne i melancholijne w towarzystwie swej spacerowej laseczki i garniturów w kratkę. Solidne, odziedziczone po przodkach, konto bankowe w żadnym nie stało stosunku do skromnego trybu życia i usposobienia, zdradzającego wszelkie cechy podupadłości, której daremnie starał się przeciwdziałać przez długotrwałe przesiadywanie w barze Carlssona.

W domu bywał rzadko i poto jedynie, by malować blade kobiety o morskich oczach i włosach koloru henny i zamieniać przy pracy parę uwag o pogodzie z panią Olsen, utrzymującą jego pracownię i mieszkanie w niezbyt wzorowym porządku. Pani Olsen nie odznaczała się zbytnią gadatliwością, była jedyną na świecie istotą rodzaju żeńskiego, wobec której nie odczuwał nieprzezwyciężonego lęku. Nie czyniła bowiem żadnych uwag co do jego powierzchowności i nie traciła równowagi ducha, skoro postawił trzewiki na stole a kapelusz rzucił pod drzwi. Nic zresztą nie mogło wyprowadzić pani Olsen z błogiego spokoju, póki pieniędzy, udzielonych przez pana na cele gospodarstwa, starczyło jej na kupno koniaku i pokrywanie innych osobistych a nieprzewidzianych wydatków.

Przeważnie jednak przesiadywał pan Paphos w barze Carlssona. Milczący mały człowieczek miał tam swe stałe miejsce, z którego z poza popstrzonej przez muchy firanki widział część ulicy i drzwi przeciwległego domu. Z drzwi owych nigdy prawie nie spuszczał oczu, zdawało mu się bowiem, iż bladolicy kawalerowie w cylindrach wyprowadzili stamtąd kobietę o morskich oczach i włosach ubarwionych henną. Albowiem tam mieszkała ta, która nazwała go kretem. Próbując różnorodnej zawartości lśniących butelek Carlssona, nie przerywał wytężonej swej obserwacji. Nie odwracając oczu od drzwi owych, opróżniał raz po raz automatycznie szklankę, którą w tenże sam sposób napełniał czuwający nad nim Carlsson. I tylko gdy ona ukazywała się, wychodziły z orbit jego oczy i siedział cicho, jakgdyby wobec nadnaturalnej jakiejś zjawy.

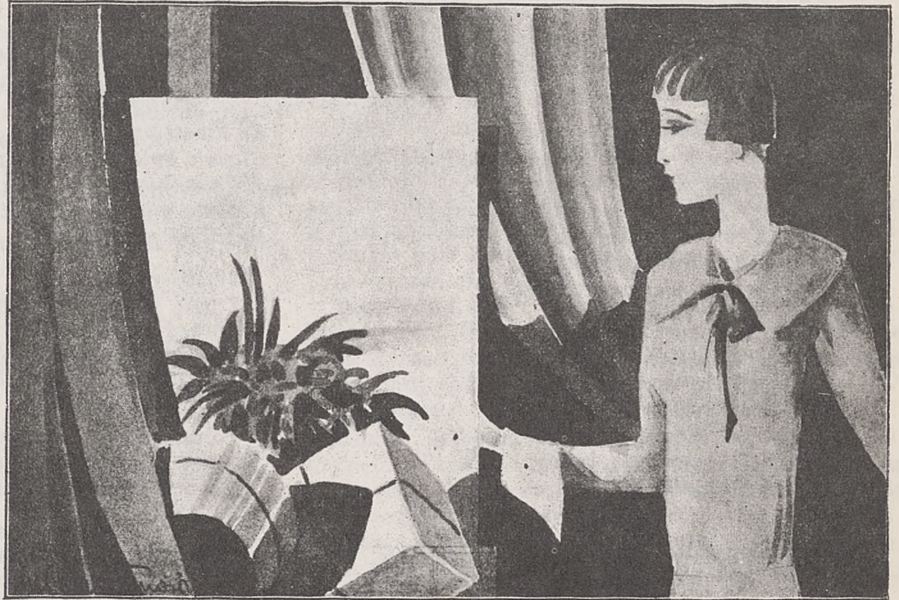
Jednego przecież wieczoru, gdy wychyliwszy parę bateryj butelek Carlssona, wyszedł na ulicę, zaszło coś szczególnego. Przechodząc mimo wielkiego, jasno oświetlonego okna, ujrzał w niem parę kobiet w przepysznych toaletach, siedzących wkrąg małego złoconego stolika. A między niemi była ona. Gdyż jej, tylko jej było to mleczne, białe ramię, spoczywające na blacie marmurowym; jej były te palce z różowemi paznogciami, któremi podparła głowę.

Pan Paphos oparł się o słup latarniany i patrzał skroś mgłę alkoholu Carlssona, oczarowany przez tę zachwycającą istotę, nie zdając sobie sprawy z tego, co się dzieje naokół. Jej usta jaskrawo-czerwone płonęły wśród twarzy o cerze tak świeżej i chłodnej, jak Coctail Mou-

tand; a oczy o zieleni chartreuse lśniły pod brwiami barwy grenadinowej. Była to ona i nie ona, albowiem na czerwonych jej wargach igrał cichy uśmiech anielski, pełen dobrotliwej słodyczy, którego nie dostrzegł u niej nigdy. Dopiero gdy zgaszono jarzące się światło, ocknął się z zaczarowania. I powlókł się do domu.

Powoli obchodził pracownię, wyszukując wszystkie szkice i portrety, na których widniały kobiety o morskich oczach i włosach koloru henny. A znalazłszy — uderzeniem nogi wytrącał je z ram.

Długo śnił tej nocy pan Paphos o kobiecie z morskiemi oczami, uśmiechającej się doń anielsko — i było już bardzo późno, gdy wstał i udał się znowu do baru Carlssona. Podpierając się małą laseczką, rozpamiętywał sen swój cudowny, z oczami utkwionemi w asfalt chodnika. A przechodząc obok miejsca swej wizji wczorajszej, spojrzał w okno wystawowe sklepu, który otworzony został przed dwoma miesiącami. Pan Paphos przystąpił bliziutko do szyby lustrzanej i wpatrywał się ostro w panie, siedzące wkrąg złoconego stolika. Pokiwał ironicznie głową nad dużą, ciemną damą z główką a la garconne; twarz jego pełna była bezwzględnej pogardy, gdy spojrzał na małą jasnowłosą kobietkę o nóżkach drewnianych; przybrała natomiast wyraz miłosnego uwielbienia, gdy wzrok jego padł na piękność o morskich oczach. Pozwolił oczom przesuwać się po członkach smukłych i strzelistych. Miała malutkie nóżki, jasno-szare buciki skórzane, bajeczną wprost toaletę, odsłaniającą ręce i ramiona, a na to wszystko twarzyczka zachwycająca zlewała blask anielskiego uśmiechu.



Zebrała się wkrótce gromadka gapiów, których zaciekawienie bardziej wzbudzał pan Paphos, niżli wystawione w okie manekiny. Gdy zauważył to — odszedł. Wrócił jednak natychmiast i zapadł znowu w zachwycone swe zapatrzenie. Parę długich godzin minęło, zanim uczuł pan Paphos palące pragnienie, rozdzierające mu łono. Niezliczoną ilość razy zdążył spojrzeć już Carlsson na tarczę ściennego zegara, zatroskany zdumiewającą niepunktualnością pana Paphos, gdy tenże wtoczył się do lokalu i zajął zwykłe swe miejsce. Nie w tem spóźnieniu się jedynie miała źródło swe troska Carlssona: prócz tego bowiem zaszło coś, czego dotychczas nie notował on w swej pamięci.

Oto mały milczący człowieczek siedział ze wzrokiem utkwionym w szklankę, ani razu nie obróciwszy głowy ku drzwiom.

Oczy pana Paphosa zawisły na szklance, podobne oczom indyjskiego mędrca, wpatrującego się we własny swój pępek. A gdy wypił, zamykały się nad niemi skrzelowate powieki i twarz jego była tajemnicza i mroczna, jak u człowieka, który trudzi się nad rozwiązaniem zagadki Sfinksa.

Pan Paphos myślał tak intensywnie, że głowa jego pękała nieomal, i opróżniał baterję butelek Carlssona z szybkością zaprawdę wściekłą, tak że twarz jego przybrała barwę czerwoną, — wystąpiły na niej jednocześnie plamy białe — podobną się stała do przekrojonej kiełbasy.

Przed zamknięciem sklepów jednakże decyzja została powzięta. Z głową dumnie wzniesioną, urósłszy do wielkości niemal nadnaturalnej, opuścił lokal, odprowadzony zdumionym i zatroskanym wzrokiem Carlssona.

Najbliższe dni przepędził pan Paphos w odurzeniu zawrotnego wprost szczęścia. Albowiem przedmiot najtkliwszych uczuć jego serca znajdował się u niego w pracowni.

Po wielu słowach żarliwych przekonywań kupił go za cenę niebywale wysoką. Całemi dniami zajęty był nadawaniem mu pozycji malowniczych i zużył nieprawdopodobne wprost ilości zieleni szmaragdowej, czerwieni i bieli cynkowej, by go uwiecznić na płótnie.

Pani Olsen potrząsała głową; Carlsson oczekiwał daremnie; a barwy twarzy pana Paphosa bladły z dnia na dzień.

Znów podniósł znaczną kwotę ze swego banpując ozdoby brylantowe, które przytwierdzał następnie do włosów, barwionych henną. Przepyszne sznury pereł zawieszał na szyi, mającej białość marmuru, i bogini jego posiadała tuziny bransolet. Z wielkich magazynów mód przychodziły młode panie, iżby przystrajać ją w zachwycającą bieliznę i suknie najdroższe, podług ku. Odwiedził najdroższe sklepy jubilerskie, ku-ostatniej uszyte mody i pachnące perfumą najrzadszą.

Wieczorem kładł ją na sofie i okrywał pokrowcami, a nim zgasił światło, pochylał się nad nią, całując w usta, czerwone jak wino.

— Najdroższa moja, ty nigdy, ach, nigdy nie nazwiesz mnie kretem — szeptał, a ona uśmiechała się doń, milcząc, z anielską słodyczą.

I był szczęśliwy.

KORNEL MAKUSZYŃSKI

ŻOŁNIERZ

Przychodzę stamtąd, wiecie wy, gdzie to jest?
To tam, kędy pola są cmentarzami, a śmierć krwi
czyni chrzest,
To tam, kędy krzyżami znaczono łan
I trupy zsiniałe, czarne trupy idą w tan,
To tam, gdzie my zwyciężamy!

Gazetki wam pisały, jak to bywa,
Korespondenty w autach pisały o wojnie, orderach
i gwałtach...
Ale widzicie na mych bandażach plamy?
Widzicie tę krew, co wolno spływa?
Ta krew moja bliżej patrzała,
Ta krew moja lepiej widziała...

Jestem prosty, nieuczony
I nie mam hrabioskiej korony,
Alem psiakrew żołnierz, polski żołnierz!
W oczach mam niebios błękity,
W sercu żar niesamowity,
Kumę śmierć chwytam za kołnierz,
Z rąk jej wyrywam kosę,
I chwałę Polski na bagnecie niosę!

Ja jestem żołnierz i nie znam się na polityce,
Każą bić, to chwytam choćby kłonicę,
Choćby cepy, i grzmocę przez łeb
I naprzód walę, jak bies,
A nie znam łez,
Ni smutku, chyba za dziewczyną...
A jak mi co zbrzydnie,
To spluwam i klnę,
Klnę od cholery solidnie
A potem do ataku rznę,
Aż mnie te smutki odpłyną.

Mam wam mówić, jak to było?
Było, było, słodko, miło
Jak po cukierku,
Przeczytajcie to sobie w Kurjerku.
Bo ja sam nie pomnę, wiem tylko, żeśmy szli,
A chmury na niebie były ogromne i byliśmy źli.

A tamci? Byli pod wioską, tośmy podeszli
W słocie, błocie, buty mi przesiąkły, nogi obrzękły,
Figurę miałem dziadowską. Alem szedł.

Zaczęli strzelać, pochyliłem grzbiet,
Padłem w trawę, a tu już armatki zaczęły wrzawę,
Zaczęli się psiekrwie ośmielać!

Że był huk i szrapnele pękały,
Żem był w błocie cały, a tuż obok padł jeden z
mojej wsi?
To nie dziwne mi. Nie pierwszy to raz i nie ostatni!
Ciemno było... ale kazali biec!
Więcem biegł, a ze mną naszych chmara
I każdy miał w oczach tysiąc świec...
Hej! Naprzód wiara!

Już pierwsze chaty. Walą psubraty
Z poza węgła, z pod ścian.
Gorąco mi się zrobiło i słyszę:
"Hej pan, zdawajsia w plen!"
Patrzę, który to, ten? i lecę na niego...
Ale mi coś na twarzy ciepło...
To deszcz... deszcz, napewno deszcz...
Ażem poczuł dziwny dreszcz
I na skroni krew poczułem nie zaskrzepłą...

Trafili mnie... zginę, zginę, psiakrew zginę...
Ale pierwej tego tam, co się pod chatą kryje,
Bagnetem przebiję!
Dopadam go... Pchnąłem... Krzyknął...
Jak się nie odwinę...
Mocny był, ale mu trzewia wypadły
I ze łba wytrysnął mózg.
A potem, tuż przy chaty murze
Runąłem w kałużę
I słyszałem deszczu nieustanny plusk....

Wy pewnie myślicie, żem bohater, co?
A ja wam mówię: Nie! Ja jestem żołnierz,
Jakich w Polsce tysięcy sto!
Nie trza mi waszej pochwały,
Ja jednego tylko chcę:
Chcę, żeby ze mną był naród cały,
Żeby ta krew moja nie poszła na rdzę!

Ja jestem żołnierz i nie znam się na polityce.
Ale tak, jak pacierza uczyli mnie rodzice,
Tak mnie nauczyli: Że Polska jest jedna,
I wielka być musi, nie mała i nie biedna!

POD CZAREM

CZY to pani jedzie do pałacu jako nauczycielka?

Djoniza odpowiedziała twierdząco. Służący, który zbliżył się do niej, gdy wychodziła z małej stacyjki, zajął się jej walizką i wkrótce powóz ruszył.

Młoda dziewczyna z roztargnieniem spoglądała na krajobraz skąpany w mglistej, słonecznej poświacie jesiennego dnia. Myślała o tej rodzinie Metalou, wśród której miała żyć odtąd. Jakiemi będą dla niej ci nieznajomi? Smutek oblekł jej ładną twarzyczkę. Nie mogła dotąd przyzwyczaić się do tej zależności, na którą była obecnie skazaną.

A w przedsionku pałacu oczekiwała na nią pokojówka, zbudowana jak karjatyda wiejska.

— Pani czeka na panienkę.

Djoniza, na środku wielkiego salonu lodowatego i wyzłoconego, znalazła się w obecności pani Metalou.

Była to drobna blondynka, o rysach ostrych i bez wdzięku, o oczach powłóczystych, jeszcze młoda, lecz już nieco zwiędła pod niezręczną próbą szminki. Na widok młodej dziewczyny, która stała przed nią wysmukła i urocza w swym ciemnym płaszczyku, zdała się nieco zawiedzioną. Ale przemówiła uprzejmie:

— Miło mi panią powitać. Czy pomyślną była pani podróż? Tak! Chwała Bogu! Pragnę by pani dobrze czuła się u mnie. Przyjaciółka moja, pani Lavier, gorąco panią mi polecała. A winnam jej tyle wdzięczności! Dlatego zamówiłam panią listownie... Wygląda pani bardzo młodo!

— Mam dwadzieścia cztery lata, proszę pani.

— Wiem o tem, ale pani wygląda na młodszą... No, ale pani była dwa lata u pani Lavier, która znała pani rodzinę... I pielęgnowała pani z wielkiem poświęceniem tę małą Zuzię Lavier... Ona taka wątła, zgóry była skazaną, ale tutaj Bogu dzięki, znajdzie pani dzieciaki swawolne może, ale silne, zdrowe... wspaniałe okazy... I nic dziwnego, skoro ich ojciec... Ale zaraz się zajmę pani instalacją... Zaprezentuję pani uczniów... Przy obiedzie pozna pani mego męża... Obecnie jest na polowaniu.

Głos jej monotonny i szybki, który rozwijał i plątał frazesy bez przerwy, przy tych ostatnich słowach, nabrał dźwięku pełnego powagi i namiętności. Gdy Djoniza oddaliła się, poprzedzona przez służącą, która miała ją zaprowadzić do jej pokoju, pani Metalou wzniosła oczy ku niebu i wyszeptała z głębokiem westchnieniem: "Mój Boże".

W czasie obiadu istotnie Djoniza poznała pana Aleksandra Metalou. Był to mężczyzna wysoki i tęgi. Jego muskularna pierś wydymała kamizelkę i często kładł na niej rękę, łącząc ten ruch ze szlachetnem i dumnem podnoszeniem głowy. Włosy jego strzyżone na jeża, miały barwę rudawą, również jak piękna wachlarzowata broda, a szeroka twarz tryskała zdrowiem.

Wbił uporczywe spojrzenie swych wypukłych, jasnych oczu w Djonizę, a młoda dziewczyna zapytywała siebie co w nich przeważa: namiętność czy majestatyczność? Spuściła jednak oczy przed natrętnym ich blaskiem, nie rozwiązawszy zagadnienia.

Pan Metalou, pochłaniając potrawy i wina z hałaśliwą żarłocznością, rozwinął wszystkie zasoby swego umysłu. Niezbyt mądre kalambury swego pomysłu przeplatał znanemi dowcipami ze starych kalendarzy. Między jednym a drugim dowcipem robił pauzę, aby dać czas wyśmiać się. Opowiedział też z przyjemnością kilka historyjek miejscowych, dość skandalicznych. Djoniza wynudziła się potężnie i spoglądała ze zdziwieniem na zachowanie się pani Metalou. Dama ta zachwycona, wniebowzięta, zdawała się poić słowami męża. Widocznie dnia tego przewyższał sam siebie.

Wstano od stołu. Pan Metalou, wchodząc do salonu, przeszedł obok Djonizy i upewniwszy się, że żona słyszeć go nie może, powiedział głosem cichym i przejmującym:

— Wenera!

Młoda dziewczyna, zaskoczona w ten sposób, drgnęła. Lecz był już daleko. Nie zajmował się nią przez resztę wieczoru i Djoniza wmówiła w siebie, że się przesłyszała.

Lecz nazajutrz spotkał ją w parku, gdzie pilnowała dzieci. Zbliżył się zwycięskim krokiem, ze wzrokiem fascynującym i powiedział:

— Djana łowczyni.

Wszelkie wątpliwości w umyśle Djonizy rozwiały się. Poznała, że pan Metalou zalecał się do niej w sposób niedwóznaczny. Po tygodniu mitologiczne porównania zamieniły się w otwarte i gorące komplementy.

Życie młodej dziewczyny stało się nieznośnem z tej racji. Bez tego człowieka, żyłaby spokojnie w tym wygodnym pałacu, wśród dzieci, do których zaczynała się przywiązywać, gdyż były serdeczne i ufne.

Ale pan Metalou był niemożliwy. Nic nie było w stanie zrazić go. Do słów płomiennych dołączył wkrótce liściki, nieskończenie głupie i banalne. Młoda dziewczyna nie śmiała przejść się po parku, w wiecznej obawie, że znienacka pojawi się przed nią. Pani Metalou, wiecznie pogrążona w jakichś marzeniach, zdawała się nic nie dostrzegać, a Djoniza nie śmiała się poskarżyć. Wreszcie pewnego popołudnia przykra ta sytuacja rozwiązała się.

Byli goście na śniadaniu i pan Metalou wypił więcej niż zwykle. Odprowadził gości do bramy parko-

wej. W przedsionku spotkał Djonizę, która nie miała czasu uciec przed nim. Poskoczył ku niej i chciał ją uścisnąć. Przejęta wstrętem, odpychała go z całych sił, lecz on ujął obie jej ręce i zbliżał swą czerwoną twarz do jej ust. Nagle odskoczył, cofnął się. Pani Metalou schodziła ze schodów...

— Och! — zawołała.

Po chwili strasznej ciszy, pani domu zeszła na dół.

— Idź sobie. Pozostaw nas same — powiedziała do męża zdławionym głosem.

Usłuchał.

Pani Metalou zwróciła się do Djonizy, która dysząca, z trudem hamowała gniew.

— Pani... — zaczęła młoda dziewczyna z oburzeniem.

— Nie, nie, moje dziecko — przerwała pani Metalou ze spokojnym smutkiem — nie, żadnych tłumaczeń. Ja wiem wszystko... To nie z twej winy! Któraż kobieta potrafi mu się oprzeć? Któraż nie ulegnie jego czarowi? Znam niezwalczony urok jego spojrzenia, jego głosu, rozumu, urody... To ja byłam nieostrożna. Widząc, żeś młoda i miła, powinnam była przeczuć, że zwróci na ciebie uwagę i że natychmiast będziesz pod urokiem... jak wszystkie... Powinnam była powiedzieć ci: "Wyjeżdżaj, tu niebezpieczeństwo czyha, spokój twego życia zagrożony. Będziesz cierpieć i kochać jak inne. Gdyż on naprawdę kocha jednę tylko kobietę — mnie". To, że mnie wybrał, jest dumą moją. Jego kaprysy dla innych zadręczają mnie oczywiście, lecz czyż można go sądzić, jak się sądzi większość ludzi? ... Odjedziesz i zapomnisz. Mam nadzieję, że tak się stanie, dla twego spokoju.

— Ależ to szaleństwo! — zawołał Djoniza, uniesiona gniewem po chwilowem osłupieniu. — Ależ to niegodziwość... Toż ja nie miałam i niemam najmniejszego cienia uczucia dla pana Me...

— Nie tłumacz się — przerwała znów pani Metalou ze słodyczą i pewnością siebie. — Winna jestem, żem była nieostrożna, powtarzam... Czyż nie wiem, że miłość, jaką wzbudza jest niby huragan, któremu najcnotliwsza ulegnie... Nie mam do ciebie żalu, moje dziecko... Wybiorę na twoje miejsce osobę, którą wiek zabezpieczy... Żegnaj! Odwagi!... Czas, oddalenie, uleczą cię.

Djoniza, pogardzając daremną obroną, wzruszyła ramionami. Wyjechała tego jeszcze wieczora, drżąc z gniewu, do którego mieszała się ochota do śmiechu. Gdy wyjeżdżała z bramy, ujrzała na ganku panią Metalou, która przesyłała jej ostatnie znaki współczującej litości. Pan Metalou przesyłał jej z okna całusy... **M. D.**

PRECZ ZE ZWĄTPIENIEM!

Precz ze zwątpieniem, co łamie
I męskich pozbawia sił!
Niech targa skrwawione ramię
Łańcuch, co w ciało się wpił.

Precz z małoduszną rozpaczą...
Nie wolno rozpaczać nam!
Niech myśli zuchwale skaczą
Do niebios zamkniętych bram.

Niechaj nas klęski nie straszą,
Niech hasło bojowe grzmi:
Za naszą wolność i waszą,
Za przyszłych braterstwo dni!

Powoli światło się wciska
I dalej posuwa wgłąb...
A jak Jerycho w zwaliska
Od dźwięku runęło trąb,

Tak runie w świetlanej zorzy
Więzienia ponury gmach...
I ludzkość oczy otworzy,
Po przykrych zbudzona snach.

Więc w naszym krwawym pochodzie
Zwątpienie i rozpacz precz!
Za szczęście ludzkości w zgodzie
Uchwyćmy duchowy miecz!

Chociaż nas wrogi opaszą,
Niech hasło bojowe brzmi:
Za naszą wolność i waszą,
Za przyszłych braterstwo dni!

ADAM ASNYK.

STAROŻYTNA AMERYKA

AMERYKĘ, nazywamy zwykle "Nowym światem" w przeciwieństwie do "Starego świata", Azji i Europy. Tymczasem mniemanie, że Ameryka jest młodsza niż Europa, jest mylne, gdyż okazało się, że i Ameryka posiada również dzieje, sięgające daleko poza erę chrześćjańską, na tysiące lat przed narodzeniem Chrystusa. Uczeni dawno już to stwierdzili, opierając swe wywody na odnalezionych w Ameryce południowej ruinach starożytnych miast i świątyń, a w niemałej mierze przyczynił się do tego sławny pogromca powietrza —Charles Lindbergh.

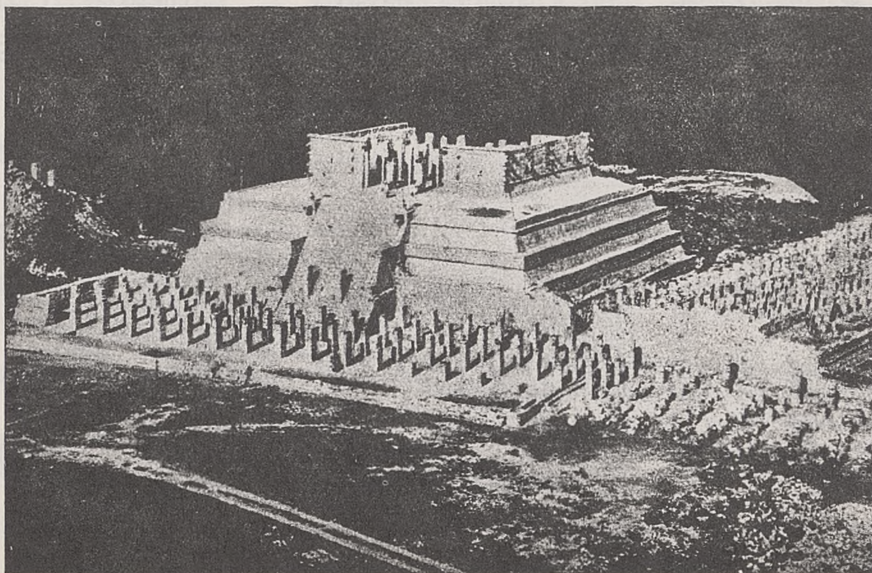
Znakomity ten lotnik miał powierzoną sobie misję stworzenia linij lotniczych do krajów Ameryki południowej i środkowej, które dotychczas pozostały przeważnie pod wpływem państw europejskich. Stanom Zjednoczonym zależy na pokojowem opanowaniu Ameryki łacińskiej. Poleciał tedy Lindbergh jako pionier mających powstać linij lotniczych i w przelocie nad krajami Honduras i Guatemalą ku wielkiemu swemu zdziwieniu pośród dziewiczych puszcz spostrzegł jakieś wspaniałe ruiny. Sfotografował je z samolotu i wróciwszy z swej powietrznej podróży do Stanów Zjednoczonych, oddał ciekawe zdjęcia sławnemu Instytutowi Carnegie'go do zbadania. Okazało się, że były to szczątki prastarej kultury dawno wyginionego szczepu amerykańskiego, zwanego Mayami, o którym dawno już uczeni wiedzieli. Wymieniony instytut naukowy postarał się o dalsze loty w te strony i o szereg nowych zdjęć fotograficznych. Po dokładnem zbadaniu zdjęć stwierdzono niezbicie, że Ameryka miała również kiedyś swój "okres klasyczny".



Piramida z czasu Mayów, odkryta w puszczach podzwrotnikowych.

Rolę europejskich Greków i Rzymian odegrał na półkuli amerykańskiej osłoniony dotychczas mrokiem tajemnicy naród Mayów. Stwierdzono nawet dokładnie kiedy nastąpił katastrofalny zwrot w dziejach tego narodu. Udało się to dzięki znalezionemu kalendarzowi z kamienia, kalendarzowi o wprost zdumiewającej naszych uczonych dokładności. Okazało się przedewszystkiem, że był on wprowadzony w życie przed 2,544,-oma laty. Układ zaś tego kalendarza jest taki, że byłby mógł służyć na 300,000 lat, zanim by doszło do różnicy z rokiem astronomicznym o jeden tylko dzień, podczas gdy nasz teraźniejszy kalendarz już po 3,300 latach będzie wymagał odpowiedniego dopasowania do roku astronomicznego.

Już z tego kamiennego kalendarza Mayów wynika, że mógł go stworzyć tylko naród o bardzo wysokiej kulturze, a w szczególności o niezwykłej znajomości astronomji i matematyki. Tem większą jest tedy zagadką, że naród taki w kilka lat po zaprowadzeniu tak dokładnej rachuby czasy — nagle znikł z widowni. Stwierdzono mianowicie, iż w ciągu lat pięćdziesięciu potężne miasta z wspaniałemi świątyniami i okazałemi pałacami były zupełnie opustoszałe! Od blisko dwóch i pół tysiąca lat miasta May-



Świątynia wojenna Mayów. Piramidę, na której jest zbudowana, otaczają przepyszne budowle, które przechowały się cało do dzisiejszych czasów.

ów zostały pokryte lasami. Prastare siedziby kultury znikły w gąszczu bujnej podzwrotnikowej roślinności.

Nie da się prawdopodobnie nigdy napewno ustalić, co właściwie spowodowało zagładę całego narodu o niezwykle wysokiej kulturze. Niektórzy uczeni amerykańscy przypuszczają, że naród Mayów padł ofiarą straszliwej jakiejś epidemji, inni znów twierdzą, że wyniszczenie lasów przed tysiącami lat przyczyniło się do wyginięcia mieszkańców tej części Ameryki. Obydwa te przypuszczenia nie mogą jednak wyjaśnić dostatecznie bezprzykładnego w dziejach świata nagłego zniknięcia czternastu miljonów ludzi (liczbę tę niezbicie stwierdzili uczeni).

Udało się tylko wybadać, że resztki narodu Mayów powędrowały na zachód od Youkatanu, ale nie osiągnęły dawnej kultury swych przodków.

Kiedy w roku 1529-ym Hiszpanie wtargnęli do Ameryki, zastali tam już tylko zamierzchłe wspomnienia o dawnej potędze i świetności. Pozatem banda Corteza, stanowiąca wogóle ciemną kartę w historji Ameryki, poniszczyła mnóstwo bezcennych pamiątek kultury Mayów. Żądni złota i wszelkiej zdobyczy łupieżcy z barbarzyństwem i bezwzględnością rozwalali ruiny świątyń, rozkopywali grobowce w poszukiwaniu skarbów, a na domiar złego prawie wszystkie zabytki kultury Mayów niszczyli zaciekle, uważając je za dzieła szatana. Zachowały się do czasów dzisiejszych tylko trzy księgi i ryte na kamieniach napisy. Z napisów tych wynika, że Mayowie byli narodem rolniczym o bardzo wysokim poziomie kultury. Im to zawdzięcza świat dzisiejszy kukurydzę, kartofle, kakao, bawełnę tytoń i liczne zioła lecznicze, a wśród nich lekarstwa tak ważne, jak chinina i kokaina. Byli także Mayowie doskonałymi budowniczymi i architektami i znali już cement i beton. Drogi przez Mayów budowane przechowały się znakomicie aż do teraźniejszych czasów. Ponadto zaś Mayowie odznaczali się wybitnemi zdolnościami w dziedzinie malarstwa i rzeźbiarstwa. W malarstwie ich uderza przedewszystkiem doskonała znajomość perspektywy. Stwierdzono wreszcie, że znali się bardzo dobrze na chirurgji a nawet na dentystyce.



Szczątki miasta Mayów widziane z samolotu. W głębi plac do gry w piłkę, z przed tysięcy lat.

Rzemiosła i rękodzielnictwo kwitły u Mayów, czego dowodem są liczne zabytki znajdowane w niezniszczonych przez Hiszpanów Corteza grobowcach, kurhanach i świątyniach z przed tysięcy lat. Odkryto nawet, że Mayowie znali sport i gry, podobne bardzo do naszego tenisa. Zachowały się do dziś dnia place ich do gry, a nawet znaleziono na nich kilka piłek gumowych i dziwaczne przyrządy, przypominające kształtem nowoczesne rakiety do gry w tenisa.

Biorąc pod uwagę znakomitą technikę budowlaną w pozostałych po Mayach szczątkach miast i świątyń, jak również zabytki sztuki i rękodzielnictwa, łatwo przyjść do przekonania, że Ameryka narówni z innemi, "staremi częściami świata" miała swą historję i kulturę, nie niższą od europejskiej czy azjatyckiej.

O MOJ ROZMARYNIE, ROZWIJAJ SIĘ...

Z piosenek wojska polskiego.

O, mój rozmarynie, rozwijaj się!
Nakaż mej dziewczynie, niech kocha mnie!
Jestem tak daleko,
Hen, za siódmą rzeką,
smutek mnie żre!

Wkoło świszczą kule, armaty grzmią,
Ja przyciskam czule wstążeczkę twą,
I gwiazdy złociste,
Jak twe oczy czyste
W mroku mi lśnią!

Niesie się od lasku kul zdradnych gwizd,
Przy miesięcznym blasku łka wichru świst!
A ja nic nie słyszę,
Jeno piszę, piszę,
Do ciebie list!

Ślę ci uścisk bratni, kochanie me,
Może to ostatni, Bóg jeden wie!
Łzami więc lakuję,
Sercem pieczętuję
Literki te.

A gdy zamknę oczy wśród śmierci mąk,
I krew moja zbroczy kwiaty tych łąk,
To pisanie weźcie,
Lubej je zanieście
Do własnych rąk!

MARJAN SEY

STARY DWÓR

NOWELA

ZIMA. Siarczysty mróz. Noc gwiaździsta.

Na tle zimowego krajobrazu stary, zamożny, szlachecki dwór na Litwie. Na białej śnieżnej płaszczyźnie porozrzucane szeroko ciemne masy zabudowań gospodarskich; gdzieniegdzie migają światełka — niby oczy wilcze.

Do dworu wiedzie długa aleja lipowa. Drzewa stoją sztywne, bezlistne, w dwóch szerokich szeregach, niby żołnierze w bojowym szyku, na straży u wrót skrzypiących, zamykanych na ciężkie wrzeciądze. W głębi, u kolistego podjazdu — duży, piętrowy gmach. To dom mieszkalny. Okna jego, rzęsiście oświetlone, rzucają długie smugi świetlne na klomb przed domem: filary ganku zarysowują ostro swe kontury w srebrzystem świetle tysiąca gwiazd na białem tle śnieżystego całunu.

Litwa. Stary, zamożny, szlachecki dwór w noc srebrną, wigilijną...

Ileż takich nocy wznosiło nad nim swe sklepienie gwiaździste, by się zapaść następnie w niepamięci czasów...

O dworze stary! Żebyś ty mógł przemówić do serc dzisiejszych tem wszystkim, co od długiego lat szeregu w twych starych uwięzło murach, w taką cichą, wigilijną noc... O dworze, stary dworze...

Dokoła cisza.

W dużej sali starego dworu jarzy się choinka całą masą świeczek różnokolorowych. Wstążki barwne, nitki złociste, srebrne i białe puchy, błyszczące kule, bajeczne w kolorach, jabłuszka czerwone, wyzłacane orzechy, zdobią ją bogato od szczytu do samej prawie ziemi, niby królewnę z bajki — a u samego wierzchołka połyskuje duża złocista gwiazda, większa nawet niż te, co tam na dworze u niebieskiego świecą stropu.

Dokoła choinki krzątają się dwie m a ł e dziewczynki — pięcioletnia Marteczka i o parę lat starsza Krzysia. Ach, ile to niespodzianek przyniósł im dzień dzisiejszy! Tyle ślicznych zabawek podostawały na gwiazdkę, zabawek, o których marzyły przez całe długie miesiące, dość głośno zresztą marzyły!

Podsłuchała tych marzeń niedyskretnie mamusia, dowiedziała się o nich następnie babcia i tatuś, liczne wujenki, stryjenki i ciocie... stąd taka obfitość darów najrozmaitszych. Mało się dziewczynkom oczy nie rozbiegają!

A dzieli tę radość dzieci stara niania, odświętnie dziś w ciemną brązową suknię przybrana i w czyściutki, biały czepeczek. To ten, to ów przedmiot bierze do ręki, podziwia szczerze i wykrzykuje nieraz z zachwytu, podnosząc w ten sposób w dwójnasób nastrój radości.

Tylko mamusia i tatuś czegoś nieswoi tego wieczora... Młodzi, smukli, stoją w głębi pokoju i przyglądają się zabawie dziewczynek z dziwnie smutnym uśmiechem — prawie przez łzy. To też powoli, powoli usposobienie ich udziela się również dzieciom i starej niani.

Milkną wybuchy śmiechu, zabawa się urywa, niania coraz częściej ukradkiem spogląda z pod okularów w stronę państwa... Dzieciaki rzucają wreszcie lalki, biegną ku rodzicom, tulą się do nich w milczeniu. Cisza zalega salę, przerywana jeno chrzęstem zapalającego się od czasu do czasu igliwia lub szmerem ściekającej z lichtarzyków stearyny...

Ach, rok temu inaczej było w tej sali. U takiej samej choinki szalał z radości Stachulek, najstarszy z rodzeństwa, prześliczny, jasny chłopaczek, duma ojca, serdeczne ukochanie matki.

Ale wkrótce potem nastały fatalne dnie... Tyfus, krótkie, gwałtowne zmaganie się młodziutkiego organizmu z nieubłaganą chorobą — i śmierć.



...stary, zamożny, szlachecki dwór...

A po niej przyszła rozpacz, bezsilne szamotanie się z nieszczęściem, krawe łzy i ból — taki tępy, okrutny, dławiący ból... aż i to minęło, by ustąpić miejsca tęsknocie.

I znowu choinka bucha snopem światła, w kolorach cała jak dziewucha z ludu, a złocista — jak rycerz pancerny. A tam, na grobie Stachulka, śnieg biały pokrył martwe kwiaty u stóp krzyża i jeno gwiazdki na niebie mrugają nań litościwie.

Tego wieczora nikt już więcej śmiechów dziecięcych we dworze nie słyszał. Dziewczynki straciły ochotę do dalszej zabawy, cichutko pokładły się do łóżeczek, a niania zasiadła przy drzwiach otwartych w przyległym pokoju, otworzyła starą, zatłuszczoną książkę do nabożeństwa i trzymając ją pod światło lampy, jęła z niej czytać półgłosem, przez okulary w rogowej oprawie, litanję do Matki Boskiej. Po pokoju skąpo oświeconym przez małą naftową lampkę, pełzały długie, szare cienie, obok w pokoju dzieci cisza zupełna. Cisza również w całym dworze, a wśród tej ciszy poważny jakiś i namaszczony rozlegał się półszeptem głos staruszki:

— Pocieszycielko strapionych... Wspomożenie wiernych... Królowo Anielska — módl się za nami!

Nagle w pokoju obok odezwał się cichutki głosik Marteczki:

— Nianiu...

Staruszka przerwała litanję i jęła nadsłuchiwać.

Po chwili to samo wołanie:

— Nianiu...

Staruszka zamknęła książkę, zdjęła szybko z nosa okulary i za chwilę pochylała się już nad łóżeczkiem dziecka. Objęły ją w ciemności dwa drobne, gorące ramionka, a cichy głosik jął pytać:

— Nianiu, powiedz, proszę, czy Matula Boziuni jest Królową aniołków?

— Tak, dziecko...

— I króluje u Boziuni w niebie?

— Tak, dziecinko...

— To i Stachulek jest teraz aniołkiem w niebie?

— Tak, jest aniołkiem...

— W niebie?

— W niebie, serce...

— U matuli Boziuni?

— Tak, tak, serce.

Milczenie.

— Nianiu — pyta znów po chwili dziewczynka — a czy matula Boziuni rozumie po polsku?

— A jakże by też nie rozumiała? — oburza się na to prawie staruszka.

Stara niania odpowiada głosem drżącym na cały szereg podobnych pytań, zadawanych jej pół-szeptem przez dziewczynkę, poczem jęła ją uspakajać, usypiać, stare piosnki do snu nucić.

Noc zapadła. Ale dziewczynka nie mogła czegoś zasnąć; przewracała się wciąż w swem łóżeczku z jednego boku na drugi i myślała o tej Pani z nieba, co rozumie po polsku i o Stachulku, co jest tam w niebie aniołkiem. Wreszcie coś koło północy znużona zasnęła, a wówczas nawiedził ją dziwny, zaprawdę dziwny sen:

Śniło jej się, że raz w jasny, złoty poranek majowy opuściła dwór rodziców i ruszyła w świat szeroki szukać drogi do nieba, by zanieść Najświętszej Pannie swój żal i swoją skargę serdeczną i łzy swojej starszej siostrzyczki i westchnienia mamusi. Daleko poza sobą zostawiła dom rodzinny i sad pełen kwiecia białego i lipy z alei przydrożnej... Ranek był cudny: słońce niby złote warkocze słało po ziemi całe zwoje gorących promieni, lekki wiatr muskał łany zboża, ptaki świergotały wesoło, a jej na widok tych cudów serce rosło; szła raźno i oddychała pełną piersią.

I mijała pola, lasy i góry. A tymczasem złote słońce stanęło u szczytu swej dziennej wędrówki i zaczęło się powoli staczać ku równinom. Idzie sobie dziecko, idzie, wreszcie znużenie zaczyna je ogarniać, coraz mu ciężej i nie wie, czy dobrą obrało drogę — może do nieba nie tędy?

Ale jakiś głos wewnętrzny szepce jej: "Dobrze idziesz!" — więc zbiera resztki sił i choć jej się na płacz zbiera, idzie i niesie ze sobą swój żal i swoją skargę serdeczną i łzy starszej siostrzyczki i westchnienia mamusi. A gdy tak wędruje, oczom jej przedstawia się nagle widok zaiste niezwykły:

Oto na lewo od drogi żytnie łany ciągną się w nieskończoność, a takie bujne, takie złote, jakich nigdy dotychczas nie widziała. Z pomiędzy żytnich kłosów wystrzelają jak gwiazdy bławatki i rumienią się polne maki pod ogniem słonecznych promieni, a słonko świeci tak jasno, tak bajecznie jasno, jak chyba nigdzie na ziemi.

Ścieżką wśród tych łanów złotych idzie Najświętsza Panienka... Tak, to tylko Ona być może, bo ma na sobie długie niebieskie szaty przetykane srebrem i promienisty krąg świateł nad głową. Idzie wolniutko, jasna, spokojna, ze słodkim uśmiechem na twarzy, a grono małych aniołków o białych skrzydełkach i różowych buziakach otacza Ją, niby rój białych motyli i znosi Jej chabry niebieskie i polne maki czerwone...

Dziewczynka się zatrzymała, z wielkiego zachwytu wsadziła palec w buzię i oczu od tych cudów oderwać nie może... A gdy tak stoi w niemej kontemplacji, przyfruwa do niej jeden z białych aniołków i zapytuje, czegoby szukała?

— Matuli Boziuni — odpowiada nieśmiało.

Uśmiechnął się na to aniołek biały, ujął ją za rączkę łagodnie i poprowadził ową ścieżeczką wśród żyta złotego prosto do Najświętszej Panny.

Idą tak sobie obok siebie, ona nieśmiała, ze spuszczonemi w dół oczętami, on cały w uśmiechach, jak promyk słoneczny. Niema odwagi spojrzeć na swego małego towarzysza, choć ją raz po raz coś ku niemu pociąga. Wreszcie powoli, ukradkiem podnosi nań swe duże, szafirowe oczy... I nagle serduszko jej gwałtownie bić zaczyna, a w oczach ciemnieje... Boże! Wszak to Stachulek idzie przy niej we własnej osobie, taki śliczny... ze skrzydełkami u ramion... taki kochany!

Obudziła się z oczami pełnemi łez. Łez radości. Czuje jeszcze ciepło jego małej dłoni, widzi zboża złote i błękitne chabry... Mimowoli wyciąga rączęta by objąć niemi braciszka za szyję...

Lecz sen prysł. Rozejrzała się. Dokoła ciemno, jeno przez drzwi otwarte z przyległego pokoju pada smuga światła, a drżący głos starej niani, trochę zmęczony i senny, powtarza słowa litanji:

— Królowo Aniołów — Królowo Wyznawców, módl się, módl się za nami!

Za oknami siarczysty mróz. Zima — śnieg prószyć zaczyna.

Stoi cichy stary szlachecki dwór w noc srebrną, noc wigilijną...

O. HENRY

OSTATNI LIŚĆ

W NIEWIELKIEJ dzielnicy na zachód od Washington Square, ulice biegną, łamiąc się śmiało w tajemnicze zaułki, zwane "places". Owe "places" tworzą oryginalne zakręty i zygzaki. Jedna ulica przecina drugą nieraz po kilka razy. Dla artysty dzielnica ta przedstawia nader ciekawy materjał twórczy.

Artyści w poszukiwaniu krużganków pochodzących z 18-go wieku, starych frontonów, okien o północnem oświetleniu i niskiego komornego, cisną się tłumnie do tej dziwacznej starej dzielnicy.

Przynoszą ze sobą nieco zwyczajów z Szóstej Avenue i tworzą własną "kolonję".

Na poddaszu niezgrabnego, odrapanego domu Sue i Johnsy miały swą pracownię. "Johnsy" było to zdrobniale od Joanna. Sue pochodziła z Maine, Johnsy z Kalifornji. Poznały się przy "table-d'hote'cie" jakiegoś pensjonatu i doszły do przekonania, że gusta ich, dotyczące sposobu pojmowania sztuki, przyrządzania sałaty i szerokości rękawów są tak podobne, iż postanowiły urządzić sobie wspólną pracownię. Było to w maju. W listopadzie nawiedziła kolonję złośliwa grypa, której zimne dotknięcie przynosiło śmierć. Poprzez wschodnią część miasta szła odważnie i szybko, gdzieniegdzie tylko piętnując swe ofiary, lecz przez labirynt wąskich i omszałych zaułków włokła się powoli, nie bawiąc się w litość. Okruszyna małej istotki, rozdelikacona przez kalifornijskie zefiry, była wymarzonym łupem dla tej okrutnej, bezlitosnej czarownicy. Johnsy leżała nieruchomo na skromnem żelaznem łóżku, patrząc poprzez małe zamglone szyby na smutną ścianę sąsiedniego domu.

Pewnego dnia doktór spojrzał na Sue porozumiewawczo z pod gęstych szarych brwi. W hall' u rzekł do niej, strząsając rtęć w termometrze:

— Ma jedną szansę na dziesięć. A ta szansa polega na tem, by zechciała żyć. Ludzie nie wiedzą, że to najlepsze lekarstwo, a medycyna w porównaniu z niem jest zupełnie bezsilna. Pani maleńka przyjaciółka wbiła sobie do głowy, że nigdy nie wyzdrowieje. Niech mi pani powie: czy ją coś specjalnie interesuje?

— Ona..., Ona chciała malować zatokę Genueńską — rzekła Sue.

— Malować? Eh, Myślałem o czem innem, naprzykład... o miłości...

— Miłość?! Nie.—Zgorszyła się Sue. — Mężczyźni i sztuka. Nie, doktorze.

— No, to źle w takim razie— powiedział doktor. — Ja uczynię wszystko, co leży w mojej mocy i w granicach wiedzy, którą rozporządzam. Ale jeśli pacjentka liczy powozy jadące za jej trumną, żadna kuracja nie pomoże. Jeśli natomiast pani wydobędzie z niej jedno pytanie na temat najnowszego fasonu jesiennych płaszczy, przyrzekam, że szanse wyzdrowienia się podwoją.

Po wyjściu doktora Sue wzięła robotę i gwiżdżąc jakąś piosenkę, wbiegła do pokoju Johnsy.

Wątła postać chorej zaledwie rysowała się pod kołdrą. Leżała z twarzą zwróconą ku oknu. Sue przestała gwizdać, myśląc, że Johnsy zasnęła. Rozłożyła teczkę i zaczęła precyzyjnie wykańczać piórkiem ilustrację do noweli. Młodzi malarze muszą sobie torować drogę do sztuki, rysując ilustracje do nowel, które młodzi autorzy piszą, chcąc sobie utorować drogę do literatury.

Gdy Sue zaczęła szkicować monokl w oku eleganckiego gentlemana, usłyszała kilkakrotnie powtórzony niski szept. Podeszła szybko do łóżka. Oczy Johnsy były bardzo szeroko otwarte, patrzyła w okno, licząc w odwrotnym kierunku.

— Dwanaście — mówiła, a trochę później — jedenaście— i potem — dziesięć, dziewięć i osiem, siedem... — prawie jednocześnie.

Sue trwożnie spojrzała w okno. Co Johnsy mogła liczyć? Tam było tylko nagie, ponure podwórko i smutna ściana sąsiedniego domu. Pogięte łodygi dzikiego wina, nadgniłe już przy korzeniach, trzymały się jeszcze kurczowo poszarpanych murów. Zimny oddech jesieni podrywał liście, a gołe gałęzie podobne były do szkieletów.

— Co ty robisz, kochanie?— spytała Sue.

— Sześć—westchnęła Johnsy. — Spadają teraz prędzej. Trzy dni temu było ich jeszcze sto conajmniej. Aż głowa mnie bolała od liczenia. A teraz tak łatwo. Oto jeszcze jeden spada. Już zostało tylko pięć.

— Pięć? Ale czego? Powiedz swojej Sue!

— Liści. Na winnych łozach. Kiedy spadnie ostatni, ja muszę także odejść. Wiem to z całą pewnością. Czy doktór ci o tem nie mówił?

— Co ty pleciesz! — żartowała Sue, wspaniale udając lekceważenie. — Co mają wspólnego liście dzikiego wina z twojem zdrowiem? Dawniej tak lubiłaś ten krzew, ty głuptasku. No, nie bądź gąską. Wiesz, doktór powiedział mi dzisiaj, że twoje szanse wyzdrowienia wynoszą — niechże sobie dokładnie przypomnę — dziesięć na jedną. Niemniej ryzykujemy jadąc autem po bardzo ruchliwej ulicy, albo przechodząc obok budującego się domu. Sprobuj wypić teraz trochę rosołu i pozwól mi wrócić do moich ilustracyj, aby wydawca coprędzej dostarczył nam floty na winko dla mojej małej chorej, no... i na wieprzowy kotlet dla mnie.

— Nie kupuj wina — rzekła Johnsy, nie odrywając wzroku od szyby. — Oto jeszcze jeden liść spadł. Nie, nie chcę rosołu. Pozostały tylko cztery. Chcę zobaczyć, jak spadnie ostatni, nim będzie zupełnie ciemno. Wtedy odejdę...

— Johnsy, kochanie — rzekła Sue, pochylając się nad nią. — Obiecaj mi, że nie spojrzysz w okno, dopóki nie skończę rysunków. Muszę skończyć je dzisiaj, inaczej spuściłabym rolety.

— Czy nie możesz pójść do drugiego pokoju? — spytała Johnsy ozięble.

— Wolałabym być przy tobie — odparła Sue. — Zresztą nie chcę, abyś ciągle patrzyła na te głupie liście!

— Powiedz mi, kiedy skończysz, bo chcę koniecznie zobaczyć, jak spadnie ostatni liść. — Johnsy przymknęła oczy i leżała nieruchomo, biała jak posąg.

— Zmęczyło mnie czekanie, zmęczyło myślenie. Chcę zatracić świadomość i żeglować w dół tak, jak jeden z tych biednych, powiędłych liści.

— Sprobuj zasnąć — powiedziała Sue. — Muszę iść po Behrmana, który ma mi pozować do szkicu. Za chwilę wrócę. Tylko proszę cię, leż spokojnie.

Stary Behrman był to malarz, rodem z Niemiec, który mieszkał o piętro niżej. Miał przeszło sześćdziesiąt lat i brodę jak Mojżesz Michała Anioła, która zdobiła głowę satyra osadzoną na korpusie karła. Behrmanowi niepowodziło się w sztuce. Od czterdziestu lat operował pędzlem, lecz Wielka Mistrzyni nie raczyła nań skinąć łaskawie. Zawsze śnił o wspaniałem jakiemś arcydziele, ale go nigdy nawet nie zaczął. Przez kilka ostatnich lat namalował tylko kilka bohomazów na szyldach i reklamach. Zarabiał trochę, pozując młodym artystom, którzy nie mogli sobie pozwolić na zawodowe modele. Upijał się stale i wciąż mówił o swem nieistniejącem arcydziele. Zresztą był to złośliwy starzec, który drwił z wszelkich objawów łagodności i miłosierdzia i uważał się za specjalnie powołanego do opieki nad dwiema młodemi malarkami.

Sue zastała Behrmana, drzemiącego nad szklanką whisky. W rogu pokoju bieliło się rozpaczliwie smutne płótno, od lat dwudziestu pięciu czekało na pierwszą kreskę urojonego arcydzieła. Opowiedziała starcowi o majaczeniach Johnsy i o swych obawach. Mówiła, że boi się, aby Johnsy, lekka i wątła, jak jesienne liście, nie uleciała wraz z niemi z chwilą, gdy nici wiążące ją z ziemią staną się jeszcze słabsze.

Stary Behrman przewracał czerwonemi oczami i wykrzykiwał swą pogardę dla tak idjotycznych urojeń.

— Wass?! — wołał. — Czy ludzie umierają dlatego, że liście spadły z drzewa? Nie słyszałem o podobnych bzdurach! Nie, nie będę pozował. Jak można pozwolić, aby taka głupia myśl przyszła do głowy tej biednej, małej Fraulein.

— Ona jest bardzo słaba — rzekła Sue. — A te brednie, to wina osłabionego gorączką umysłu. Jeżeli pan nie chce pozować, panie Behrman — trudno. Ale to szkaradnie z pana strony!

— Pani jest prawdziwą kobietą! — wrzeszczał Behrman. — Kto to mówił, że nie będę pozował? Idę. Przecież przez pół godziny tłomaczę pani, że chętnie pójdę. Miss Johnsy nie powinna zostać tutaj. Skoro namaluję wielkie arcydzieło, to wyjedziemy razem. Mein Gott!

Gdy weszli na górę, Johnsy spała. Sue spuściła roletę i przeszli do drugiego pokoju. Spojrzeli wtedy w okno na pnącze dzikiego wina. A potem przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Padał uporczywy zimny deszcz zmieszany ze śniegiem.

Gdy Sue po godzinnym zaledwie śnie obudziła się nazajutrz zmęczona i senna, Johnsy smutnemi, szeroko otwartemi oczyma patrzyła na spuszczone story.

— Podnieś je; chcę widzieć, — rozkazała prawie szeptem. Sue usłuchała niechętnie.

Ale oto mimo siekącego deszczu i dzikiego wichru, który dął całą noc, przyparty do muru, widniał na winnym krzewie jeden liść — ostatni. Jeszcze ciemno-zielony przy łodydze, ale o postrzępionych brzegach, których żółty odcień świadczył o rozkładzie i rychłej śmierci, liść ten zwisał zuchwale z nagiej gałęzi na jakieś dwadzieścia stóp od ziemi.

— To jest ostatni — rzekła Johnsy. — Myślałam, że napewno spadnie w ciągu nocy. Wsłuchiwałam się w wycie wiatru. Ale już dziś spadnie napewno, a wtedy umrę.

— Kochanie moje, złotko —

wyszeptała pieszczotliwie Sue, pochylając zmęczoną twarz nad łóżkiem. — Pomyśl o mnie, jeśli już o sobie nie chcesz myśleć. Co ja bym zrobiła bez ciebie?

Ale Johnsy nic nie odpowiedziała. Najbardziej samotną na świecie jest dusza tych, którzy przygotowują się do odejścia w długą tajemniczą podróż. Kaprysy wyobraźni owładnęły nią silniej, niż uczucie przyjaźni i przywiązanie do życia.

Minął jeszcze jeden dzień i, nawet poprzez zmierzch, widoczny był ostatni liść, uczepiony kurczowo ściany. Z nadchodzącą nocą zerwał się północny wicher, a deszcz ciągle dzwonił o szyby i ściekał z okapów. Gdy znów nastał ranek, nielitościwa Johnsy kazała podnieść roletę.

Liść winny jeszcze wisiał na gałęzi.

Przez długi czas Johnsy leżała nieruchomo. Nagle zawołała Sue, która zajęta była smażeniem kotleta na gazowej kuchence.

— Byłam niegrzecznem dzieckiem, Sudie—rzekła Johnsy. — Jakaś wyższa siła zatrzymała ten liść na krzewie, żeby mi pokazać, jak byłam zła. To grzech chcieć umrzeć! Możesz mi dać kawłek kotleta i trochę mleka; albo, nie — przynieś mi najpierw lusterko i popraw poduszki, żebym mogła patrzeć na ciebie.

W godzinę później rzekła w zamyśleniu:

— Sudie, chciałabym kiedy namalować zatokę Neapolitańską...

Doktór przyszedł popołudniu... Po wizycie Sue wybiegła za nim do hallu.

— Znaczna poprawa—rzekł, potrząsając jej małą dłonią. — Z taką opieką napewno zwyciężymy! A teraz mam pacjenta na dole. Stan beznadziejny. Także grypa. To Behrman, zdaje się malarz również. Odwożą go dziś do szpitala, będzie tam miał lepsze warunki.

Nazajutrz doktór rzekł do Sue:

— Niebezpieczeństwo minęło. Wygraliśmy. Teraz potrzeba tylko odżywiania i opieki.

Popołudniu Sue podeszła do łóżka Johnsy, która z zadowoloną minką robiła na drutach, jakiś bardzo niebieski i bardzo... niepotrzebny szalik. Otoczyła ją ramieniem.

— Mam ci coś do powiedzenia, kociaku — rzekła. — Stary Behrman umarł dziś w nocy w szpitalu. Chorował tylko dwa dni. Posługaczka zastała go zrana w jego pokoju złamanego chorobą. Jego obuwie i ubranie były przemoczone i zimne jak lód. Nikt nie wiedział, gdzie mógł wyjść w tak straszną noc. Znaleziono przy nim latarkę jeszcze zapaloną, drabinkę, rozrzucone pędzle, paletę z żółtą i zieloną farbą i... — Spójrz, kochanie, przez okno na ten ostatni liść na ścianie. Czy nie dziwiło cię, że nigdy nie chwieje się na wietrze? Ach, darling! To jest właśnie arcydzieło Behrmana — stworzył je tej nocy, gdy spadł ostatni liść.

E. NAWROWSKI.

Śniły Mi Się Nasze Żniwa...

Śniły mi się nasze żniwa:
Złotokłose, bujne łany,
I ta pieśń gorąca, żywa,
Którą śpiewa lud kochany,
Gdy dojrzały pada kłos.

Śniły mi się nasze żniwa:
Z góry — słońca żar się leje,
Grają kosy, pot z czół spływa,
I na lepszych dni nadzie
"Szczęść nam Boże!" płynie głos.

Śniły mi się nasze żniwa:
Już wieczorne słychać dzwony
I czar ciszy się rozpływa.
"Niechaj będzie pochwalony
Bóg z Maryją" — słychać wkrąg.

Śniły mi się nasze żniwa:
Z śpiewką orszak w dom powraca,
Bo w półmroku tonie niwa
I skończona dzienna praca
Dla strudzonych żeńców rąk.

JAK POWSTAŁ NASZ ALFABET

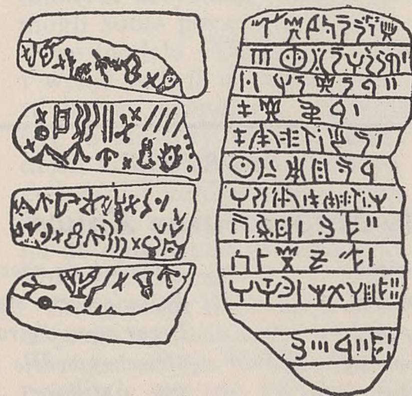
ŻYJEMY w czasach najdalej posuniętej techniki, wiedzy i kultury. Dzięki tysiącznym wynalazkom człowiek zawładnął żywiołami i wydarł niebu i ziemi prawie wszystkie ich tajemnice. Przestrzeń przestała dla nas istnieć — przy pomocy pospiesznych pociągów parowych i elektrycznych, kolei pędzących z zawrotną szybkością po powierzchni ziemi, pod ziemią i w górze, nad dachami domów i ulicami miast, samochodów i samolotów, wygodnie i szybko przebywamy olbrzymie przestrzenie. Przez telefon, telegraf, radjo i druk, porozumiewamy się z oddalonemi od nas ludźmi, bratamy się z całym światem.

Jednym z najważniejszych czynników kultury, łańcuchem braterstwa ludów i krzewicielem cywilizacji jest pismo. Dzięki pismu dowiadujemy się, jak żyje mieszkaniec dalekich wysp Polinezji, murzyn z Senegalu, Eskimos na mroźnych ziemiach Północy, poznajemy obyczaje ludów całego świata i dzieje minionych lat. Dzięki pismu dowiadujemy się jak ludzie dawniej żyli, błądzili i nowe znadowali drogi i jak dziś żyją, jakiemi chodzą drogami i jak błądzą. Sięgamy pismem wszędzie, porozumiewamy się wszędzie, bez względu na odległość.

Potrzeba porozumiewania się musiała być wielka nawet u ludzi pierwotnych, albowiem początki pisma spotykamy już na dziesiątki wieków przed Chrystusem. Do dzisiejszego dnia nie wiemy jednakże z pewnością, komu zawdzięczamy nasz alfabet.

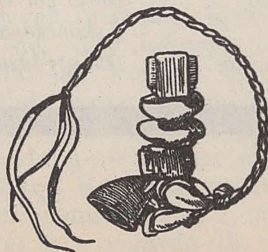
Za pierwszych jego wynalazców uważani są ogólnie Fenicjanie, oni bowiem zastąpili egipskie pismo obrazkowe umówionemi znakami, z których później miał powstać nasz alfabet. Przypuszczenie to potwierdza podobieństwo abecadła greckiego do fenickiego, gdzie greckie głoski, alfa, beta, gamma, delta i t. d. odpowiadają fenickim, stąd i hebrajskim literom: alef, beth, gimel, daleth. Poglądu tego jednak nie podziela wielu uczonych, którzy badali znalezione na wyspach Krecie i Cyprze pismo znacznie starsze od fenickiego. Jest to pismo mieszane, poczęści dźwiękowe, poczęści obrazkowe.

Początki pisma obrazkowego, które prawdopodobnie było pierwszym sposobem porozumiewania się ludzi zapomocą umówionych znaków, składają się z obrazków, stanowiących wizerunki przedmiotów, drzew, ludzi lub zwierząt. Przypominało ono raczej dzisiejsze rebusy i łamigłówki, w których wiele trzeba odgadywać i domyślać się, gdyż łatwo jest narysować jakiś przedmiot, ale trudniej przedstawić jego stosunek do innego przedmiotu lub czynności.



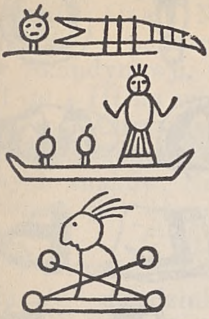
Rys. 1. Pismo obrazkowe. Pisma literowe. Napisy starokreteńskie.

Załączone rysunki dają czytelnikowi sposobność poznania wielu rodzajów dawnych sposobów pisania. Rysunek No. 1 przedstawia starokreteńskie pismo obrazkowe i literowe. Na rysunku No. 2 widzimy list murzyna pisany z więzienia do żony. Narysowane tu przedmioty mają przedstawiać; kamień, węgiel, wyschłą trawę i łachmanik. Wszystko razem ma znaczyć: "Jestem mocny i wytrwały jak kamień, los mój czarny, jak węgiel, dusza wyschła, jak ta trawa, a postać zewnętrzna podobna do łachmana."

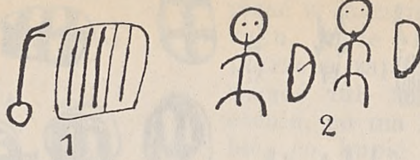


Rys. 2. List murzyna Aroko.

Rysunek No. 4 stanowi zdanie filozoficzne. Pierwsza figura: mała igła i duże płótno znaczy:



Rys. 3. Wyjątek z księgi świętej Delawarów.



Rys. 4. Pismo rysunkowe murzynów plemienia Ewe.

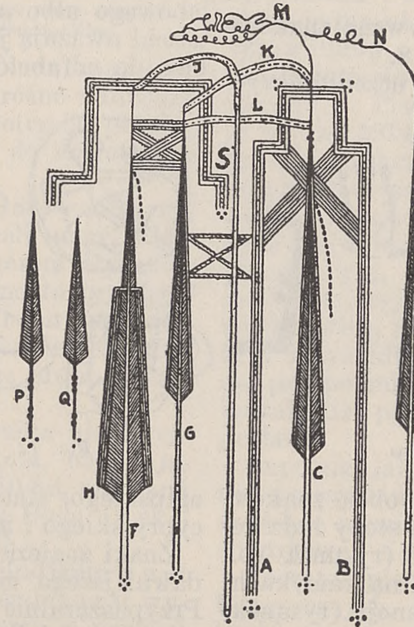


Rys. 6. Murzynka z Ekoi tatuowana planem Nsibidi.

"mała przyczyna, a wynik duży". Druga figura, dwaj rycerze z łukiem i strzałą oznaczają: "Dwaj przeciwnicy nie mogą się zachować, jeden zginie."

Rysunek No. 3 jest wyjątkiem z księgi świętej Indjan plemienia Delawarów. Rysunek u góry oznacza, że wielkie ryby pożarły ludzi; rysunek pośrodku przedstawia, że Munitodosin (niewiasta księżycowa) uratowała ludzi w swem czółnie; rysunek u dołu — Nahabusz - zbawiciel, bóg życia budzącego się w naturze.

Późniejsze pismo wychodzi poza ramy łamigłówki i przybiera charakter ideograficzny. Dla przykładu podajemy rysunek No. 5. Jest to list miłosny Jukagirki ze wschodniej Syberji do młodego Rosjanina-żołnierza, z którym żyła i który skończywszy służbę wojskową wraca do domu. Grube linje AB—to jej dom; C, to ona sama, ma u góry linję kropkowaną, oznaczającą warkocz, więc kobietę; ramy S urwane, oznaczają dom Rosjanina, że jest daleko. G jest to żołnierz, który odjeżdża, oddzielony od niej linją. F—jego żona, czy kochanka, ma warkocz i szeroki sarafan; marzenia Jukagirki zapomocą K i L łączą się z dalekim Rosjaninem, ale linja 1 je przecina, ona jednak wciąż o nim pamięta, a jej myśli są w zamęcie M. I chociaż człowiek, który ją kocha, Jukagir O, jest młody i wciąż o niej marzy, stroskany (N) nie zbliży się do niej, ona bowiem wiecznie kochać będzie żołnierza. Rysunek ten był wykonany jakimś ostrym rylcem na brzozowej korze.



Rys. 5. List miłosny Jukagirki ze Wschodniej Syberji.

Pismo ideograficzne ma również znaczenie gospodarcze. Robiono tem pismem znaki na chałupach, na skórze bydła; robiono karby na kijach dla rachunku bydła, robocizny i t. p. Jeszcze dziś mówimy "karbowy", "karbować". Na gładkiej powierzchni drzewa po usunięciu zeń kory, czerwonoskórzy do dziś dnia rysują swe rodowody pismem ideograficznem.

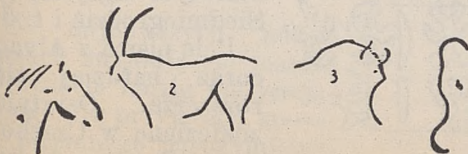
Podobne znaczenie miewało nieraz i tatuowanie. Na twarzy murzynki z plemienia Ekoi (Rysunek No. 6) wypisana jest cała historja jej życia.

W starożytnem Peru istniało pismo supełkowe, tak zwane "kwippu", którego nikt dotychczas nie zdołał odcyfrować.

Hieroglify (wyraz ten znaczy po grecku święte rzeźby) były pismem starożytnych Egipcjan. Pismo to składało się rysunków przedmiotów, zastępujących litery, a czasem nawet pełne pojęcia. Właściwe hieroglify egipskie składały się z przeszło 3,000 rysunków. Pismem podobnem do hieroglifów posługiwano się także w Chinach i Meksyku.

Na południu Francji, w Hiszpanji i Portugalji, w jaskiniach i na skałach znaleziono rysunki pochodzące z epoki paleolitycznej i neolitycznej, to znaczy z czasów na 10,000 lat przed naszym okresem. Historja malarstwa uważa te prawdziwie mistrzowskie rysunki za początek sztuki. Na rysunku No. 8 widzimy przemianę form obrazkowych na linearne w epoce peleolitu.

Rysunki No. 7 i 8 wskazują jak powstawały



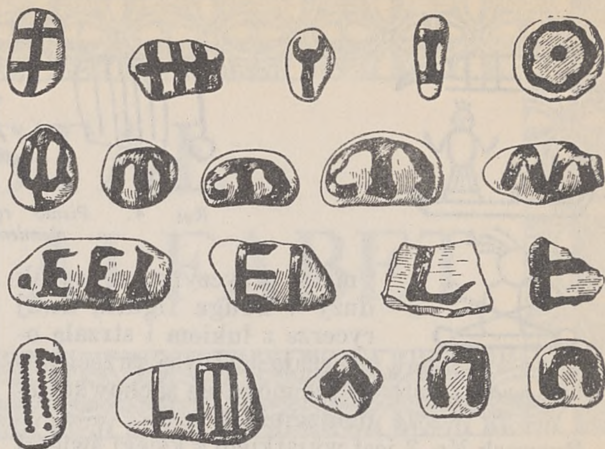
Rys. 7. Styl tablic szyfrowych z epoki staro-kamiennej.



Rys. 8. 1. Gourdan. 2. Marsoulas. Znaki podobne do liter w młodszym paleolicie.



Rys. 9. Przemiana form obrazkowych w linearne w epoce paleolitu.



Rys. 10. Krzemienie z Mas d'Azil ze znakami podobnemi do liter.

ozdoby linearne. Artyści owej epoki lubowali się zarówno w rysunku całkowitym, jak w zygzakach i chętnie je mieszali.

W epoce młodszej paleolitu używano znaków przedstawionych na rysunku No. 8.

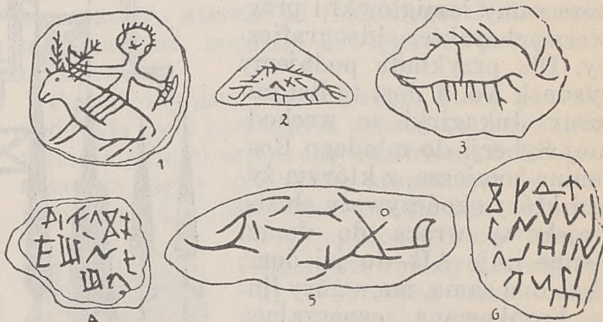
W Santander (Stara Kastylja) uczeni odkry-



Rys. 11. Napis w Pasiega.

li osobliwy rysunek, na którym obok znaków bliżej nieokreślonych widać dwie stopy ludzkie i znak podobny do naszej litery E (rysunek No. 11). Dziwniejsze jeszcze są znaki na kamykach znalezionych w południowej Francji (rysunek 10).

Liczne inne znaki, które zastępowały pismo w dawnych czasach odkryto w mogiłach w Alvao w Portugalji. Kamyki te są przedstawione na ilustracji No 12. Pochodzą one z epoki bronzowej i początków żelaznej. Pisane są na płaskich kamieniach, zawieszonych w grobowcach. Niektóre z nich to rysunki lichsze od dawniejszych, inne znów są podobne do liter. Uczeni traktują te znaki, jako niższy stopień pisma sylabowego albo nawet dźwiękowego. Niektórzy uczeni uważają je za rzeczywisty alfabet, podobny do alfabetów dawnego Wschodu, staro-



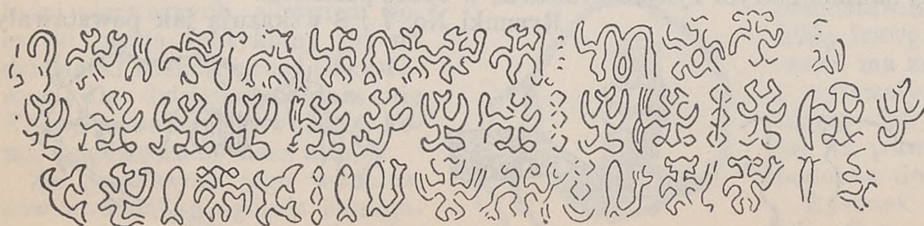
Rys. 12. Rysunki i literowce z Alvao.

egipskiego, staro-palestyńskiego, kreteńskiego, cypryjskiego i miceńskiego.

Znaki znalezione w Alvao pochodzą z okresu dawniejszego niż 3,500 lat przed Chrystusem. Przypuszczalnie więc pierwsze ognisko sztuki pisania mieściło się w północnej Hiszpanji i Portugalji oraz w południowej części Francji. Pismo Alvao mogło dostać się na Cypr i Kretę drogą morską i przez Egipt.

Niektórzy uczeni nie zgadzają się z tym poglądem. Uważają, że znaki owe mogły powstać w różnych stronach świata, niezależnie od siebie. Jest to zjawisko, podobne do tego, jakie widzimy na naczyniach wykopanych w Troi, Micenach, najstarszym Egipcie, w Siedmiogrodzie i t. d.

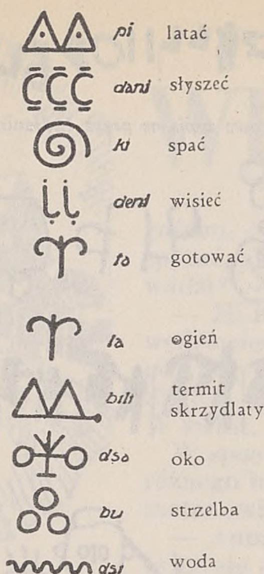
Pole pisma z Alvao coraz bardziej się rozszerza. Ostatnio znaleziono w Czechosłowacji czerepek, na którym są takie same



Rys. 13. Napis z wyspy Wielkanocnej w Polinezji (fragment).

znaki, jak na kamykach z grobowców w Alvao. Na dalekiej północy, w Skandynawji, w II-im i III-im wieku po Chrystusie używano takich samych znaków. Nazwano je "runami".

Twórczość ludzka w dziedzinie pisma wielka była od niepamiętnych czasów.



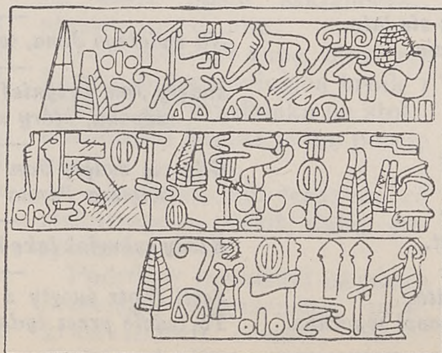
Rys. 14. Nowe pismo murzyńskie, plemienia Wey.

Na wyspie Wielkanocnej w Polinezji znaleźli podróżnicy pismo osobliwe, dotychczas nieodcyfrowane (rusynek No. 13), a w Afryce i Ameryce Południowej tworzyły się i dotychczas tworzą różne odmienne od znanych sposoby pisania. Potrzeba porozumiewania się zmusza ludzkość do najrozmaitszych pomysłów.

W nowszych czasach, w roku 1884-ym murzyni plemienia Wey wykombinowali nowy, własny swój sposób pisania, na którem wyraźnie znać charakter europejski. Pismo to przedstawia ilustracja No. 14. W tym samym mniejwięcej czasie, władca plemienia murzyńskiego, Bamum, wymyślił także oryginalne pismo obrazkowe.

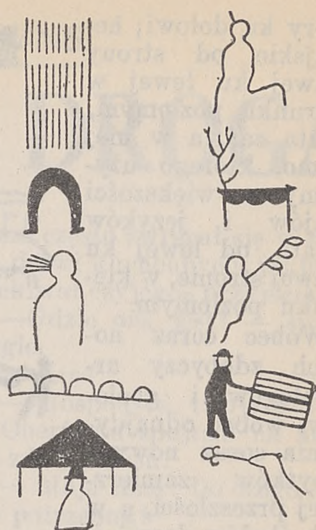
Niezmiernie ciekawa jest kronika historyczna indjańskiego plemienia Dakota, obejmująca okres od roku 1800-go do 1870-go, napisana przez naczelnika plemienia, Lone-Doga na skórze bawolej (rysunek No. 15 i 16).

Pewien zupełnie nieoświecony Indjanin z nad jeziora Titikaka (Boliwja) wykombinował wyłącznie dla siebie sposób utrwalenia w pamięci nauk katechizmowych. Pisze on w ten sposób, jak pisywali Grecy w najdawniejszych czasach, mianowicie raz idzie od lewej ku prawej stronie, potem znów od prawej ku lewej. Rysunek bardzo naiwny, ilustrujący w formie obrazkowej naprzód pięć przykazań kościelnych, a później siedem uczynków miłosiernych (rysunek No. 18).



Rys. 17. Pismo chetyckie.

W najnowszych nawet czasach znajdują się jeszcze na świecie ludzie nie znający ogólnie przyjętego sposobu pisemnego porozumiewania się. A ponieważ ktoś nie umiejąc czytać i pisać w żadnym języku może mieć potrzebę zapisania czegoś lub zaznaczenia, co ma zrobić, co kupić lub gdzie iść, posługuje się pismem obrazkowem, na podobieństwo pierwotnych ludów świata. Na przykład podajemy rysunek No. 19, przedstawiający książkę zamówień wieśniaczki z Fryzji. Poczciwa kobiecina miała iść na jarmark i obarczono ją mnóstwem sprawunków. Pamięć miała nie tęgą, a nikomu nie chciała zrobić zawodu... Pisać nie umiała, chociaż działo się to w roku 1914-ym. Trzeba było jednak w jakiś sposób poznaczyć sprawunki. Uciekła się tedy do pisma obrazkowego i oto mamy na rysunku cały spis najrozmaitszych rzeczy, przedstawionych naiwnie, ale zrozumiale. Widzimy więc ziarnko ryżu, pory, gąbkę do wycierania tabliczki szyfrowej, garnek, środek na robaki, wino, wieprzowinę, rzeźnika, któremu ma powiedzieć, żeby przyszedł do sąsiada zabić świnię i wreszcie przypomnienie, że ma wręczyć narzeczonej kowala list przez niego napisany, a przez nią posłany.



Rys. 15 i 16. Kronika historyczna plemienia Dakota, zapisana przez Lone-Doga.

Zupełnie, jakby ktoś wziął z sobą do miasta notes z zapisanemi rzeczami do załatwienia. Na szczęście niewiele już jest ludzi na świecie posługujących się pismem obrazkowem.

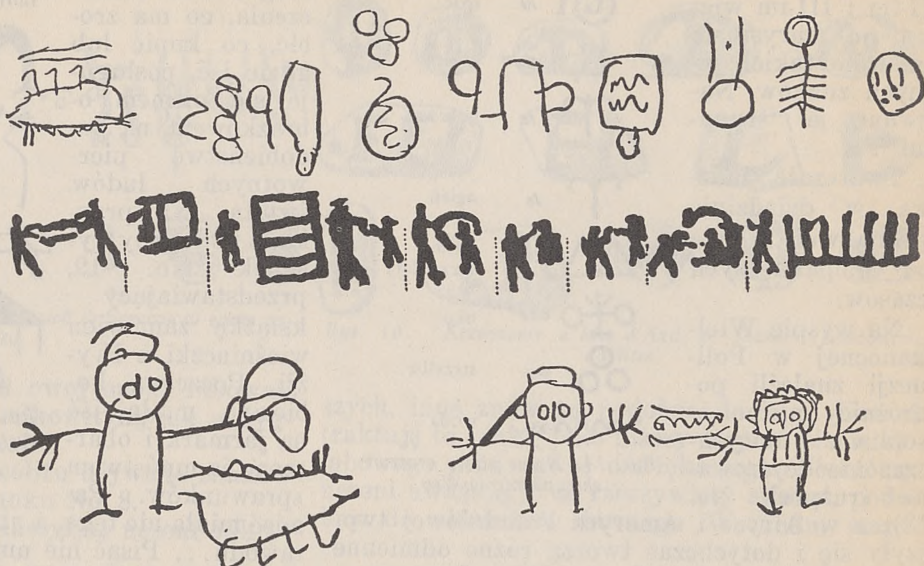
Początek pisma naszego sięga czasów przedhistorycznych. Jak widzimy najdawniejsze zabytki pisma mają charakter obrazkowy czyli ideograficzny. Hieroglify używane w Egipcie i niektórych innych krajach tworzyły przejście od pisma obrazkowego do dźwiękowego, które stopniowo ulegało zmianom i kształtowało się przez cały szereg wieków, aż po tysiącznych przemianach i ulepszeniach dało światu dziś używane alfabety.

Do dziś jeszcze istnieją na świecie różne alfabety, pisane w rozmaite sposoby. Pismo meksykańskie idzie w kolumnach pionowych od dołu ku górze; chińskie i japońskie, także w pionowych kolumnach, ale pisanych

zgóry ku dołowi; hebrajskie od strony prawej ku lewej w kierunku poziomym, reszta zaś, a w niej pismo, którego używamy w większości krajów i języków świata, od lewej ku prawej stronie, w kierunku poziomym.



Rys. 18. Nauki katechizmowe zapisane przez Indjanina z Boliwji.



Rys. 19. Niemieckie pismo obrazkowe współczesne. Książka zamówień posyłanej na jarmark wieśniaczki z Fryzji.

Znaczenie rysunków kolejno: 1) ryż. 2) pory. 3—4) gąbka do tabliczki szyfrowej. 5) garnek. 6) środek na robaki. 7) wino. 8) wieprzowina. 9) człowiek, który ma przyjść na wieś, aby świnię zabić. 10) posłanka ma list kowala doręczyć jego narzeczonej.

Wobec coraz nowych zdobyczy archeologów i geologów, wobec odnajdywania coraz nowych zabytków zamierzchłej przeszłości, a w nich śladów dawniejszych sposobów pisania, jedno przypuszczenie co do pochodzenia naszego alfabetu zbija drugie. Dużo jeszcze czasu minie, zanim nauka będzie mogła wypowiedzieć się w tej sprawie ostatecznie. Na razie wiemy, że nasz alfabet powstał drogą ewolucji z pisma obrazkowego, później hieroglifów i dźwiękowego, ale jakiemu narodowi przypada zaszczyt rzeczywistego wynalezienia liter, nie dowiedzieliśmy się jeszcze.

PRYSŁOWIA I POWIEDZENIA LUDOWE NA CZERWIEC

Czerwiec po deszczowym maju
Często dżdżysty w naszym kraju.

W czerwcu się pokaże,
Co nam Bóg da w darze.

Kto sieje w czerwcu, ten zbierze w kierpcu.

Ze świętą Małgorzatą zaczyna się lato.
O świętym Wicie piętka w życie.

Deszcz na Wita,
Złe jęczmiona i złe żyta.

Święty Jan — jagód dzban.

Na świętego Wit— słowik cyt.

Na świętego Wita zboże zakwita.
Pogoda od Wita do Jana, to nasza wygrana.

Na świętego Gerwazego, jest w ogrodzie coś pięknego.

Gdzie Sobótki zapalają, tam gazdy nie przeszkadzają.

— Święty Wicie, a duże kłosy na życie?
—Nie słyszę, Panie, bo wielkie ptaków śpiewanie.

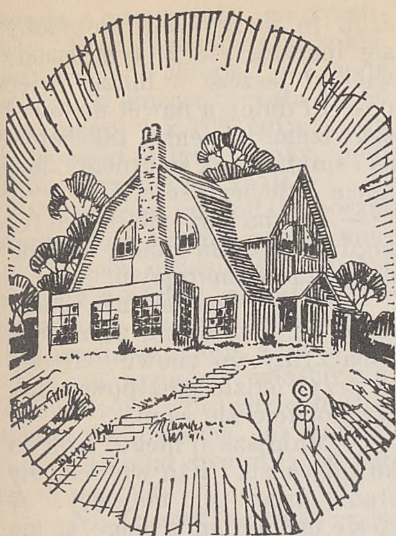
Na świętego Jana, woda do kąpieli rozgrzana.

Święty Jan, przynieś oleju dzban (chodzi o olej z rzepaku, który się w tej porze roku zbiera).

Gdy się święty Jan rozczuli, to go dopiero Najświętsza Panna utuli.

Kiedy człowiek łąkę kosi, lada baba deszczu prosi.

Jeśli Piotr święty z świętym Pawłem płaczą,
To ludzie przez tydzień słońca nie zobaczą.



C. MERTENS

WIEJSKA DROGA

DŁUGA, długa wiejska droga... Szarym kurzem pokryta wije się niby srebrna wstęga, przerzucona wskroś zielonych pól koniczyny, okrąża wzgórza, zapuszcza się w doliny, biegnie od wioski do wioski, od miasta do miasta. Choć wejdziesz na górkę, nie dojrzysz jej końca. Gubi się ona gdzieś w sinych dalekościach horyzontu.

Pewnego jesiennego dnia szedł nią wędrowiec. Miał podarte buty, połatane spodnie, pomięty kapelusz. Szedł przed siebie znużonym, chwiejnym krokiem, a gdy napotkał oberżę, stojącą u wejścia do wioski, otwarł drzwi i wszedłszy do wnętrza, kazał sobie podać kieliszek wódki. Wypił, usiadł przy brudnym stole i podparłszy głowę obu rękami, popadł w głęboką zadumę. Po chwili zamówił nową porcję trunku.

To rozbudziło grubego gospodarza z półsnu. Z usprawiedliwioną podejrzliwością rzucił on okiem na tego podróżnego, który w powszedni dzień spędza czas w karczmie nad kieliszkiem. Podszedł i usiadł obok, aż ławka skrzypnęła pod jego ciężarem.

— No, cóż się tak gapisz? — rzekł podróżny — czy widzisz we mnie coś szczególnego?

— Nie! Cóż znowu? — odparł oberżysta, który od żony nauczył się ostrożności i unikania wszelkich nieporozumień z gośćmi. — Chciałem się tylko spytać, skąd i dokąd Bóg prowadzi?

— Hi-hi-hi! — zaśmiał się wędrowiec. — A cóż wam z tego przyjdzie, choć powiem? Skąd?... Ze świata. Dokąd?... W świat.

W sposobie mówienia podróżnego było coś, co uderzyło i zastanowiło oberżystę.

— Anna! — krzyknął, zwracając się do usługującej dziewczyny — przynieśno talerz zupy i kawałek mięsa!

Potem mlasnął grubemi wargami i rzekł:

—No, opowiadaj, co tam słychać na świecie?

— Bóg zapłać — odpowiedział obcy. Wziął talerz z zupą, w której pływał kawałek twardego, krowiego mięsa i począł jeść. Gospodarz ciągle przypatrywał mu się z uwagą.

— Dlaczego tak się trzęsiesz cały? — zapytał, dostrzegłszy że łyżka niesiona do ust drży w rękach podróżnego.

— Trzęsę się? Et! to już taka choroba. Zaczęło się to od nosa... spójrz tylko, jaki siny! Nabrał takiego koloru dlatego, że wcale nie mógł znosić zapachu wody, a po drugie dlatego, że odmroziłem go wtedy, kiedy to lodowy rycerz hulał po jeziorach. — To mówiąc, wędrowiec łypnął wymownie na małe puste szklaneczki, stojące przed nim.

Gdy skończył zupę, otarł rękawem bluzy siwiejącą brodę i położywszy miedziaka na stole, obstalował jeszcze jedną porcję wódki.

— No, opowiedz teraz mi co ciekawego — prosił dalej gospodarz.

Podróżny popatrzył na niego przeciągle zmęczonemi, przekrwawionemi oczami, przez dłuższą chwilę wykłuwał kawałkiem słomy resztki mięsa, tkwiące między zębami, przyczem często zwracał się w stronę drzwi kuchennych, jakby oczekiwał czyjegoś przyjścia.

—Gdzie ona jest? — spytał nagle.

— Kto?

— Gospodyni, twoja żona.

Oberżysta spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Moja żona? Do czego ci ona potrzebna?

— To z powodu tej historyjki. Właściwie to jej miałem opowiedzieć, nie tobie, ale ostatecznie wszystko jedno. Wy jej powtórzycie, gdy wróci; uważajcie więc i zapamiętajcie sobie dobrze, stary handlarzu dusz.

— Czy to coś bardzo ciekawego?

— Skądże? Cóż ciekawego może powiedzieć taki wędrowiec, jak ja? Ale w każdym razie ta historja jest prawdziwa, a żona wasza się ucieszy, gdy ją posłyszy.

Gospodarz nastawił ucha. Z kuchni dobiegało go krzątanie służącej i odgłos piosenki przez nią nuconej. Były to rzeczy tak dostrojone do ogólnego tła, że nie mąciły ciszy. W izbie rozlegał się donośny tykot starego zegara, czasem jakaś duża mucha zabrzęczała u okna. Wędrowiec milczał długo, wkońcu zaczął opowiadać:

— Była sobie raz pewna oberża, stojąca na skraju długiej, długiej drogi. Do oberży tej należał kawał dobrego pola, a po przyległym dziedzińcu kręcił młody chłopak, którego owa długa, długa droga tutaj przywiodła. Chłopak był młody, zdrowy, wesoły. Za wstążką kapelusza nosił zawsze zatknięty kwiatek, z ust nie schodził mu uśmiech, a czas zabijał wesołą piosenką, czy gwizdaniem. Czasem podchodziła do młodego chłopca córka oberżysty, słuchała piosnek, śmiała się z dowcipów i zaglądała mu

w błękitne oczy swemi ciemnemi źrenicami. Tak! zaglądała głęboko, o wiele zagłęboko. A gdy odchodziła, chłopiec pochmurniał, spoglądał za nią i myślał, że należałoby ją ustroić w purpurę i gronostaje... tak była piękną.

Im rzadziej przychodziła na podwórze, tem chłopiec stawał się smutniejszy, a piosenki żałośniejsze. Robota z rąk mu leciała, a oczy spoglądały ku dalekiej, dalekiej drodze. Gdy znowu zdarzyło się, że do niego przybiegła, nie śmiał na nią podnosić oczu, pochylał głowę i ledwie po dłuższym czasie rzucał jej nieśmiałe wejrzenie. Dziewczyna śmiała się, rumieniła, cała spłomieniona uciekała. A jemu świat weselał w oczach. Robota paliła się w ręku, a niebo i ziemia śmiały mu się i mieniły blaskami.

Wieczorami siadał w swej komórce na starej skrzyni, która zawierała jego cały majątek i wyglądał przez okno. Długa droga wioskowa biegła pod niem, ciągnąc się zygzakiem w dal ku dalekim, obcym światom. Rwała ona oczy chłopca ku sobie, ciągnęła duszę, ale on potrząsał tylko głową, kładł się na swym barłogu i przymykał oczy. Wówczas marzyła mu się różowa twarzyczka dziewczęcia, w ramie złocistych włosów. Przy stole siadywał w milczeniu i pasł oczy widokiem dziewczyny, póki nie przyszedł gospodarz. Wówczas brał łyżkę do ręki, sięgał do miski i nie odrywał wejrzenia od stołu. Wieczorem wybiegał na drogę i spoglądał tam, kędy gubiła się ona pod łuną zachodu rozpalonem niebem. Zdało mu się, że ów szlak wabi go, woła, obiecuje, grozi. Nie słuchał tych głosów. Nogi jego stawały się ciężkie jak kłody, gdy trzeba było oddalić się od domu, zato niosły go z powrotem niby skrzydła ptaka.

Tak mijały dnie i miesiące.

Pewnego dnia wrócił z miasta syn gospodarza, który tam kończył szkoły. Był to młody, zgrabny chłopak.

— Gustek, — powiada gospodarz do parobka — musisz odejść od pierwszego. Mój syn wrócił z miasta, niema u mnie roboty dla trzech.

Młodemu ciemno zrobiło się w oczach, musiał się oprzeć o stół, by nie upaść, nic jednak nie odpowiedział. Gdy mu na pierwszego wypłacono zarobione grosze, wziął je i poszedł pożegnać się z Basią. Spotkał ją wieczorem na podwórzu, za domem. Ledwo spojrzał w jej błyszczące oczy, poczuł się lekki i rzeźwy. Tak bardzo kochał tę dziewczynę, że jej uśmiech rozpraszał wszelkie smutki, jak blask świecy rozprasza ciemności...

— Jeżeli kochasz mnie, — mówiła dziewczyna — to pójdziesz w świat, by tam zrobić majątek i stać się człowiekiem. Ja będę na ciebie czekała. A choćbyś wrócił równie biedny jak jesteś teraz, to ja i tak nie przestanę cię lubić. Któż może zaręczyć, co przyszłość przyniesie, ale teraz idź. Zobaczysz, że to nam szczęście przyniesie.

Gustek spojrzał jej w oczy i nie chciał odejść. Czuł, że na obczyźnie żyć nie będzie mógł i powiedział jej wyraźnie. Ale Basia póty go namawiała, prosiła, obiecywała wierność, że uległ i nazajutrz spakowawszy manatki, zarzucił węzełek na plecy, szykując się do drogi. Pożegnawszy rodzinę gospodarza, wyszedł przed dom i spojrzał przed siebie na długą, daleką drogę. Ten szlak kręty, strzelisty nie nęcił go wcale. Nogi jego z trudem stąpały po białym kurzu, ścielącym się grubą warstwą. Co chwila przystawał, oglądał się wstecz i spracowaną ręką ocierał łzy, których grube, ciężkie krople spadały w pył przydrożny. Wtem dojrzał białą chusteczkę, powiewającą z okienka. Uśmiechnął się do tego widoku, westchnął, i z lżejszem sercem ruszył naprzód. Ach! nie wiedział przecie, że to stara służąca, pracująca w oberży, powiewa chusteczką, a że Basia tymczasem śmieje się z niego, biednego głupca, odprawionego z kwitkiem! Gdyby był to przeczuł, to może życie ułożyłoby się inaczej, ale w tym czasie wierzył jeszcze w ludzi, więc poszedł dalej, a nawet usiłował zagwizdać piosenkę, tak żałosną i smutną, jak smutnem i zbolałem było jego serce.

— Chyba już nie wróci tu nigdy — rzekła Basia, spoglądając za odchodzącym.

— O! — odparła stara służąca — ja powiadam, że za rok zobaczymy go znowu. Droga ta przywiedzie go z powrotem, przekonacie się sami.

—Mniejsza o niego! Rok to kawał czasu. Kto wie, co się stanie przez tyle miesięcy. A co się naśmiałam z niego, to się naśmiałam. To mi dobrze robi na zdrowie. Inaczej spać nie mogę.

— Źle robisz, Basiu, — odpowiedziała stara — nie trzeba drwić z ludzi, a to był porządny, dobry chłopiec.

— E! co tam, każdy musi się pośmiać z takiego głupca, przecie to prawdziwy bałwan.

Minął rok i Gustek znalazł się znowu u wrót oberży. Miał twarz opaloną południowem słońcem, porządne na sobie ubranie i sporą sakiewką, pełną pieniędzy w kieszeni. Z bijącem sercem wszedł do izby, siadł za dębowym stołem i czekał. Wtem drzwi kuchenne się otwarły i Basia stanęła na progu.

Ach! jakże była piękna i wyniosła! Smukła jak świeca stała na progu i patrzyła na chłopca. Potem podeszła do niego spokojnie i podała mu rękę.

— Więc wiejska droga przyprowadziła cię tu z powrotem — rzekła. Nic więcej nie miała mu do powiedzenia, a on rok cały żył myślą o tem spotkaniu. Myślał, że mu się rzuci na szyję, że pociągnie za sobą do ojca i poprosi o pozwolenie wyjścia za niego. Obmyślił sobie nawet wszystko, co powie staremu... A oto teraz koniec... Łzy mu stanęły w oczach, a gardło ścisnęło się kurczowo. Wtem wszedł brat Basi, spojrzał zukosa na wędrowca i wzruszył ramionami.

Tylko stara sługa i sam go-

spodarz przywitali go życzliwie. Stary przypomniał sobie, jak uczciwie chłopak mu ongiś służył, a służąca czuła litość dla niego, jak dla ćmy, która póty koło światła krąży, póki sobie skrzydeł nie spali.

Wieczorem gospodarz począł opowiadać o tem i owem, między innemi o Basi. Bardzo był dumny z córki, posłał ją do miasta w zeszłym roku dla ukończenia edukacji, a teraz wydaje za sąsiada, właściciela dóbr, który wprawdzie był od niej o dwadzieścia lat starszy, ale za to miał dwa miljony złotych gotówki.

— No, Gustek, — rzekł — jeżeli wrócisz tu za rok, to w sam raz trafisz na wesele.

Chłopak, posłyszawszy to, wstał, wziął węzełek i wybiegł w czarną noc. Stanął potem na moście i wsparty o balustradę, płakał długo z żalu za swem straconem szczęściem. Wyjął następnie małe pudełeczko, w którem znajdował się złoty łańcuszek, kupiony dla Basi. Bez namysłu rzucił go w nurty rzeki.

Służąca zauważyła tę ucieczkę, wyszła za nim na drogę i przeżegnała pobożnie cień szybko niknący w ciemnościach. "Boże, zmiłuj się nad nim, niechże go ta miłość odejdzie, niech mu życie lżejszem się stanie!"

Ale nic to nie pomogło. Czar zbyt głęboko tkwił w sercu. Po roku chłopak powrócił znowu, tym razem jednak nie zaszedł do oberży, tylko kręcił się po wsi.

— Bój się Boga! To ty Gustek! — zawołała jedna z wieśniaczek, ujrzawszy go — chodźno do mnie, spoczniesz i dowiesz się, co u mnie słychać.

Chłopak posłuchał i rzeczywiście dowiedział się wszystkiego, co zaszło przez ten rok nieobecności, a więc, że Basia wychodzi zamąż i że dziś jej ślub, że stara służąca umarła itd. itd. Serce mu pękało z bólu, mimo to słuchał uważnie dalej. Gdy stara skończyła, pożegnał ją i poszedł w stronę kościoła. Właśnie otwierano drzwi świątyni. Starosta weselny wyszedł pierwszy a za nim cały orszak. Chłopak miał zamiar stanąć po środku szarej drogi, co go co rok przywodziła, ale poczuł, że nie ma sił do opanowania. Przeskoczył więc mur cmentarny i tam ukryty wśród mogił i krzewów, przyglądał się pochodowi. Z wnętrza kościoła wychodziły teraz małe dziewczynki, ubrane biało, z poważnemi, śmiesznemi minkami. A potem ukazali się państwo młodzi. Chłopak stał wciąż nieruchomo z pobladłą twarzą i szeroko otwartemi oczyma. Widział dokładnie pana młodego, wysokiego, starego jegomościa i ją — Basię u jego boku, smukłą jak świeca i piękną jak kwiat. Za niemi kroczyli oboje siwi rodzice dziewczyny... Więcej nikogo poprzez łzy dojrzeć nie mógł. Schylił się i począł pełnemi garściami zrywać nieśmiertelniki i niezapominajki rosnące na grobach. Potem rzucił cały ich pęk młodej parze pod nogi, a następnie pobiegł przez łąki ku ciemnej ścianie lasu, widniejącego w pobliżu.

— To chyba nasz Gustek — rzekł gospodarz, wskazując postać niknącą wśród drzew.

— Cicho! — odparła żona, ściskając go mocno za rękę, by nakłonić do milczenia. Potem wszyscy weszli do oberży, muzyka zagrała wesoło, a Basia z uśmiechem podała mężowi usta do pocałunku.

Wiele lat minęło. Małżeństwo to nie było szczęśliwe. Jedyne dziecko ich wkrótce zmarło, a Bóg im nie dał następnego. Chłopak ów zaś, Gustek, źle się wykierował. Rozpił się, rozłajdaczył, porzucił uczciwą pracę i żebrał po drogach, by mieć parę groszy na kieliszek wódki. Co roku przechodził koło owej oberży, z myślą o Basi, którą zawsze kochał i nie życzył jej źle, choć mu taką krzywdę zrobiła. Ostatnio wstąpił nawet do środka, wypił parę kieliszków wódki i zadumał się nad przeszłością...

Wędrowiec przestał opowiadać i spojrzał na słuchacza.

— No cóż, podoba wam się ta historja? Pewnie słyszeliście już ciekawsze, i wasza żona także. Właściwie to ja chciałem opowiedzieć wam coś całkiem innego, ale potem pomyślałem sobie, że czas mi już iść, że może nigdy więcej nie wró-



cę, że więc dobrze, abyście poznali historję o rozpitym, rozłajdaczonym człowieku, który był ongiś młody i wierzył ludziom! Głupiec! Och, co to był za głupiec! Powtórzysz więc wszystko żonie? Dobrze? Wiem, że chętnie posłucha tego opowiadania.

Gospodarz ze zdumieniem ujrzał, że po brudnej, zarośniętej twarzy podróżnego spływają ciężkie łzy. Gość sięgnął po zapałkę, zapalił papierosa a potem wziął sękaty kij w rękę i opuścił izbę.

Oberżysta popatrzył za nim, potrząsnął głową i usiadłszy na swem ulubionem miejscu za piecem, począł rozważać posłyszane opowiadanie, by je dokładnie żonie powtórzyć.

W godzinę potem wróciła oberżystka z miasteczka, klnąc i złorzecząc na wszystkich, jak to było jej zwyczajem. Gospodarz wyszedł z za pieca, podrapał się w ucho i zaczął swe opowiadanie.

Źle na tem wyszedł. Żona z początku słuchała nieuważnie, potem skoczyła z furją ku niemu:

— Milcz, stary głupcze! Cóż ty sobie myślisz, że ja pozwolę drwinki z siebie stroić? Czy mało mam z tobą kłopotu? Haruję jak wół po całych dniach za ciebie, cały interes sama prowadzę, a ty jeszcze naśmiewasz się ze mnie! Stary, przeklęty osioł!

Gospodarz położył uszy po sobie i przysiągł, iż nigdy żonie nic więcej nie powtórzy.

Gospodyni uspokoiła się jednak, gdy posłyszała od dziewki kuchennej, że w czasie jej nieobecności był tu wędrowiec, który tę głupią historję panu opowiedział. Wówczas zamyśliła się, a potem szepnęła:

— A więc droga przyprowadziła go tutaj raz jeszcze.

Na drugi dzień rano w wiosce zapanował zamęt i zgiełk. Zdarzyło się bowiem wielkie nieszczęście. Gospodyni, zawodząc w głos, klęczała schylona nad ciałem wędrowca, który wczoraj odwiedził oberżę, a dziś zimny i nieruchomy leżał na progu domostwa.

Gospodarz potrząsał melancholijnie głową, nie mogąc zrozumieć żony, która wczoraj zrobiła taką scenę z powodu opowiedzianej historji, a dziś tak się wzrusza losem jakiegoś włóczęgi.

— Całkiem już ostygł, — rzekł piekarz, który nadbiegł z sąsiedztwa — mleczarz znalazł go tu dziś rano, z głową opartą o próg.

— Musiał to być wielki grzesznik, — zauważył krawiec miejscowy, spoglądając na czerwony pijacki nos zmarłego — porządnemu człowiekowi nie zdarzyłaby się taka śmierć.

— Skądże się tu wziął? — zapytał jeden z zebranych, stary, głuchy parobek.

— Przyprowadziła go poprostu droga, chodził po niej, chodził, aż wychodził śmierć.

— Kto go przyprowadził? — spytał parobek, osłaniając ucho ręką.

— Droga! — krzyknął krawiec w odpowiedzi. — Droga, wiejska droga...

SEWERYN GOSZCZYŃSKI

RÓŻE

Sadźmy, przyjacielu, róże!
Długo jeszcze, długo światu
Szumieć będą śnieżne burze,
Sadźmy je przyszłemu latu.

My, odbici z niw rodzinnych,
Może już nie ujrzym kwiatu;
A więc sadźmy je dla innych,
Szczęśliwszemu sadźmy światu.

Jakże los nasz piękny, wzniosły!
Gdzie idziemy — same głogi;
Gdzieśmy przeszli — róże wzrosły;
Więc nie schodźmy z naszej drogi!

Idźmy, szczepmy! Gdy to znuży,
Świat wiecznego wypocznienia
Da nam milszy kwiat od róży:
Łzy wdzięczności i wspomnienia.



Nauczyciel: — Czym turdniła się twoja matka zanim wyszła zamąż?
Urzeń: — Zanim wyszła zamąż, ona wcale nie była moją matką.

★

Mówca (dobiegłszy wreszcie do końca oracji): — Bardzo państwa przepraszam za tak przewlekłą mówkę, ale to z winy mego roztargnienia. Po prostu zostawiłem w domu zegarek.
Głos z głębi sali: — To trzeba było się obejrzeć do tyłu. Tam, za pańskimi plecami wisi kalendarz.

★

Przewodnik oprowadzając grupkę zwiedzających po galerii obrazów:
— Ten obraz, to słynna „Mona Lisa" Leonarda da Vinci.
— Cóż to za bezczelny typ — wtrąca oburzona paniusia. — On to żywcem skopiował z mojego kalendarza!

★

Licytator: — A oto wspaniale wykonane popiersie Roberta Burnsa za jedne £15.
Jeden z obecnych: — Ależ to nie jest Burns, tylko Szekspir.
Licytator: — Istotnie, przepraszam za pomyłkę Przyznaję, że bardzo słabo orientuję się w postaciach biblijnych.

★

Dziecinne gry: — gry, w których triumfuje twoja żona.

★

Różnica między geniuszem, a człowiekiem utalentowanym polega na tym, że ten ostatni ma regularną pensję.

★

Pewien dostojnik kościelny został zaproszony na premierę opery. Lwią część publiki stanowiły wytworne damy wydekoltowane do granic nieprzyzwoitości.
— Chyba takiego widowiska jeszcze ksiądz w życiu nie widział — zagadnęła go sąsiadka.
— Istotnie — przyznał zażenowany ksiądz — czegoś podobnego nie oglądałem od czasu gdy odłączono mnie od piersi matki.

★

Do redakcji jednej z gazet warszawskich wpada rozwścieczony osobnik i wrzeszczy w stronę wystraszonego urzędnika:
— Gdzie jest ten nędznik, który mnie tak oszkalował w swoim ostatnim artykule? Żądam natychmiastowej satysfakcji!
— Musi pan trochę zaczekać — odpowiada urzędnik — on udał się na pogrzeb jegomościa, który wczoraj zażądał podobnej satysfakcji.

★

Rozmowa dwóch dam na bankiecie literatów
— Czy pani lubi gorgonzolę?
— Nie bardzo. Jego styl wydaje mi się zbyt ciężki i zagmatwany. Natomiast uwielbiam powieści jego brata, Emila.

Z NOTATNIKA CYNIKA

DOŚWIADCZENIE

„Uczucie odwzajemnione — to szczęście;
Uczucie niewzajemne — to piekło!" —
Wołał młodzieniec, zaciskając pięście,
Kiedy mu dziewczę dumnie „Nie!" odrzekło.
„Uczucie niewzajemne to po prostu fraszka!
A uczucie wzajemne — to jest los garbaty!" —
Mruknął, spojrzawszy źle na młodzieniaszka
Pan, od dwudziestu lat żonaty.

DOBROĆ

„Nie mogę patrzeć, jak się dziadzio męczy!" —
Płakała wnuczka, której konał dziadek —
„Niechby się już do nieba przeniósł jak najprędzej,
A wtedy zobaczymy, kto dostanie spadek".

TEORIA WZGLĘDNOŚCI

„Uroda — to rzecz względna" — rzekł wielbiciel Zosi.
„Ma pan rację!" — odpowiedział mu głosik upojny —
„Normalnie jest pan brzydki, jak siódme nieszczęście,
A gdy pan przyniósł perły, był pan dość przystojny".

GŁOS PRAWDY

Pytano polityka, czym ludzi zjednywa,
Czym swe głosy zwycięskie w wyborach zakupił.
Rzekł: „Jestem identycznie taki jak wyborcy!"
Mruknął ktoś z boku: „Identycznie głupi!"

TEORIA I PRAKTYKA

„Pieniądz nie daje szczęścia!" —
Powiedziała dziewczyna w dniu zamęścia.
Po roku (że nie wszystko, co się świeci, złoto!)
Uciekła od małżonka z bogatym idiotą.

ZŁOŚLIWOŚĆ LOSU

Wzgardzony młody człowiek, kiedy z raną w sercu
Z innym ujrzał najdroższą na ślubnym kobiercu,
Z rozpaczy w sztok się zalał i, myśląc o pannie,
Zapragnął się utopić w swojej własnej wannie.
Ale że sybaryta bał się zimnej wody,
Poszedł szyling pożyczyć od sąsiadki młodej;
Ta — nie wchodząc w szczegóły — tak ulżyła męce,
Że swe losy życiowe w jej umieścił ręce.
Dziwnie więc się zaplotło życia przeciwieństwo,
Bo, zamiast samobójstwa, popełnił małżeństwo.
I powiedzcie mi sami, kto jest temu winny,
Gdy facet wprost spod deszczu mknie pod wylot rynny?

Jerzy Bohdan Rychliński

SERCE U ROKU

NOWELA

NIC więcej? — przenikliwy okrzyk starszego krupiera.

Dzwonek. Krupier puścił talerz w ruch.

Starszy krupier domu gry w Zoppotach opuścił kulkę w serpentynę. Biegła z metalicznym łoskotem. Była bardziej złowroga, niż kula na polu bitwy. Była jak szrapnel. Zaraz się rozpryśnie.

Wszystko zamarło. Młody człowiek o twarzy, jak zdjętej z portretu, zwany dla swego zdumiewającego podobieństwa do Stanisława Augusta "Królem Stasiem", trwał u stołu, jak we śnie. Był bardzo blady. Nie leżały przed nim sztony, natomiast pokaźną ich liczbę przesunął przed chwilą z koloru czerwonego na czarny.

Kobiety lornetowały go z poza stołu. Był ujmująco piękny. To czoło gładkie, uciekające, rzekłbyś, pod perukę. Brwi gęste i bardzo wygięte nad oczami z aksamitnego ognia. Nos orli o gładkim, równym garbie. Usta miękkie, czerwone, zmysłowe i słabe. Podbródek śpiczasty. Owal utoczony, ogłaskany melancholją, wspomnieniem władzy minionej i utraconej. Dużo finezji. Piętno degeneracji. Czystość kamei. I jak na złość nie spuszczał oczu z damy, grającej u przeciwległego stołu.



"Król Staś" był ujmująco piękny. Czoło gładkie, nos orli, usta miękkie, zmysłowe i słabe...



Był to płowłosy wampir nordycki o czole wypukłem i palących ustach...

Nikt nie znał "Króla Stasia", nie znał jego nazwiska, prócz zarządu domu gry. Nikt nie znał również damy, która raz tylko postawiła na zero, zgarnęła wszystko ze stołu, i przypatrywała się grze.

Należała do kobiet tego rodzaju, których nie zauważyć niepodobna. Nie była klasycznie piękna. Wśród tysięcy premjowanych piękności uznano by ją jednak za królowę. Był to płowowłosy, nordycki wampir o czole zimnem jak bryła lodu i palących ustach. Oczy miała przeźroczyste jak topazy. Maska tej bladej twarzy w obojętności swojej była okrutna. Kapelusz z rondem. Czarny filc, obciążony ztyłu materjałem, z którego był jej płaszcz. Wielkie perły w uszach i na szyi, o ciepłym blasku — perły prawdziwe! Smukły, "inkrustowany" futrem płaszcz kreacji paryskiej czynił z niej zjawisko. Białe rękawiczki ze skomplikowanym rysunkiem.

Niema na świecie nic pięknego, prócz wykwintu! Czasem się tak zdarza — ludzie codzienni, życie codzienne — wszystko minie. Idzie wielka gra. Wówczas żyć warto!

Charakterystyczny trzask i skok padającej kulki. Toczyła się, ślizgała.

Wreszcie...

Grabki krupiera w mgnieniu oka ogołociły cały stół, prócz pola 13-14-15-16, na które błyskawicznie wsunęły kolorowe sztony z czterech sąsiednich pól. Wygrał!

Cudowny moment, pełen drżenia. Budzi się alarm. Błyszczy w oczach żądza bogactw niezmiernych i wszechwładnych. Oto pierścień bogactw, co wszystko w złoto przemienia, wsuwa się cicho na rękę, z której dawno już znikł sygnet. Oto słodki i upajający haszysz hrabiego de Monte Christo, dech władzy większej, niźli korona Stanisława Augusta, niźli blask dworu drogiej carycy, jego kochanki!

A gdyby wygrał raz trzeci! A jeśli przegra wszystko?

Co znaczy królowi korona, co znaczy maj-

tkowi swój grosz!

Podniósł oczy na płową i czarną swą egerję z naprzeciwka. Patrzyła na niego topazowym wzrokiem czarownicy. Potem zaprzeczyła wolnym, lecz zdecydowanym ruchem głowy. Wówczas wstał. Gwałtownie zgarnął sztony. Powstał szmer zawistny. Wygrał grubą sumę. Nie zdążył odejść od stołu, gdy już krupier wszystkie następne stawki zgarnął. Nieznana dama uratowała go od klęski.

Musiał przejść do biur domu gry dla wymiany sztonów. Gdy wrócił na salę, egerji już nie było. Poszedł jak błędny z powrotem, by spytać, czy jej nie znają. Lecz się zabłąkał. Nacisnął klamkę tych samych zdawałoby się drzwi, lecz były zamknięte. Za nim było parę gabinetów. Wahał się, nie wiedział, w którą udać się stronę, gdy przez uchylone drzwi jednego z gabinetów zobaczył ciekawe towarzystwo.

Ludzie ci zainteresowali go tem bardziej, że przedmiot ich rozmowy jakby jego samego dotyczył. Często zadawał sobie to samo pytanie.

— Nieszczęśliwy w grze, szczęśliwy w miłości — ozwał się właśnie chudy i długi jak tyka Anglosas w koszuli twardej, niczem deska, wysmokingowany, z twarzą dżentelmena-włamywacza.

Towarzysz jego po prawicy, korpulentny i łysy jak kolano przestał ssać grube cygaro.

— Nie wierz temu, lordzie — rzekł — gdyś wygrał, lecą na ciebie kobiety, gdyś się zgrał, czyż trafiła ci się jaka naiwna?



Chudy i długi jak tyka Anglosas w twardej koszuli ...Towarzysz jego korpulentny i łysy.

Biegające oczka krępego zadzierżystego sportowca, przechadzającego się tuż obok po kuluarze, błysnęły w przejściu. Machnął ręką, zdobną w brylanty i zawołał:

— Kobita, piniondz, wszystko jedna. My Amerykany nazywamy to poprostu powodzeniem — success. — "My Amerykany" podkreślił iskrami brylantów.

Gdy sportowiec znalazł się o dwa kroki od stolika, młody człowiek w dwurzędowym kostjumie marynarkowym z szarej flaneli, słowem szykowny młodzieniec, o bardzo mięsistych ustach i z silnym, niebieskawym, starannie ogolonym zarostem na bladej, pociągłej twarzy, klapnął nerwowo złotą papierośnicą:

— A, co za spotkanie! — drgnął sportsmen, wyciągając kordjalnie do młodzieńca wybrylantowaną łapę. — Co ty tu robisz, Sinobrody?

— Pracuję w emigracji — zabrzmiała odpowiedź cicha i dystyngowana.

— A ja wracam ze Starego Kraju!

Łysy nachylił się do lorda-włamywacza.

— Panowie się nie znają — przedstawiał — lord Fihgibon — hrabia Kossowski — poczem dodał:

— Hrabia Kossowski zawsze w brylantowym humorze, gdy wraca ze Starego kraju.

Lord spojrzeniem ostrem jak lancet przejechał po wybrylantowanej łapie hrabiego. Nieledwie dał się słyszeć zgrzyt stalowego spojrzenia na kłach diamentowych.

— Hm — mruknął flegmatycznie — czy brylanty w Polsce są takie tanie? Nie słyszałem o polskich polach djamentowych.

— Co za kanty — zaśmiał się Łysy, aż w kątach oczu zmarszczki zbiegły mu się jowialnie. — Tylko, że w Polsce są jeszcze naiwni...

— A brylanty w Ameryce dwa razy droższe niż w Europie — dorzucił od niechcenia Sinobrody, odymając mięsiste wargi. Podpychał je językiem charakterycznie.

— Bajeczna konjunktura! — zapalił się lord, tracąc w mgnieniu oka angielską flegmę i zgasł równie szybko. — Poco pan wracasz na Gdańsk? Żeby się zgrać? Czy tu można wygrać?

— Nie każdy ma szczęście tej damy, która postawiła na zero — westchnął hrabia.

— Szczęście! Ha, ha, ha! — zarżał Łysy. — Ale jej wolno zaryzykować tylko jedną stawkę i to raz na kwartał.

"Króla Stasia" zelektryzowało za drzwiami w jego ukryciu. Stężał, jak wyżeł, wystawiający zwierzynę. Cały się w słuch zamienił, mimo wrodzonej odrazy do nadstawiania uszu.

— Co o niej wiesz, Bomberg? — zawołał Sinobrody, zdradzając wielkie zainteresowanie. — To maskota domu gry?

— Nie, to Dama Pikowa.

— Więc to pan rozsiewa te brednie, Bomberg? — obruszył się hrabia Kossowski. — Znałem jednego... księcia z systemem. Uparty osioł. Poszedł z torbami. Podreperował się w ożenku z ciepłą wdówką i coś w rok spławił jej forsę.

Przez przeciwległe uchylone drzwi od kuluaru doszedł rozgwar przy zajmowaniu nowego stołu gry. Hrabia pożegnał się raptem i odszedł z miną człowieka bardzo zajętego.

— Ty wiesz o niej więcej, Bom — nastawał Sinobrody, przytykając nerwowo paznokciami.

Łysy jakby związł w sobie i wydał się jeszcze bardziej pękaty.

— Potrzeba nam bardzo arystokratycznej damy — podjął młody człowiek cicho i kusząco. — Potrzebna nam do zarządu jednym z naszych domów w Rio. Gdzie można ją spotkać?

— W Cafe Jessie. Nie, Sinobrody, nic z tego. Jej

płacą, żeby nie grała. Już przed wojną w Deauville wiedzieliśmy wszyscy, że jej płacą.

— Koloryzujesz, stary — odmruknął alfons. — Przecie ona wygląda na lat trzydzieści.

— Przed wojną także wyglądała na coś koło tego. A teraz, Sinobrody, skocz no, zobacz, czy Kossower nie rozbił banku.

Gdy elegancki młody człowiek znikł, Łysy zapalił nowe cygaro i rzucił od niechcenia:

— Ona mieszka jak królowa. W samem mieszkaniu ma z trzysta tysięcy, nie licząc tego, co w klejnotach...

— Gdzie mieszka? — podchwycił lord rzeczowo i bardzo serjo.

Łysy ssał cygaro. Dymił jak komin. Żylasta ręka lorda zacisnęła się na klapie marynarki zagadkowego towarzysza. Trąbka samochodu zawyła donośnie w stężałem powietrzu. Wreszcie Łysy wyjął z ust cygaro, otrząsnął narosły popiół z namaszczeniem i ozwał się chrapliwie:

— Słuchaj, lord, chcesz, to cię zaprowadzę. Już nieraz tłukło mi się po łbie, na co to babie!

— Kiedy?

— Co zwłóczyć, Przed dwunastą bądź w melinie Treusera. Wiesz, lord, że z ciebie dobry kimowiec [1]). Bierz bory [2]) najlepsze. Trzeba zrobić filung [3]) i obrobić pakę [4]). Chlastasz w metę? [5])

— Sztama! [6])

I obaj dżentelmeni powstawszy z foteli powędrowali na salę.

Gdy tylko kroki przebrzmiały, Król Staś wyśliznął się śladem opryszków. Jak ostrzec Damę Pikową? A jeśli jej nie znajdzie w Cafe Jessie?...

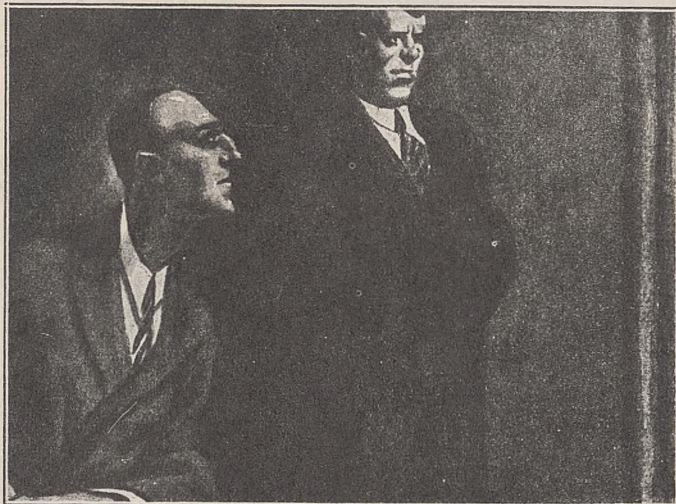
Wskoczył do pierwszego samochodu i w kwadrans potem wbiegał do zakładu, znanego jako miejsce schadzek i łatwych znajomości, gdzie przemyślny przedsiębiorca połączył telefonicznie stoliki. Kapitalny pomysł!

Stanowczo szło mu tego dnia fenomenalnie. W głębi, w odosobnionej loży siedziała Dama Pikowa! Taki spokój i pewność siebie biły z harmonijnej sylwetki Damy, że w miarę jak na nią patrzył, spokój i pewność zdawały się i jemu udzielać. Niemożliwe, by mogło jej grozić jakie niebezpieczeństwo!

Płowe loki wymykały się z pod ronda kapelusza, obramiając tę twarz alabastrową i obojętną, twarz, która miałaby pozory martwoty, gdyby nie życie topazowych, długich i przedłużonych umiejętnie oczu. Złocisty ich promień, niby pręt giętkiego złota padł na marmurowy blat, przy którym trwał Król Staś na czatach. Przeźroczysty a kolorowy opył brylantowego światła to mżył, to wybuchał jak tysiąc szmermeli z ciężkich kryształowych żyrandoli.

Między lśnieniem marmurów i giętkich listew metalu w lożach, pełnych pastelowego mroku snuły się i uwijały powabne ćmy w płaszczach matowych lub błyszczących, bramowanych futrami w odcieniach niebywałych i chorobliwych, w sukniach krótkich i obcisłych, albo w obnażających smagłe plecy, albo w osłonach futurystycznie zbakierowanych, szytych wskos i rozfalowanych.

Naszyjniki kapały łzami zimnego ognia na skórę atłasową, z przegubów rąk strzelały kolorowe rozpryski, a butony, niby małe kratery lub gwiazdy, błękitne i różowawe, bliźniacze, a niezmiernie odmienne, olśniewały płomieniami lub kłuły nikłemi brzeszczotami promieni. W powietrzu, nasiąkłem wonią drażniącą, delikatną jak dymek, to znów nawilgłą, rzeźwą, wnikliwą, jak błotny mam księżyca unosiły się i pląsały mirjady świetlanych skarabeuszów, opadały, osiadały jak rosa, pełzały, roiły się po mozaikach posadzki. Ach, dobrze było patrzeć przez rzęsy na bachanalję i widzieć zdala w glorji, w falowaniu tęczy ją — Damę Pikową.



Zadzierżysty sportowiec i młody człowiek w dwurzędowym kostjumie z szarej flaneli...

Poruszyła się niecierpliwie, jakby wzywając kelnera. Ocknąwszy się, śpiesznie nastawił aparat na numer 37, zadzwonił. Głos o przenikliwem brzmieniu odezwał się:

— Hallo!

— Czy pani przypomina sobie młodego człowieka, którego pani ostrzegła w kasynie przed pozostawieniem wygranej na numerze?

— Nie.

Głos był lodowato spokojny.

— Ależ tak. Zaprzeczyła pani ruchem głowy.

— Zdawało się panu.

Król Staś nie dał za wygraną. Miał wrażenie, że topazowe oczy uśmiechają się do niego.

— Proszę, niech mnie pani posłucha. Słyszałem, jak planowano włamanie do mieszkania pani...

— Pan żartuje. Czy ja wyglądam na... osobę, z którą zawiera się przygodne znajomości?

— Nie. Ale to, co mówię, to prawda.

Chwila milczenia.

— Może mi pan powiedzieć, kto to był?

— Dwa łotry — powiedział Staś zduszonym głosem. — Jednego nazywano lordem, a drugiego Bombergiem.

— Niech pan poczeka. Ja wyjdę i wsiądę do samochodu. Packard, perłowo-szary, trójosobowy, li-

---

1) Włamywacz nocny. 2) Narzędzia złodziejskie. 3) Wyrznięcie dziury w drzwiach. 4) Kasa ogniotrwała. 5) *Czy robisz do spółki?* 6) *Zgoda.*

mużyna. Będę czekała na pana w samochodzie. Szofer — negr.

Zawahał się. Omal nie spytał:

— A nie ucieknie mi pani?

Wyszła płynnym i szybkim krokiem. W chwilę potem Król Staś był przed Cafe Jessie. Z trzeciego samochodu z rzędu wyciągnęła się do niego kobieca ręka w białej rękawiczce.

— Jestem... Król Staś — przedstawił się, odchylając zręcznie białą rękawiczkę i całując damę w przegub ręki. Bliskość pięknej kobiety uderzyła mu trochę do głowy. — Moje nazwisko nic nie powie. Tak mnie nazywają...

— A ja jestem Dama Pikowa — odpowiedziała, nie odbieraj ręki,—i lekki rumieniec przebił się na alabastrowe policzki.

Odebrała mu rękę i dała znak szoferowi. Ruszył.

— Więc cóż z tem włamaniem, Królu Stasiu?

Król Staś opowiedział wiernie rozmowę łotrów w kasynie.

— Niech mi pani poda swój adres — zakończył — a zawiadomię policję.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Ten sam ruch — pomyślał.

— Teraz, kiedy wiem, sama sobie dam z nimi radę.

— Więc pozwoli pani, że będę jej towarzyszył? — zaryzykował Król Staś.

Znów zaprzeczyła, milcząc. Niespodziewany podrzut zbliżył ich do siebie bardziej na pluszowem siedzeniu. Długa noga w pończosze mauresque oparła się o kolano rycerza fortuny... i nie cofnęła się.

— I pani mnie nie ostrzegła w kasynie?

— Nie.

— Więc któż mnie ostrzegł? W następnej grze straciłbym wszystko.

— Nikt. Sam się pan ostrzegł. Pańskie serce. Serce uroku...

— Jakto serce uroku?

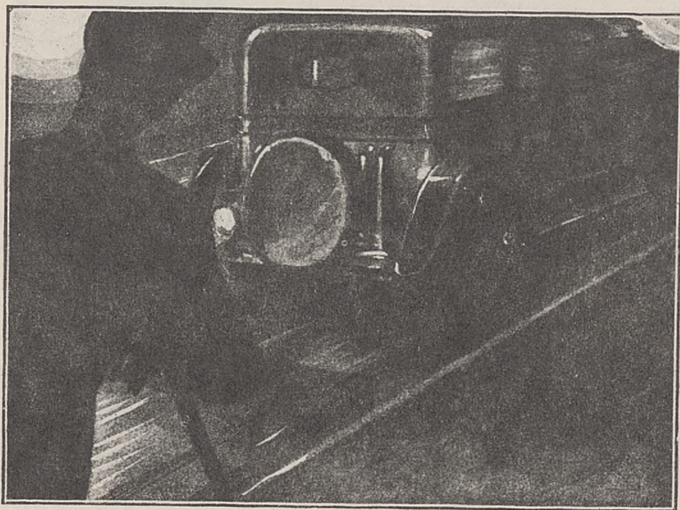
Teraz widział grę tej napozór martwej twarzy, palące ognie w przeźroczystych oczach, purpurowy świt krwi, przebiegający przez cerę.

— A tak, serce uroku — odpowiedziała. — Tak bywa. Latami życie człowieka wlecze się jak brudna zamulona rzeka. Nagle coś w nim się budzi, coś odzywa. Sok czaru zaczyna krążyć w jego życiu, jak w drzewie na wiosnę. W panu zabiło serce uroku. Ono zniewoliło koło losu, ono pana ostrzegło.

— Ależ to dopiero od chwili, gdy zobaczyłem panią. Pani jest niezwykłą istotą, niepodobną do innych, boską...

Kobieta odsunęła się wyczuwalnie. Zaczęła mówić szybko, jakby do siebie:

— Co za przesada, cudowny chłopcze, Królu Stasiu. To młodość mówi przez pana. Młodość jest cudna. Pan ma ze dwadzieścia lat — ja dwa razy tyle. Ja nie mogę sobie pozwolić na miłość, ten największy luksus. Dziś zabiło we mnie znów serce uroku. Dlatego zagrałam. Ale mój wiek nie znosi szaleństw... Wprawdzie jestem w doskonałej formie, ale miłość zniszczyłaby mnie... Jestem jak drzewo jesienią w złotej chwale babiego lata. Ale jeden dzień wichru i słoty... Pękło by chyba we mnie serce uroku. Lepiej rozstańmy się natychmiast, panie Królu Stasiu...



Napół się cofnął, napół wypadł z samochodu. Znalazł się na szosie...

Rzuciła słowo do tuby.

— Niech pan wysiada — powiedziała.

— Ale ja muszę panią bronić! Nie dam się odpędzić! Jeden pocałunek... — błagał.

— A, chcesz mnie zniszczyć! — z pasją tchnęła mu niemal w usta, ale wargi ich się spotkały i przywarły do siebie. Pocałunek ognistą falą rozlał się po żyłach mężczyzny. Nagle ręka w białej rękawiczce pchnęła go brutalnie na otwarte drzwiczki. Nawpół się cofnął, nawpół wypadł z samochodu, który pomknął. Znalazł się na szosie między Zoppotami a granicą miasta.

Król Staś szedł machinalnie w kierunku miasta. Wpadł w głębię osłupienia i oglądał w niej stwory myśli, których istnienia nie przeczuwał. Mijały go rozpędzone race świateł — samochody. On słyszał tylko rytm swego serca.

— Jeśli bije we mnie serce uroku — pytał — czemu nie przemówi?

Blask przemknął po chodniku. Król Staś zatrzymał się nagle przed zielono malowanym domkiem, odgrodzonym od ulicy minjaturowym ogródkiem. Pod zczerniałą tarczą zegara nad wejściem stał minjaturowy posążek ze śladami pozłoty. Gdy Król Staś stał tak przed furtką ogródka, walcząc z dziwnym impulsem wejścia do zielonego domu, drzwi się otworzyły. Stanął w nich mężczyzna.

— Pan do mnie? — spytał.

Przemknęło auto i w świetle jego latarni Król Staś odczytał na tabliczce u drzwi: Dr. Julius Schramm, Privatdetectiv. Zsyłało go przeznaczenie.

— Pan doktór Schramm? — spytał.

— Ja nim jestem — zabrzmiała odpowiedź.

Wyglądał na wysportowanego studenta. Kim był właściwie — fuszerem, czy mistrzem w swoim zawodzie? Pracownikiem był, czy oszustem? Ta twarz bezbarwna o rysach twardych i ostrych, czo-

ło pocięte zawiłemi linjami, oczy szare i rude pasma włosów — co one mówiły?

— Chodzi o zapobiegnięcie włamaniu, może morderstwu. Nie mogę się zwrócić do policji. Osoba zagrożona tego sobie nie życzy. Czy zna pan spelunkę złodziejską Treusera?

Siedzieli w gabinecie, urządzonym z pewnym komfortem. Oszklone drzwi były zaopatrzone w automatyczny zatrzask, a z nad biurka patrzyło kilka cudacznych masek z plastoliny. Aparat telefoniczny miał dodatkową słuchawkę dla podsłuchów.

— Treusera? To się zobaczy. Ale jaki właściwie sprowadza pana wypadek?

— Czy zna pan damę, zwaną Damą Pikową?... Może zna pan jej adres?

Detektyw potrząsnął głową.

— Tylu się tu przewija cudzoziemców...

Król Staś przyznał w duchu, że detektyw nie był obowiązany znać Damy Pikowej. W urywkowych zdaniach opowiedział cały wypadek.

— Tak, ma pan rację — przyznał detektyw, — jedyny punkt wyjścia dla nas to melina Treusera. — Wertował dłuższy czas w kartotece. — To może być tylko spelunka Treusera w Wolnym Porcie. Czy chce mi pan powierzyć tę sprawę?



Wysoka, czarna, chuda sylwetka była zwrócona plecami do drzwi. Naprzeciw rzeźnicka morda Łysego. Wykręcał rękę wysokiej kobiecie...

— Nie. Niezupełnie. Chcę, by mi pan towarzyszył. Ile wyniosłoby honorarjum pańskie?

— To zależy. Jeżeli się nam nie powiedzie — zwrot kosztów. W przeciwnym razie trzysta guldenów.

Dzięki wygranej w ruletę, Król Staś był w stanie przyjąć te warunki.

— Czy nie zdradzi się pan w przebraniu smolucha z żaglowca?

— Chyba nie.

Wkrótce byli już w drodze ku czarnym rusztowaniom portu, rozpiętym na rozjarzeniu nocnej łuny.

Gdy wchodzili do przyćmionej knajpy, było blisko północy.

— To Lord — szepnął Król Staś do detektywa, zmierzając do wolnego stolika. W parze i duchocie, w spiralach dymu i w mętnych wyziewach spirytusu pływała melodja: "Mary Lou, Mary Lou! Ty co noc budzisz mnie ze snu... Sezonu clou — Mary Lou!" I wszystko było smarowane, tłuste i ckliwe.

Byli na tropie. Nie tracili z oczu Lorda. W oznaczonym czasie Bomberg przyłączył się do niego. Lord dźwigał pokaźny worek pod pachą. Zabrali się i wyszli, a detektyw i rycerz fortuny wymknęli się za nimi niepostrzeżenie.

Król Staś przekonał się po raz pierwszy, jak trudno jest tropić. Dopóki byli w obrębie portu, gdzie snuły się cienie, jakiś parowiec ładował z przeraźliwym łoskotem i szczękiem, po szynach toczyły się przęsła, turkotały żórawie, rozwierały się i zwierały olbrzymie łapy, zagrabiając, puszczając całe tony, a lampy łukowe zakreślały fiołkowe kręgi — szli jeszcze. Gdy tę czarną czeluść z błyskami kłów świetlnych mieli już za sobą i zmierzali przez zabudowania i ogrody w stronę Letgau, Król Staś bez pomocy detektywa napewno zgubiłby ślad, lub został odkryty przez włamywaczy.

Księżyc wisiał już wysoko i srebrzył szeroką drogę po zatoce, kiedy stanęli przed wysokim białym murem. Wślizgnęli się na teren willi przez furtę, otworzoną sprawnie przez nocnych gości. Kryli się za drzewami, podczas gdy włamywacze majstrowali przy portyku.

Czarni ludzie znikli za drzwiami. Szli za nimi trop w trop lub czekali w naprężeniu. Cal po calu popychając otworzone skrzydło drzwi wejściowych, wślizgnęli się. Schody, wyłożone dywanem, wiodły na półpiętro do szerokiej kraty z włóczni żelaznych, na które nawleczone były ornaty kryształowe. Tęcza zaigrała po kracie w snopie światła latarki elektrycznej. Za wrotami z kryształu leżał hall, zdumiewająco biały, lśniący, modernistyczny, ze szkła, zwierciadeł i polerowanej stali.

Dokoła szklanych okrągłych blatów na postumentach z rzniętego szkła, stały fotele obciągnięte lśniącą błoną. Nie było tu włamywaczy. W takim hallu nikt by się nie ukrył. Lśniące schody wiodły na pierwsze piętro.

Nagle z góry, z piętra doleciał krzyk przeraźliwy.

W susach gibkich i pewnych, obaj wytrenowani, przebiegli schody, salon, drugi salon, buduar, kierując się światłem. Stanęli we drzwiach sypialni.

Zobaczyli scenę, która odbijała się w półokrągłem zwierciedle z podłużnych cegiełek lustrzanych u wezgłowia ogromnego łoża. Sytuacja tak się przedstawiała: Wysoka, czarna chuda sylwetka była zwrócona plecami do drzwi. To Lord. Repetował browning. Naprzeciw—skurczona i warcząca, iście rzeźnicka morda Łysego. Wysokiej kobiecie między nimi wykręcał rękę, z której wypadł na dywan rewolwer. Obaj bandyci byli nieprzytomni z wściekłości.

— Gdzie kasa? — ryczeli obaj. — Gdzie safe?

Doktór Schramm nie zatrzymał się we drzwiach. Ruszał się bezszelestnie. Jeszcze krok i Lord uczuł na plecach nacisk i zimno lufy. Właśnie Król Staś skoczył i potężnym ciosem pięści zdzielił Łysego w

kark. Kobieta wyrwała się, a Łysy tryknął łbem w brzuch Lorda i z rozpędu obalił detektywa.

Lord machnął kozła, odbił się na sprężynach łóżka i w mgnieniu oka znalazł się o krok od Króla Stasia, szarżując z nożem w ręku.

Lustro zdradziło błysk noża, a Król Staś o włos uniknął ciosu, schwyciwszy oburącz bandytę za uzbrojoną rękę. Żylasty drab był z tego Lorda. Ostrze noża wahało się między sprężonymi w walce zapaśnikami, podczas gdy detektyw porał się z Łysym.

Żywa waga Łysego była jednak zbyt wielka, przetoczył się przez detektywa i znikł w ciemności. Nóż padł wreszcie między walczącymi, a Lord skoczył w otwarte okno, uchwycił się gałęzi i zsunął się szybko po pniu drzewa. Schramm wychylił się z okna, ale nie mógł już użyć broni palnej i był bezsilny.

Dama Pikowa w negliżu, w cudownym nieładzie, śmiertelnie blada, z rozwichrzoną płową czupryną i dziwnie kobieca w swem upokorzeniu, rozcierała posiniaczone ramię. Topazowe jej oczy błąkały się dziko, zmącone i bez blasku. Piersi podnosiły się nierównym oddechem. Drżenie przeszło w spazm histeryczny; tylko wskazała flakon, którego zawartością Król Staś począł rozcierać jej ramię.

Król Staś pieścił i całował zmaltretowane ramię. Syknęła.

— Czujesz, jak mi bije serce? — szepnęła Dama Pikowa.

— Z przestrachu?

— Nie, z uroku.

Doktór Schramm usunął się dyskretnie...

* * *

Od tego czasu Król Staś był postrachem domów gry. Biło w nim serce uroku. Co za cudowna rzecz być niebieskim ptakiem — póki się nim jest. Bo gdy w niebieskim ptaku przestanie bić serce uroku, trzeba, żeby przestało w nim bić i ludzkie głupie serce... Kula w łeb.

Co znaczy królowi korona, co znaczy majtkowi swój grosz!

Czyście go gdzie nie spotkali?

Z. POBÓG.

KOŁYSANKA

"Luli, mój syneczku, luli!
Uśnij cicho, zmróż oczęta;
Śpij pod piosnką swej matuli,
Niech cię strzeże Panna Święta!"

— Ciemno, zimno, matuś miła,
Straszno! huczy wiatr na dworze,
Żebyś ogień rozpaliła,
Tobym prędzej zasnął może.

"Ogień palić? o dlaboga!
Ani wióra... w piecu pusto!...
Zima taka cości sroga;
Okryję cię zaraz chustą.

"Teraz śpij, śpi cała wioska,
Anioł tu przy tobie stoi,
Jutro może Matka Boska,
Da już służbę matce twojej.

"Może da nam dobrą panią,
Co przygarnie nas, sieroty,
Toć się modlić będę za nią,
Z słonkiem wstawać do roboty.

"Luli mój syneczku, luli!
Uśnij cicho, zmróż oczęta,
Śpij pod piosnką swej matuli,
Niech cię strzeże Panna Święta!"

— Nie chcę spać, słuchajcie, matka,
Gdy urosnę — toć niedługo,
Mam już przecie cztery latka —
Nie będziecie nigdy sługą.

Ja wam gruntu kawał kupię,
Chustę nową i korale,
Żyć będziemy w swej chałupie,
Dokumentnie piec napalę.

Wóz wam sprawię kuty cały
I bieluskich parę koni,
Coby żwawo tak biegały,
Że ich wiater nie dogoni.

Świsnę batem, się nie bójta!
Podjedziemy do kościoła,
Szkapy takie jak u wójta...
Oglądają nas dokoła.

"Dość już, synku, luli, luli!
Mnie nie wiecznie żyć na świecie,
Zimny piasek mnie przytuli,
Ciężka ziemia mnie przygniecie.

"Gdy odchowam cię, dziecino,
Spraw swej matce cztery deski,
A ze skarbów wszystkich ino
Nie pożałuj swojej łezki".

RUBIN



Rubiny wydobywa się zapomocą bardzo pierwotnych narzędzi, lub nawet bez nich.

RUBIN, "król klejnotów", zrodzony według bujnej fantazji starożytnych Hindusów z krwi zwyciężonego boga, jest jednym z najwspanialszych cudów przyrody. Z pięknym tym kamieniem łączą się niezliczone legendy, podania i bajki średniowiecza, a od najbardziej odległej starożytności aż po dzisiejsze czasy rubin wywierał nieprzeparty urok na umysły wszystkich ludów. Dlatego też rubin zawsze błyszczał w koronach królewskich, na godłach religijnych kapłanów najstarszych religij azjatyckich, na palcach najpiękniejszych księżniczek i najsłynniejszych kurtyzan.

Ojczyzną rubinów jest Birma. Kopalnie Cejlonu, Sjamu i Indochin dają wprawdzie kamienie takiej samej barwy, lecz nie tej wielkości, co kopalnie birmańskie.

Najwspanialsze kopalnie rubinów znajdują się w Górnej Birmie, w Mogoku, na wysokości 4,000 stóp nad poziomem morza. Kopalnie Mogoku, leżące w ukryciu gór, odznaczają się tą rzadką cechą, że są jeszcze bardzo mało wyzyskane.

Rubiny, znajdujące się zarówno wysoko w górach jak i w dolinach, wydobywa się przeważnie w łożyskach strumieni, w których wraz ze żwirem i piaskiem osiadają w szczelinach skalnych. Te wspaniałe klejnoty, droższe od diamentów, aczkolwiek ustępujące im pod względem twardości, wydobywa się zapomocą bardzo pierwotnych narzędzi lub nawet zupełnie bez narzędzi; praca cała bowiem polega na tem, żeby obnażyć leżący pod gliniastą powierzchnią żwir, który stanowi warstwę, dającą kryształy rubinów. Kopalnia rubinów to poprostu płytkie doły, w których tu i ówdzie przebija się tunele i szyby w wyjątkowych wypadkach, na ogół jednak prawie zawsze otwarte.

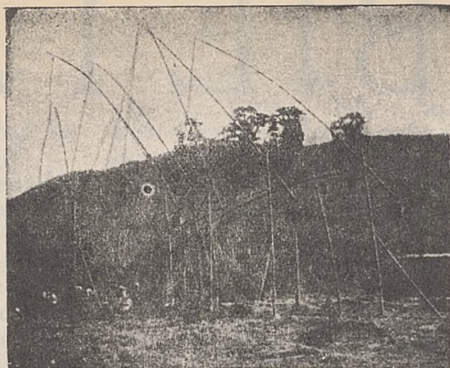


Zapomocą umownych uścisków rąk pod stolikiem, na którym leżą kamienie, kupujący dochodzą do porozumienia ze sprzedawcami.

Żwir, obfitujący w drogocenne kamienie, zbiera się na stołach w specjalnych szopach-sortowniach, gdzie zaufani dozorcy pilnują bacznie robotników. Najlepszem j e d n a k zabezpieczeniem przed kradzieżą rubinów w kopalni jest dopuszczenie robotników do pewnych udziałów w zyskach. "Naturalnem" zabezpieczeniem są wynikające często między robotnikami kłótnie i niepo-

rozumienia, gdyż w takich wypadkach jeden drugiego pilnuje lepiej, niż najbardziej doświadczony dozorca.

Co kilka dni odbywają się w Mogoku targi, na których, prócz hałaśliwie targujących się o produkty kobiet, widać i mężczyzn biegłych zarówno w sztuce oceniania klejnotów jak i umiejętnego pokazywania ich kupującym. Niektóre bowiem kamienie pokazują tylko przy świetle zachodzącego słońca, które ujawnia ukryty w innych warunkach wspaniały blask krwawo-czerwonego kamienia. Naogół tranzakcje odbywają się w jak największej tajemnicy, którą sprzedający starają się zachowywać, wierni przekonaniu, że piękny rubin, podobnie do pięknej kobiety, traci wartość, gdy się go ogląda nie w ukryciu. Zapomocą umownych uścisków rąk pod stolikiem, na którym leżą kamienie, kupujący dochodzą do porozumienia ze sprzedawcami.



Chińska kopalnia rubinów. Bambusowe drągi do usuwania żwiru.



Praca polega na tem, by obnażyć leżący pod gliniastą powierzchnią żwir.

Najwspanialszym kamieniem ostatnich kilku lat jest "Rubin Pokoju", 43-karatowy, wydobyty w dniu zawieszenia broni wielkiej wojny. Osiągnięto za niego cenę 30,000 funtów szterlingów. Większość rubinów birmańskich pochłania Paryż lub bogate skarbce indyjskich maharadżów. Przed wojną światową wspaniałe te klejnoty zdobiły korony i regalja królewskie, które w obecnej dobie są rzadkością, zdobią jednak nadal palce pięknych kobiet, których próżności nie złamie ani wojna, ani żadna siła na świecie.

ZDZISŁAW DĘBICKI.

MAJ

Idzie lasem Maj-królewic
W otoczeniu leśnych dziewic,
A stuletni las
Kłania mu się w pas...
Barwne kwiaty leśnych polan
Gną mu się do samych kolan,
Brzezinowy szumi gaj —
Idzie lasem Maj!

Z drogi! Z drogi! Przed nim bieży
Od rubieży do rubieży
Wiatr i rozkaz pański niesie...
Hej! Jak huka coś po lesie — Hej!
Idzie lasem Maj,
Brzezinowy szumi gaj,
Po rozłogach kwiaty rosną,
Pachnie cudem, pachnie wiosną!

Dookoła istny raj:
Idzie lasem Maj;
Idzie wiosny młody bóg
I uderza w złoty róg.
A głos rogu płynie knieją,
Zielone się drzewa chwieją,
Cały śpiewa bór —
Jako jeden chór.

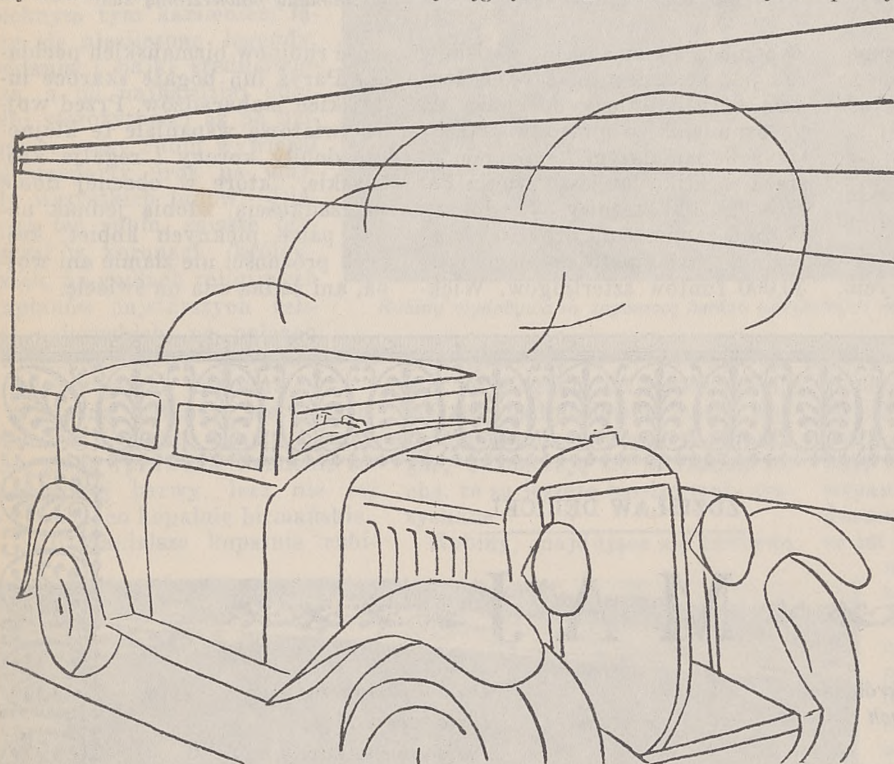
A za borem w ślad
Śpiewa cały świat.
Biją młotem serca dziewic,
Idzie lasem Maj-królewic,
Idzie złoty Maj!

KOBIETA

Jerzy Bars — *NOWELA*



AUTO inżyniera Vernona Crains'a rzucało na asfalt szosy dwie jaskrawe świetlne smugi. Ciekawe i czujne oczy reflektorów szukały w mrokach wieczoru ukrytego niebezpieczeństwa, niedyskretnie zaglądały do okien mijanych limuzyn i łamały się tysiącami refleksów w szybach wil i pałaców, rozrzuconych niesymetryczną gromadą wzdłuż alei Nizza-Monte Carlo.



Jeszcze dwa zakręty i wspaniałe auto zjechało z szosy...

Vernon Crains spojrzał na zegarek. Oho — już dziewiąta!

Przycisnął akcelerator, strzałka na wskaźniku szybkości skoczyła gwałtownie wdół, a potem zaczęła się piąć powoli do granicy maksymalnej szybkości, oznaczonej czerwoną linją. Jeszcze dwa zakręty i wspaniałe auto zjechało z szosy. Zgrzyt hamulców, trzask zamykanych drzwiczek i po chwili inżynier dzwonił do drzwi niewielkiego pałacyku, ukrytego przed pyłem drogi w zieleni starannie utrzymanego parku.

Vernon Crains pewnym krokiem człowieka, czującego że jest oczekiwanym i miłym gościem, przeszedł przez hall. Rzucił okiem w lustro, uśmiechnął się mimowoli do swojej wysmukłej sylwetki, poprawił krawat i nerwowym nieco ruchem pogładził wąskie, starannie pielęgnowane wąsy.

— Vernon!...

Pani Marqueritta Lussac, szczupła blondynka z typu tych niebezpiecznych blondynek, które muszą się podobać każdemu mężczyźnie, wyciągnęła ku niemu obie ręce. Był już przy niej, zagarnął jednym chwytem, jak własność najdroższą i zawsze nową. Zapomniał nagle o wszystkich kłopotach, o wymówkach, których mu nie szczędził ojciec, przerażony gwałtownem uczuciem syna; drżał w namiętnem uniesieniu, oszołomiony największem pragnieniem: czuć ją całą, zamknąć ją na zawsze w uścisku, który byłby szczęściem, szaleństwem wiecznością.

Byli kochankami od trzech miesięcy. Podobno w takich sytuacjach równowagę odzyskuje zawsze pierwsza kobieta; nic więc dziwnego, że pani Lussac wysunęła się nieco ociężałym ruchem z objęć kochanka.

— Spóźniłeś się...

Patrzył na nią z błyskami radości w szeroko otwartych oczach.

— Przepraszam...

Wzięła go za rękę; przeszli po dywanach zaścielających posadzki i kradnących podwójne echa kroków, minęli dwa małe, gustownie urządzone salony i weszli do zacisznego buduaru, zwanego przez panią domu jej pracownią.

Historja miłości jest tak prosta, że od dnia, kiedy pierwszy mężczyzna powiedział pierwszej kobiecie iż ją kocha, niewiele się zmieniło. I zapewne dlatego właśnie n i e m a dwóch jednakowych wzruszeń, jednakowych pieszczot, słów — które już b y ł y wypowiedziane. Wszystko jest nowe, inne, najdoskonalsze.

Vernon Crains był zakochany.

Mijały kwadranse: zegar przemówił, ogłaszając jedenastą.

— O północy mamy się spotkać w kasynie z Andrzejem...

— Nic mu nie mówiłaś? — zapytał półgłosem.

— Nie — głos pani Marqueritty nie był zupełnie pewny. — Nie mówiłam mu nic jeszcze...

Vernon odwrócił ku niej pobladłą twarz.

— Dlaczego?

Pani Lussac nacisnęła kontakt i światło wesołą falą wpłynęło do buduaru.

— Dlaczego? — zapytał powtórnie inżynier.

Utkwiła w jego oczach badawcze, niespokojne spojrzenie.

— Chodź tutaj, usiądź! — wskazała mu miejsce obok siebie.

Podszedł posłusznie. Objęła go pieszczotliwie, pogładziła nachmurzoną twarz wąskiemi, długiemi rękami.

— Słuchaj, Vernon, czy to wszystko ma sens?

— Czy to ma sens?! Dziwne pytanie! Rozumiesz chyba, że muszę raz wyjaśnić nasz stosunek ze względu na nas oboje, że nie mogę być dłużej w dwuznacznej sytuacji

wobec twego męża, który uważa mnie za swego przyjaciela... Zresztą, czyż nie powiedziałaś, że zostaniesz moją żoną?...

Pani Lussac bawiła się nerwowo pierścionkiem.

— No tak, bezwątpienia... Ale są, widzisz, sprawy, których nie znasz, a które posiadają ogromne znaczenie. Nie mogę tak odrazu przekreślić wszystkiego...

Przytuliła się do niego.

— Vernon...

Crains zadrżał. Takiego akcentu nie słyszał jeszcze nigdy w głosie kochanki.

— Vernon... Kocham cię naprawdę... Więcej, niż myślałam, więcej, niż ty możesz przypuszczać... Ale, widzisz, nie mogę, zrozum mnie, naprawdę nie mogę...

Usta mężczyzny zacisnęły się kurczowo. — Dlaczego?

Opuściła ze zniechęceniem ręce.

— Poco pytasz?... Powiedziałam ci — nie mogę...

Crains był bardzo blady.

— Czy nie uważasz, że należy mi się pewne wyjaśnienie?!...

Pani Lussac westchnęła głęboko.

— O, zapewne... Ale wolałabym nie mówić o tem... Czy nie lepiej, żeby wszystko pozostało tak, jak było dotychczas?...

Spojrzenie mężczyzny było bardzo twarde.

— Nie, Marqueritto. Kocham cię. Chcę, pragnę, abyś została moją żoną. Dlaczego mi odmawiasz?

Chwila przejmującej ciszy. Pani Lussac przestała się bawić pierścionkiem. Twarz jej przybrała poważny, bolesny niemal w swoim spokoju wyraz.

— Dobrze. Czy wiesz, kim byłam, zanim zostałam panią Lussac?...

Crains patrzy na nią bez mrugnięcia.

— To nie jest ważne, Marqueritto.

— Nie, to jest bardzo ważne. Byłam zwyczajną, biedną dziewczyną. Pracowałam w sklepie. Pracowałam do dnia, w którym poznałam...

— Andrzeja Lussac...

— Nie, kogoś zupełnie innego. Kochał mnie bardzo i był dla mnie dobry. Byłabym dziś jego żoną, gdyby nie to, że się nie mógł rozwieść ze względu na dzieci. Kiedyś poprosiłam go o posadę dla mego ojca. Umieścił go w banku, gdzie był dyrektorem. To właśnie było powodem nieszczęścia. Ojciec, słaby, zahukany człowiek, grał w karty. Rozumiesz? W karty, za



Rozumiesz chyba, że muszę raz wyjaśnić nasz stosunek ze względu na nas oboje...

nieswoje pieniądze... Przyszła rewizja kasy i znaleziono braki. Ojciec — za namową jakiegoś przyjaciela — zeznał, że pieniądze oddawał dyrektorowi Raunowi...

— Raun...

— Tak, nazywał się Piotr Raun. Oczywiście wynikł skandal. Piotr zapłacił wszystko. Został zrujnowany, skompromitowany i musiał wyjechać. Ale przed odjazdem troszczył się tylko o mnie. Tylko o mnie. Oddał mi wszystko, co mu pozostało i wysłał do swego przyjaciela, Andrzeja Lussaca. Napisał do niego, że jestem jego siostrzenicą, sierotą. Miał wrócić. Ale nie widziałam go już nigdy potem. Zostałam panią Lussac...

— A teraz nie chcesz zostać panią Crains...

— Przysięgłam Piotrowi, że będę na niego czekać. Radził mi, żebym wyszła za Andrzeja, jeżeli tego zechce. I czekam na niego, Vernon... Może nigdy nie wróci, ale przecież poświęcił dla mnie wszystko...

* * *

Marqueritta Lussac rzuciła okiem na podaną jej kartę i nagle zawirowało jej wszystko przed oczami. Przez obudzone raptownie wspomnienia przeleciała błyskawicą straszliwa świadomość: te dwa krótkie słowa, czerniejące na kwadraciku papieru, budziły całą, starannie ukrywaną przeszłość. A jednocześnie uderzyło ją stwierdzenie, że człowiek, którego nazwisko przeczytała przed chwilą, jest jej obcy. Straszliwie obcy. Piotr Raun...

— Prosić...

Wszedł powoli. Jakże się postarzał! Zmarszczki przecięły zygzakami czoło, włosy pokreśliła srebrnemi żyłkami siwizna, usta zacięły się w twardą, równą linję... O, nie poznałaby go nigdy... Tylko oczy pozostały te same. Dobre i badawcze.

Jednem spojrzeniem ogarnęła całą znajomą niegdyś sylwetkę. Stare, pofałdowane ubranie mówiło głośno i wyraźnie: jestem biedny... Zniszczone obuwie, zaniedbane ręce... To był Piotr Raun, kochany niegdyś mężczyzna.

— Witam panią.

Podała mu rękę, niespokojna i wzruszona.

— Pan tu, w Nicei?

— Od wczoraj wieczora.

Od wczoraj wieczra! A dziś jest już u niej! Znaczy, że...

— Przyjechałem specjalnie do pani.

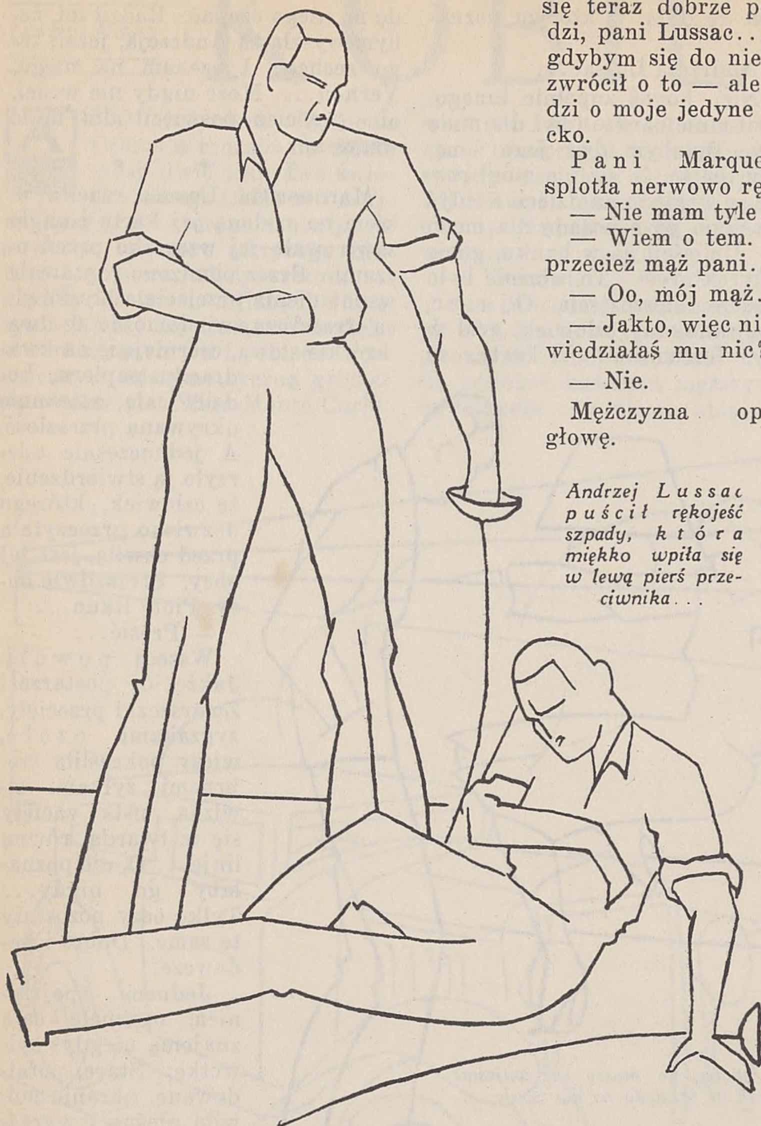
Pani Lussac zadrżała.

— Oooo... do mnie?

Raun patrzył na nią poważnie.

— Widzę, że się pani tylko zdziwiła. Tem lepiej... Będzie mi łatwiej mówić o sprawach, które mnie tutaj sprowadziły.

Kobieta starannie unikała u-



Andrzej Lussac puścił rękojeść szpady, która miękko wpiła się w lewą pierś przeciwnika...

tkwionych w nią oczu.

— Zmuszony jestem przypomnieć pani, że kiedyś, bardzo już dawno temu, oddałem jej pewną przysługę. Pamięta pani?

Nieme potaknięcie.

— Jestem na świecie sam. Zupełnie sam. Straciłem żonę i córkę. Został mi tylko syn. Pewno już pani zapomniała, że miałem syna...

Milczenie.

—Chłopcu grozi ślepota. Jakaś bardzo poważna historja. Jest tylko jeden człowiek, który go może uratować: profesor Murphy. Zgodził się przyjechać, ale zażądał ogromnego honorarjum.

— Ile?

— Przeszło sto tysięcy franków. Nie mam tych pieniędzy... Pani się teraz dobrze powodzi, pani Lussac... Nigdybym się do niej nie zwrócił o to — ale chodzi o moje jedyne dziecko.

Pani Marqueritta splotła nerwowo ręce.

— Nie mam tyle...

— Wiem o tem. Ale przecież mąż pani...

— Oo, mój mąż...

— Jakto, więc nie powiedziałaś mu nic?!...

— Nie.

Mężczyzna opuścił głowę.

— Marqueritto, pomóż mi! Wiesz, co przeżywam w tej chwili, ale nie mam się do kogo zwrócić.

Pani Lussac milczała.

— A więc to tak... Zmieniłaś się, Marqueritto, zmieniłaś się bardzo... Ale ja muszę mieć te pieniądze!

— O jakie pieniądze panu chodzi? — zabrzmiał donośny głos od drzwi.

Oboje odwrócili głowy. W drzwiach stał Andrzej Lussac.

— Kto to jest, Marqueritto?

Raun uśmiechnął się ponuro.

— Słyszał pan — jestem człowiekiem, który przychodzi po pieniądze.

— Jak pan śmie przemawiać w ten sposób do mojej żony? Marqueritto, czy masz jakieś rachunki z tym osobnikiem?

Bezsilne milczenie.

— A więc... to zwykły szantaż!

— Co?

Oczy Rauna błysnęły złowrogo.

— Zwykły szantaż, powtarzam!

Suchy trzask policzka zabrzmiał niesamowicie w nagłej, przeraźliwej ciszy.

* * *

Sala była bardzo jasna. Wyfroterowaną starannie podłogę posypano roztartą kalafonją i biały proszek lśnił się miljonami drobnych kryształów w świetle zapalonych lamp.

Przeciwnicy, obnażeni do pasa, stali naprzeciwko siebie: czterech czarno ubranych panów omawiało pośpiesznym szeptem ostatnie szczegóły.

Po chwili jeden z nich wyszedł na środek, spojrzał przez monokl na stojących nieruchomo zapaśników i spokojnym głosem zawołał:

— Panowie, proszę na stanowiska!

Dwaj mężczyźni zbliżyli się do siebie.

— Po raz ostatni wzywam panów do pojednania się! Panowie odmawiają? A zatem powtarzam warunki pojedynku. Walka ma trwać aż do chwili, w której jedna ze stron nie będzie w stanie utrzymać szpady w ręku. Proszę się całkowicie podporządkować moim komendom. Panowie zobowiązują się do tego? A zatem... Baczność... Naprzód!...

Zgrzyt stali o stal. Błyskawice ciosów. Przyśpieszony, nierówny oddech.

— Stój!

Andrzej Lussac puścił rękojeść szpady, która miękko wpiła się w lewą pierś przeciwnika. Raun rozchylił bezwładną rękę, broń z przejmującym brzękiem upadła na posadzkę. Lekarze pochylili się nad rannym... Jeszcze kilka świszczących oddechów, kurczowe zaciśnienie powiek i powolne rozprężenie napiętych mięśni.

Jeden z doktorów podniósł przerażone oczy.

— Nie żyje...

* * *

Wieczór ten nie różnił się niczem od wielu poprzednich. Reflektory oświecały starannie każdą nierówność szosy, ostrzegawcze tablice, majaczące jak upiory na zboczach, upominały rozpiętemi ramionami kierowcę.

Inżynier Vernon Crains spoj-

rzał na zegarek; już dziewiąta... Jeszcze dwa zakręty i biała linja parku.

Krótki, urywany dzwonek.

Pani Lussac podbiegła do drzwi.

— Vernon!...

Mężczyzna był bardzo poważny. Oczy jego, lśniące zawsze ciepłym, namiętnym blaskiem, przesłoniła dziwna, bolesna zaduma.

— Już?!...

— Tak, już...

Chwila złowrogiego milczenia.

— Czy jest ranny?

— Nie żyje.

— Andrzej?!...

— Nie, Piotr Raun.

Pani Lussac opadła w fotel i zasłoniła twarz rękami. Cisza dotknęła aksamitnem, a jednak pełnem bólu muśnięciem ściany wysokiego hallu.

— Marqueritto...

Zadrżała na dźwięk tego słowa.

— Marqueritto, czyś powiedziała mężowi, co zrobił dla ciebie Piotr Raun?

Niema odpowiedzi. Inżynier Crains przymknął oczy.

— Nie powiedziałaś mu... Dlaczego?...

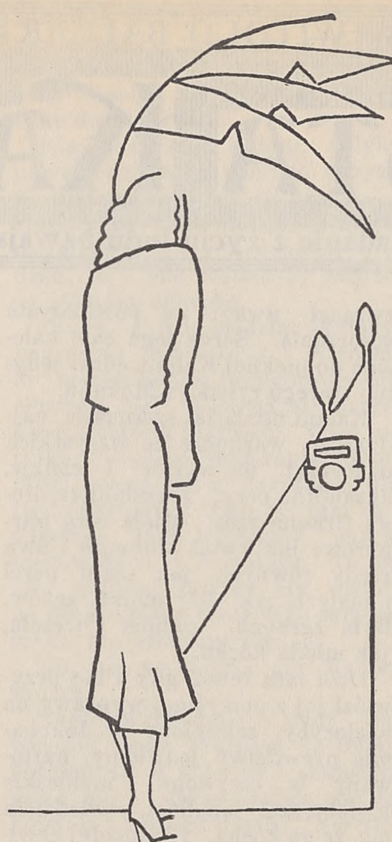
Suche, nerwowe łkanie.

— Dlaczego, Marqueritto?

— Och, nie mogłam, nie mogłam, Vernon...

— Nie rozumiem cię... Nie mogłaś?

— Nie mogłam, zrozum... Przecież musiałabym powiedzieć wszystko... I to, że nie byłam jego siostrzenicą, i to, że pracowałam w kwiaciarni, i to, że mój ojciec ukradł pieniądze...



..oddalający się szum motoru... a potem straszliwa cisza...

Pionowa zmarszczka przecięła czoło mężczyzny.

— Tak... rozumiem. A przecież, gdybyś powiedziała — Raun nie zostałby zabity...

Zapłakała głośno.

— Czy to moja wina, że się tak stało?...

Inżynier uśmiechnął się smutno.

— Nie, naturalnie, że nie...

Jeszcze chwila przejmującego milczenia. Crains zdławił spazm, pełznący nieznośnie do gardła.

— Odchodzę, Marqueritto...

Zerwała się z fotela.

— Och, nie, Vernon, nie!! Bałam się tego, czułam, że zechcesz tak postąpić. Nie zostawiaj mnie... Vernon!

Mężczyzna opuścił powieki.

— Nie, Marqueritto, nie mogę... To jest silniejsze ode mnie... Muszę odejść, muszę... Może kiedyś wrócę...

—Nie wrócisz nigdy...

— Tak, myślę, że nie wrócę nigdy...

Przytłumione trzaśnięcie zamykanych drzwi, oddalający się szum motoru... a potem cisza, straszliwa, zabójcza cisza, przytłaczająca nawet nieznośny stuk uciskanego zdrętwiałą ręką serca.

KAZIMIERZ LASKOWSKI.

SMUTNO MI BOŻE!

Smutno mi Boże!
Wioską mazowiecką
Z rozpiętym krzyżem u piaszczystej dróżki
Idzie za służbą z ojców chaty — dziecko,
Bosemi nóżki...
Że dlań zabrakło chleba na tym łanie —
Smutno mi, Panie!
I ja tak niegdyś szedłem między ludzi
Po uznojoną miskę soczewicy...
Więc widok dziecka roje wspomnień budzi
Własnej tęsknicy!
Jaką też dolę dziecina wyorze?
Smutno mi, Boże!

Smutno mi, Boże!
Zmierzchem na wygonie
Ptaszęce rzesze zapadły klekotem
Przyszły pożegnać macierzyste błonie —
Żegnać z odlotem.
Że nie powrócą, aż w wiosny zaranie,
Smutno mi Panie!
Nad moją chatą również ku jesieni
Bocianie wiece zataczały kołem
I powracały w wiośnianej zieleni
Płynąc nad siołem...
Że człowiek ptakiem powrócić nie może,
Smutno mi, Boże!

WITOLD BALCER

ZEMSTA KAHUNY

Opowiadanie z życiu ludu hawajskiego

UME siedział na cyplu skalnym, daleko wrzynającym się w morze i dumał. W ręku trzymał wędkę, ale myśli jego snać daleko odbiegły, gdyż nie zauważył wcale, że pływak zaczął skakać i wreszcie znikł pod wodą. Oprzytomniał dopiero, gdy wędka wysunęła mu się z ręki, ciągniona przez złapaną rybę, i wpadła do wody. Zwinnie, jak młoda foka, Ume dał nurka, schwytał uciekającą wędkę i po chwili znów wygramolił się na swe stanowisko na skale.

Zdjął z haczyka złapaną rybę i wrzucił ją do stojącego obok naczynia z wodą, w którem trzepotało się już kilka poprzednio złapanych ryb.

— Będzie dość na dziś — mruknął do siebie.

Zwinął wędkę starannie, lecz z miejsca się nie ruszał. Prostopadłe promienie podzwrotnikowego słońca padały wprost na jego kędzierzawą czuprynę, mokrą jeszcze po niedawnej kąpieli, i ślizgały się po obnażonem do pasa ciele, uwydatniając atletyczną i zgrabną budowę. Nietylko na wyspie Molukai lecz i na całym archipelagu Hawajskim nie znalazłoby się bodaj dziesięciu zuchów, równych mu siłą, odwagą i zwinnością ruchów.

Ume pływał i nurkował jak delfin, był wytrawnym marynarzem, gdyż kilkakrotnie już brał udział jako harpunnik w wyprawach na wieloryby, docierając aż do brzegów Alaski i Kamczatki. Umiał nawet czytać i pisać po angielsku, ponieważ przez cztery lata chodził do amerykańskiej szkoły misjonarskiej. A przytem jakże pięknie śpiewał stare hawajskie i nowe amerykańskie piosenki, do których sam sobie akompanjował na ukulele lub banjo.

Wtedy czarne, wilgotne oczy miejscowych dziewcząt zapalały się żywym ogniem i błyszczały jak świeża, rozpalona lawa w kraterze wulkanu. Lecz Ume nie zwracał uwagi na powłóczyste spojrzenia. Serce jego całe należało do pięknej Kalani, córki jedynej starego rybaka z Mokapu.

Kalani miała lat szesnaście, najdłuższe warkocze ze wszystkich dziewcząt na wyspie i wielkie, aksamitne oczy, przysłonięte długą firanką rzęs. Miała usta purpurowe jak kwiat hibiscusa i dwa rzędy równych, jak sznur pereł i białych jak kły morsa, zębów. Była zgrabna, zwinna i wesoła, jak młoda kózka.

Dwa lata temu, gdy Ume przywiózł jej z pomyślnej wyprawy na wieloryby, zakupiony w Jokohamie prawdziwy jedwabny, haftowany w czerwone i niebieskie kwiaty, szal japoński, powiedziała mu, że go kocha, i że każdej chwili, jak tylko ojciec pozwoli, zostanie jego "wahine".

Wtedy Ume, jak przystało według starego zwyczaju, złożył staremu Taine stosowne podarunki i zapytał, jakiego okupu życzyłby sobie za oddanie mu Kalani za żonę.

Taine jednak podarunków nie przyjął, a na usilne prośby zgodził się zaledwie zatrzymać przepyszny nóż składany i funt tytoniu do żucia, poczem oświadczył, że Kalani jest jeszcze bardzo młoda, spieszyć się więc nie ma celu. Jednem słowem odpowiedział ani tak ani nie.

Ume domyślał się, jaka była przyczyna takiej wykrętnej odpowiedzi. Jeszcze sześć czy osiem lat temu, kiedy Kalani była małą dziewczynką, stary Taine przyobiecał ją znachorowi Kahunie, temu wstrętnemu czarownikowi, który miał zęby spiłowane i pożółkłe od ciągłego żucia betelu i prymki.

A było to tak:

Kahuna wyratował Taine od śmierci z paszczy rekina i wyleczył go z ciężkich ran, otrzymanych przy tej sposobności. W nagrodę wymógł na Taine przyrzeczenie, przypieczętowane uroczystą przysięgą na wszystkie złe i dobre duchy, że gdy Kalani dojdzie do lat, otrzyma ją za żonę.

Tej przysięgi złamać przecież nie było można, to też Taine stopniowo przyzwyczajał się do myśli, że inaczej być nie może, widząc jednak niechęć ślicznej swej córki do wstrętnego znachora, zwlekał, aby zyskać na czasie.

Ume wiedział o tem wszystkiem. Gdyby rywalem jego nie był Kahuna, lecz którykolwiek z jego rówieśników, dawno by mu dobitnie wytłumaczył swemi stalowemi pięściami konieczność zrzeczenia się słusznych czy urojonych praw.

Lecz Kahuna był nietykalny. Broniła go tradycja godności kapłana-wróżbity, piastowanej przez ród jego w niezliczonej liczbie pokoleń. Pradziad jego był głównym kapłanem jeszcze za czasów króla Kamchamchi, a chociaż misjonarze amerykańscy wymową i podarunkami przerobili z biegiem czasu wszystkich prawie hawajczyków na chrześcijan, to jednak stary kult i wiara w złe i dobre duchy pozostały niewzruszone w głębi dusz krajowców.

Pozatem Kahuna słynął ze zdolności sporządzania niezawodnych, skrycie działających trucizn i biada temu, który ośmielił się stanąć na jego drodze.

I teraz, niedalej jak miesiąc temu przy spotkaniu się z Ume, Kahuna mu groził: — Pamiętaj Ume, będzie źle, lepiej poszukaj sobie innej dziewczyny...

A kiedy Ume w odpowiedzi zaśmiał się lekceważąco, dodał jeszcze Kahuna:

— Jeżeli Ume jeszcze raz pójdzie na schadzkę z Kalani, spotka go kara złych duchów i ciało jego dotknie trąd. Wtedy już żadna dziewczyna nie zechce Ume...

W kilka dni potem Ume, wracając wieczorem do domu ze spotkania z Kalani, potknął się w progu o starą kotwicę, która zwykle spokojnie rdzewiała sobie gdzieś

wkącie podwórza, i skaleczył sobie nogę poniżej kolana. A następnej nocy przyśnił mu się Kahuna, który pluł na jego skaleczoną nogę i potwarzał:

— Teraz ciało Ume dotknie trąd i żadna dziewczyna go nie zechce.

Ume obudził się cały oblany potem i przez kilka dni był pod wrażeniem snu. Tymczasem noga zagoiła się zupełnie i została na niej tylko maleńka blizna, która jednak nie chciała zniknąć, chociaż już minęło prawie całe trzy tygodnie. Blizna ta swędziła go, ale Ume stopniowo przestał zwracać na nią uwagę.

Wczoraj, podczas spotkania z Kalani, długo rozmawiali i debatowali nad tem, jak skłonić starego Taine, aby wreszcie zgodził się na ich małżeństwo. Ostatecznie zadecydowali, że w razie dalszego oporu ze strony ojca, uciekną do Honolulu lub Hilo.

Sprawa była dość skomplikowana, gdyż Kalani była niepełnoletnia, więc żaden misjonarz nie zechce udzielić im ślubu, a policja, którą niewątpliwie Kahuna naszczuje na nich, odnajdzie ich, wtedy Kalani odeślą do ojca, a Ume do więzienia. Co robić zatem?

Zagadnienie to, trudne do rozwiązania, tkwiło w głowie Ume od wczorajszego wieczora, nie znajdując zadawalającej odpowiedzi.

Nic też dziwnego, że Ume od samego rana był srodze roztargniony i łowiąc ryby, myślał zupełnie o czem innem.

Blizna na nodze zaczęła go swędzić. Ume podrapał się w nogę. Wtem jakaś niepokojąca myśl przyszła mu do głowy. Zawinął nogawicę i uważnie zaczął przyglądać się bliźnie. Była jeszcze bielsza niż przedtem i pokryta jak szronem, łuszczącym się nalotem.

Ume poczuł, że wszystka krew zbiega mu do serca i w piersiach zabrakło oddechu. Nie miał już wątpliwości... Groźba przeklętego Kahuny stała się rzeczywistością. Spełnił się złowrogi sen — Ume dostał trądu...

Nie będzie miał Kalani. Gdyby nawet chciała go pomimo wszystko, nie pozwala na to prawo, a zresztą sam Ume nie zgodziłby się na małżeństwo z ukochaną, wiedząc, że i ona została by zarażona straszną chorobą.

Długą chwilę siedział skulony, pogrążony w rozpaczy. Więc taki marny koniec przygotował mu złowrogi los? Więc na nic marzenia o szczęściu i miłości. Więc już tylko powolne umieranie przez długi szereg lat w Przytułku dla trędowatych... Ume był tam raz, odwożąc jako marynarz partję trędowatych z Honolulu. To, co tam widział, zatruło mu spokój na długi czas, a teraz jego samego czeka ten straszny los...

Nie, nie, po stokroć nie! Raczej śmierć.

Nagle przypomniał sobie ten wieczór, gdy wracając do domu potknął się o kotwicę i skaleczył sobie nogę. Skąd wzięła się ta kotwica na progu domu? Nie ulega wątpliwości, że to sprawka tego starego łotra Kahuny, tego nikczemnego truciciela.

Ale Ume zemści się. Dla niego życie już się skończyło, więc umrze, ale przedtem zamorduje wroga. Pożegna tylko Kalani... Ostatni raz powie jej, że ją kocha... Chociaż po co łamać serce jej przedwcześnie... Ume poczuł, że to byłoby ponad jego siły. Napisze jej ostatnie słowa pożegnania, wytłumaczy przyczynę. Kalani jest młoda. Popłacze, potęskni, a potem znów życie będzie się do niej uśmiechało.

Tak będzie najlepiej.

W kieszeni bluzy znalazł ostatnie świadectwo marynarskie i ołówek.

Gdy skończył pisać, złożył starannie papier i schował go do kieszeni.

Na twarzy miał wyraz ponury ale spokojny i zdeterminowany.

Zaczął wkładać bluzę i zabierać się do odejścia.

Wtem usłyszał szelest kroków. Obejrzał się i zobaczył starego Kahunę.

Nie będzie potrzebował długo czekać na dokonanie zemsty. Zdjął bluzę i przycisnął ją kamieniem.

— Hallo, Kahuna! — zawołał. — Chodź tylko tu, pokażę ci, jaką dziwaczną rybę złapałem dzisiaj!

Czarownik zawahał się przez chwilę, lecz nie podejrzewając nic złego, zbliżył się do Ume i zajrzał do naczynia z rybami.

Na to tylko czekał Ume. Jak orzeł morski rzuca się na rybę, tak on skoczył na Kahunę. Stalowe jego ręce jak macki polipa zacisnęły się na szyi czarownika, aż temu oczy wyszły z orbit i twarz posiniała.

— Nie dostaniesz Kalani, ty stary trucicielu! Zniszczyłeś moje szczęście, ale i sam zginiesz — zasyczał Ume przez zaciśnięte zęby.

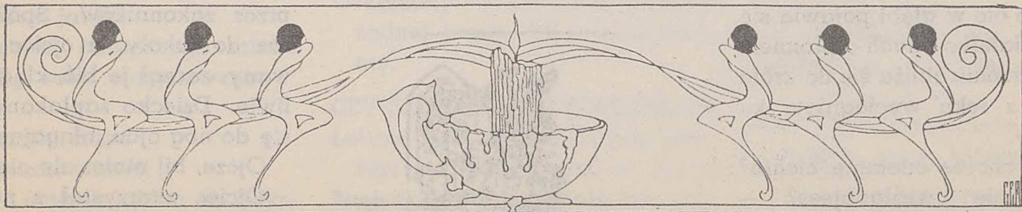
Jeszcze chwil kilka trzymał szyję Kahuny w żelaznym uścisku, dopóki nie poczuł, że trzyma w rękach już tylko trupa... Wtedy jednym silnym zamachem wrzucił bezwładne zwłoki Kahuny w spienione fale morza.

* * *

Na drugi dzień znaleziono ciało Ume ze strzaskaną głową u stóp stromej skały. W kieszeni bluzy była kartka z imieniem Kalani.

W kilka dni potem fale morskie wyrzuciły na brzeg trupa Kahuny, dobrze już obgryzionego przez ryby.

Kalani długo płakała po stracie ukochanego i długo nie było słychać na brzegu jej wesołego śpiewu i śmiechu.



KĄCIK DLA DZIECI



GDZIE JEST BÓG?

Wolter, przechadzając po swym parku, spotkał bawiące się dziecko. Zapytał je, jakiego jest wyznania?

Jestem katolikiem.

A umiesz katechizm?

Umiem.

Widzisz to pokryte jabłkami drzewo? wszystkie owoce ci dam, jeśli odpowiesz mi jedno pytanie.

Odpowiem, jeśli tylko jest ono w mym katechizmie.

Dam ci wszystkie te jabłka, jeśli mi powiesz, gdzie jest Bóg?

Po chwili namysłu dziecię odrzekło:

A czy pan mógłby mi powiedzieć, gdzie go niema?

Słowo to jak piorunem uderzyło w Woltera, który odszedł natychmiast, nie pytając już dziecka o nic.

OJCOBÓJSTWO ....

Pewien książe duński zabił ojca, by prędzej wstąpić na tron. Zbrodnia udała mu się. W pałacu królewskim jasno było i huczno; uczty i zabawy odbywały się nieustannie. Czasem tylko dworzanie widzieli jak oblicze monarchy zasępiało się. Król jednak cierpiał. Wieczorem przy świetle pochodni zdawało mu się, że ręce jego są pokryte krwią. Pewnej nocy, podczas uczty, zawołał nagle:

— Pogaście światła!

Przerażeni dworzanie spełnili jego rozkaz i ciemność zaległa salę. Ale oto w głębi pojawia się blade światełko i duch o płomiennem spojrzeniu zbliża się do króla milcząc, z ręką wyciągniętą ku ojcobójcy.

Czego chcesz odemnie cieniu? Czego mnie prześladujesz? — woła książe.

Ale duch milcząc zbliżał się coraz bardziej.

— Stój! Powiedz kim jesteś!

Duch posuwa się naprzód milcząc jak grób, a sala zajaśniała krwawem światłem.

— Poznaję cię duchu! Jesteś mym ojcem!

— Nie, nie jestem twym ojcem. Ojciec twój przebaczyłby ci, morderco. Ale ja nie przebaczam nigdy. Jestem wyrzutem sumienia.

KLEJNOTY KORNELII

Szlachetna Rzymianka, imieniem Kornelja, zabiegała troskliwie około jak najlepszego wychowanie swych dwóch synów. Raz przyszła do niej w odwiedziny przyjaciółka strojna w złoto i drogie kamienie, z czego widocznie była bardzo dumną. Dowodem tego były słowa, z jakimi zwróciła się do Kornelji, mówiąc: "Kochana przyjaciółko, gdzież się podziewają twoje klejnoty?" — Kornelja zawołała na swych synów, a gdy się natychmiast i grzecznie stawili, rzekła z uśmiechem: "Oto moje klejnoty". (Ci dwaj synowie Kornelji, jak uczy historja, bardzo się przysłużyli później swemu krajowi.)

Miała słuszność ta szlachetna Rzymianka. Dobre bowiem wychowanie dzieci jest dziełem Bogu miłem, a zatem zasługującem, podczas gdy udanie zewnetrzny na nic się nie zda: ni Bogu na chwałę, ni ludziom na pożytek!



DOBRA NAUKA

Pewien wieśniak powrócił z wojska na wieś pod dach rodzinny. W niedzielę matka zapytała go, czy pójdzie do kościoła. Ale odpowiedział:

— Nie, matko, widziałem pół świata i zanadto dużo wiem, aby modlić się jak stara baba.

— A więc myślisz, że obejdziesz się bez Pana Boga?

— Nie, tylko przyszedłem do przekonania, że zawsze będzie to co być ma i nie warto o nic prosić i nudzić Boga.

Zasmucona matka poszła sama do kościoła nie przygotowując nic na obiad.

Przyszła godzina obiadowa. Matka nie podała obiadu. Syn zapytuje co to ma znaczyć. Staruszka odpowiedziała:

— Nic nie przygotowałam.

— A to dla czego?

— Bo rozumię tak, jak ty. Będzie co być ma; nie warto się niepokoić. Jeśli mój syn ma dostać dobry obiad, to dostanie i bezemnie, a jeśli nie to się obejdzie.

Syn zrozumiał nauczkę i rzekł.

— Niech mama zrobi obiad, a w przyszłą niedzielę razem pójdziemy do kościoła.

BIJ MNIE, ALE NIE KLNIJ

Śliczny przykład dało raz dziesięcioletnie dziecko wychowane przez zakonników. Spóźniło się raz do szkoły, a ojciec rozgniewany, zaczął je bić, klnąc straszliwie. Dziecko zapłakane rzuciło się do nóg ojcu, błagając:

Ojcze, bij mnie, ale nie klnij.

Ojciec skorzystał z nauczki i przestał odtąd kląć.



Przepisy Kucharskie

NADZIEWANE ZIEMNIAKI

2 łyżki roztopionego tłuszczu
2 łyżki tartego sera
6 dużych ziemniaków
1 żółtko z jaja
Sól i pieprz do smaku

Wymyć dobrze sześć gładkich białych ziemniaków i posmarować tłuszczem. Piec, aż będą miękkie, obciąć czubek i łyżeczką wybrać wszystek miącz z łupiny. Udusić ziemniaki z tłuszczem, serem, solą i pieprzem; wymieszać z żółtkiem. Nadziać łupiny i piec przez 15 minut. Podać gorące.

MAKARONIKI Z CORN FLAKES

2 białka z jaja
1 filiżanka cukru
½ łyżki wanilji
1 filiżanka orzechów kokosowych
2 filiżanki Corn Flakes
½ filiżanki posiekanych orzechów.

Ubić białko na gęstą pianę, dodawać stopniowo cukru, dodać wanilję, orzechy kokosowe, Corn Flakes i orzechy. Nakładać łyżką na formę wysmarowaną masłem i piec w wolnym piecu, dopóki makaroniki nie zrumienią się.

CUSTARD JABŁKOWY

2 filiżanki jabłek
2 filiżanki porażonego mleka
1 łyżkę soku cytrynowego
4 jaja
½ filiżanki cukru
½ łyżeczki wanilji

Włożyć surowe jabłka do młynka do mielenia, aby uzyskać 2 filiżanki. Dodać sok z cytryny i umieścić w patelni wysmarowanej masłem. Zrobić miękki custard w zwykły sposób, używając żółtek z jaj, ½ filiżanki cukru, mleko i wanilji. Nalać custard na jabłka, ubić, pianę z jabłek, cukru i wanilji. Nałożyć piankę na custard i piec przez 15 minut w średnio gorącym piecu. Gdy wystygnie ubrać cienkimi płatkami galaretki.

PORADY KUCHENNE

Odór ryb z rąk usuwa potarcie suchą musztardą.

Mały kawałek charcoal dodany do wody z gotującą się kapustą zabije przykry odór.

Przy podawaniu herbaty powinno się na stole postawić cukier wymieszany z cynamonem tak, aby nim można było posypać ciasto gdy ktoś lubi.

Gdy się kupuje cytryny i pomarancze najlepiej można osądzić wartość ich po wadze w ręku. Ciężki z cienką skórką są najlepsze.

Nową miotłę przed użyciem należy zamoczyć w gorącej wodzie z mydłem. W skutek tego twardnieją włókna.

HUMOR

TRAFNA ODPOWIEDŹ

Ksiądz: — Janku, powiedz mi, co było po potopie?
Janek: — Błoto, proszę księdza.

OKOLICZNOŚCI ŁAGODZĄCE

Sędzia: — Oskarżony tak pobił oskarżyciela, że ten dwa tygodnie nie mógł pracować. Co oskarżony ma na swoje usprawiedliwienie?
Oskarżony: — On i tak nie miał żadnej pracy, bo jest bezrobotny.

CZY SŁUSZNA PODEJRZLIWOŚĆ

Lekarz: — A więc musi pan przestać pić, palić i grać w karty.
Pacjent: — Panie doktorze, czy tu przypadkowo nie była przed chwilą moja żona?

RĘCZNA ROBOTA

— Coś ty, Feluś, taki spuchnięty?
— A bo widzisz, poszedłem w fabryce za blisko do jednej maszyny.
— Nie bujaj. To za bardzo wygląda na ręczną robotę.

SZCZEGÓLNY KOŃ

Chłop sprzedał swego konia furmanowi. Nazajutrz przybiega przerażony furman i mówi:

— Wiesz, koń którego od ciebie kupiłem, zdechł mi tej nocy!

— To szczególne! przez cały czas, jak tego konia miałem u siebie, nigdy mi się coś podobnego nie wydarzyło.

ZAGADKI

1 —

Rośnie na górze cienki las,
Trzeba go ścinać co pewien czas,
A co się zetnie, wyrzucić, stracić,
I jeszcze za ścięcie zapłacić.

2 —

Jestem najciemniejsza,
gdy najjaśniej bywa,
Najcieplejsza wtedy,
kiedy jest najzimniej,
I znów najzimniejsza,
gdy jest najgoręcej.

3 —

Jest to osoba, jakich wiele
w świecie,
I w swej rodzinie także ją
znajdziecie,
Bywa tez z mąki, pieczywo to
znane,
Jest też rośliną, kładą ją na ranę,
Wszystkie te rzeczy mają
wspólne imię.
Którego szukaj w tej zagadki
rymie.

4 —

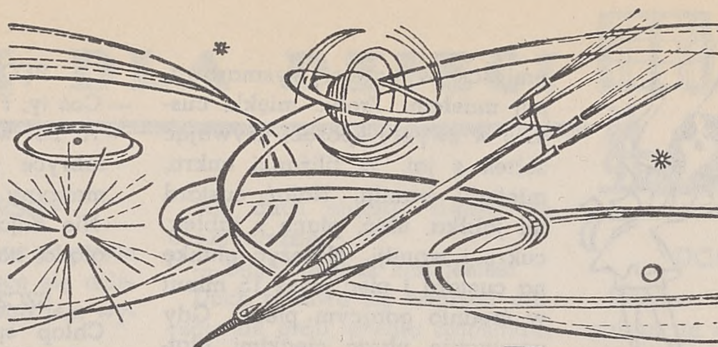
Jest mieszkaniem bez drzwi,
z którego właściciel wychodzi.

5 —

Dwóch braciszków, którzy zawsze
robią tę samą robotę.

ODPOWIEDŹ —

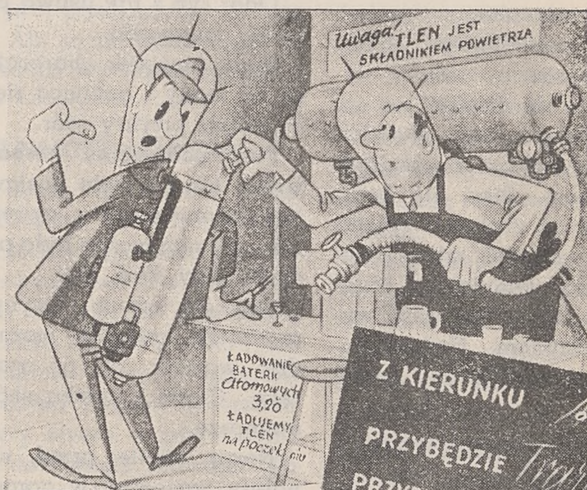
1. Włosy na głowie. 2. Piwnica. 3. Babka. 4. Jajko. 5. Oczy.



Na gwiazdki w Niebie

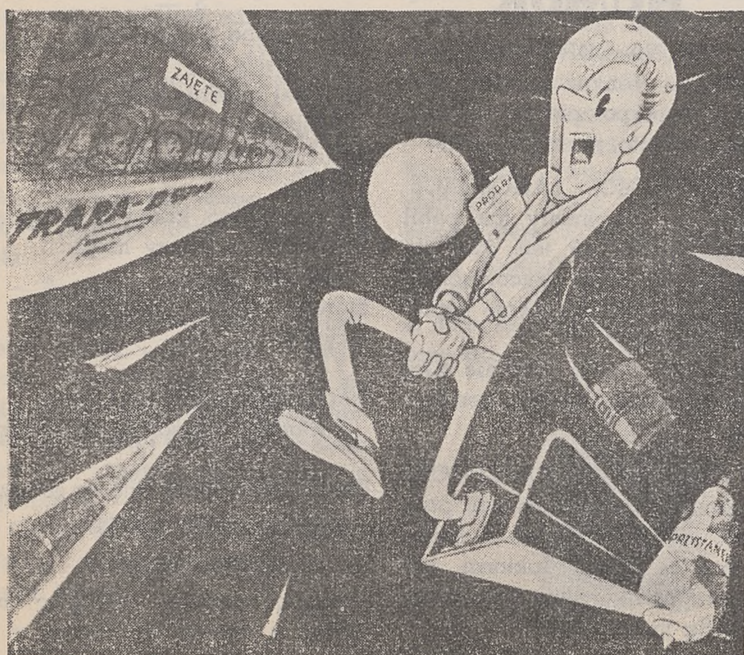
Podróże kształcą. Podróże astronautyczne tym bardziej. Astronomowie, astrofizycy, astrobotanicy, astromedycy, astroelektrycy, astrochemicy i inni, w ogóle... astrowszyscy z niecierpliwością czekają na pierwszy lot poza Ziemię. Wprawdzie dalecy jeszcze jesteśmy od rakiet wycieczkowych Transorbisu, ale... śmiało spójrzmy w przyszłość. Pomogą nam rysownicy redakcji dwutygodnika niemieckiego *Zeit im Bild*.





— Tlen?
— Nie, piwo!





— Spóźniłem się! No, teraz długo poczekam. Ta była ostatnia.

C. BECKER

GŁOS KRWI

POTĘŻNE, tryumfujące akordy Veni Creator uderzyły w sklepienia świątyni. Ksiądz związał stułą ręce nowożeńców i pobłogosławił ich na nową drogę życia.

Młodzi szli od ołtarza między rzędami tłumnie zgromadzonych gości. Piękne ich twarze promieniały takiem głębokiem, doskonałem szczęściem, że, zdawałoby się, niema mocy, którąby zdolna była szczęście to zakłócić.

Wtem między ławkami przecisnął się blady człowiek z obłąkanemi oczyma i, rzuciwszy się na ziemię, wpoprzek drogi nowożeńców, krzyknął

— Przez życie moje do szczęścia! Podli! —

Na ten widok powstał popłoch. Panna młoda zemdlała, — pan młody silnemi ramiony uniósł ją w górę i, ominąwszy leżącego na ziemi mężczyznę, na rękach zaniósł ją do stojącej przed kościołem karety.

Ciężkie milczenie zapadło wśród weselnych gości. Nikt nie śmiał odezwać się słowem. —

Powszechnie znane były dzieje nieszczęśliwej miłości maszynisty kolei C P & A, Howarda Benningtona, do miejscowej nauczycielki, Edny Green. Rok temu Bennington zaręczył się z Edną. W karnawale miał odbyć się ślub, aż tu naraz pojawił się w miasteczku nowy urzędnik tejsamej kolei, młody i przystojny Edgard Wesley. Od pierwszego widzenia Edny, przybysz rozkochał się w niej szalenie i zdołał pozyskać jej wzajemność.

Pomimo długoletniej przyjaźni i słowa danego Benningtonowi, Edna oddała swe serce jego rywalowi. Nic nie pomogła rozpacz Howarda, na nic się zdały prośby i nalegania rodziców i przyjaciół — piękna dziewczyna była niezłomna. Zerwała z narzeczonym i zaręczyła się z Wesley'em.

Odtrącony Bennington nie posiadał się z rozpaczy. Najsprzeczniejsze uczucia miotały nim, jak miota wicher osamotnionem w polu drzewem. Raz chciał się zabić, to znów zamordować wiarołomną i jej wybranego. W końcu wpadł w taką apatję, że rodzina lękała się o jego umysł.

I oto dziś, podczas ślubu rozegrała się wspomniana scena. Goście rozeszli się w milczeniu. Kościelny pogasił świece, a Bennington wciąż leżał na ziemi. Poczciwy starowina postał nad nim, pokiwał smutno głową i poszedł do drzwi, pobrzękując kluczami.



Przywlókłszy się do domu, usiadł przy oknie i popadł w ciężką zadumę.

Na brzęk kluczy ocknął się Bennington z odrętwienia; jak zbudzony ze snu, podniósł się na łokciu, i, uprzytomniwszy sobie widocznie co się stało, ztrudem dźwignął się z posadzki i poszedł ku wyjściu. Przywlókłszy się do domu, usiadł przy oknie i popadł w ciężką zadumę. Myśli kłębiły mu się w głowie chaotycznym rojem. Nie mógł powstrzymać tej gmatwaniny. Jedno tylko czuł wyraźnie, jedno wyłaniało się z tego bezładu: Edna — żoną innego! O dziesiątej wieczorem wyjeżdżają razem miejscowym pociągiem. Wesley sam poprowadzi maszynę...

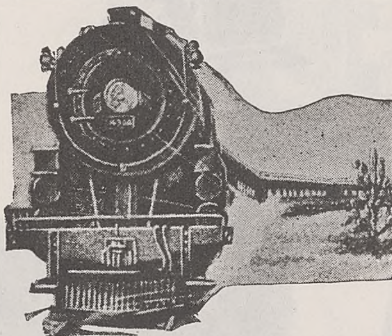
Głowa płonęła mu, myśli skakały jak błyskawice. I znów po raz tysiączny: zabić ją... Nie! Raczej siebie... a może jego... A potem szloch z pod serca — Kochana! — Jedyna! Jakżebym mógł cię skrzywdzić...

I wtedy, jak ostrze sztyletu, znów ten okrutny błysk świadomości.

— Dziś przecież odbył się jej ślub z innym! Sam był świadkiem, jeszcze im urozmaicił uroczystość sceną z prowincjonalnego melodramatu. Sądził wprawdzie, że to trochę inaczej wypadnie. Ale trudno, nie udało się — nerwy go zawiodły. —

Tu uprzytomnił sobie, że całe jego dzisiejsze zachowanie się było głupie i poniżające.

— Melodramat — pomyślał — z wściekłością, — i to grany przez lichych amatorów! Żałowali go — nawet ten poczciwy kościelny dał mu jałmużnę litości. A ona! Ha, ha, ha, to ją dopiero przestraszył — biedaczka, zemdlała ze wzruszenia... Podła! Podła! Jak ona mnie kochała, jak przysięgała, że żyć bezemnie nie może! Wiarołomna! Pogardzam nią! wołał, choć serce jęczało: Kocham, kocham po stokroć kocham!



Jak długo siedział tak w odrętwieniu, nie zdawał sobie sprawy. Czas mijał. Tymczasem noc zapadła i gwiazdy zabłysły na wiosennem niebie. Dopiero gdy księżyc rozświecił ciemności i oblał srebrzystym blaskiem dachy kolejowych budynków ocknął się, wstał i nacisnąwszy na głowę czapkę, wyszedł z domu. Odruchowo udał się na stację kolei. O dziesiątej miał odejść fatalny dlań pociąg. Potwór, co porywał mu szczęście. — W miasteczku było cicho. Ciszy tej jasnej, melancholijnej nocy nie zakłócał najlżejszy wiaterek.

Bennington doszedłszy do stacyjnego zabudowania zatrzymał się i po chwili szybkim krokiem skręcił do klombu krzewów, zdobiącego stację. Ukrył się w gąszczu. Owiała go woń wiosennych liści. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziesiąta.

Na peronie pełno było ludzi. Poznał wśród nich większość weselnych gości. Widocznie przybyli pożegnać młodą parę. Pociąg stał już na torze. Maszyna i przyległy jej wagon były przystrojone zielenią. Zapewne był to wagon przeznaczony dla panny młodej. Koło parowozu stał Wesley. Na jego widok Bennington poczuł prawie fizyczny ból. Coś go pchnęło naprzód — wystąpił z krzaków. Niektórzy z obecnych poznali go. Uchwycił kilka współczujących spojrzeń.

— Głupcy! — pomyślał, — przypuszczają, że znów urządzę im widowisko! Jestem tu poprostu dlatego, że chcę widzieć szczęśliwą parę odjeżdżającą w poślubną podróż, a to przecież rzadki widok!

Wtem odskoczył jak oparzony i ponownie ukrył się w cieniu. Do wagonu przystrojonego zielenią szła Edna, Green pod rękę z matką. Była blada i oczy miała podkrążone — znać było, że płakała. Tłum gości otoczył ją kołem. Podawano jej kwiaty, pudła słodyczy, a ona dziękowała, uśmiechając się przez łzy. Wtem wzrok jej padł na wychylającą się z cieniu twarz Benningtona. Uśmiech zamarł jej na ustach. Spojrzała wokoło bezradnie, jakby szukając pomocy. W tej samej chwili Wesley, jakby przeczuwając, że jest potrzebny, znalazł się przy niej. Spojrzała na męża z taką niekłamaną radością, że w Benningtonie wszystko zadrżało. Nowa fala gniewu uniosła go w górę... Zacisnął pięści, zgrzytnął zębami i patrzył przed siebie pomętniałym z wściekłości i rozpaczy wzrokiem. Krew uderzyła mu do głowy. Ostatnim wysiłkiem woli hamował się. Spojrzał na zegarek — dwie minuty do odejścia pociągu...

Wesley, pożegnawszy się ze wszystkiemi, zajął już stanowisko na lokomotywie. Edna po raz ostatni rzuciła się matce na szyję, poczem przechodziła kolejno w ramiona ojca, braci, sióstr i przyjaciółek. Zauważył, że wsiadając do wagonu była drżąca i blada ze wzruszenia. Wzrok miała spuszczony, jakby unikała spojrzeń ludzi. Benningtonowi żal jej się zrobiło. — Rozległ się gwizd maszyny, pociąg sapiąc i dysząc ruszył z miejsca.

Wtem spojrzenie Benningtona padło na Wesley'a, który wychyliwszy się z wysokości lokomotywy najwyraźniej szukał kogoś wzrokiem. A gdy spojrzenia ich spotkały się, Wesley oczy przymrużył. Benningtonowi zdawało się, że dostrzegł w oczach rywala błysk tryumfu i zwycięztwa. To zaważyło na szali ich losu...

Jak oszalały rzucił się Bennington naprzód i w kilku skokach znalazł się na stopniach lokomotywy. W wyciągniętej jego ręce zabłysł rewolwer. — Ręce do góry! — krzyknął dziko. Zaskoczeni znienacka maszynista i palacz usłuchali rozkazu. Bennington jednem uderzeniem zepchnął palacza na tor i sam rzucił się na Wesleya.... Na peronie powstał zgiełk nie do opisania. Ludzie w panicznym strachu wyciągali ręce do mknącego już w pełnym ruchu pociągu. Ale daremnie!

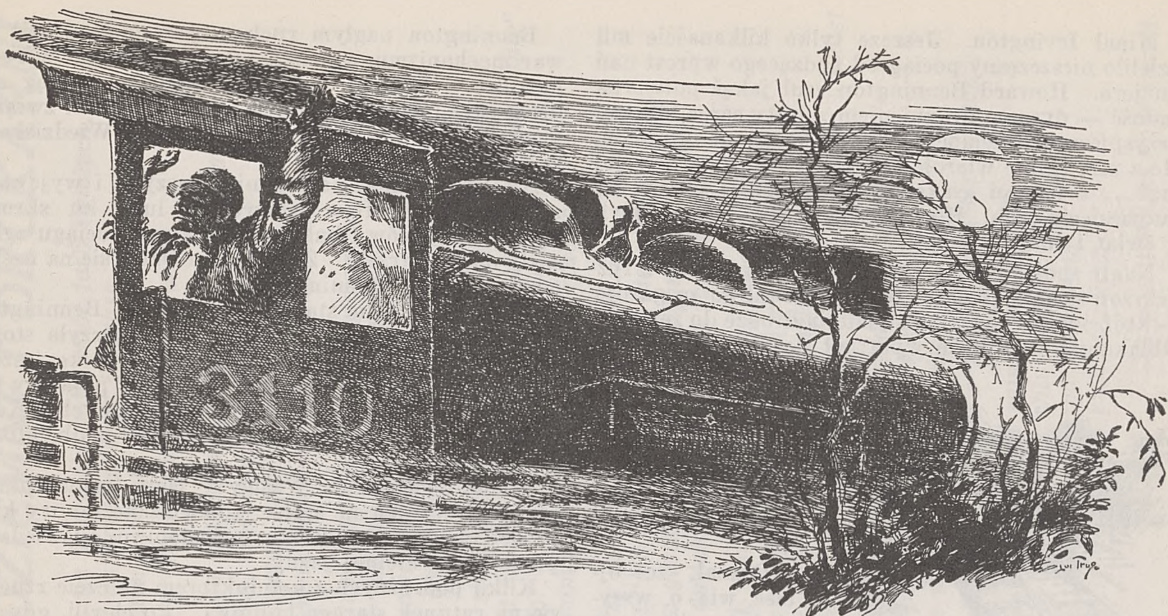
Pędzący potwór nie chciał wypuścić swych ofiar i, jakby w obawie, że go zatrzymają, mknął naprzód w coraz szybszym pędzie...

— Zabije go — wołali na peronie zrozpaczeni krewni młodej pary, — trzeba dać znać, żeby zatrzymali pociąg!

Na nic się zdały krzyki i rozpacz. Pociąg mknął całą siłą pary, nie zważając na sygnały i rozpaczliwe znaki oszalałych ze strachu budników. Stukały po stacjach aparaty telegraficzne, podnosiły się i opadały semafory. Służba kolejowa przerażona widokiem pędzącego z niezwykłą szybkością pociągu, wybiegała na stacje. Ludzie płakali, łamali ręce.

Ale pociąg głuchy na wszystko mknął naprzód, mijając przystanki i stacje.

Władze kolejowe potraciły głowy.



— Katastrofa — huczało po drutach złowieszszem echem. — Zatrzymać pociąg za wszelką cenę! Choćby miał zginąć wraz z pasażerami, inaczej mogą nastąpić stokroć gorsze, nieobliczalne wprost skutki! — nakazywały depesze i telefonogramy.

— Ale jak?!

— Zabij mnie — lecz zatrzymaj pociąg! — jęczał związany Wesley, leżąc na żelaznej podłodze lokomotywy, ale rozszalały Bennington, niepomny na nic, trwał na zdobytym posterunku.

— Za pół godziny zderzymy się z pędzącym z New Yorku kurjerem, oznajmił z piekielnym spokojem, odwróciwszy się na chwilę od rączki, regulującej dopływ pary i spojrzawszy na zegarek.

— Szatan! — harczał Wesley, wijąc się na podłodze.

Tymczasem podróżni w wagonach nie przeczuwali nawet grożącego im niebezpieczeństwa. — Jedni spali już, drudzy czytali, byli nawet tacy co jedli. Przerażeni konduktorzy, nie chcąc wywoływać popłochu i paniki, zebrali się w jednym przedziale, naradzając się co począć. Nikt nie wiedział, że Bennington prowadzi pociąg obezwładniwszy i związawszy właściwego maszynistę. Sądzili więc, że Wesleyowi coś się przytrafiło, może upił się na swojem weselu.

Tymczasem czas mijał. Już tylko minuty dzieliły skazanych na śmierć od katastrofy.

Pociąg mknął naprzód z zawrotną szybkością. Stacja Irvington była ostatnią po za którą mieli spotkać newjorski kurjer, pędzący po jednotorowej, kilkudziesięciomilowej linji bez przystanków. Dopiero w Irvington kurjer mógł się zatrzymać i dowiedzieć o "dzikim" pociągu.

Rozpaczliwie drżały i huczały druty telegrafu i telefonów. Iskrowe depesze mknęły powietrzem niosąc w dal wieść o strasznem zdarzeniu. Służba kolejowa w Irvington była powiadomiona o pędzącym na ślepo pociągu, prowadzonym ręką oszalałego Benningtona. Zawiadomiono starego jego ojca, Johna, pełniącego służbę budnika w odległości kilku mil od stacji.

Sędziwy starzec nad życie kochał syna. Rozpacz go ogarnęła na straszną wiadomość — doświadczony kolejarz jasno sobie przedstawił rozmiary katastrofy, jeżeli pociąg prowadzony przez Howarda zderzy się z newjorskim kurjerem. Stanęły mu żywo w oczach setki ofiar a w uszach brzmiał mu pogrzebowem echem płacz pozostałych po zabitych matek, ojców, mężów, żon, sióstr i braci.

A krew ich miała spaść na głowę tego syna, którego tak ukochał, który wszystkiem był dla jego starych dni. W skołatanym bólem umyśle starca powstała jedna myśl — nie przeżyć nieszczęścia, nie być świadkiem hańby, jaka spadnie na szanowane nazwisko Benningtonów.

Pociąg szaleńca mijał już Irvington. Za chwilę przemknie obok budki starego Johna.

W oczach budnika zamigotały błyskawice.

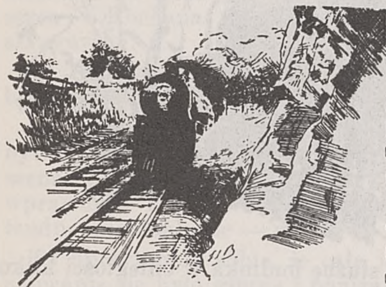
— Po moim trupie powiezie tych ludzi na stracenie — wyszeptał i porwawszy z półki wielką latarnię, wybiegł na tor. Zdaleka słychać już było huk zbliżającego się stalowego potwora. Potężne reflektory elektrycznych latarni lokomotywy zdaleka już oświecały białym blaskiem szyny i stojącą na nich postać starego Benningtona.

Z odkrytą głową otoczoną aureolą długich, jak śnieg białych włosów stał na torze ojciec szaleńca... W świetle postawionej z boku latarni i blasku reflektorów zbliżającego się pociągu, z rozpostartemi na krzyż ramionami, z twarzą, której bladość zlewała się z białością włosów i koszuli, nieszczęśliwy starzec wyrósł i wyolbrzymiał... Jak biały krzyż stanął na szaleńczej drodze syna...

Pociąg rwał naprzód całą szybkością. Na podłodze lokomotywy wciąż leżał związany maszynista Wesley, a Howard Bennington wciąż trzymał kurczowo zaciśniętą rękę na lewarze maszyny i zaszłemi krwią oczami patrzał w przestrzeń przez spotniałe szyby.

Minął Irvington. Jeszcze tylko kilkanaście mil dzieliło nieszczęsny pociąg od pędzącego wprost nań kurjera. Howard Bennington czuł jakąś potworną radość — dyszące pragnieniem zemsty serce biło mu przyspieszonem tempem — za kilka minut zginie on, ale z nim zginie wiarołomna Edna i nienawistny jej mąż... a śmierci ich towarzyszyć będzie śmierć kilkudziesięciu osób. Howard znienawidził w tej chwili świat i ludzi.

Nagle spostrzegł na torze oświeconą postać z rozkrzyżowanemi rękoma. Gniew porwał go za gardło — któż odważył się stawać mu na drodze do zemsty? Obłąkanym wzrokiem wpatrzył się w białą postać i zadrżał. Poznał starego swego ojca....



W jednej chwili przesunęła mu się przez mózg świadomość co się stanie.

Poznał, że ojciec wie o wszystkiem, że nie chce przeżyć katastrofy i, że tylko po poszarpanych szczątkach starca dojedzie do upragnionej zemsty. Pociemniało mu w oczach, a w sercu coś jakby się przerwało. Ból niezmierny, żal i rozpacz przeniknęły całe jego jestestwo. W kilku sekundach przesunęły się mu w myśli obrazy całego życia. Widział siebie jako małego chłopca, bawiącego się na kolanach ojca — przemknęły szkolne lata, pełne szczęścia i zadowolenia — widział zrozpaczonego ojca przy łożu umierającej matki — widział sam siebie przy boku Edny — w uszach brzmiały mu jego własne słowa o bezgranicznej jego dla niej miłości — odczuł rozpacz po stracie ukochanej — lata całe przeżył w jednej chwili.

Dziwne jakieś światło zamigotało w oszalałym umyśle nieszczęśnika.

Stojąca na torze jak biały krzyż wyniosła postać ojca była już niedaleko.

W duszy Howarda Benningtona toczyła się straszna walka — walka głosu krwi z pragnieniem zemsty. Głos krwi głośniej przemówił i zwyciężył.

Bennington nagłym ruchem przesunął w dół lewar mechanizmu, a drugą ręką wprowadził w ruch hamulce. Rozległ się zgrzyt stali — pociąg zadrżał cały i zaczął zwalniać biegu. Z piersi związanego Wesley'a wydobył się jęk ulgi. Wiedział że pociąg jest uratowany.

Szaleniec stanął na stopniu maszyny i wyjąwszy z kieszeni rewolwer, skierował lufę ku skroni. Zgrzyt hamulców i huk zwalniającego pociągu zgłuszyły odgłos strzału. Ze stopni stoczyła się na nasyp martwa postać Benningtona.

W miejscu gdzie stał na torze John Bennington zatrzymał się pociąg. Lokomotywa uderzyła stojącego starca i nad leżącym kilkanaście tylko jeszcze stóp przejechała. W oknach wagonów pojawiły się zdziwione i przerażone twarze podróżnych. Konduktorowie powyskakiwali z pociągu i podbiegli do lokomotywy.

Widok związanego Wesley'a jasno im wytłumaczył wszystko co się stało. Rozwiązano sznury krępujące maszynistę, który szczegółowo opowiedział przebieg piekielnej jazdy.

Kilku podróżnych z konduktorem na czele rzuciło się na ratunek starego budnika. Po chwili, gdy go wydobyto z pod lokomotywy, obecny wśród podróżnych lekarz starał się przywrócić go do przytomności. Oprócz niewielkich potłuczeń i omdlenia, nic się starcowi widocznego nie stało. Gdy jednak lekarz dokładniej go zbadał, smutno pokiwał głową i zdejmując czapkę rzekł do otaczającej ich gromadki:

Uderzenie lokomotywy nie było śmiertelne, ale wzruszenie zabije tego bohatera. Za kilka chwil dusza jego uleci w zaświaty — za duszą zbłąkanego syna. Ofiarą własnego życia okupił szaleństwo swego jedynaka...

John Bennington otworzył oczy i usiłował podnieść się... Sił mu brakło i opadł na ziemię. Zbladłemi wargami wyszeptał imię "Howard — Howard" i biała jego dusza odleciała przed tron Przedwiecznego.

W odległości kilkuset stóp leżały skrwawione zwłoki Howarda Benningtona.

Po kilku minutach nadjechał newjorski kurjer zatrzymany sygnałami konduktorów. Maszynista Wesley cofnął pociąg do stacji Irvington a po niedługim czasie po drutach telegrafów i telefonów biegła w świat radosna wieść: Ocaleni!





Ziemie Odzyskane — Olsztyn.

W PODZIEMNEJ DRUKARNI

Pleśń wilgotna na ścianach, mdły odór farb świeżych,
płomień lampy naftowej pełznie i dogasa,
na podłodze gotowej bibuły stos leży,
błyszczy w półmroku ręczna, metalowa prasa.

Nad nerwowo rzuconym wśród kaszt rękopisem
dwie schlone, zmęczeniem przeorane twarze.
Starszy, "Czynu" redaktor, korektor i giser;
młodszy jest tu zecerem, gońcem, metrampażem.

Noc nad miastem zła, słotna nieszczęściem brzemienna,
za ścianą wiatr zimowy, szyldami podzwania.
Jakże sieką i łzawią powieki bezsenne,
jak drżą palce od czcionek spiesznego składania.

Z nagła — starszy źrenice, stężałe i płowe
wzniósł nad kaszty. Zamruczał: — "Dwie kolumny . . . bite".
Potarł czoło: — "A . . . wiecie, dziś na Czerniakowie
Znajomą wam drukarnię do szczętu rozbito.

Trzech było przy robocie. Bronili się twardo:
"Sęp", "Wilk" i "Mścisław" — — życia nie oddali darmo
i z maszynek w gestapo — ogniami pogardą,
zgryzło ziemię dwóch szpiclów i pięciu żandarmów."

W ciszy jak jastrząb słowa zawisły złowieszcze,
W szarych oczach zecera tli żar i nienawiść.
Wybuchnął: "Bo — że tamci zginęli — no, jeszcze,
ale "Mścisław" . . . ten z Wolskiej . . . Toż to dziecko prawie!

Szesnaście lat — i hart miał . . . uczyłem go składać
(Zamilcz serce bezradne i z bólu nie skowycz)
A zacięty był w walce. Ech, cóż szkoda gadać".
"Już dnieje — przerwał starszy — grunt — numer gotowy".

Wyszli. I w silnej ranka zginęli mglistości.
Ślisko było. Ulice błotem chlupotały.
Tylko w pustce drukarni drgał wolnością
głuchy rozhuk czerniakowskich strzałów.

—Z poezji Polski Podziemnej.

Pałac Łazienkowski w Warszawie.

Pomnik Ks. J. Poniatowskiego, dłuta B. Thorwaldsena.

Legendarna Mysia wieża
nad jeziorem Gopłem

HUMOR ŚMIECH SATYRA



W SĄDZIE.

— Oskarżony! Czy ma pan co do powiedzenia na swe usprawiedliwienie?

— Tak, panie sędzio. Proszę, żeby sąd uwzględnił młody wiek mojego obrońcy.

ŚRODEK NA BEZSENNOŚĆ.

— Panie doktorze, — żaliła się pewna dama — nie mogę sypiać. Wstaję nocą i chodzę po pokoju. Czy niema jakiego środka na zapobiegnięcie temu wstawaniu?

— Owszem, jest. Niech pani rozsypie dokoła łóżka pudełko małych gwoździków, jakich się używa w biurach rysunkowych, a ręczę, że zaprzestanie pani nocnych spacerów po pokoju.

MIĘDZY PRZYJACIÓŁKAMI.

— Czy padł przed tobą na kolana, oświadczając się?

— Nie, nie mógł tego zrobić.

— Dlaczego?

— Siedziałam mu właśnie na kolanach.

NIE MÓGŁ DOSTAĆ ŚWIADECTWA.

Właściciel samochodu przyjmuje nowego kierowcę.

— Czy ma pan świadectwa od tych panów, u których pan poprzednio pełnił obowiązki szofera?

— Niestety, nie mam. Nie mogli mi ich wystawić.

— Dlaczegoż to?

— Gdyż obydwaj moi chlebodawcy zginęli nagle podczas jazdy ze mną...

DOWÓD.

— Cóż było w szkole, Jasiu? Czy powiedziałeś nauczycielowi, że nie mogłeś przyjść wczoraj dlatego, że zabijaliśmy wieprzka?

— Tak, mamo. Ale nauczyciel kazał przynieść sobie szynkę na dowód, że tak było. Inaczej nie uwzględni opuszczonych godzin.

SPORTOWIEC.

— Brat mój uzyskał złoty medal w zawodach pływackich!

— To nic. Mój dziadek zdobył trzy złote puhary, dwa złote medale, trzy medale za bieg sztafetowy i kilkanaście zegarków za boks i zawody atletyczne.

— Tam do licha! Toż musiał być najlepszym sportowcem swojego czasu...

— Gdzie tam! Pożyczał tylko na zastawy.

ZGRYŹLIWY.

— Jakto, doktorze? Pisze pan wiersze?

— Tak trochę... dla zabicia czasu.

— Aha! nie stało, widzę pacjentów...

W RESTAURACJI.

— Panie! — mówi oburzony gość do kelnera — znalazłem w zupie guzik od spodni!

— Ach, dziękuję — odpowiada kelner. — Dziękuję najuprzejmiej. Szukałem go cały dzień.

DR. JÓZEF F. KONOPA O WŁASNYCH SIŁACH WYKSZTAŁCIŁ SIĘ NA LEKARZA

OBECNIE JUŻ PRZEZ 45 LATA JAKO LEKARZ PRACUJE WŚRÓD POLONII



DR. JÓZEF F. KONOPA
z młodszych lat.

W dniu 7-go maja, 1917 roku, na stronie 6-tej DZIENNIK ZWIĄZKOWY podał z fotografią wiadomość zatytułowaną: "SIEROTA WZOREM DLA POLSKIEJ MŁODZIEŻY".

Treść tej wiadomości brzmi: "Ponad składem braci Sikorskich pnr. 2945 Milwaukee Ave. otworzył Dr. Józef F. Konopa swoje biuro i na stałe zamieszkał z początkiem bieżącego miesiąca.

Dr. Józef F. Konopa, kiedy miał trzy lata umarła mu matka. Ośmioro dzieci ojciec umieścił w sierocińcu. Młody Józef po ukończeniu szkoły parafialnej już pracował na plebanii Parafii Św. Jadwigi. Wykonywał tam różne prace fizyczne, a wieczorami kształcił się i został aptekarzem.

Kurs farmaceutyczny ukończył Józef F. Konopa na Uniwersytecie Stanu Illinois i po czterech latach złożył pomyślnie egzamin stanowy na registrowanego aptekarza. Następnie przez kilka miesięcy pracował w aptece Józefa Hellmutha na Jadwigowie i przez cały rok w aptece firmy Ashland Drug Co. w śródmieściu.

Nie był jednak aptekarz Józef P. Konopa zadowolony z dotąd zdobytej wiedzy i postanowił się kształcić w dalszym ciągu. Po uciułaniu więc nieco grosza wstąpił po trzech latach do Kolegium Lekarzy i Chirurgów przy ulicach Congress i Honore, w pobliżu szpitala powiatowego. Od roku 1912 uczył się pilnie medycyny, chirurgii i akuszerii, ale musiał opłacać koszta z własnej kieszeni i dlatego pracował jako klerk aptekarski co niedzielę i dwa wieczory w każdym tygodniu. Zatrudniony był w następujących aptekach: dra Jana Stawickiego w Gary, Ind.; Ed. Jankowskiego w Joliet, Ill.; Burdy na Stanisławowie, Kaczkowskiego na Town of Lake, Kujawskiego na Trójcowie, Schoenicha na Młodziankowie, Hottingera na Kantowie, Superczyskiego na Bridgeporcie, Panau na Wacławowie i Promińskiego na Annowie.

W kwietniu 1916 r., zapisał się Józef F. Konopa na specjalny kurs arkuszerii w szpitalu "Chicago Lying-in" przy ulicach Maxwell i Newberry pod dozorem prof. Jana DeLEE, sławnego specjalisty chorób kobiecych i dziecięcych.

Dyplom lekarza otrzymał w roku 1916, poczem zatrudniony był jako eksternista w szpitalu Polskim, a później jako internista w szpitalu "University", przy Ogden Ave., Lincoln i Congress ulicach, będąc szefem na wydziale akuszerii pod kierownictwem prof. C. S. Bacon'a.

Ostatnio zaś pracował jako internista w szpitalu przy Grand Place, Larrabee, Lincoln i Western Avenues.

Egzamin stanowy Dr. Józef F. Konopa złożył przed Wydziałem Zdrowia w październiku, 1916 roku w gmachu "Coliseum" przy South Wabash Avenue.

Licencję lekarską otrzymał z Springfield w styczniu, 1917 roku.

Dr. Józef F. Konopa spodziewa się praktykować medycyne, chirurgię i akuszerię wśród Polaków i Polek w Avondale Irving Park i Jefferson Park".—Tyle Dziennik Związkowy z dnia 7-go maja, 1917 roku.

Obecnie Dr. Józef F. Konopa to senior naszych lekarzy polskich. Jako lekarz stoi na stanowisku, spełniając tak zaszczytne i wniosłe zadanie lekarza — strzeże zdrowia ludzkiego przez okres 43 lat. Ciężką i żmudną pracą wykształcił się na lekarza, może być prawdziwym wzorem i przykładem dla naszej młodzieży polsko-amerykańskiej.

Silna wola i dobry charakter zawsze doprowadzą człowieka do wyznaczonego celu, gdy chce się kształcić i studiować, ponieważ tu są ku temu możliwości nieograniczone.

Dr. Józef F. Konopa należy przez wiele lat do sztabu lekarskiego w szpitalu ś.ś. Nazaretanek.

Praktykuje on dalej medycynę prowadząc swoje biuro lekarskie pnr. 1057 No. Hoyne Ave Chicago, Illinois.

Należy niemal do wszystkich organizacji polskich i także amerykańskich i sprawy polskie bardzo leżą mu na sercu, zawsze serdecznie, moralnie i materialnie je popiera.

Oby opatrzność Boża zachowała go, jak najdłużej dla ludzkości i Polonii.

Życie Jego to prawdziwa historia nadająca się do filmu, jako dokumentarny i żywy przykład do naśladowania dla naszej młodzieży.



IMPORTED POLISH HAMS

The world-famous Polish Canned Meat Products
can be obtained
at your favorite food shop
under the following brands:

ATALANTA • KRAKUS • TALA • P. O. M.

NOW — Available in convenient 2 Lb., 3 Lb., 4 Lb. and 5 Lb. Consumer Sizes.

If You Wish Any Further Information Write To

ATALANTA PRODUCTS CORP.

3-5 HARRISON STREET • NEW YORK 13, N.Y.

W Roku Jubileuszowym 80-Lecia dla Członków Z. N. P. i Całej Administracji Życzenia Powodzenia i Dalszych Sukcesów

— zasyła —

DR. JAN M. RADZIŃSKI

Jeden z naszych rodaków, który zawsze sprawy polskie popiera materialnie i moralnie, oraz należy do wszystkich polskich organizacji, to—

DR. W. RÓŻYCKI

LEKARZ i CHIRURG

1543 W. Division St. Tel. BR 8-6080

Jeden z naszych dzielnych rodaków, popierających zawsze sprawy polskie materialnie i moralnie, to—

Dr. Henry C. Lewandowski

2800 West 59-ta Ulica—Tel. WAlbrook 5-0550

W. H. SAJEWSKI

Największy i Najstarszy Skład Muzyczny i Wydawnictwo Polskich Nut i Rekordów
Sprzedajemy i Wysyłamy Nuty i Rekordy
Pod Nowym Adresem

1155 Milwaukee Ave. Chicago, Ill.
Tel. ARmitage 6-3452



POWODZENIA

ŻYCZY

EMIL V. PACINI

ALDERMAN 10-EJ WARDY
I COMMITTEEMAN

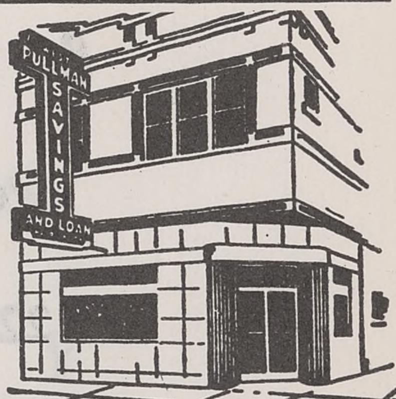
Najserdeczniejsze Życzenia
z Okazji 80-Lecia Istnienia Związku Nar. Polskiego
Oraz Dalszego Rozwoju i Tej Pięknej Pracy
Dla Naszych Rodaków

zasyła

WEST PULLMAN SAVINGS & LOAN ASSOCIATION

625 West 119th Street INterocean 8-7100

Jedyna Polska Instytucja Finansowa Na Dalszej Południowej Stronie Miasta Chicago



OSZCZĘDNOŚCI UBEZPIECZONE do $10,000 przez Federal Savings Loan Ins. Corp.
EDWARD J. DERWINSKI, Prezes
PŁACIMY NIEUSTANNIE DYWIDENDY NA OSZCZĘDNOŚCIACH OD 1915
ROZSĄDNA, BEZPIECZNA INSTYTUCJA FINANSOWA

DYREKTORZY:

JAN JACHERA
ZOFIA DERWINSKA
TOMASZ SOLTYSIK
EDWARD J. DERWINSKI

FRANCISZEK PISARSKI
MICHAŁ KURZEJA
ANTONI J. BUBULA
PAWEŁ PARCHEM

JAN PALIGA



GODZINY BIUROWE:
9 Rano do 4:30 Popoł. Codziennie
Poniedziałek 9 Rano do 8 Wiecz.
—— Zamknięte w Środę ——
Sobota 9 Rano do 12 w Południe



SERDECZNE ŻYCZENIA

WSZYSTKIM CZŁONKOM

ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO

Zasyła

O'MALLEY

& McKAY, Inc.

GENERAL INSURANCE

222 W. ADAMS ST.

Pokój 800

WSZYSTKIE TELEFONY

CEntral 6-5206

CHICAGO, ILLINOIS

POWINSZOWANIA

— i —

NAJLEPSZE ŻYCZENIA

Związkowi Narodowemu Polskiemu
w Ameryce

Zasyła

THOMAS
and
COMPANY

Investment
Securities

PORTER BUILDING

PITTSBURGH, PENNSYLVANIA

POŻYCZKI HIPOTECZNE

5%

$5\frac{1}{2}$%

Niskie

Spłaty Miesięczne

6%

Związek Narodowy Polski

1520 W. DIVISION STREET

ARmitage 6-0700

Proszę zgłosić się do biura realnościowego

F. W. MICHALAK

ZARZĄDCA

L. J. SHERIDAN & CO.

REAL ESTATE

APPRAISALS MANAGEMENT

111 W. WASHINGTON **RAndolph 6-7744**

CHICAGO, ILLINOIS

VICTOR HOKANSON

FRANK WELLS

APPRAISERS

MEMBER — THE AMERICAN INSTITUTE OF REAL ESTATE APPRAISERS



JOHN A. SIEROCIŃSKI

Serdeczne

ŻYCZENIA

Na Rok 1961

— przesyłają —



E. JOHN SIEROCIŃSKI

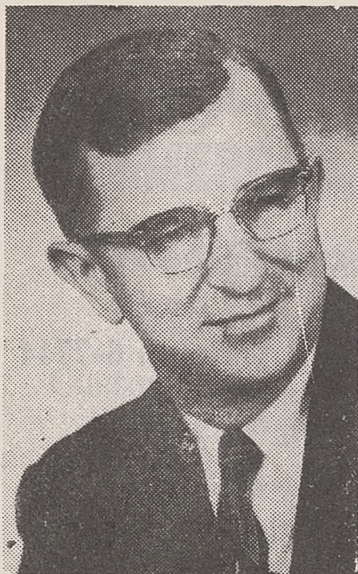
SECOND FEDERAL SAVINGS

AND LOAN ASSOCIATION

26th STREET I PULASKI ROAD

CHICAGO, ILLINOIS

JOHN A. SIEROCIŃSKI, Prezes E. JOHN SIEROCIŃSKI, Wiceprezes



Z okazji 80-lecia Z. N. P. najlepsze życzenia wszelkiego najlepszego we wszelkich poczyniach

Poza regularnymi studiami lekarskimi, po kilku latach praktyki specjallzacji jako chirurg, obecnie urzęduje w swym jedynym biurze nowocześnie urządzonym. Zawsze jest dla usług wszystkich

DR. TADEUSZ A. POREMSKI

5645 Milwaukee Ave. — Tel. SPring 4-6822

Członek Tow. Bartosza Głowackiego
Grupa 899 ZNP

Z Okazji 80ej Rocznicy Istnienia Związku Narodowego Polskiego, zapewniamy, że sprawy polskie, — sprawy Polonii amerykańskiej są nam zawsze bliskie i drogie dla nas wszystkich. W roku 1961 oby cele pracy i zamiary dla dobra Polonii i sprawy polskiej zostały osiągnięte.



KAZIMIERZ R. WACHOWSKI

139 NO. CLARK STREET

Telefon FRanklin 2-5107

NAJWIĘKSZA POLSKA PIEKARNIA

W CHICAGO, ILLINOIS

ZDROWE I SMACZNE
PO STAROKRAJSKU PIECZONE

CHLEBY—CIASTA I TORTY

Znane są z doskonałości po całym Chicago i Okolicy. Zapewniamy szybką obsługę na Wesela — Przyjęcia — Zabawy

Na Każdym Polskim Stole Powinien Być P. W. Polski Chleb

P. W. BAKING CO.

2500 W. Chicago Avenue

Telefon: HUmboldt 6-7766

Chicago 22, Illinois

SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU

składa

Całej Polonii i Przyjaciołom
oraz Swoim Odbiorcom

AGENCJA
DZIENNIKA ZWIĄZKOWEGO

JÓZEF BARTCZAK

właściciel

8409 S. Baker Ave. **Tel. BA 1-7266**

LOUIS HALL

KAROLINA OSIKOWICZ i SYNOWIE
Właściciele

1001-03 North Wolcott Street

Telefon ARmitage 6-4851

WYBOROWE WINA, LIKIERY I PIWA

Odnowiona Sala do wynajęcia na wszelkie okazje jak Posiedzenia, Wesela i Zabawy



SAVE REGULARLY at TALMAN

Small
Accounts
Welcome

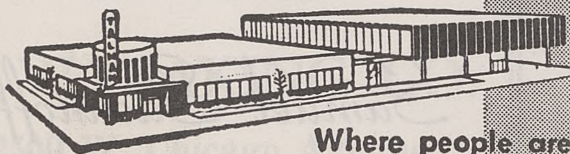
Business hours

9 to 4 Monday
9 to 8 Tuesday, Thursday and Friday
9 to Noon on Saturday

Ample Free Parking — Drive-up Service
Save-by-Mail
All-hours Depository



TALMAN



FEDERAL SAVINGS &
LOAN ASSOCIATION

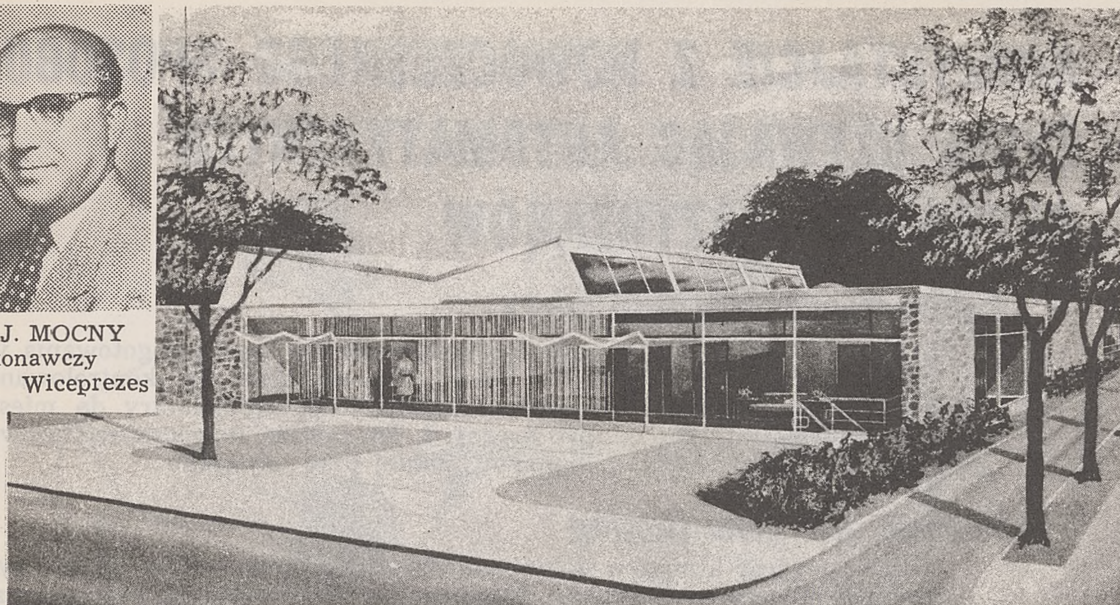
Where people are more important than money

Ben F. Bohac, *President and Chairman*

SOUTH KEDZIE AVE. • 55th to 56th Sts. • HEmlock 4-3322



R. J. MOCNY
Wykonawczy
Wiceprezes



MOŻECIE OSZCZĘDZAĆ PRZEZ POCZTĘ **WYSOKIE DYWIDENDY**

Niech Wasze Oszczędności Zarabiają w

United Savings

and Loan Association

4730 W. 79th Street

Narożnik Keating

Chicago, Illinois

CZŁONEK
• Federal Savings and Loan Insurance Corporation

CZŁONEK
• Federal Home Loan Bank System

MARTIN J. OLESZKIEWICZ
Prezes

ROBERT J. MOCNY
Wykonawczy Wiceprezes



Przesyłamy
Najlepsze Życzenia
Całej Polonii
Na Rok 1961



KONTA UBEZPIECZONE DO $10,000 PRZEZ FS & LIC



"Co możecie dziś kupić za centa?"

MORAŁ: Jeśli rachunek za elektryczność wydaje się wysoki, nie jest to z tego powodu, że elektryczność jest droga, lecz z tego powodu, że elektryczność czyni, iż sposób życia jest o wiele lepszy, że używacie jej o wiele, wiele więcej (istotnie cztery razy tyle jak używaliście kilka lat temu).

"Wiecie, że Elektryczność kosztuje dziś mniej niż kosztowała wiele lat temu!"

PATRZENIE na Telewizję

1 2/3 godziny tylko 1c

(Tylko jedna z wielu centowych taniości jakie elektryczność oferuje wam każdego dnia)

Commonwealth Edison AND *Public Service Company*

$4\frac{1}{4}$% WYNOSI NASZA BIEŻĄCA DYWIDENDA

Na Wszystkich Kontach Inwestycyjnych

Wasze Oszczędności Zawsze Zarabiają Więcej u Nas . . .



Każde Konto Jest Ubezpieczone Do $10,000.00

Otwórzcie teraz konto . . . Każdy oszczędzający otrzyma piękny prezent. Cieszymy się waszymi przyjacielskimi wizytami.

Nasi Kasjerzy i Pracownicy mówią po polsku.

ST. ANTHONY SAVINGS & LOAN ASS'N

1447 SO. 49th COURT — CICERO 50, ILLINOIS

JOSEPH F. GRIBAUSKAS, EXEC.-SECY. • TEL. TO 3-8131 and BI 2-1397

Assets Over $20,000,000.00

HOURS: MONDAYS 9 TO 8—TUESDAYS, THURSDAYS, FRIDAYS 9 TO 5—SATURDAYS 9 TO 1—WEDNESDAYS CLOSED ALL DAY




14th WARD
REGULAR DEMOCRATIC ORGANIZATION

4713 South Halsted Street

SENATOR DONALD J. O'BRIEN
Ward Committeeman

JUDGE JAS. J. McDERMOTT

ALD. JOSEPH P. BURKE

JUDGE JOSEPH B. HERMES

FRANK SMITH
State Representative

JUDGE JOHN J. SULLIVAN, JR.




Z Okacji 80-ciolecia Istnienia
Związku Narodowego Polskiego



Największej
Bratniej
Organizacji
Polskiej
Na Świecie

Najserdeczniejsze
Życzenia
Wszelkiej
Pomyślności

— i —

Dalszego
Rozwoju ZNP

zasyła

EDWARD J. DERWINSKI

KONGRESMAN 4-go DYSTRYKTU

Członek Tow. Obrońcy Wolności
Im. Tadeusza Kościuszki, Gr. 1876 ZNP

SERDECZNE ŻYCZENIA NA ROK 1960

COLUMBUS SAVINGS AND LOAN ASS'N



2525 W. 47th St.
Chicago 32, Illinois
LAfayette 3-4284



PRZEKONAJCIE SIĘ GDZIE SĄ WYPŁACANE NAJWYŻSZE DYWIDENDY

4% Płacimy Na Wszystkich Kontach Oszczędnościowych

PRZEKONAJCIE SIĘ GDZIE OTRZYMACIE NAPLEPSZE WARUNKI DŁUGO TERMINOWYCH POŻYCZEK

PRZEKONAJCIE SIĘ GDZIE OTRZYMACIE NAJLEPSZĄ OBSŁUGĘ

Godziny: w Poniedziałek i Czwartek do 8ej wieczorem, we Wtorek i Piątek 9 rano do 5 po południu, w Soboty 9 rano do 12 w południe. .W Środę nie załatwiamy żadnych interesów.

Dwa Świetne Lekarstwa



Na Każdy Dzień i Na Każdy Wiek

TRINER'S GORZKIE WINO

z Witaminą B-1

Jeden z najlepszych w Ameryce niezawodnych, łagodnych środków przeczyszczających na żołądek, odznaczony złotymi medalami na siedmiu Międzynarodowych Wystawach.

Joseph Triner Corporation

JOSEPH TRINER, Prezes

4053 WEST FILLMORE STREET

CHICAGO 24, ILLINOIS



SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU
Składa Wszystkim Przyjaciołom i Całej Polonii

Właściciel
CZESŁAW WICHA

OAZA HALL

Sale Do Wynajęcia Na Wszelkie Okazje

1250 MILWAUKEE AVE.

Tel. EVerglade 4-9470



Polska Restauracja

F. & T.

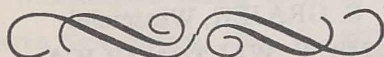
Tel. EVerglade 4-9777

Sandwich Shop

SMACZNE i ZDROWE PRZEKĄSKI i DANIA
LIKIERY i WÓDKI

1182 MILWAUKEE AVENUE

CHICAGO 22, ILLINOIS



Wypełniamy Recepty Sumiennie Również Na Wysyłkę Do Polski



POLSKA APTEKA

WIECZOREK DRUG CO.

W. W. WIECZOREK, Ph. G.
1174 Milwaukee Ave., blisko Division
Sprzedajemy Zioła z Gór—Harcu
Środek na Przeczyszczenie. Cena $1.00
Z przesyłką, $1.15
Tel. HUmboldt 6-2671 Chicago, Ill.
WYSYŁAMY LEKARSTWA DO POLSKI

POLSKA APTEKA

KAZIMIERZ CABAŃSKI

APTEKA—PHARMACY
1147 N. Ashland Ave. HUmboldt 6-9376
RECEPTY Z POLSKI WYPEŁNIAMY
Wszelkie inne lekarstwa i zastrzyki
Po cenach najniższych. Proszę pisać po ceny.

POLSKA APTEKA

MADURA PHARMACY

6001 W. Diversey Ave. BErkshire 7-5929
Wypełniamy Recepty na Wysyłkę do Polski
Chicago, Ill.

POLSKA APTEKA

MARNOW DRUG CO.

3193 Halsted Ul. Tel. CAlumet 5-7711
Wypełniamy Recepty Na Wysyłkę Do Polski

POLSKA APTEKA

PENCEK CIRCLE PHARMACY

J. S. PENCEK, R. Ph. C.
Wypełniamy recepty — Potrzeby dziecięce.
Przybory do izby chorych.
Telefon: GLadstone 3-4297
12½ Elmwood Parkway, Elmwood Pk., Ill.

Załatwia wszystko dokładnie, sprawnie i szybko, ku najpełniejszemu zadowoleniu.

BRVENIK PHARMACY

1918 BLUE ISLAND AVE.
EMIL BRVENIK, B. S. R. Ph.
Właściciel
Telefon: CAnal 6-0727

POLSKA APTEKA

GAPINSKI PHARMACY

Wypełniamy Recepty Na Wysyłkę do Polski
814 N. Ashland Ave. HAymarket 1-9412

POLSKA APTEKA

KARWOWSKI

3659 DIVERSEY AVE.
Narożnik Lawndale
Rzetelne i Sumienne Wypełnianie Recept do Polski
RZECZYWIŚCIE POLSKA APTEKA
DLA POLAKÓW
TELEFON SPAULDING 2-7185

POLSKA APTEKA

Superczyński Pharmacy

3156 South May St. Tel. VIrginia 7-9600
V. H. Superczyński, właściciel
WYSYŁAMY LEKARSTWA DO POLSKI

POLSKA APTEKA

W. KRAMARCZYK, Właśc.
Wypełniamy wszelkie recepty
Również na wysyłkę do Polski
Mamy Żywokostową Maść MIRROS
3101 Milwaukee Ave. Tel. JUniper 8-9785

HARRY ADAMS

Właśc. Pierwszorzędnej Apteki
Gdzie z Całą Dokładnością Wypełniamy
WSZELKIE RECEPTY LEKARSKIE
2252 N. Western Ave. Tel. HUmboldt 6-9458

POLSKA APTEKA

PARNELL PHARMACY

525 W. 123rd Street PUllman 5-6371
PAN NIEZGODZKI, Właściciel
Wypełniamy europejskie recepty

POPIERAJCIE POLSKICH APTEKARZY A OTRZYMACIE GRZECZNĄ OBSŁUGĘ



THADDEUS V. ADESKO

SĘDZIA
SĄDU WYŻSZEGO
POW. COOK, ILL.

Sekretarz Sejmu 29-go Z. N. P.
Przewodniczący Sejmów 30, 31 i 33-go Z. N. P.



FRANCISZEK BOBRYTZKE
Komisarz Powiatowy

Jest on przewodniczącym dyrekcji Manufacturers National Bank, honorowym przewodniczącym Polsko Amerykańskiej Demokratycznej Organizacji, dyrektorem Polish Welfare Association, i wielce czynnym członkiem Związku Narodowego Polskiego, Chicago Society, Zjednoczenia Polsko-Rzymsko Katolickiego, i innych organizacji.



Zawsze Byłem Dla Ludu i z Ludem Dlatego Osobiście Zawsze Jestem Na Wasze Usługi

JOHN G. FARY

Reprezentant Do Legislatury Stanowej 28-go Dystryktu

CHICAGO MAILERS UNION NO. 2

CHICAGO, ILLINOIS

CICERO STATE BANK

2446 South Cicero Ave., w Cicero

Kierownictwo, Zarząd i Personel Polski
Oszczędności ubezpieczone do $10,000
Od Waszych Oszczędności Płacimy Dywidendy
Udzielamy Pożyczki na Domy i Ich Reperację

Tel. OLympic 2-2000

NAJLEPSZĄ SODĘ I LEKKIE NAPOJE
Wyrabia i Sprzedaje



POLONIA BOTTLING CO.

1912 WEST HUBBARD STREET
TEL. SEELEY 3-5933 CHICAGO, ILL.

SKORZYSTAJCIE Z NASZEJ NAJWYŻSZEJ
BIEŻĄCEJ DYWIDENDY daje wam ZYSK PLUS Bezpieczne Ulokowanie

MORTON PARK FEDERAL SAVINGS AND LOAN ASSOCIATION

5221-23 W. 25th St.
Założona w 1910-tym

W CENTRUM CICERO
25th STREET, NA ZACHÓD OD LARAMIE
Bezpłatne Parkowanie w tyle

Tel. OLympic 6-0100 lub BIshop 2-2924

ZASOBY PRZESZŁO 10 MILIONÓW

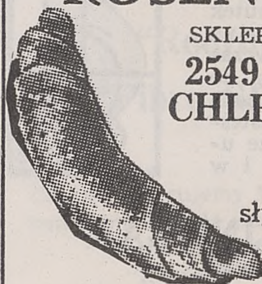
FRANK SOBOTKA, Sekretarz i Zarządca

ROSEN'S BAKERY

SKLEP DETALICZNY

2549 W. Division Street
CHLEB, BUŁKI I INNE CIASTA

słynne w Chicago i okolicy



PIEKARNIA —i— HURTOWNIA
3015 West Lake Street
Tel. VAn Buren 6-1614

Dla moich Rodaków Wszystkiego Najlepszego we Wszystkich Waszych Poczynaniach i Staraniach dla Dobra Sprawy Polskiej

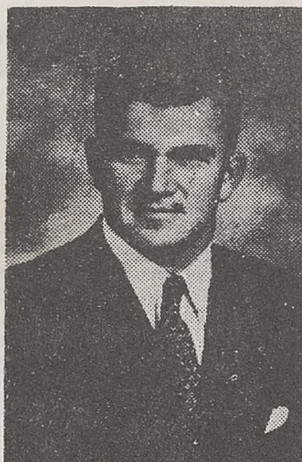


TED. J. ZAREMBA

SKARBNIK-SUPERWIZOR
MIASTA CICERO, ILLINOIS

Zawsze oddany dla dobra Sprawy Polskiej i zawsze popiera wszystko co polskie.

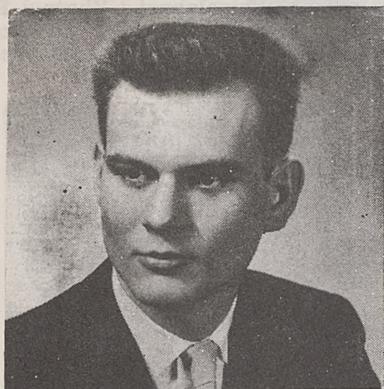
Dla pomyslności i rowoju Polonii chicagoskiej i amerykańskiej przesyłam również najserdeczniejsze życzenia dalszego pięknego rozwoju we wszelkich kierunkach i poczynaniach oraz kontynuowania tej pięknej i wzniosłej pracy dla dobra sprawy polskiej nietylko w Stanach Zjednoczonych, lecz wszędzie.



Kazimierz [Casey] Laskowski

ALDERMAN 35-ej WARDY

Stanowy Reprezentant 15-go Dystryktu



CHESTER R.
WIKTORSKI
Junior



Compliments of

THEODORE A. SWINARSKI

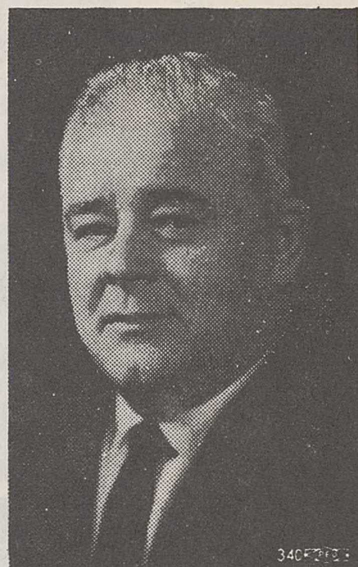
Clerk of the Superior Court

JOHN L. WANER
(Wojnarowski)

ZDOLNY PRZEMYSŁOWIEC I POLITYK
SZEF FEDERAL HOUSING ADMINISTRATION

Kto to jest nasz rodak John L. Waner-Wojnarowski?

JOHN L. WANER urodził się w Chicago, 3 sierpnia 1914, żonaty, ojciec 5 dzieci, były prezes czołowej w Chicago firmy ogrzewania i ochładzania, były finansowy sekretarz, Local 998 U. A. W. CIO, obecny członek Local 130 A. F. L. Chicago Journeymen's Plumbers Union, graduant publicznej i parafialnej szkoły w Chicago, członek Advisory Council Allied Institute of Technology, były przewodniczący Regularnej Republikańskiej Organizacji 23-ej Wardy, członek Illinois Athletic Club, Elks, Związku Narodowego Polskiego, Rycerzy Kolumba, 4-go Stopnia, oraz licznych społecznych i bratnich organizacji. Obecnie został w 1960 roku zamianowany Szefem Federal Housing Administration w Chicago, Illinois, co obejmuje 19-cie powiatów w północnej części naszego stanu Illinois. Przez wiele lat był on także prezesem



WARNER HEATING & AIR CONDITIONING CORP.

5434 ARCHER AVE.

Tel. POrtsmouth 7-2300 — Chicago 38, Illinois

KIEROWNIKIEM OBECNIE TEJ FIRMY JEST JAN CZECH

W 80-TĄ ROCZNICĘ ISTNIENIA
ZWIĄZKU NARODOWEGO POLSKIEGO
SERDECZNE ŻYCZENIA
KONTYNUOWANIA DALSZEJ
OWOCNEJ I POŻYTECZNEJ PRACY
WE WSZELKICH KIERUNKACH
I POCZYNANIACH



OTTO F. JANOUSEK

Alderman i Komitymanem 22-ej Wardy

Sędziowie Frank H. Bicek, George B. Weiss
Eugene L. Wachowski, Lillian Piotrowski
Stanowa Rep. 30-go Dystryktu
Wraz z Całą Regularną Demokratyczną Organizacją

Dla Związku Narodowego Polskiego i wszystkich członków z okazji 80-tej rocznicy istnienia
Najserdeczniejsze Gratulacje i Uznanie
Dla Całej Polonii oraz Organizacjom Polskim,
Moim Współobywatelom

Dalszej pięknej, chwalebnej i Zbożnej Pracy na polu spraw Humanitarnych i Dobroczynnych Dalszych Sukcesów, rozwoju i powodzenia we wszelkich poczynaniach zasyła



JOHN B. BRANDT

ALDERMAN 33-EJ WARDY

I KOMITYMAN TEJŻE WARDY
WRAZ Z CAŁĄ ORGANIZACJĄ 33-EJ WARDY
TAKŻE KANDYDAT
NA URZĄD DYSTRYKTU SANITARNEGO



PIOTR P. KEZON
Sekretarz-Kasjer-Zarządca
Dyrektor

SUPREME
SAVINGS AND LOAN ASSOCIATION

— składa —

SERDECZNE ŻYCZENIA WSZYSTKIM
ZWIĄZKOWCOM I ZWIĄZKOWCZYNIOM,
ORAZ CAŁEJ POLONII
JAKNAJLEPSZEGO POWODZENIA
NA ROK 1961

**Oszczędzajcie
w Największej Polskiej
Spółce w Town of Lake**



NOWA RATA
4½%
ROCZNIE

SUPREME SAVINGS AND LOAN ASSOCIATION

1751-1755 WEST 47th STREET — YArds 7-3895 — Chicago, Ill.

Największa Polska Spółka Na Town of Lake

ZARZĄD I DYREKCJA

PIOTR P. KEZON, Zarządca i Sekretarz

IGNACY SCIGALSKI, Prezes
PIOTR RADOCHONSKI, Wiceprezes
STANISŁAW E. KOSZOLA, Wiceprezes
FELICJA KIEBLES, Asyst. Zarządcy
JAN E. GIERUT, Asyst. Sekr.
CZESŁ. T. NIEDZIALEK, Skarbnik
IRENA S. KONECKI, Asyst. Skarbnika
JAN KRZYSKOWSKI, Dyrektor
STEFAN DOMINSKI, Dyrektor

PAWEL KUBALICA, Dyrektor
EDWARD KNYCH, Dyrektor
ADAM J. KEZON, Dyrektor
CZESŁAWA MESEVICH, Główna Kasjerka
LEOKADIA B. CZUCZMAN, Stenografistka
JULIUS DZIUKALA, Kasjer
ARLENE MERDA, Stenograf.-Klerk
ALICE M. BEMBENEK, Asyst. Głów. Kasjerki

JANET MOSCINSKI, Kasjerka
GERTRUDE LYONS, Klerk
ANNETTE HOFFMAN, Klerk
MALGORZATA DUGGAN, Klerk
MARY ANN TABAK, Klerk
JACQUELINE LAPKA, Stenografistka
ELEONORA MAJDECKI, Kasjerka
DOROTHY KACZMAREK, Kasjerka
CAROLINE SCHMITZ, Kasjerka



ZASOBY PRZESZŁO $27,000,000.00

10,-